

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 3-4/2004

Lodzermensch nowej Łodzi

Jak Łódź wyglądałaby bez Szrama? Na pewno wiele później zaczęłaby dbać o swoje zabytki i o wiele mniej by ich ochroniła. Byłaby uboższa o dwa stworzone przez niego muzea. I byłoby w niej smutniej, to pewne. Antoni Szram ma swoją kostkę na ulicy Piotrkowskiej. Kostka z jego nazwiskiem ma numer 5. Otrzymał ją za zasługi dla Łodzi. W pierwszej dwudziestce obdarowanych "honorowymi" kostkami znalazł się także Michał Urbaniak - skrzypek jazzowy i Piotr Pustelnik - himalaista.

Rejony łódzkiego ubóstwa

Statystyka pozwala sądzić, że udział biedy w Łodzi porównywany jest do sytuacji w Polsce. Z perspektywy instytucji pomocy społecznej obraz ten wydaje się bardziej optymistyczny. Najwięcej osób w kartotekach pomocy społecznej zarejestrowano w pierwszej połowie lat 90-tych. W kolejnych latach zaznacza się wyraźna tendencja spadkowa. Jeszcze w 1996 r. gospodarstwa domowe uzależnione od pomocy społecznej liczyły ponad 135 tys. domowników, co stanowiło 16,5% ogółu Łódzian, w 1999 r. już tylko niecałe 85 tys. członków, tzn. 10,7% . W pierwszym półroczu 2003 r. liczba ta zmalała do niecałych 50 tys. co stanowi tylko 7,4% . Liczba ta wynosi obecnie 32 (wskaźnik na 1000 ludności) i jest najniższa w porównaniu do 5-ciu największych polskich miast (52-58)

(Miasta wojewódzkie... 2003:24).



I-109040/04



Kronika miasta Łodzi



kwartalnik • 3-4/2004

Łódź 2004

REDAKCJA:

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny

Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Mieczysław Gumola

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko

Skład – Jerzy Ledzion

Druk i diapozytywy: BiK Zakład Poligraficzny Spółka Jawna,
90-353 Łódź, ul. Kilińskiego 169

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi

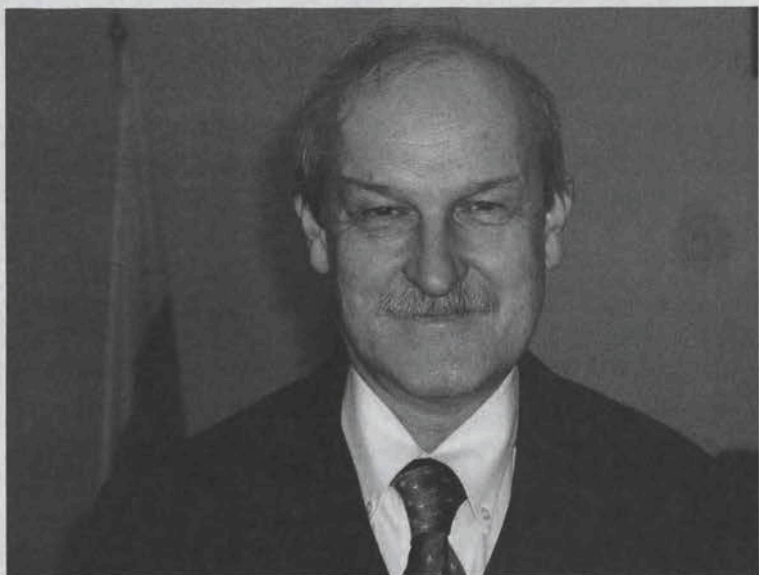
Adres redakcji: Biuro Prasowe UMiŁ

Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110 (wejście od Al. Schillera)

tel. (42) 638-44-39

e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354



Wszystkim Łodzianom – moim dzisiejszym współmieszkańcom
oraz tym, których los rzucił daleko od domu ich dzieciństwa,
ale ich serce pozostało w Łodzi

– życzę dużo dobrego zdrowia,
spełnienia najlepszych nadziei
i błogosławieństwa Bożego dla ich domów i rodzin
w Nowym 2005 Roku

Prezydent Miasta Łodzi

Spis treści

Łódź drgnęła	7
pierwsze kolumny	9
Rejony łódzkiego ubóstwa	
Archipeląg pomocy	
Ze znakiem krzyża	
Dobroczynność, pomoc, współczucie	
nauka	43
Od medycyny pracy do zdrowia pracujących	
Sztuka wolnego rynku – wolny rynek w sztuce	
W służbie medycyny	
kultura	63
Lodzermensch nowej Łodzi	
Raport zwykłego miasta	
Między awangardą a bezradnością tradycji	
Proces w starej konstrukcji	
W poszukiwaniu kina wyzwani naszego czasu	
Stolica pubów miastem poezji	
Negatywy utrwalonej historii	
Muzy przy krosnach	
Uczy szacunku do kultury fizycznej	
Zdecydowanie przyjemne spotkania ze sztuką	
historia	129
Tragizm bohatera	
Między nadzieją a beznadzieją	
Dziecięca wojna	
Zapomniany rozdział historii miasta	
Ulica bez wylotu	
Pocztówki z fabrycznego miasta	
Żywa lekcja historii	

z cyklu: czarne dziury, białe plamy	171
Między brunatnym a czerwonym totalitaryzmem	
Walka na słowa	
łodzianie	195
Dogonić czas...	
Budowniczy Miasta Łodzi	
Przedsiębiorca, społecznik, patriota	
religie, kościoły, wyznania	213
Religia współtwórców Łodzi przemysłowej	
osiedla, domy, ulice	223
Dlaczego Łódź się sypie	
kroniki rodzinne	233
Ewangelicka proveniencja	
jak nas widzą, tak nas piszą	245
W Warszawie mówią „Litzmannstadt”	
recenzje	253
W interesie kultury narodowej	
z łódzkiego raptularza	258

111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128

1. The first part of the book is devoted to a general survey of the history of the subject. It begins with a brief account of the early attempts to explain the origin of life, and then proceeds to a more detailed consideration of the various theories which have been advanced. The author then discusses the evidence in support of each theory, and finally comes to a conclusion that the most probable explanation is that life originated in a simple, non-living material, and that it has since developed through a series of gradual changes.

2. The second part of the book is devoted to a detailed consideration of the various theories which have been advanced to explain the origin of life. It begins with a brief account of the early attempts to explain the origin of life, and then proceeds to a more detailed consideration of the various theories which have been advanced. The author then discusses the evidence in support of each theory, and finally comes to a conclusion that the most probable explanation is that life originated in a simple, non-living material, and that it has since developed through a series of gradual changes.

3. The third part of the book is devoted to a detailed consideration of the various theories which have been advanced to explain the origin of life. It begins with a brief account of the early attempts to explain the origin of life, and then proceeds to a more detailed consideration of the various theories which have been advanced. The author then discusses the evidence in support of each theory, and finally comes to a conclusion that the most probable explanation is that life originated in a simple, non-living material, and that it has since developed through a series of gradual changes.

4. The fourth part of the book is devoted to a detailed consideration of the various theories which have been advanced to explain the origin of life. It begins with a brief account of the early attempts to explain the origin of life, and then proceeds to a more detailed consideration of the various theories which have been advanced. The author then discusses the evidence in support of each theory, and finally comes to a conclusion that the most probable explanation is that life originated in a simple, non-living material, and that it has since developed through a series of gradual changes.

5. The fifth part of the book is devoted to a detailed consideration of the various theories which have been advanced to explain the origin of life. It begins with a brief account of the early attempts to explain the origin of life, and then proceeds to a more detailed consideration of the various theories which have been advanced. The author then discusses the evidence in support of each theory, and finally comes to a conclusion that the most probable explanation is that life originated in a simple, non-living material, and that it has since developed through a series of gradual changes.

Łódź drgnęła

W Łodzi po raz pierwszy od 1998 r. wyraźnie zmniejszyło się bezrobocie i wyniosło w sierpniu 2004 r. 18,3 %. Jego poziom spadł więc znacznie nie tylko poniżej średniej krajowej (aktualnie 19,6 %) ale także poniżej średniej w całym regionie. To widoczny krok ku lepszemu.

Racjonalny program przeciwdziałania gospodarczej i moralnej stagnacji, która spychała nasze miasto w dół wszelkich rankingów i statystyk, zaczął więc przynosić wymierne rezultaty. To najważniejszy sygnał, że zadania, jakie postawiłem sobie i moim współpracownikom jesienią 2002 r. są realizowane we właściwym kierunku. I – niezależnie od odzywających się tu i ówdzie krytycznych głosów moich różnych oponentów i odwiecznych zawodowych sceptyków – program prostych środków, zogniskowany wokół czytelnego i uczciwego zarządzania miastem, okazał się już wymiernie skuteczny.

Olbrzymie zadłużenie Łodzi i bardzo wysoka stopa bezrobocia – co zastałem obejmując przed dwoma laty zarząd miastem – kazały szukać sposobów szybkiej poprawy stabilności finansów miejskich a jednocześnie tworzyć przyjazny klimat wokół małych firm rodzinnych. To przecież te firmy dają dziś połowę miejsc pracy łodzianom a dalszy rozwój takiej właśnie przedsiębiorczości pozwoli przesunąć barierę bezrobocia coraz niżej. Zmniejszając więc czynsze lokali wynajmowanych z zasobów miejskich a także podatek od nieruchomości, pomogliśmy drobnym przedsiębiorcom rozpocząć działalność, bądź też umocnić się na rynku. Daliśmy także przedsiębiorczym łodzianom szansę preferencyjnego nabywania na własność budynków komunalnych, poza oczywiście tzw. strefą „0”.

Poprawa stabilności miejskich finansów oraz jasna i uproszczona obsługa urzędnicza sprawiły, że do Łodzi zaczęli napływać inwestorzy polscy i zagraniczni a ulica Piotrkowska – zagrożona tak jeszcze niedawno kurczeniem się jej tradycyjnej strefy handlu – znów odżywa. W rekordowym tempie powstała w Łodzi największa w kraju hurtownia Polskiej Grupy Farmaceutycznej oraz Fabryka Merloniego. Zaawansowane są także inwestycje Phillipsa, Boscha i ich kooperantów.

Godne przywrócenie zaniedbanej pamięci historycznej, dla uporządkowania moralnej tożsamości miasta – poprzez nadanie Obchodom 60' Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto należnej im rangi – pomogło Łodzi wyjść z zauważalnej izolacji trapiącej nasze miasto od dziesięcioleci. Okazało się, że podejmując działania z powodów moralnych, można nieoczekiwanie osiągnąć efekt uboczny, korzyści

całkiem wymierne. Dzięki temu Łódź dostrzegli niektórzy inwestorzy a ruch turystyczny w naszym mieście wzrósł radykalnie. Dzisiaj jesteśmy jednym z najczęściej odwiedzanych miast w Polsce. Wyprzedziliśmy Gdańsk, Wrocław i Szczecin. Warto też zauważyć, że na wielkim koncercie promocyjnym Polski w Brukseli po wejściu do Unii Europejskiej, przeważali łodzianie.

Kiedy w 2002 r. rozpoczynałem zarządzanie miastem, przyjąłem program działania bardziej jako ekonomista niż działacz społeczny, bo uważam, że przede wszystkim muszą istnieć stabilne finanse a miasto ma zdobyć dobrą opinię wśród inwestorów. Tylko wtedy, dzięki systematycznemu wzrostowi dochodów do budżetu, możliwe staje się zapewnienie bezpieczeństwa socjalnego.

Bezpieczeństwo socjalne to także sprawa walki z ubóstwem wraz z przeciwdziałaniem pojawiania się w mieście tzw. stref biedy. Strefy te, zwłaszcza znajdujące się w obrębie wielkiego śródmieścia Łodzi, bynajmniej nie narodziły się jednak w ostatnich latach. Ich rodowód sięga czasów realnego socjalizmu. Wtedy, gdy Łódź wrzucona do młyna centralnego planowania otrzymywała na swój rozwój ledwie 3 – 7 % dochodu wypracowanego przez jej ówczesny rozkręcony do pełnych obrotów przemysł. W ten sposób trud mieszkańców nie miał szansy przełożyć się na poprawę wyglądu miasta, na poziom życia łodzian. Łódzkie enklawy biedy w obecnie zachowanym kształcie są wytworem chorej polityki społecznej tamtych lat. Polityki, polegającej na przekształcaniu dobrych niegdyś lokali mieszkalnych w całych kwartałach śródmiejskiej zwartej zabudowy na mieszkania socjalne i osiedlanie tam osób mało produktywnych lub nieproduktywnych, często eksmitowanych lub nawet hołdujących stylowi życia bliskiemu różnym społecznym patologiom.

Proces likwidowania tych osobliwych relikwów PRL został już zapoczątkowany rewitalizacją wielu obiektów historycznej zabudowy śródmieścia i wznoszeniem nowoczesnych plomb mieszkalnych, które zasiedlają i zasiedlać będą normalnie funkcjonujące rodziny, zmieniając stopniowo wizerunek rejonów ubóstwa.

Niezależnie od socjologicznych analiz zjawiska stref biedy i metod powodujących produktywnie rozwiązanie problemów ubóstwa – do czego prowadzi w pierwszym rzędzie zmniejszanie się poziomu bezrobocia – ogromny wysiłek miasta idzie wciąż na pomoc społeczną. Jednak wyraźne drgnięcie w dół stopy bezrobocia jest zwiastunem tego, że i tu zaczyna się zmieniać. W 2002 r. poszło na opiekę społeczną blisko 185 mln złotych a w roku 2003 – już niespełna 183 mln zł. Niezbilansowane jeszcze wyniki roku 2004 potwierdzają tę tendencję.

Jerzy Kropiwnicki

pierwsze kolumny

Rejony łódzkiego ubóstwa

Stare przyczyny, nowe nadzieje

Joanna Grotowska-Leder

str. 11

Archipeląg pomocy

Potrzebujący liczą na MOPS

Gustaw Romanowski

str. 25

Ze znakiem krzyża

Słuszny cel szlachetnej idei

Mieczysław Gumola

str. 30

Dobroczynność, pomoc, współczucie

Historia i działalność łódzkiej Caritas

Darek Kędziński

str. 36

Rejony łódzkiego ubóstwa

Stare przyczyny, nowe nadzieje

Refleksja nad życiem społecznym miasta wymaga uwzględnienia problematyki biedy. Powszechne jest bowiem zróżnicowanie mieszkańców ze względu na materialne warunki życia – są wśród nich bogaci i biedni. Świadomość tego faktu sięga odległych czasów. Już Ewangelista Jan pisze: „*biedni są zawsze z nami*”, a dziś mówią o tym konkretne wyniki analiz naukowych i publicystycznych opracowań.

Bieda jest tematem badań w ramach polityki społecznej, socjologii i ekonomii. Przedmiotem zainteresowania jest w nich głównie skala i dynamika zjawiska, tzn. udział ludności biednej wśród mieszkańców danego obszaru oraz jej charakterystyczne cechy uwzględniając płeć, wiek, wykształcenie i zawód oraz miejsce zamieszkania. Innymi słowy: czy wśród ubogich spotyka się częściej kobiety czy mężczyźni; ludzi młodych czy przedstawicieli starszych roczników; osoby nisko kwalifikowane czy może osoby posiadające dobre przygotowanie zawodowe; mieszkańców wsi czy mieszkańców miast? Pogłębione badania socjologiczne¹ dostarczają wiedzy na temat specyfiki procesów ubożenia, sposobów funkcjonowania ludzi biednych, ich postaw życiowych, oczekiwań, niepokojów i sposobów radzenia sobie w życiu. To kwestie, które są zasadnicze dla formułowania programów walki z biedą i organizowania pomocy dla ubogich.

Co to jest bieda?

Prawie każdy członek społeczeństwa wie, co to jest bieda, nawet jeśli sam nie doświadczał w życiu sytuacji materialnych ograniczeń. Mary Oransky, współczesna amerykańska badaczka tego zjawiska, zauważa, że „*biedę ma się w oczach*”, gdyż jest nie do ukrycia. Badanie ubóstwa nie jest jednak zadaniem łatwym, bo jest to zjawisko złożone, stopniowalne i wielostronnie warunkowane.

Na ogół utożsamia się biedę z niedostatkiem pieniędzy, ale brak pieniędzy – ubóstwo monetarne – jest tylko jednym z przejawów biednego życia. Nie mniej dokuczliwe są także inne jego cechy – brak odpowiednich warunków lokalowych, brak dostępu do ważnych społecznych uprawnień i instytucji, do szkoły, do instytucji służby zdrowia, do instytucji wymiaru sprawiedliwości oraz izolacja społeczna. Takie warunki życia ograniczają człowieka w jego codziennym bytowaniu, spływają jego rozwój. W najostrzejszej postaci bieda oznacza poziom życia, który zagraża fizycznej egzystencji. Jest to przymieranie głodem, wymarzenie z powodu braku odpowiedniego do pory roku ubrania i dachu nad głową. Z tym rodzajem biedy rozwinięte społe-

czeństwa praktycznie sobie poradziły, ale w krajach transformujących się jej skala jest niepokojąco duża.

Innym powszechnym sposobem definiowania współczesnej biedy jest ujmowanie jej w kategoriach względnych, z punktu widzenia przeciętnych warunków życia w określonym społeczeństwie. Ten rodzaj biedy odnosi się do osób i rodzin, które z powodu niskich dochodów nie mogą żyć na odpowiednim poziomie, w sposób społecznie i kulturowo akceptowany w danym społeczeństwie. Wyróżnia się także zbiorowość biednych oficjalnych, zewidencjonowanych. Tworzą ją rodziny klientów pomocy społecznej, osoby, które żyją poniżej ustawowych kryteriów dostępu do państwowej pomocy społecznej.

Ubóstwo może mieć także aspekt subiektywny. Biedni w tym rozumieniu to osoby, które myślą o sobie, że są biedne, czują się biedne i zaliczają się do grona ludzi biednych. Zbiorowość biednych jest zatem wewnętrznie zróżnicowana. Są wśród nich zarówno tacy, którzy żyją na granicy biologicznego bezpieczeństwa, którym nie starcza na najtańsze jedzenie, nie mają ubrania i dachu nad głową – bezdomni, żebracy – oraz tacy, którzy nie cierpią krańcowego niedostatku, ale wskutek utraty pracy lub niskich zarobków nie mają środków finansowych na przeciętne warunki życia i czują się biedni.

Jakie są przyczyny biedy?

Ubóstwo jest zjawiskiem wielostronnie warunkowanym. Obok biedy będącej skutkiem indywidualnych wyborów, losowych zdarzeń i ograniczeń, np. niechęci do nauki, lub do pracy, braku zdolności, choroby, podeszłego wieku, rozpadu rodziny i wielodzietności, występuje ubóstwo, którego przyczyny są ulokowane na zewnątrz jednostki – tkwią w społeczno-ekonomicznych warunkach, w jakich ona żyje. Współczesne procesy ubożenia są pochodną zmian na rynku pracy: bezrobocia, ograniczania stałych form zatrudnienia w postaci pracy na pełnym etacie i postępującej polaryzacji w sferze wynagrodzeń: dochody z pracy najwyższej zarabiających wzrastają, a nisko zarabiających spadają. Zjawiska te są skutkiem zapoczątkowanych w latach 70' XX wieku kilku procesów o szerokim zasięgu, z których do najważniejszych należy zaliczyć:

- proces dezindustrializacji – ograniczanie produkcji przemysłowej i zatrudnienia w działach wytwórczych, oraz wzrost zatrudnienia w rozwijającej się sferze usług; obok usług wysoko opłacanych jest duży rynek niskopłatnych miejsc pracy;
- procesy restrukturyzacji i modernizacji – wprowadzanie nowych technologii i form organizacji pracy oznacza rozwój, ale skutkuje spadkiem zatrudnienia;
- procesy globalizacji – swobodny przepływ kapitału, towarów i usług spowodował, że producenci zaczęli przenosić swoje firmy i zakłady pracy do miejsc, gdzie siła robocza jest tańsza, co sprzyja rozwojowi bezrobocia w niektórych regionach.
- W społeczeństwach systemowej transformacji w kierunku gospodarki rynkowej – takich jak Polska – procesy ubożenia są dodatkowo warunkowane procesami

prywatyzacji w sferze gospodarki oraz „niedostosowaniem mentalnym” dużej części ich członków do logiki społeczeństwa kapitalistycznego, do funkcjonowania w społeczeństwie opartym na konkurencji, wysiłku i pracy.

Ważnym aspektem współczesnych zjawisk ubożenia jest także niewydolność systemów wsparcia społecznego. Liczba oczekujących pomocy wzrasta, a w budżetach państwowych i samorządowych jest coraz mniej pieniędzy na zaspokojenie potrzeb ludzi znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej. Zjawiska te powodują rozszerzanie się biedy na tradycyjne i nowe grupy społeczne. Do grona biednych trafiają osoby, które były względnie samodzielne w zaspokajaniu swoich codziennych potrzeb życiowych. Są to „nowi biedni”, konstytuowani przez rodziny osób bezrobotnych i nisko zarabiających.

Mimo postępu społecznego – na co wskazują niewątpliwie rozwój ekonomiczny, wzrost przeciętnych dochodów obywateli i postępująca demokratyzacja życia społecznego – społeczeństwa nie potrafią wszystkim swoim członkom zagwarantować cywilizacyjnego minimum egzystencji, w rezultacie część populacji żyje poniżej społecznie akceptowanego standardu życia. Dlatego na progu XXI wieku ubóstwo jest nadal doświadczeniem zarówno krajów względnie stabilnych, jak i podlegających intensywnym przekształceniom².

Te właśnie globalne procesy ekonomiczno-społeczne kształtują „nową miejską rzeczywistość”, której charakterystyczną cechą jest m.in. „rozłupanie” społeczności miejskiej na dwie części: jedną stanowią ci mieszkańcy, którzy posiadają wymagane na rynku pracy kwalifikacje i lokują się w głównym nurcie społeczeństwa, a drugą – mieszkańcy, których kwalifikacje nie spełniają oczekiwań pracodawców i wypadli poza ten nurt. Zdaniem współczesnych socjologów, nie tylko ludzi, ale także całe miasta, można klasyfikować jako „wygrane” i „przegrane” w procesie zachodzącej modernizacji. Miasta te różnią się między innymi sposobami wytwarzania biedy. W miastach wygranych, w których dominują nowoczesne technologie i usługi oraz niska jest stopa bezrobocia, bieda spowodowana jest wzrostem kosztów utrzymania, w szczególności – kosztów utrzymania mieszkania. W miastach przegranych czy przegrywających, w których dominują przestarzałe gałęzie przemysłu, bieda wynika z bezrobocia. W rzeczywistości przeważają miasta „w których w dużym stopniu równocześnie dokonuje się wzrost przy jednoczesnym podupadaniu branż, przedsiębiorstw, sąsiedztw i grup społecznych. Struktura biedy w tych miastach wynika z konsekwencji głębokiej restrukturyzacji lokalnego rynku pracy, który poprawia swoją produktywność i likwiduje nisko produktywnie miejsca pracy.” (Dangschat, 1994: 113)

Skala łódzkiej biedy

We współczesnej Polsce bieda cechuje głównie gospodarstwa domowe utrzymujące się ze źródeł niezarobkowych, innych niż renta i emerytura, rodziny osób bezrobotnych oraz rodziny obciążone większą liczbą dzieci. Oszacowanie skali biedy dla poszcze-

gólnych miast nie jest jednak zadaniem łatwym. W analizach statystycznych nie oblicza się wskaźników ubóstwa dla mniejszych jednostek administracyjnych: gmin, powiatów i wydzielonych miast. O skali biedy w poszczególnych miastach możemy więc wnioskować wykorzystując dane, które pośrednio określają zasięg i charakter procesów pauperyzacji, informacje dotyczące poziomu zatrudnienia, bezrobocia oraz osób korzystających z pomocy społecznej.

W kontekście tych danych, ale także wyników badań socjologicznych, dawne określenie „łódzka bieda” nie straciło raczej na aktualności. Część mieszkańców miasta, podobnie jak mieszkańcy innych regionów Polski, zubożała w dekadzie lat dziewięćdziesiątych. Z tego punktu widzenia w porównaniu do sytuacji w całym kraju, Łódź się raczej nie wyróżnia. Łódzką biedę wyróżnia natomiast bardzo dokładne jej zdiagnozowanie. Od ponad dziesięciu lat pracownicy Katedry Socjologii Ogólnej UŁ, zespół znany w Polsce jako Łódzka Szkoła Badań nad Biedą i Pomocą Społeczną, prowadzą badania o charakterze ilościowym i jakościowym nad łódzką biedą i łódzkimi biednymi, odkrywając zjawiska, które stanowią dzisiaj trwały wkład do wiedzy o wielkomiejskim ubóstwie.

Zjawisko łódzkiego ubóstwa ma podstawowe cechy biedy polskiej. Jest zjawiskiem raczej masowym, związanym głównie z bezrobociem strukturalnym i niskimi dochodami z pracy. Jednakże w porównaniu do największych polskich miast, sytuacja w Łodzi jest bardziej skomplikowana. Charakterystyczna dla wcześniejszego etapu życia miasta monokultura przemysłowa i dominacja przemysłu włókienniczego, który w porównaniu do innych dziedzin gospodarki zawsze oferował gorsze warunki płacowe, przyczyniła się do tego, że w Łodzi w porównaniu do innych zurbanizowanych terenów negatywne skutki współczesnych procesów transformacyjnych, restrukturyzacyjnych i modernizacyjnych odcisnęły się zdecydowanie silniej. W mieście nadal utrzymuje się „recesyjna, sfeminizowana i przestarzała struktura społeczna” (Miszalska 1996:28). Trzy zjawiska



są z tego punktu widzenia znaczące: wysoka stopa bezrobocia, niekorzystna struktura mieszkańców według płci i demograficzna depresja, wyrażająca się wzrastającym udziałem najstarszych roczników.

Region łódzki należy do obszarów, w których powstała bardzo trudna sytuacja na rynku pracy. Od początku lat 90' liczba pracujących łódzian malała, a bezrobotnych rosła. Tylko na przestrzeni lat 2000–2002 – liczba zatrudnionych w sektorze przedsiębiorstw spadła z blisko 123 tysięcy do 111 tysięcy. W Łodzi utrzymała się długo wysoka stopa bezrobocia, a udział bezrobotnych wśród ogółu mieszkańców w wieku aktywności zawodowej był jeszcze w 2003 r. wyższy niż średnio w Polsce i w porównaniu do pozostałych największych pięciu miast. Na koniec 2002 r. w łódzkich biurach pracy zarejestrowanych było blisko 70 tysięcy bezrobotnych i ponad 32 tysiące długotrwale bezrobotnych. Stopa bezrobocia rejestrowanego wynosiła wówczas 18,8% (w pierwszym półroczu 2003 r. wzrosła do 19,2%), była wyższa niż w całym kraju (18%), trzykrotnie wyższa niż w Warszawie (6,2%) i w Poznaniu (6,9%), dwukrotnie wyższa niż w Krakowie, wyższa także niż we Wrocławiu (12,3%). Wskaźnik bezrobocia długotrwalego sięgał wówczas blisko 55% ogółu bezrobotnych, podczas gdy w porównywanych czterech dużych miastach wahał się od 41% do 48%. Łódzcy bezrobotni byli także gorzej zabezpieczeni – najniższy ich odsetek (10,8%) korzystał z zasiłku z tytułu utraty pracy (w pozostałych miastach – od 11,8% do 15,6%). Łódzianie osiągalni niższe przeciętne dochody z pracy, co rzutowało pośrednio na wysokość świadczeń emerytalnych. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw w pierwszym półroczu 2003 r. wyniosło w Łodzi 1999,2 zł, a w Warszawie blisko 3163 zł, w Poznaniu 2498, we Wrocławiu 2195 zł, i w Krakowie 2184 zł. Koszty utrzymania w Łodzi nie są niższe w porównaniu do pozostałych wielkich miast. Ceny wielu podstawowych produktów są porównywalne, a nawet wyższe (np. masło, cukier, opłata za pobyt dziecka w przedszkolu, wizyta u lekarza specjalisty), choć są też produkty tańsze (herbata, ziemniaki, mleko) (*Miasta wojewódzkie...* 2003:3942).

Rok 2004 przyniósł natomiast zauważalną poprawę. Według danych z sierpnia tego roku stopa bezrobocia w Łodzi spadła do 18,3 % i była już znacznie niższa od aktualnej średniej krajowej (19,6%).

Mniej małżeństw, więcej rozwodów

Także dwie inne społeczno-ekonomiczne cechy łódzian wskazują na mniej korzystną sytuację mieszkańców miasta. Łódź jest miastem starzejącym się. Systematycznie zmniejsza się tutaj udział dzieci i młodzieży, a wzrasta odsetek osób w najstarszych rocznikach. W latach 1995–2001 udział ludności w wieku przedprodukcyjnym (0–17lat) zmniejszył się wśród łódzian z 23,1% do 15,8%, a odsetek ludności w wieku poprodukcyjnych (65 lat i więcej) wzrósł z 15,2% do 19,2%). Obok Warszawy, Łódź ma najmniej korzystny wskaźnik obciążenia demograficznego, tzn. na 100 osób

w wieku produkcyjnym przypada relatywnie najwięcej osób w wieku nieprodukcyjnym. Od dawna też cechą Łodzi jest przewaga kobiet w strukturze mieszkańców. W 2002 r. stanowiły one 54,3% ogółu mieszkańców, a na stu mężczyzn przypadało 119 kobiet. Z punktu widzenia zabezpieczenia materialnych podstaw egzystencji nie bez znaczenia są także dane o trwałości związków małżeńskich. W rodzinach pełnych gospodaruje się łatwiej niż w rodzinach rozbitych i w gospodarstwach jednoosobowych. Łódź ma także najniższy wskaźnik małżeństw i najwyższy wskaźnik rozwodów. W 2001 r. na 100 zawartych małżeństw odnotowano w Łodzi 55,1 łącznie rozwodów i separacji, podczas gdy w Warszawie – 45,7, w Poznaniu – 42,7, we Wrocławiu – 41,4, a w Krakowie 33,2. Natomiast wskaźnik małżeństw na 1000 mieszkańców w wieku co najmniej 15 lat wynosił w Łodzi 5,2, w Warszawie – 5,4, w Poznaniu – 5,7, we Wrocławiu – 5,3, w Krakowie 5,9) (*Miasta wojewódzkie... 2002*:12, 15).

Wskaźniki statystyczne, w szczególności dotyczące łódzkiego rynku pracy i bezrobocia, pozwalają sądzić, że udział biednych w mieście jest porównywany do sytuacji w Polsce. Świadczą o tym dane o liczbie osób korzystających z pomocy społecznej, bowiem z perspektywy instytucji pomocy społecznej obraz łódzkiej biedy wydaje się bardziej optymistyczny. Najwięcej osób zarejestrowanych w łódzkich kartotekach pomocy społecznej było w pierwszej połowie lat 90' a w kolejnych latach zaznaczyła się wyraźna tendencja spadkowa. Dane Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej wskazują, że jeszcze w 1996 r. gospodarstwa domowe uzależnione od pomocy społecznej liczyły łącznie ponad 135 tys. domowników, co stanowiło 16,5% ogółu łódzian, w 1999r. liczba ta spadła do 85 tys., tzn. 10,7% ogółu mieszkańców, aby w pierwszym półroczu 2003 r. zmaleć do niecałych 50 tysięcy, co stanowiło tylko 7,4% ogółu łódzian. Liczba klientów łódzkiej pomocy społecznej zrelatywizowana do liczby mieszkańców (wskaźnik na 1000 ludności) wynosi obecnie 32 i jest najniższa w porównaniu do największych pięciu polskich miast (52–58) (*Miasta wojewódzkie... 2003*:24). Należy jednak podkreślić, że liczba korzystających z pomocy społecznej jest tylko w części pochodną złej sytuacji materialnej mieszkańców regionu, determinuje ją także ilość publicznych środków przeznaczanych na wspieranie biednych. Decyzje w tym zakresie odzwierciedlają kierunki lokalnej polityki społecznej oraz możliwości finansowe regionu.

Na podkreślenie natomiast zasługuje fakt, że w 2003 r. w porównaniu do 2000 r. średnie miesięczne dochody z pracy znacząco w Łodzi wzrosły – o ponad 10%. Jeśli więc tendencja ta się utrzyma, niebezpieczeństwo postępującej pauperyzacji mieszkańców zostanie odsunięte.

Enklawy biedy

Dane statystyczne są niewątpliwie poważnym problemem dla władz miasta. Obraz łódzkiej biedy jest jeszcze bardziej czytelny, gdy uzupełnimy go o wyniki badań

jakościowych, które nie mają wprawdzie waloru reprezentatywności, ale najlepiej ujawniają oblicza miejskiego ubóstwa. Bo choć łódzka bieda nie odbiega w swoich charakterystykach od współczesnego polskiego ubóstwa, to jednocześnie:

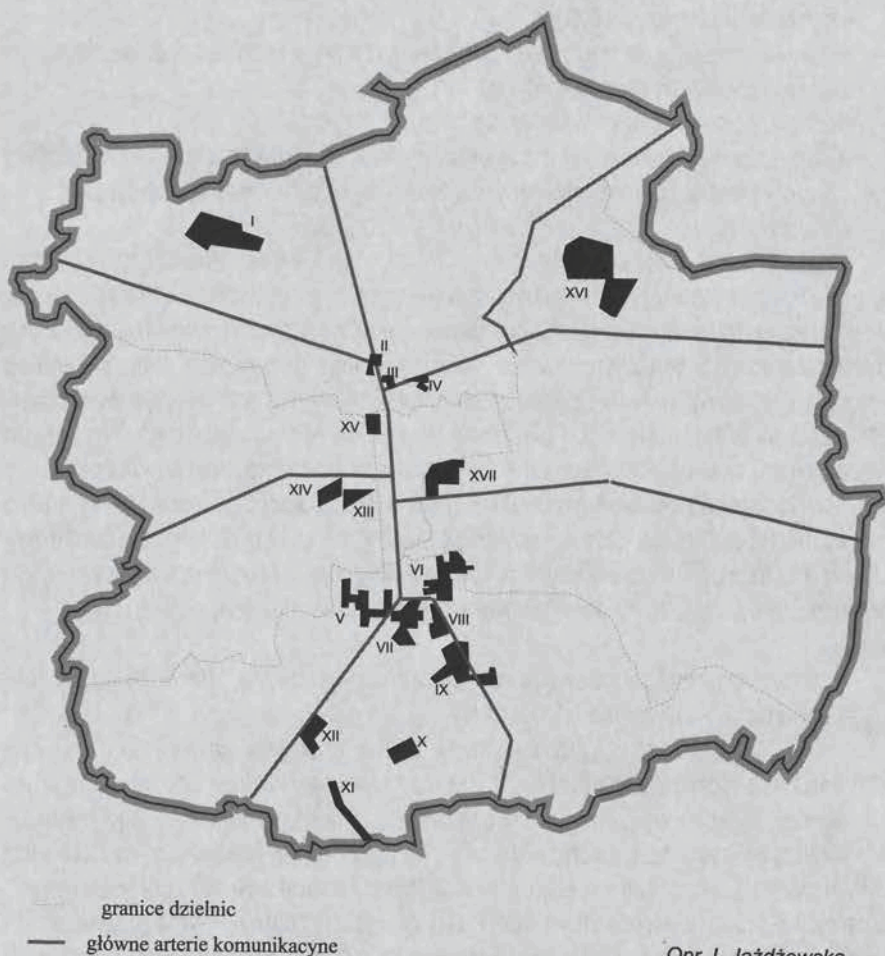
- ma miejsce zjawisko gettyzacji miejskiej przestrzeni (biedni skupiają się w wydzielonych fragmentach miasta);
- obserwuje się proces tzw. juvenilizacji tej przestrzeni (ubożeją częściej dzieci niż osoby w starszych rocznikach);
- obserwuje się proces utrwalania się biedy;
- w mniejszym zakresie ma miejsce proces „demokratyzowania” się biedy (ubożeją często mieszkańcy legitymujący się dość wysokimi kwalifikacjami i aktywni zawodowo).

Socjologiczne badania nad rozmieszczeniem ubogich łódzian w przestrzeni miasta ujawniły zaawansowany proces jej gettyzacji. W latach 90' XX wieku zidentyfikowano w Łodzi siedemnaście enklaw biedy. To obszary, w których odsetek biednych mieszkańców definiowanych jako członkowie rodzin klientów pomocy społecznej przekracza co najmniej dwukrotnie ich udział w całym mieście. Miejsca koncentracji biednych określone jako enklawy biedy stanowiły z reguły co najmniej dwa sąsiadujące ze sobą mocno lub bardzo mocno spauperyzowane kwartały ulic³. Niektóre skupiska biednych wystąpiły w takiej bliskości z pozostałymi, że można nawet mówić o strefach dużej koncentracji biednych, np. w północnej części Górnej. Ujawnione łódzkie enklawy biedy, których dokładny wykaz i rozmieszczenie przedstawia niżej zamieszczona mapa, obejmowały dwa rodzaje miejskiej przestrzeni:

1. Pierwszy to tereny zabudowane kamienicami czynszowymi, zlokalizowane w centrum miasta – ujawniono ich 12 na 17.

Są to obszary wypełnione budynkami czynszowymi o bardzo niskim standardzie, z których znaczna część pochodzi z przełomu wieków i dotąd nie zmieniła zasadniczo swojego wyglądu. To enklawy ubóstwa na obszarach wąskiego centrum. Ich lokalizację wyznaczały następujące ulice: na wschodzie Sienkiewicza, na Zachodzie – Wólczańska, na południu tereny wokół Placu Niepodległości (północna część Dzielnicy Górna), a na północy rejon Placu Wolności, ciągnący się z przerwami do Rynku Bałuckiego i do okolic Dworca Północnego. Wiele budynków w tych skupiskach łódzkich biednych nie była remontowana od lat. W tych fragmentach miasta ukształtował się tradycyjny model, zgodnie z którym frontony kamienic zajmują mieszkania bogatszych lokatorów, a oficyny i substandardowe budynki tworzące tylne części śródmiejskich działek – lokale najbiedniejszych łódzian. Zaniedbanie przestrzeni współwystępuje tutaj z niskimi kwalifikacjami, bezrobociem i niskimi dochodami mieszkańców. Są takie budynki, w których wskutek braku remontów degradacja techniczna jest daleko zaawansowana, gdyż całą populację lokatorów stanowią ubodzy klienci pomocy społecznej.

Enklawy biedy w przestrzeni Łodzi w 1996 r.*



* Enklawy nazwano nawiązując do: 1. historycznych i geograficznych odniesień: „Borowiec-Piaskowiec” (I), „Ślązaki” (VI), „Stary Piastów” (VII), „Przy Stawach Stefańskiego” (XI), „Stare Moskule” (XVII), 2. do znaczących elementów układu urbanistycznego miasta: „Wokół Rynku Bałuckiego” (II), „Wokół Placu Kościelnego” (III), „Na zapleczu Orła” (XIV), „Przy Dworcu Północnym” (IV), oraz do 3. głównej ulicy/c obszaru: „Felsztynka” (V), „Bednarska” (VIII), „Trębacka-Szenwalda” (IX), „Ustronna” (X), „Gombrowicza” (XII), „Skłodowskiej” (XIII), „Ogrodowa” (XV) i „Wysoka” (XVII).

2. Drugi typ to obszary typowe dla przedmieścia dużego miasta. Takich enklaw ujawniono mniej – 5 na 17.

Są to tereny, których wcześniej nie naruszyła „socjalistyczna modernizacja mieszkaniowa”, polegająca na wyburzaniu starej podmiejskiej zabudowy pod budownictwo blokowe, a obecnie – nie są przedmiotem zainteresowania prywatnych inwestorów. Miejsca te wypełniają małe podmiejskie domki o bardzo niskim standardzie technicznym, zamieszkane przez biednych łodzian, którzy utracili pracę w wielkich zakładach przemysłowych miasta. Ich sytuację ratuje możliwość uprawiania niewielkich działek i przydomowych ogródków. Ci podmiejscy biedni są więc mniej zagrożeni niedożywieniem i bardziej przypominają ubogich mieszkańców wsi.

W łódzkich enklawach biedy żył w latach 90' XX wieku co dwudziesty łodzianin i częściej niż co szósty łódzki biedny. Odsetek mieszkańców i odsetek biednych żyjących w enklawach biedy był zróżnicowany w poszczególnych dzielnicach, bo liczba enklaw biedy była w nich różna. W bardzo biednym sąsiedztwie żył co siódmy mieszkaniec Górnej, co dwudziesty mieszkaniec Śródmieścia i Widzewa, co pięćdziesiąty mieszkaniec Bałut i co siedemdziesiąty mieszkaniec Polesia⁴. Przeciętna łódzka enklawa biedy liczyła ponad 2500 mieszkańców, do najbardziej zaludnionych należały „Ślązaki” w dzielnicy Górna (ponad 10 tys. osób), „Wysoka”, „Bednarska” i „Ogrodowa” (4 – 5 tys.), a najmniejszymi pod względem liczby mieszkańców były enklawy ulokowane na peryferiach miasta.



pierwsze kolumny

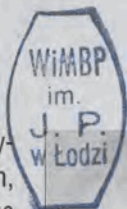
Charakterystyczną cechą obszarów dużej i bardzo dużej koncentracji biednych był znacznie wyższy udział biednych dzieci i młodzieży wśród ogółu mieszkającej tam ludności w wieku przedprodukcyjnym w porównaniu do analogicznych wskaźników dla dorosłych mieszkańców. Średnio częściej niż co drugi mieszkaniec enklawy w wieku do lat osiemnastu (53,4%) i tylko co trzecia dorosła osoba (31,1%) żył w gospodarstwie domowym wspieranym przez pomoc społeczną. W niektórych skupiskach biedoty udział biednych dzieci wśród ogółu mieszkających tam dzieci dwukrotnie („Felsztynka”, „Trębacka-Szenwalda”), a nawet trzykrotnie („Stawy Stefańskiego”) przewyższał analogiczny wskaźnik dla dorosłych.

Liczyby są ważne, ale istotniejsze są społeczne skutki przestrzennej koncentracji i segregacji biednych. Zamieszkiwanie w spauperyzowanym otoczeniu sprzyja izolacji społecznej, która prowadzi do wykształcenia się wśród biednej ludności specyficznego stylu życia i strategii życiowych. Mała aktywność zawodowa dorosłych mieszkańców skupisk biedoty ogranicza ich sieć kontaktów społecznych i przestrzenną ruchliwość, a nasilenie towarzyszących biedzie zachowań patologicznych, sprzyja „zamykaniu” przestrzeni od zewnątrz. W tych miejscach powstaje zatem realne zagrożenie dla wytwarzania się w mieście szczególnych biednych sąsiedztw, cechujących się zachowaniami patologicznymi oraz biedą utrwaloną, czyli skupisk biedoty, które w literaturze przedmiotu określane są mianem *underclass*.

Bieda trwała i bieda przelotna

Koncentracja biednych w mieście jest wynikiem żywiołowych procesów przemieszczania się mieszkańców w jego obszarze, oraz konsekwencji wadliwych poczynań władz miasta. Przed 1990 rokiem enklawy biedy przyciągały jednostki patologiczne z innych rejonów miasta. Jednocześnie miejsca te opuścili „wygrani”, którzy w nowych ekonomicznych realiach odnieśli sukces. Do enklaw, do swoich rodzin pochodzenia wracają często ludzie młodzi, którzy – wskutek bezrobocia i wysokich czynszów – nie są w stanie utrzymać mieszkań w blokach. W enklawach biedy, w kamienicach o niskim standardzie technicznym, tworzone od lat mieszkania socjalne, do których wprowadzono najbiedniejszych pozbawionych dachu nad głową, osoby eksmitowane z lokali i powracający z więzienia. W ten sposób pogłębiła się dekapitalizacja i społeczna degradacja tych miejsc.

Tworzenie się skupisk biedoty na określonej przestrzeni sprzyja upowszechnianiu wzorów biednego życia, których składowym elementem jest korzystanie z zasiłków z publicznych instytucji wsparcia: rządowych i pozarządowych. Moje badania nad rodzinami łódzkich klientów pomocy społecznej wskazują, że dużą ich część stanowią długotrwale zależni od pomocy społecznej – chronicznie i permanentnie biedni. Blisko połowa populacji korzysta z zasiłku dłużej niż 3 lata. Krótkotrwale biednych, dla których sytuacja materialnego niedostatku jest epizodem w życiu, nie trwającym dłużej niż pół roku, jest mniej. To tylko co dziesiąta rodzina wspierana przez pomoc społeczną.



Bieda przelotna przytrafia się na ogół ludziom pracującym, posiadającym stałe dochody związane z obecną lub wcześniejszą aktywnością zawodową. Jest to bieda ludzi legitymujących się nierzadko wykształceniem średnim, lub wyższym, którzy w którymś momencie życia weszli w „życiowy zakręt”. Ich kłopoty oznaczają spadek dochodów, przez krótki czas przestają być finansowo samodzielni, brakuje im pieniędzy na bieżące wydatki. Traumą skutkującą krótkotrwałym brakiem pieniędzy na realizację podstawowych wydatków, związanych głównie z utrzymaniem mieszkania lub leczeniem, są śmierć współmałżonka, choroba domownika lub wypadek, które powodują zachwianie dotąd stabilnego życia. Bieda incydentalna jest doświadczana przez ludzi „zaradnych”, którzy uruchamiają posiadane oszczędności i zasoby rodzinne, ale przede wszystkim mobilizują się w działaniu.



Bieda najbardziej utrwala jest często ubóstwem dziedzicznym. Rodzice, ich dorosłe dzieci, a nawet dorosłe wnuki, w jakimś momencie swojej biografii żyli lub przez cały czas żyją w niedostatku i korzystali lub aktualnie korzystają ze wsparcia z pomocy społecznej. Do trwale biednych należą osoby zaniedbane wychowawczo od dzieciństwa, wzrastające w środowiskach spatologizowanych i biednych. Ludzie ci żyją w rozbitych i niestałych związkach, często zmieniają partnerów, cechuje ich samotne rodzicielstwo – powstałe wskutek rozpadu rodziny – lub konkubinat oraz wielodzietność. Bieda i różne formy dewiacji – rozbite rodziny, alkoholizm, zachowania przestępcze, przemoc – to doświadczenia występujące we wczesnych etapach biografii współczesnych trwale biednych. Edukacja permanentnie biednych z reguły kończyła się na poziomie szkoły podstawowej, więc reprezentują oni bardzo niski poziom kwalifikacji. Cechuje ich także negatywny stosunek do pracy, ale prawdą jest także, że nie ma dla nich dzisiaj zatrudnienia, gdyż z powodu braku wykształcenia i kwalifikacji zawodowych okazują się kategorią zbędną.

Poziom życia tej kategorii biednych jest bliski nędzy, bo w ich rodzinach nie starcza często na jedzenie i na ubranie. Cechuje ich „alternatywna

codziennosc" i „alternatywna racjonalność". Ich aktywnosc zyciowa ogranicza sie do zabezpieczenia najbardziej elementarnych potrzeb – zdobycia zywnosci i utrzymania mieszkania – ale w sposob nierazko odbiegajacy od powszechnie obowiazujacych w spolecznosci standardow. Najmlodsi czlonkowie tych rodzin wzrastaja w kulturze biedy i stan taki traktuja jako „normalne warunki" zycia. W celu zdobycia niezbednych srodkow na zabezpieczenie podstawowych potrzeb dzieci i dorośli penetruja okoliczne bazy i sklepy zebrzac o zywnosc i ubranie, decyduja sie takze na zachowania antyspoleczne przejawiajacy rozne formy przestepczosci. Zamieszkaja glownie lokale o bardzo niskim standardzie technicznym, w zdekapitalizowanych czynszowych kamienicach. Czesto nie placą komornego i nie dbaja o mieszkanie powodujac eksmisje z lokalu. Pieniadze z zasiłków z pomocy spolecznej – zwykle jedyny dochód rodziny – przeznaczaja na najbardziej elementarne potrzeby, do których permanentnie biedni zaliczaja zakup chleba, papierosów i nierazko alkoholu⁵.

Aktywnosc chroni przed biedą

Zróznicowanie spoleczne w wymiarze materialnych warunków zycia jest powszechne, ale obecność biednych nie budzi wiekszego niepokoju, dopóki rozmiary ubóstwa nie zwiekszaja sie i nie przekroczą pewnego zasięgu, który staje sie zagrozeniem dla spolecznego i ekonomicznego rozwoju zbiorowosci. Gdy degradacja materialna, glownie brak pieniędzy, współwystępuje z pozaekonomiczną, i stan taki cechuje warunki zycia znaczących odłamów populacji, bieda staje sie kwestią spoleczną, która wymaga przeciwdziałania. Życie w biedzie to jedna z podstawowych blokad zaspakajania indywidualnych i zbiorowych potrzeb i jako takie stanowi wielki ekonomiczny, spoleczny i moralny problem.



Czynnikiem zasadniczo przeciwdziałającym biedzie i jej utrwalaniu się jest aktywność zawodowa, przede wszystkim praca. Warunkiem aktywności na rynku pracy są kwalifikacje zawodowe, które odpowiadają jego wymaganiom. Istotną jest także psychofizyczna kondycja biednego człowieka. Jednostki chroni przed biedą filozofia nie poddawania się – mimo przeciwności losu – strategii bezczynności, bezradności i myślenia w kategoriach fatalistycznych. Dlatego jednym z podstawowych kierunków działania na rzecz ograniczania biedy w mieście jest tworzenie nowych miejsc pracy oraz koncentracja uwagi na najmłodszych rocznikach biednych mieszkańców. Chodzi o tworzenie dla nich właściwych warunków rozwojowych dla rozwijania umiejętności zawodowych i kształtowania właściwych wzorów życia, aby dać im szansę na przerwanie zakłętą kręgu ubóstwa. W tym celu konieczne jest zarówno wspieranie biednych rodzin, jak i środowisk pozarodzinnych oddziaływać, szkolnych i środowiskowych.

Joanna Grotowska-Leder
– dr hab. socjologii, pracownik naukowy
Wydziału EkonomicznoSocjologicznego UŁ.

Bibliografia

- Dangschat S.J. (1994), *Concentration of Poverty in Landscapes of Boomtown Hamburg: The Creation of the New Urban Underclass?* Urban Studies, Vol.31, No.7.
- Grotowska-Leder J. (1998), *Łódzkie enklawy biedy*, [w:] W. Warzywoda-Kruszyńska (red.), *Życie i praca w enklawach biedy*. (Klimaty łódzkie), Łódź: Instytut Socjologii UŁ.
- Grotowska-Leder (2002), *Fenomen wielkomiejskiej biedy. Od epizodu do underclass*, Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego.
- Growth, *Employment and Living Standards in Pre-accession Poland* (2004), Warsaw: The World Bank.
- Miasta wojewódzkie. Podstawowe dane statystyczne* (2003), Warszawa: GUS.
- Miszalska A. (1996), *Reakcje społeczne na przemiany ustrojowe. Postawy, zachowania i samopoczucie Polaków w początkach lat dziewięćdziesiątych*, Łódź: Wydawnictwo UŁ.
- Warzywoda-Kruszyńska W. (red.), *(Życie) Na marginesie wielkiego miasta*, Łódź: Instytut Socjologii UŁ.

Przypisy:

1. Socjologiczne badania biedy obejmują trzy typy studiów. W analizach strukturalnych biedni są traktowani jako najniżej usytuowani w hierarchii społecznej element struktury społeczeństwa. Analizy kulturowe ujmują biednych jako zbiorowości osób, które w porównaniu do pozostałych członków społeczeństwa cechują się odmiennymi zachowaniami i systemem uznawanych wartości. Są to grupy bezdomnych,

uzależnionych, niepełnosprawnych, kategorie określane jako *out of mainstream*. Trzeci typ analiz w swojej tradycji jest zorientowany na politykę społeczną, bazuje na statystyce bezrobocia, statystyce klientów pomocy społecznej i statystyce dochodów, a zajmuje się biednymi jako klientami pomocy społecznej.

2. Szacuje się, że w warunkach absolutnej nędzy żyje ponad 20% ludności świata, że ubóstwo jest powszechne w transformujących się krajach środkowo i wschodnioeuropejskich, a w Unii Europejskiej, w jej dawnych i obecnych granicach, biedni stanowią około 15% ogółu mieszkańców.
3. W 1996 r. w granicach Łodzi wyodrębniono ogółem 804 kwartały ulic i dla każdego z nich obliczono stopę biedy, tzn. udział biednych definiowanych jako członkowie rodzin wspieranych przez pomoc społeczną wśród mieszkańców. Zgodnie z metodologią badań zachodnich przyjęto, że enklawa biedy jest przestrzeń o udziale ubogich na poziomie co najmniej 30%. Łódzkie kwartały ulic różniły się stopniem spauperyzowania:
 - ponad połowę (51% ogółu) stanowiły obszary nie-biedne (niespauperyzowane) – odsetek biednych mieszkańców był w nich niższy niż ówczesna stopa biedy w mieście; wśród nich 44 (5,5% ogółu) stanowiły kwartały zamożne, żaden mieszkający tam łodzianin nie był wspomagany przez pomoc społeczną;
 - ponad 1/3 kwartałów stanowiły obszary umiarkowanie spauperyzowane – cechowały się współczynnikiem pauperyzacji większym niż średnio w mieście, ale mniejszym niż 30%;
 - 68 kwartałów (8,4% ogółu) stanowiły obszary dużej koncentracji biednych, obszary mocno spauperyzowane (odsetek biednych na poziomie 30%-39,9%), a dalsze 29 kwartałów (3,7%) było spauperyzowanych w najwyższym stopniu (udział biednych wynosił więcej niż 40%), były to obszary bardzo dużej koncentracji biednych. Enklawami biedy nazwano sąsiadujące ze sobą co najmniej 2 kwartały ulic o udziale biednych na poziomie co najmniej 30%.
4. Najwięcej takich obszarów zidentyfikowano na Górzej – 8 i na Bałutach – 4, znacznie mniej na Śródmieściu – 1 oraz na Polesiu – 2 i na Widzewie – 2. Udział ludności zamieszkującej w mocno i bardzo mocno spauperyzowanych obszarach wahał się od 1,4% na Polesiu do aż 14% na Górzej. Udział biednych zamieszkujących w enklawach biedy w danej dzielnicy wynosił od 3,5% na Polesiu do 26,9% na Górzej.
5. Więcej na temat łódzkich enklaw biedy i różnicowania biednych ze względu na czas doświadczania biedy znajdzie czytelnik w następujących opracowaniach: Grotowska-Leder J. (1998), *Łódzkie enklawy biedy*, [w:] W. Warzywoda-Kruszyńska, *Życie i pracować w enklawach biedy*. (Klimaty łódzkie), Łódź: Instytut Socjologii UŁ; Warzywoda-Kruszyńska W. (red.), *(Życie) Na marginesie wielkiego miasta*, Łódź: Instytut Socjologii UŁ, Grotowska-Leder (2002), *Fenomen wielkomiejskiej biedy. Od epizodu do underclass*, Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego.

Archipelag pomocy

Potrzebujący liczą na MOPS

Program niesienia pomocy większemu lub mniejszemu kręgowi podopiecznych wymaga różnych form wsparcia wyspecjalizowanych służb komunalnych. Program taki towarzyszy działalności socjalnej każdej gminy. Ale ogólnie trudna sytuacja Łodzi – gdzie narastające od połowy lat 70' XX w. problemy bytowe dużej grupy mieszkańców pogłębiła dodatkowo fala bezrobocia strukturalnego w ostatniej dekadzie ubiegłego stulecia – spowodowała, że służby te obciążane były z roku na rok rosnącymi i coraz bardziej zróżnicowanymi zadaniami. Dzisiaj jest to potężne przedsięwzięcie organizacyjne, finansowe, logistyczne.

Temat niemedialny

Jednak o misji pomocowej samorządu niewiele się publicznie mówi. Dlatego poza sporadycznymi dziennikarskimi interwencjami w jakichś konkretnych przypadkach, samą działalnością problemową Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej media się na ogół nie interesują. Podobnie zresztą poza strefą zainteresowań prasy pozostaje również działalność wielu organizacji pozarządowych organizujących i świadczących pomoc potrzebującym. Jest więc u nas pod tym względem wciąż inaczej niż za granicą. Np. w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech media poświęcają bardzo wiele uwagi sprawom pomocy społecznej a osoby odpowiedzialne za organizację tej pomocy oraz za inicjatywy wspierające zbieranie funduszy na te cele, bywają kreowane na bohaterów lokalnych społeczności. U nas na porównywalną popularność wybiła się jedynie akcja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy ale to dzięki osobistym talentom medialnym jej inicjatora Jerzego Owsiaka niż indywidualnej intuicji samych dziennikarzy dostrzegających głównie potrzebę kreowania polityków.

Z podsumowania rozmiaru i zakresu misji pomocowej Łodzi jako metropolii mającej do czynienia z poważnym problemem ubóstwa, wyłania się najpełniej obraz roku 2003. Działalność pomocowa za rok 2004 nie została jeszcze sprawozdawczo dopracowana, chociaż wysiłek poniesiony przez służby pomocy dyrektor Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej **Paweł Osiborski** ocenia na podobnym jak przed rokiem poziomie.

W 2003 r. program pomocy Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej oraz współdziałających z nim kilkudziesięciu instytucji oraz organizacji pozarządowych objął około 90 tysięcy mieszkańców miasta. Oznacza to, że co ósmy łodzianin zetknął się z różnymi formami opiekuńczymi świadczonymi głównie przez

pierwsze kolumny

wyspecjalizowaną służbę komunalną uzupełnianą aktywnością różnych organizacji pozarządowych. Przez kasę miejską – zarówno z funduszy własnych gminy jak i ze środków budżetu centralnego, zobowiązanego do finansowania wydatków pomocowych – poszło na ten cel blisko 183 mln złotych. Dwie trzecie tej kwoty pochłonęła realizacja zadań własnych gminy, a tylko nieco ponad 61 mln złotych zadania zlecone gminie.

Zasiłki to jeszcze nie wszystko

Dla samego MOPS i jego dzielnicowych filii rok 2003 oznaczał konieczność udzielenia różnej pomocy 32.450 osobom. Głównie była to pomoc finansowa choć podopieczni mogli także liczyć na pomoc rzeczową oraz usługową.

Na zasiłki i pomoc w naturze – między innymi także na składki emerytalno-rentowe i zdrowotne wydano blisko 48 mln zł. Zasiłki celowe otrzymało ponad 13 tysięcy podopiecznych a poniesione wydatki były wyższe o ponad 4 procent od środków wypłaconych na zasiłki celowe w roku 2002. Średnia wartość wypłaconego świadczenia nie przekroczyła 60 zł.

W zakresie zadań zleconych gminie i finansowanych z budżetu państwa największe wydatki poszły na wypłatę zasiłków o charakterze stałym. To nie tylko zasiłki stałe i cyklicznie świadczone np. rodzinom wielodzietnym ale także zasiłki wyrównawcze i renty socjalne przyznawane osobom nie posiadającym uprawnień do świadczeń z ZUS-u. Otrzymało je w 2003 przeszło 9 tysięcy podopiecznych.

Ale od września 2003 r. petenci nie udają się już po renty socjalne do MOPS. Zmieniły się przepisy i teraz świadczenia te przyznaje i wypłaca Zakład Ubezpieczeń Społecznych ze swoich funduszy. To nieco ulżyło w pracy gminnej instytucji ale i tak rok ten zamknął się dla MOPS wydaniem blisko 119 tysięcy decyzji administracyjnych dotyczących różnego rodzaju świadczeń.

Wspieranie rodzin zastępczych

Najczęstszym powodem przyznania pomocy było ubóstwo (26.752 rodziny) potem bezrobocie (16.321 rodzin) oraz długotrwała choroba (12.249 osób).

Z budżetu własnego łódzkiej gminy znaczna część środków wydatkowano na realizację usług opiekuńczych. Przeznaczono na ten cel 11,5 mln zł, obejmując pomocą prawie 4,5 tysiąca podopiecznych. Wśród zadań własnych łódzkiego samorządu najistotniejszą pozycją w wydatkach stanowiły świadczenia dla rodzin zastępczych. W 2003 r. pomocą ta objęto 1.174 rodziny, w których przebywało 1.505 dzieci. Częściowe tylko pokrycie kosztów utrzymania dzieci w rodzinach oraz inne wydatki związane z potrzebami dziecka przyjmowanego do rodziny zastępczej wyniosły ponad 10,5 mln zł. Pieniądze te były wypłacane zarówno rodzinom spokrewnionym z dzieckiem jak i niespokrewnionym, w tym także rodzinom pełniącym tylko zadania pogotowia rodzinnego.

Wychowankowie opuszczający rodziny zastępcze, placówki opiekuńczo-wychowawcze, specjalne ośrodki szkolno – wychowawcze oraz zakłady poprawcze mają prawo do jednorazowej pomocy pieniężnej na usamodzielnienie się. W 2003 r. skorzystało z tego 216 wychowanków a miasto wydało na tę formę pomocy przeszło milion złotych. Wychowankom, którzy kontynuowali naukę, wypłacano ponadto comiesięczne świadczenia pieniężne. W 2003 r. wypłacono z kasy MOPS objętym tą pomocą 868 uczniom i studentom 4 mln zł. Warto też dodać, że blisko dwustu wychowanków rodzin zastępczych i placówek wychowawczych otrzymało oprócz pieniędzy także pomoc rzeczową na zagospodarowanie. Były to najczęściej meble i wyposażenie mieszkań a ich wartość przekroczyła 200 tys. zł.

Łączenie pomysłów i wysiłków

Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej współpracuje z wieloma organizacjami pozarządowymi w realizowaniu programu pomocowego. Są to fundacje i stowarzyszenia charytatywne, wyspecjalizowane w niesieniu pomocy organizacje społeczne i instytucje, Kościół Katolicki oraz inne kościoły i związki wyznaniowe a także fundacje.

Rodzaje tej współpracy są wielorakie. Dotyczą np. prowadzenia ośrodków adopcyjno-opiekuńczych, placówek opiekuńczo-wychowawczych, ośrodków wsparcia, środowiskowych domów samopomocy, udzielania schronienia bezdomnym, prowadzenia domów pomocy społecznej, ośrodków aktywizacji zawodowej itp.

W 2003 r. MOPS powierzył zadania związane z przygotowywaniem do adopcji trzem instytucjom. Były to: Centrum Służby Rodzinie prowadzące Archidiecezjalny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy, Towarzystwo Rozwijania Aktywności dzieci „Szansa” – w ramach którego działa Ośrodek Rodzin Zastępczych oraz Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Instytucje te specjalizują się w działalności diagnostyczno-konsultacyjnej dla osób zgłaszających gotowość prowadzenia rodzinnej opieki zastępczej oraz szkolenia i wspierania psychologiczno – pedagogicznego tych rodziców naturalnych, których dzieci umieszczono w rodzinach zastępczych i w domach dziecka.

W tym samym roku MOPS powierzył różnym organizacjom prowadzenie 48 placówek wsparcia dziennego dla dzieci i młodzieży. W Łodzi świetlice środowiskowe, terapeutyczne i integracyjne prowadzą m.in. Caritas Archidiecezji Łódzkiej, TPD, Polska Akcja Humanitarna, Pracownia Alternatywnego Wychowania, Zgromadzenie Sióstr Urszulanek. Z placówek tych korzystają dzieci ze środowisk zagrożonych patologią społeczną, z rodzin ubogich lub dotkniętych chorobą psychiczną a także dzieci niesłyszące i upośledzone umysłowo. Z takiej opieki skorzystało w ciągu roku ponad 3 tys. dzieci.

MOPS współpracuje z Caritas Archidiecezji Łódzkiej także na innym polu. Dom Dziennego Pobytu wraz z Kuchnią Społeczną i Punktem Pomocy Charytatywnej – placówki firmowane przez Caritas – na zlecenie MOPS zapewniły pomoc

osobom starszym, samotnym, obłożnie chorym a także bezdomnym, niezaradnym życiowo i skrajnie ubogim. W placówkach tych ponad 700 podopiecznych otrzymało posiłki i inne świadczenia.

Wyspecjalizowana Fundacja Pomocy Osobom Uzależnionym „Uwolnienie” wyręcza MOPS w trudnym zadaniu wspierania osób zagrożonych uzależnieniem od alkoholu. Podopieczni pomocy społecznej kierowani przez pracowników socjalnych rozpoczynali terapię i uczestniczyli w zajęciach uświadamiających problem alkoholowy. Podopieczni uzależnieni poddawani byli także leczeniu odwykowemu.

Warto dodać, że inny program realizowany przez tę fundację i ukierunkowany na bezrobotnych klientów pomocy społecznej zagrożonych uzależnieniem pomógł kilkuset osobom bardziej aktywnie znaleźć się na rynku pracy. Osoby te nabywały umiejętność negocjowania z pracodawcami, kończyły kursy zawodowe, przyswajały niezbędne zagadnienia prawne itp. MOPS zlecił także Fundacji „Arka”, Fundacji Pomocy Osobom Uzależnionym „Uwolnienie” oraz Stowarzyszeniu Bezrobotnych Osób działania na Rzecz Bezrobotnych „Wszyscy Razem – In Corpore” prowadzenie akcji aktywizacji zawodowej. W ramach tego zadania organizacje pozarządowe przeprowadziły program pomocy dla długotrwale bezrobotnych, oraz warsztaty aktywizujące dla osób uzależnionych.

Wolontariat i schroniska Św. Alberta

Regionalne Centrum Wolontariatu organizowało na zlecenie MOPS pracę wolontariuszy w placówkach pomocy społecznej i organizacji pozarządowych zajmujących się pomocą osobom niepełnosprawnym, starszym, dzieciom i młodzieży z rodzin dysfunkcyjnych. Organizacja ta prowadzi od lat rekrutację i szkolenie wolontariuszy, koordynuje ich pracę i zarządza bazą danych zarówno wolontariuszy jak i instytucji i organizacji zajmujących się pomocą osobom potrzebującym. W RCW zarejestrowanych jest ponad 850 wolontariuszy. Większość z nich systematycznie współpracuje z ponad siedemdziesięcioma organizacjami i instytucjami działającymi na polu pomocy społecznej.

MOPS wspiera dziś i koordynuje działalność pomocową kilkuset różnych organizacji i placówek. Są wśród nich Środowiskowe Domy Samopomocy, schroniska dla bezdomnych, niepubliczne domy pomocy społecznej. W zakresie zapewnienia schronienia bezdomnym funkcje te pełni Towarzystwo Pomocy im. Św. Brata Alberta, które na podstawie umowy z MOPS prowadzi trzy schroniska dla bezdomnych oraz noclegownię. W placówkach tych potrzebujący mogą liczyć nie tylko na dach nad głową i całodienne wyżywienie ale także na szerokie poradnictwo prawne i socjalne, pomoc w załatwianiu spraw urzędowych, opiekę medyczną i pomoc psychoterapeutyczną. Ma to na celu podniesienie świadomości podopiecznych, ich uaktywnienie i tworzenie warunków do wyjścia z bezdomności. W schronisku przy ul. Szczytowej bezdomni mają do dyspozycji Klub Aktywizacji Zawodowej, Klub Fotograficzny, grupy wsparcia oraz zespoły inicjatywy kulturalnej: muzyczny i teatralny.

Pomoc niepełnosprawnym

Trudną pomocą niepełnosprawnym w miejscu ich zamieszkania zajmują się: Polski Komitet Pomocy Społecznej, Polski Czerwony Krzyż, Agencja „Serce”, Agencja „Pomoc-na Dłoń”, Zbór Kościoła Chrześcijan Baptystów, prowadzący Stację Opieki „BETEL” oraz Caritas Zakonu Bonifratrów. Wolontariusze z tych organizacji pomagają inwalidom w prowadzeniu ich gospodarstw domowych, przygotowują posiłki, robią zakupy, sprzątają mieszkania, itp.

Warto też wspomnieć o zrealizowanym już projekcie „Domu Międzypokoleniowego,” który powstał w ramach programu „Porozumienie i pojednanie z miastami partnerskimi w środkowej i wschodniej Europie” i dzięki współpracy Łodzi ze Stuttgartem. Celem projektu jest integracja międzypokoleniowa wychowanków domu dziecka i pensjonariuszy domu dziennego pobytu.

Sprawdziła się także inna inicjatywa MOPS, którą było uruchomienie tzw. „Bezdomnego autobusu”. Inauguracja jego trasy nastąpiła w Wigilię 2003 r. a organizatorem stało się Towarzystwo Pomocy im. Św. Alberta przy współpracy z Wydziałem Zarządzania Kryzysowego UMŁ. W autobusie tym, który w mroźne dni ma kursować nocą łódzkimi ulicami, bezdomni mają możliwość ogrzania się, zjedzenia posiłku, opatrzenia urazów i odmrożeń. Podczas ubiegłorocznych mrozów autobus zabierał nocą wszystkich bezdomnych potrzebujących pomocy, osoby w złym stanie zdrowia, wymagające interwencji lekarskiej.

Inicjatywa przyniosła wymierne efekty: zabezpieczono podstawowe potrzeby bytowe tych bezdomnych, którzy z różnych względów nie mogli znaleźć się w noclegowniach. Przy okazji zwiększono też bezpieczeństwo mieszkańców poprzez zgromadzenie w jednym miejscu i o określonej porze znacznej grupy osób asocjalnych. Umożliwiło to zbadanie ich stanu zdrowia i stworzenie im motywacji na przyszłość do korzystania z placówek świadczących wieloraką pomoc bezdomnym. To zwiększyło szanse na zapewnienie lepszych warunków sanitarnych w mieście i zapobieżenie rozprzestrzenianiu się chorób.

Choć zinstytucjonalizowana pomoc społeczną, która organizuje MOPS opiera się na po części na sformalizowanych procedurach związanych z wydawaniem indywidualnych decyzji, to przecież trudno mówić że działalność ta tonie w rutynie. Popadaniu w rutynę przeciwdziałają zarówno zmieniające się stale formy pracy MOPS jak i konieczność współdziałania z wieloma specjalistycznymi i charytatywnymi placówkami i organizacjami bez których program pomocy byłby uboższy i dalece niezadowalający. Poddawaniu się rutynie nie służą także bardzo częste zmiany przepisów. Zmieniały się one praktycznie co roku a najnowsze nowelizacje z roku 2004r. przekształciły dość radykalnie strukturę organizacji miejskiej pomocy. Jest to już jednak temat na inną publikację.

(Korzystałem z raportu MOPS za 2003.)

Gustaw Romanowski.

pierwsze kolumny

Ze znakiem krzyża

Słuszny cel szlachetnej idei

Niewiele jest organizacji równie znanych i zasłużonych jak Polski Czerwony Krzyż, PCK. Jego samarytańskie działania budzą powszechną sympatię. Chociaż pomaga innym, dzisiaj sam potrzebuje wsparcia. Niejeden raz pokonywał trudności, wiele wskazuje, że pokona je i teraz.

Takie były początki...

Ruch czerwonokrzyżski narodził się z idei niesienia pomocy ofiarom wojen. Inicjatorem powołania międzynarodowej organizacji humanitarnej był Henri Dunant, szwajcarski filantrop i pacyfista, pierwszy laureat pokojowej nagrody Nobla. Dzięki jego staraniom w 1864 r. w Genewie spotkali się przedstawiciele 12 państw i przyjęli konwencję zapewniającą opiekę rannym na wojnie żołnierzom i personelowi sanitarnemu walczących stron. Ustalono, że symbolem tej ochrony będzie czerwony krzyż na białym polu. Zwrócono się też z apelem do rządów o tworzenie narodowych stowarzyszeń Czerwonego Krzyża. W Polsce stało się to możliwe dopiero po latach zaborów i odzyskaniu niepodległości. W 1919 r. powstało Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża, które w 1927 r. przyjęło nazwę: Polski Czerwony Krzyż. W 1939 r. skupiał on 850 tys. osób, prowadził 1300 placówek ochrony zdrowia i opieki społecznej. W 24 oddziałach PCK okręgu łódzkiego było wtedy 26 tys. członków dorosłych i ponad 60 tys. uczniów zorganizowanych w 959 kołach szkolnych. Okręgi PCK obejmowały obszary pokrywające się z Okręgami Wojska Polskiego. Związek z wojskiem był ścisły – w każdym biurze okręgowym PCK rezydował oficer, delegowany przez Ministra Spraw Wewnętrznych. Rangę zarządów okręgowych PCK podnosił udział w ich składzie wojewody, dowódcy garnizonu Wojska Polskiego, prezydentów miast wojewódzkich. Na czas wojny nadzór nad PCK powierzano Naczelnemu Dowódcy WP.

Lata okupacji

W latach okupacji województwo łódzkie przedzieliła prowizoryczna granica – południowe i wschodnie jego obszary znalazły się w tzw. Generalnej Guberni, pozostałe przyłączono do III Rzeszy. Do chwili ostatecznego zamknięcia tej granicy działał jeszcze w okupowanej Łodzi Polski Czerwony Krzyż. Zaangażował się wówczas w jego pracę i prowadził komórkę poszukiwania rodzin Raul Nałęcz-Małachowski, syn dowódcy przedwojennego garnizonu Wojska Polskiego w Łodzi.

Po włączeniu Łodzi do III Rzeszy (9 XI 1939 r.), do siedziby łódzkiego PCK, w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 236, wprowadziła się komórka obwodowa Niemieckiego Czerwonego Krzyża (DRK) i funkcjonowała przez cały okres okupacji.

W części województwa łódzkiego, która znalazła się w granicach Generalnego Gubernatorstwa obowiązywały prawa ustalane przez gubernatora Hansa Franka. W lipcu 1940 r. ukazało się jego rozporządzenie rozwiązujące na terenie guberni wszystkie stowarzyszenia i organizacje w Polsce. Ze względu na konwencje genewskie rozporządzenie nie objęło PCK, chociaż dotkliwie ograniczyło jego działalność, między innymi nakazując rozwiązanie struktur terenowych i ustalając komisarzy do nadzorowania pracy i korespondencji PCK. Wobec zdecydowanego sprzeciwu Zarządu Głównego PCK i zapowiedzi odwołania się do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża i Ligi Czerwonego Krzyża i Półksiężycy, władze niemieckie odwołały wydane rozporządzenie, a PCK jako jedyna organizacja w okupowanej Polsce, funkcjonował z nazwą: Polski Czerwony Krzyż. Nie oszczędzono mu jednak szykan i licznych utrudnień a wielu działaczy PCK zostało przez władze hitlerowskie skazanych na śmierć, wielu innych wysłano do obozów koncentracyjnych.

PCK nie miał możliwości nawiązywania kontaktów z Polakami, którzy znaleźli się na terenie ZSRR ani dotarcia do oficerów wziętych do niewoli i osadzonych w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Po wykryciu zbrodni katyńskiej PCK zdystansował się od zabiegów hałaśliwej niemieckiej propagandy, delegował natomiast do Katynia komisję techniczną w ramach Biura Informacji. Komisja PCK, dokonywała ekshumacji i identyfikacji pomordowanych, potwierdzając w dokumentach masowy mord na oficerach polskich. W oparciu o te dokumenty PCK wydawał zaświadczenia rodzinom pomordowanych. Podczas powstania warszawskiego Niemcy celowo spalili siedzibę PCK wraz z aktami i dokumentami zarówno katyńskimi jak i innymi, stanowiącymi bezcenną wartość dla ludzi i historii.

Po wojnie

W 1945 r. PCK przejął liczne zadania służby zdrowia oraz zajął się prowadzeniem opieki społecznej. Do jednych z jego pierwszych zadań należało udzielanie rodzinom informacji o osobach zagubionych podczas wojny. Jako organizacja posiadająca duże doświadczenie w zakresie służby zdrowia PCK przejął prowadzenie szpitali, punktów sanitarnych, w wielu miejscowościach zorganizował pogotowie ratunkowe. Już w kwietniu 1945 r. uruchomił w Łodzi stację krwiodawstwa, przekształconą wkrótce w Centralny Instytut Przetaczania i Konserwacji Krwi PCK. W PRL, kiedy władze wszelkimi sposobami starały się laicyzować społeczeństwo i usuwać symbole religijne, Polski Czerwony Krzyż ocalił swoją nazwę i znak, bez krzyża nie mógłby istnieć. W 1951 r. stracił jednak – w ramach tzw. uspołecznienia placówek zdrowia – bez żadnego odszkodowania, wszystkie placówki lecznicze i opiekuńcze. Po 1956 r. PCK skorzystał z fali „odwilży” politycznej. W Łodzi i województwie masowo powstawały wtedy szkolne koła PCK, w przed-

siębiorstwach wyrastały kluby honorowych dawców krwi. Setki sióstr PCK codziennie śpieszyły pomóc ludziom starym, chorym, nie mogącym samodzielnie poradzić sobie z codziennymi problemami życiowymi.

W wyniku reformy administracyjnej kraju w 1975 r. zmniejszył się znacznie zasięg działania Łódzkiego Okręgu PCK. Obejmował tylko pięć dzielnic Łodzi, kilku pobliskich miast i kilkanaście gmin. W nowych województwach – piotrkowskim, skierniewickim i sieradzkim zaczęły energicznie działać zarządy okręgowe PCK. Po 26 latach, w 1999 r. wprowadzono kolejną reformę administracyjną kraju – nowo stworzone województwa przestały istnieć. Łódzki Zarząd Okręgowy PCK znowu zaczął działać na obszarze dużego województwa.

Lata stanu wojennego

Po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego PCK dostało nowe zadania. Z pomocą przyszła mu wielka i dobrze zorganizowana rodzina czerwonokrzyska. W siedzibie Zarządu Głównego PCK w Warszawie urzędowali przedstawiciele Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża oraz Ligi Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca. Stali się głównymi koordynatorami akcji pomocy dla Polski. Łódzki PCK w systemie dystrybucji darów pełnił ważną rolę, gdyż na terenie jego działania znalazł się jeden z magazynów regionalnych, z zasobów którego korzystało pięć najbliższych województw. Łódzki PCK w porozumieniu z Kuratorium Szkolnym przekazywał środki czystości dla szkół i materiały higieniczne dla uczniów i studentów. Z pomocy przekazywanej za pośrednictwem PCK skorzystało ponad półtora miliona osób zaś w Łodzi i województwie ponad sto tysięcy. Znaczącym strumieniem pomoc ta płynęła także do łódzkich podopiecznych PCK. Widziałem z bliska jak to wyglądało, bo jako dziennikarz pozbawiony pracy zostałem przygarnięty przez sekretarza Zarządu Łódzkiego PCK Stanisława Maciejewskiego i z zaświadczeniem woluntariusza w kieszeni rozwoziłem w grudniu 1981 r. i w pierwszym kwartale 1982 r. paczki żywnościowe ludziom chorym i samotnym, którym pomoc ta była nieodzowna.

PCK było instytucją, której przedstawiciele już w pierwszych dniach stanu wojennego odwiedzali ośrodki dla internowanych. Przeprowadzane wtedy rozmowy – zgodnie z przepisami konwencji międzynarodowych – odbywały się bez udziału osób trzecich. PCK pomagało w kontaktowaniu się internowanych z rodzinami, wspierało je materialnie. Nie brakowało innych organizacji działających na tym samym polu a ich wielość poszerzała zakres i efekty pomocy.

Należało także zatroszczyć się o ludzi zagubionych na dworcach kolejowych, zapewnić im opiekę i informację. Jako kierownik Punktu Informacyjno-Opiekuńczego PCK na Stacji Łódź Kaliska otrzymałem wtedy nie lada pełnomocnictwa: „Wszystkie władze cywilne i wojskowe proszone są o umożliwienie w/w wykonywania czynności statutowych PCK, zgodnie z ustawą o Polskim Czerwonym Krzyżu i postanowieniami Konwencji Genewskiej”. Konwencja Genewska okazywała się atutem PCK w sprawach wielkich jak i funkcjonowania punktu opiekuńczego na dworcu kolejowym.

W okresie przeobrażeń ustrojowych

Przemiany społeczno-ustrojowe po 1989 r. zmieniły polską rzeczywistość. Wyjątkowa do niedawna rola PCK zmalała, pojawiły się trudności finansowe, trzeba było zwolnić zatrudnione od lat siostry PCK, szukać pieniędzy na prowadzenie biur i działalności statutowej. W Łodzi sprzedana została prywatna kamienica przy ulicy Piotrkowskiej 236, służąca za siedzibę PCK od lat przedwojennych.

Polski Czerwony Krzyż uczył się działać bez dotacji państwowej, na własny rachunek. Przy pomocy międzynarodowej rodziny dalej prowadzi swoją działalność. W 2004 r. PCK dożywia codziennie 12 tysięcy dzieci w różnych regionach kraju, usługami opiekuńczymi w domach obejmuje 13 tysięcy osób, prowadził 13 ośrodków opiekuńczych, 6 noclegowni, kilkanaście świetlic, zorganizował kolonie i obozy dla 10 tysięcy uczestników. Łódzki Okręg PCK w ubiegłym roku przekazał osobom znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej 40.778 paczek wartości 1.055,571 zł. Było wśród nich 30.117 paczek z żywnością, 9.065 z odzieżą, innych – 1.593. Niektórzy znajdujący się w szczególnie dramatycznej sytuacji otrzymali zapomogi pieniężne. Siostry PCK, z którymi uprzednio rozwiązano umowy, powróciły do swoich podopiecznych. Opieką w domu objęto na terenie Łódzkiego Okręgu PCK 2.026 osoby. Fundusze na opiekę przekazują teraz ośrodki pomocy społecznej, one też wskazują podopiecznych. Aktualnie Łódzki Okręg PCK zatrudnia 95 siostr na etatach i 747 na umowach – zleceniach. Na terenie województwa łódzkiego działają trzy stołówki i noclegownie – w Piotrkowie Trybunalskim, Łowiczu i Skierniewicach. Gospodarstwo łódzkiego PCK obejmuje także Ośrodek Szkoleniowy PCK w Zgierzu i magazyn regionalny.

Kluby Honorowych Dawców Krwi

Znak czerwonego krzyża łączy się od lat z ideą honorowego krwiodawstwa. Po latach regresu, jaki zaznaczył się po 1990 r., od kilku lat powoli zwiększa się ilość klubów środowiskowych Honorowych Dawców Krwi, szczególnie wśród młodzieży szkolnej i studentów. W 2003 r. utworzono 8 klubów Honorowych Dawców Krwi, trzy powstały w Łodzi przy Zespołach Szkół Ponadgimnazjalnych: nr 4, nr 12 i nr 17, pozostałe zorganizowano w Wieruszowie, Lututowie, Pajęcznie, Ozorkowie i Kutnie. W 2003 r. podczas 457 otwartych akcji pobierania krwi 8.471 krwiodawców przekazało 3.885,030 litrów krwi dla placówek służby zdrowia. Rekordzistą był Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 9 w którym 142 osoby oddały 65,320 litrów krwi. Akcja krwiodawstwa wymaga odpowiedniej zachęty. Środki przeznaczane na propagowanie krwiodawstwa są niewielkie. Na materiały szkoleniowe i upominki dla krwiodawców wydano około 10 tysięcy zł. W różnego rodzaju imprezach – spotkaniach, rajdach, turniejach, festynach organizowanych przez PCK służących popularyzacji idei krwiodawstwa uczestniczyło w ubiegłym roku ponad 10 tysięcy osób.



Młoda krew

Organizacje i stowarzyszenia starzeją się podobnie jak ludzie, z czasem tracą energię, usypiają. Warunkiem życia jest dopływ młodych ludzi pełnych energii i chęci działania. Skupili się oni w dwu zespołach: Łódzkiej Grupie Ratownictwa PCK i Łódzkiej Grupie Społecznych Instruktorów Młodzieżowych PCK. Na stronie internetowej pck@lodz.pl tak się przedstawiają: „Praca w Czerwonym Krzyżu daje nam możliwość samorealizacji, rozwijania własnych zainteresowań, przełamywania słabości. Daje odczuć smak sukcesów i porażek oraz niesamowite poczucie spełnienia. Każdy element struktury od małej „Wiewiórki” aż po członków grup młodzieżowych tworzy jedną wielką, wspaniałą czerwonokrzyską rodzinę miłości do drugiego człowieka”.

Grupa ratownictwa liczy 66 osób, składa się ze studentów medycyny i młodzieży przeszkolonej na kursach ratowniczych. W 2003 uczestniczyli w akcjach ratowniczych podczas imprez otwartych takich jak finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, koncertów charytatywnych, imprez kulturalnych i sportowych. W ubiegłym

roku udzielili pierwszej pomocy około 1500 poszkodowanym osobom. Członkowie grupy przeprowadzili także pokazy ratownictwa dla 2.500 uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i liceów oraz 16 szkoleń „Ratownicza” dla uczniów klas I – III szkół podstawowych. Hasło grupy ratownictwa, które poprzedza wszystkie ich działania brzmi: „Jestem nie po by mnie kochano, ale po to bym działał i kochał, a obowiązkiem otoczenia nie jest pomagać mi lecz ja mam obowiązek troszczenia się o świat i człowieka”.

Łódzka Grupa Społecznych Instruktorów Młodzieżowych liczy 37 członków i 55 wolontariuszy. To oni stoją przy hipermarketach przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy, zbierają dary, pakują je a później rozdają paczki podczas przedświątecznych spotkań. Uczestniczą w corocznych akcjach organizowanych 16 października, obchodzonym jako Dzień Walki z Głodem, zbierają pieniądze, sprzedają pieczywo. Odwiedzają domy pomocy społecznej z okazji dnia babci i dziadka, szkoły przyszpitalne, domy dziecka i dom samotnej matki. W przedszkolach pilotują program „Wiewiórka” adresowany do dzieci najmłodszych. W ten sposób grupa realizuje swoje hasło: „Wielu małych ludzi, w wielu małych miejscowościach, robiąc wiele małych rzeczy potrafi odmienić oblicze świata”. Łódź, co prawda jest wielkim miastem, ale hasło również do niej się odnosi.

* * *

Polski Czerwony Krzyż działa na wielu polach. Śpieszy także z pomocą ofiarom klęsk żywiołowych, zbiera środki na pomoc dla dzieci w Białymostku i dla głodnych ludzi w Polsce. Biedy nie zlikwiduje, gdyż nie ma takich możliwości. Kiedy kogoś dotknie nieszczęście przekraczające jego siły, Polski Czerwony Krzyż śpieszy mu z pomocą. Jednak jemu samemu nie brakuje kłopotów oraz problemów organizacyjnych. Zostały one przedstawione w artykule opublikowanym w październiku 2004 r. na łamach warszawskiego dziennika „Życie”. Gazeta wskazała na niedociągnięcia w pracy Zarządu Głównego i przypadki nadużywania stanowisk przez niektórych prominentów PCK. Krytyka prasowa nie przekreśla jednak wartości pracy tak ofiarnych działaczy, jak chociażby Stanisław Maciejewski, który od ponad trzydziestu lat kieruje pracą Łódzkiego Okręgu PCK. Nie przekreśla też poświęcenia wielu młodych ludzi, którzy chcą bezinteresownie służyć innym. Błędy w życiu organizacji o długoletnim stażu i szerokim programie działania zdarzają się. Na szczęście wokół PCK skupiali się przede wszystkim społecznicy, którzy potrafili w imię wyższych celów przezwyciężać trudności, jakie mogły zagrozić realizacji idei czerwonekrzyżskiej. Tak było zawsze w przeszłości, z pewnością będzie i dzisiaj.

Mieczysław Gumola

W artykule korzystałem z materiałów informacyjnych PCK.

Dobroczynność, pomoc, współczucie

Historia i działalność łódzkiej Caritas

Caritas – potężna federacja o zasięgu ogólnosiwiatowym, skupia dziś 146 organizacji. Wśród nich jest również Caritas Polska – duszpasterska instytucja charytatywna Episkopatu Polski.

Kościół prowadzi działalność dobroczynną od początku swego istnienia, między innymi zakładając szpitale i przytulki, ale dopiero na przełomie XIX i XX wieku podjęto próbę nadania owej działalności określonych ram organizacyjnych.

W 1929 roku powołano w Polsce ogólnokrajowy organ pod nazwą Instytut Caritas. Miał on koordynować działania Caritas diecezjalnych, które sukcesywnie zaczęły powstawać w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

Warto podkreślić, iż nawet w czasie okupacji hitlerowskiej Caritas nie przestała realizować swych zadań, zaś szczególnie intensywny rozwój działalności charytatywnej przypadł na okres powojenny. Załamanie nastąpiło w 1950 roku, kiedy to dekretemi władz PRL zlikwidowano Caritas kościelną, przekazując cały jej majątek nowo utworzonemu Zrzeszeniu Katolików Świeckich „Caritas” – organizacji całkowicie podporządkowanej władzy.

Pomimo odebrania Kościołowi wypracowanej przez niego własnej struktury organizacyjnej, działalność dobroczynna dalej – chociaż w ograniczonym zakresie – była realizowana, szczególnie na poziomie parafii.

W latach osiemdziesiątych Kościół – szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego – stał się głównym dystrybutorem wszelkiej pomocy zagranicznej napływającej do kraju. Z tego też względu w 1986 roku, na mocy instrukcji Episkopatu, powołano parafialne zespoły charytatywne, których głównym zadaniem było rozdawanie zagranicznych darów – było to bardzo ważny moment, odradzający szeroko pojętą społeczną działalność Kościoła.

Od 1989 roku następuje powolne odradzanie Caritas Kościoła; zaczynają powstawać Caritas diecezjalne. Błyskawicznie zorganizowały się one we wszystkich 39 diecezjach. 10 października 1990 roku powołany został krajowy organ koordynacyjny pod nazwą Caritas Polska. Pełni on funkcję pomocniczą w stosunku do Caritas diecezjalnych, gdyż te w Polsce działają w pełni autonomicznie: każda z nich ma swoją centralę w stolicy diecezji, na czele której oficjalnie stoi właściwy biskup ordynariusz. W praktyce jednak główny ciężar prac związanych z funkcjonowaniem Caritas

diecezji spoczywa na jej dyrektorce i na diecezjalnej centrali Caritas. To najczęściej małe grono osób, do zadań którego należy np. organizowanie punktów pomocy doraźnej: prowadzenie magazynu z darami, wydawanie darmowych posiłków, udzielanie bezpłatnych porad, zakładanie i prowadzenie placówek pomocy, organizowanie ogniw niższych szczebli – w tym szczególnie Caritas parafialnych, szkolenie i edukacja wolontariuszy oraz organizowanie akcji wspierających działalność charytatywną.

Historia Caritas Archidiecezji Łódzkiej ściśle łączy się z losami Caritas w Polsce. Diecezja Łódzka została erygowana w grudniu 1920 roku, na mocy bulli papieża Benedykta XV. Jej pierwszym biskupem ordynariuszem był ksiądz dr **Wincenty Tymieniecki**, który jeszcze przed objęciem tej funkcji, będąc na innych placówkach duszpasterskich, rozwijał żywą działalność pasterską, społeczną i charytatywną. W czasie pierwszej wojny światowej dał się poznać jako nieustraszony organizator, działający na rzecz ratownictwa i pomocy dla dotkniętych klęską wojny.

Kryzys gospodarczy lat dwudziestych był dla nowego biskupa kolejnym impulsem do prowadzenia akcji dobroczynnej na terenie całej diecezji. W 1926 nabył on – na potrzeby działalności dobroczynnej – budynek przy ulicy Gdańskiej 111. Do roku 1950 prowadzone tam były kursy i przyuczanie do zawodu młodzieży pochodzącej ze wsi, głównie poprzez naukę kroju i szycia; prowadzona była również działalność wydawnicza oraz biblioteka i przedszkole dla najbiedniejszych dzieci.

W 1927 roku powstał Biskupi Komitet Kolonii Letnich; jego działalność była skierowana głównie do dzieci łódzkich robotników. Z pomocy Komitetu skorzystało ogółem kilkanaście tysięcy nastolatków.

W 1928 roku utworzono „Juwenat” – sanatorium dla dzieci zagrożonych gruźlicą. Następnie powstał Diecezjalny Komitet Pomocy dla Najbiedniejszych „Doraźny posiłek”, który swoim zasięgiem objął rzesze najbiedniejszych Łódzian. Komitet, w ramach postawionych przed nim zadań, uruchomił przy łódzkich parafiach czternaście kuchni, wydających kilka tysięcy bezpłatnych posiłków dziennie.

W latach trzydziestych, kiedy zaczęły powstawać Caritas diecezjalne, rozpoczęła działalność również Caritas Diecezji Łódzkiej (w 1932 roku). Jej pierwszym dyrektorem został ksiądz **Stanisław Nowicki**. Dotychczasową działalność charytatywną kontynuowano i rozwijano w nowej formule zadaniowej.

Nadszedł wrzesień 1939 roku – czas hitlerowskiej okupacji. Sto pięć parafii diecezji łódzkiej wraz z Łodzią zostało wcielonych do tzw. Kraju Warty – docelowo miał to być całkowicie zgermanizowany, wzorcowy okręg Rzeszy. Pierwszym krokiem okupanta była likwidacja polskiej inteligencji – w tym duchowieństwa. Rozpoczęły się represje i prześladowania księży: wielu uwięziono, wielu straciło życie w obozach koncentracyjnych. Obraz diecezji łódzkiej w czasie okupacji przedstawia raport kardynała **Augusta Hlonda** z 1942 roku, który zanotował: „Po dwudziestu latach istnienia, w których diecezja weszła na tory pełnego rozwoju, została teraz pogrzebana. Kuria biskupia, kapituła, seminarium, Akcja Katolicka i wszelkie dzieła oraz organizacje

kościelne zostały przez okupantów całkowicie zlikwidowane, życie zakonne upadło zupełnie. Parafie skasowano. Tylko w siedmiu kościołach odprawia się w niedziele msze święte. Z całego duchowieństwa, liczącego przeszło trzystu kapłanów, pozostało na terenie diecezji piętnastu księży. Pogrom kościoła jest kompletny”.

Poza granice diecezji wysiedlono również łódzkich biskupów: **Włodzimierza Jasińskiego** i **Kazimierza Tomczaka**. Biskup Jasiński wrócił do miasta tuż przed wyzwoleniem. Ponieważ ludność diecezji była z powodu działań wojennych bardzo biedna biskup Jasiński reaktywował centralę diecezjalną i osiemdziesiąt dwa oddziały parafialne związku Caritas. W tym czasie w ramach organizacji utworzono między innymi dwadzieścia cztery przedszkola i cztery bursy.

Kościół od początku opierał swą działalność na trzech filarach: liturgia – tj. modlitwa i sprawowanie sakramentów; martyria – głoszenie słowa Bożego i świadectwa życia; diakonia – służba ubogim, „aby nikt nie cierpiał głodu”. Postępowanie władz mogło zachwiać tą trzecią powinnością. Aby do tego nie dopuścić, Kościół jeszcze w 1950 roku powołał Krajowy Sekretariat do Spraw Miłosierdzia, którego zadaniem było stymulowanie działalności charytatywnej w diecezjach i parafiach oraz organizowanie akcji charytatywnych. Ponieważ Kościołowi odebrano obiekty, w których była prowadzona działalność dobroczynna, skoncentrowano się na tzw. pomocy i opiece otwartej, czyli świadczonej potrzebującym w miejscach ich zamieszkania.

Szczególna rola Kościoła na polu charytatywnym przypada na okres stanu wojennego, ogłoszonego przez władze PRL 13 grudnia 1981 roku. Polegała ona przede wszystkim na pomocy osobom internowanym i otaczaniu opieką ich rodzin, a także na pomocy wielu osobom pozbawionym pracy ze względu na swoje przekonania. W tym czasie z zagranicy do Polski napływały ogromne ilości darów, których głównym dystrybutorem stał się Kościół. Wydano setki ton żywności, odzieży i lekarstw – nie tylko osobom potrzebującym, ale również ośrodkom pomocy i szpitalom. Dzięki tej pomocy i sprawnej dystrybucji dziesiątkom tysięcy Polakom umożliwiono przetrwanie najgorszego okresu kończących się rządów komunistów.

W 1986 roku wydana została *Instrukcja Konferencji Episkopatu Polski o pracy w parafiach*. Zobowiązywała ona księży proboszczów do powoływania Parafialnych Zespołów Charytatywnych i prowadzenia działalności dobroczynnej za ich pośrednictwem.

10 października 1990 roku, dekretem kardynała **Józefa Glempa**, utworzona została Caritas Polska jako organ koordynujący działalność odradzających się Caritas diecezjalnych. Jeszcze w tym samym roku, na mocy dekretu biskupa diecezjalnego **Władysława Ziółka**, powstała Caritas Diecezji Łódzkiej, której dyrektorem został ksiądz **Ireneusz Kulesza**. W następnym roku łódzka Caritas odzyskała swoją dawną siedzibę przy ulicy Gdańskiej 111.

W roku 1992 dokonał się nowy podział administracyjny Kościoła katolickiego w Polsce. Diecezja łódzka ustanowiona została archidiecezją, podległą



pierwsze kolumny

bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Wszystkie instytucje – w tym Caritas – podniesiono do rangi instytucji archidiecezjalnych.

Łódzkiemu oddziałowi Caritas patronuje błogosławiony Rafał Chyliński, franciszkanin, który całe swoje życie poświęcił niesieniu pomocy biednym, chorym i nieszczęśliwym. Po śmierci zasłynął łaskami, co spowodowało liczne pielgrzymki do jego grobu i doprowadziło do wszczęcia procesu beatyfikacyjnego. W czerwcu 1991 roku Jan Paweł II, podczas swojej pielgrzymki do Polski, ogłosił go błogosławionym.

W roku 2002 ksiądz Ireneusz Kulesza otrzymał tytuł Honorowego Dyrektora Caritas Archidiecezji Łódzkiej, a nowym dyrektorem Caritas został ksiądz **Jacek Ambroszczyk**, który kontynuuje i rozwija dzieło swojego poprzednika.

„Mamy świetny, sprawdzony zespół”

*Rozmowa z ks. Jackiem Ambroszczykiem,
dyrektorem Caritas Diecezji Łódzkiej.*

Caritas jest organizacją dobroczynną, która od lat pomaga potrzebującym. Jakie formy przyjmuje owa pomoc?

Pomoc Caritas jest skierowana do wszystkich potrzebujących, zarówno do dzieci, jak i ludzi starszych. Jeżeli chodzi o dzieci, naszą główną troską jest zapewnienie im wypoczynku letniego i zimowego poprzez organizowanie turnusów kolonijnych w ośrodkach w Drzewocinach i Kolumnie. Dzieci przebywają tam pod

opieką fachowej kadry, złożonej z naszych wolontariuszy. Prowadzimy również stałą formę pomocy dzieciom – jest to świetlica środowiskowa, w której odbywają się zajęcia dydaktyczno-wychowawcze oraz resocjalizujące, jeżeli istnieje taka potrzeba. Placówka ta w żaden sposób nie zastępuje ani szkoły, ani rodziców – pełni rolę uzupełniającą. Staramy się również włączać rodziców w prace świetlicy; pragniemy, żeby i oni nauczyli się spędzać czas z dziećmi, by dzieci nie były pozostawione same sobie i nie musiały na własną rękę organizować wolnego czasu na ulicy.

Stalą formę pomocy stanowi również dom dziennego pobytu, głównie przeznaczony dla ludzi starszych, którzy mają tu możliwość spożycia posiłku, uczestniczenia we wspólnej modlitwie oraz w organizowanych dla nich zajęciach. Ponieważ są to głównie osoby samotne, bardzo ważna jest dla nich możliwość wspólnego spotkania, przebywania ze sobą, rozmowy.

Prowadzimy również stołówkę, która obsługuje naszych pensjonariuszy oraz podopiecznych opieki społecznej, bezrobotnych i bezdomnych. Codziennie – w zależności od naszych możliwości – dożywianych jest około trzystu osób.

Punkt pomocy charytatywnej, który także prowadzimy, organizuje głównie pomoc doraźną, polegającą na zaopatrywaniu potrzebujących w środki czystości i ubrania, wydawaniu paczek żywnościowych, oraz świadczeniu pomocy doradczej przez dyżurujących specjalistów-wolontariuszy: prawników, psychologów, kuratorów sądowych. Osoby potrzebujące mogą zapisać się na spotkanie i uzyskać konkretną poradę. Ta forma pomocy będzie się rozwijała, otrzymaliśmy od miasta budynek przy ulicy Wólczańskiej i tam, mając większe możliwości lokalowe, chcemy zorganizować centrum charytatywne dla osób bezrobotnych i znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej.

Inną formą pomocy prowadzoną przez Caritas są zespoły domowej opieki hospicyjnej. Ponieważ nie mamy stałego hospicjum, ten rodzaj opieki jest realizowany przez wolontariuszy bezpośrednio w domu chorego. Taka forma pomocy ma swoje dobre strony, gdyż nie zawsze zachodzi konieczność hospitalizowania, a przebywanie w swoim otoczeniu – wśród bliskich – pozwala choremu łatwiej znosić chorobę. Istotna jest również pomoc tym, którzy już rozstali się z bliskim. Podobnie doświadczono rodziny systematycznie spotykają się ze sobą, tworząc grupy wsparcia, pozwalające łatwiej znosić ból rozstania – niewątpliwie jest to zaspokojenie istotnej potrzeby.

Ważną rolę w naszej działalności pełnią już istniejące i nowo organizowane Szkolne Koła Caritas – ich zadanie polega na organizowaniu pomocy i wspieraniu uczniów z danej szkoły. Może to być konkretna pomoc materialna, jak również pomoc w nauce. Poza tym młodzież, uczestnicząc w różnego rodzaju akcjach dobroczynnych, uczy się pozyskiwać środki, aby móc pomagać innym (np. prowadzona ostatnio akcja pomocy dzieciom – ofiarom zamachu w Biesłanie). Przede wszystkim chodzi nam jednak o uwrażliwienie dzieci i młodzieży na drugiego człowieka, aby dostrzegały możliwości charytatywnego działania na rzecz szczególnie potrzebujących.

*Jak wypada porównanie działalności Caritas Archidiecezji
Łódzkiej z innymi Caritas diecezjalnymi?*

Jeżeli spojrzymy na działalność Caritas Archidiecezji Łódzkiej od strony organizacyjnej, to wypadamy bardzo dobrze: mamy świetny, sprawdzony zespół ludzi i sprawdzone formy działania. Natomiast jeżeli chodzi o formy pomocy, to nie robimy najwięcej, choć niewątpliwie dużo. Nasza Caritas zatrudnia dziewięćdziesiąt osób, są też Caritas, które zatrudniają ich pięćset, ale to wynika ze specyfiki diecezji. U nas działalność koncentruje się głównie wokół aglomeracji łódzkiej, ale są diecezje, które mają dużo ośrodków terenowych i prowadzą bardzo szeroki zakres pomocy. Specyfika archidiecezji łódzkiej polega na tym, że istnieje tu Centrum Służby Rodzinie, które przyjmuje na siebie część działań charytatywnych, takich jak prowadzenie Domu Samotnej Matki oraz Zgromadzenia Zakonne, które prowadzą Domy Pomocy Społecznej – nie tylko więc Caritas prowadzi działalność dobroczynną. Trzeba dodać, że są diecezje, w których Caritas zajmuje się dosłownie wszystkim.

Czy można powiedzieć, że skala łódzkiej biedy się zwiększa?

Niestety, jeżeli chodzi o skalę zubożenia naszych mieszkańców, a co za tym idzie – skalę potrzeb, Łódź znajduje się w czołówce wśród diecezji. Tendencji zwiększającej się raczej nie ma, od jakiegoś czasu utrzymuje się stały poziom, widać nawet pewien postęp gospodarczy. W obecnej chwili problemem nie jest zwiększająca się liczba bezrobotnych, lecz pewien schemat życia osób będących w biedzie. Potrzebna jest profilaktyka, dotycząca wychowywania młodych ludzi, aby nie powielali błędów czy sposobów życia rodziców. Dzieci rodziców, którzy są pod naszą opieką, dorastają w przekonaniu, że skoro rodzice otrzymują pomoc to i one również przyjdą do Caritas i tę pomoc otrzymają. Ci młodzi ludzie nie mają motywacji do znalezienia pracy, bycia odpowiedzialnym, starania się o zaufanie potencjalnego pracodawcy. W tej chwili to stanowi główny problem, dlatego chcemy zacząć zmieniać rodzące i ugruntowujące się nawyki myślowe sprzyjające bierności.

Jak, na przestrzeni ostatnich lat, zmieniał się charakter pomocy udzielanej przez Caritas?

W latach osiemdziesiątych nie było Caritas, były za to Zespoły Charytatywne, powoływane przez Komisję Charytatywną Episkopatu, których działalność koordynowała kuria. Pomoc ta ukierunkowana była głównie na rozdawnictwo i dotyczyła rozdysponowywania darów płynących z Zachodu. Początek lat dziewięćdziesiątych, a więc czas, kiedy Caritas się formalnie reaktywowała, to również okres przekazywania

darów potrzebującym, ale pojawiają się już nowe formy pomocy, np. organizowanie wypoczynku dla dzieci, co Caritas postawiła sobie za najważniejszą formę działania.

Następnie pojawiły się nowe możliwości działalności charytatywnej. Caritas mogła przejmować ośrodki, którymi wcześniej zajmowały się gminy, np. domy pomocy społecznej, niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej, warsztaty terapii zajęciowej czy schroniska dla bezdomnych. I to był kolejny etap w historii Caritas.

Obecnie zaczynamy realizować programy finansowane przez Unię Europejską, dotyczące pomocy socjalnej dla potrzebujących i szkoleń dla osób bezrobotnych. Powstaje również możliwość realizowania konkretnych programów pomocowych, szczególnie przy współpracy z innymi instytucjami i organizacjami oraz połączenia możliwości partnerów z możliwościami, jakimi my dysponujemy.

Porozmawiajmy trochę o źródłach finansowania działalności Caritas.

Jednym ze źródeł są ofiary, jakie Caritas otrzymuje od indywidualnych darczyńców i firm oraz ze zbiorów. Innym źródłem są środki samorządowe, przekazywane nam na finansowanie konkretnych działań z zakresu pomocy społecznej, np. częściowe pokrycie kosztów prowadzenia kuchni. Ponieważ nasza działalność dotyczy również pomocy osobom niepełnosprawnym, korzystamy z środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oraz z pieniędzy, przekazywanych przez Unię Europejską na realizację konkretnych projektów dotyczących organizacji pomocy.

Realizacja działań prowadzonych przez Caritas nie byłaby chyba możliwa bez wolontariuszy. Skąd biorą się ci ludzie dobrej woli?

Są to ludzie, którzy mają w sobie chęć i potrzebę niesienia pomocy innym. Bóg nad nami czuwa, widzi nasze potrzeby i zsyła nam takie osoby. Zgłaszają się do nas wolontariusze akcyjni, którzy uczestniczą tylko w określonych działaniach, jak np. akcja kolonijna, kiedy to obejmują opiekę wychowawczą nad dziećmi w trakcie trwania turnusów lub uczestniczą w innych doraźnych działaniach dobroczynnych, np. w Akcji Wigilijnego Dzieła, gdy pomagają nam organizować zbiórki dla potrzebujących. Są również stali wolontariusze, którzy w ciągu roku przeznaczają na pomoc innym swój konkretny, zaplanowany czas: pełnią dyżury doradcze jako prawnicy, lekarze czy opiekunowie naszych podopiecznych w Świetlicy Dziecięcej. Istnieją także wolontariusze hospicyjni, których poświęcenie jest niezmiernie ważne, bo pełnią stałą posługę wobec chorych.

*Darek Kędzierski
– filmowiec, publicysta.*

nauka

Od medycyny pracy do zdrowia pracujących

Złoty jubileusz IMP

Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 45

Sztuka wolnego rynku – wolny rynek w sztuce

Problemy studentów Filmówki

Magdalena Ryłska

str. 52

W służbie medycyny

Biomateriały z „Tricomedu”

Danuta Gruszczyńska

str. 57

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHILIPPS EXETER

1891

1892

1893

1894

1895

1896

1897

1898

1899

1900

1901

1902

1903

1904

1905

1906

1907

1908

1909

1910

1911

1912

1913

1914

1915

1916

1917

1918

1919

1920

1921

1922

1923

1924

1925

Od medycyny pracy do zdrowia pracujących

Złoty jubileusz IMP

nauka

Instytut Medycyny Pracy im. prof. Jerzego Nofera w Łodzi obchodzi w 2004 r. 50-lecie swego istnienia. Ocena dorobku placówki pokazuje ogrom zmian jakie zaszły zarówno w samym rozumieniu koncepcji „medycyny pracy” jak i w hierarchii ważności problemów badawczych. Pół wieku temu najważniejsze były zagadnienia związane z bezpieczeństwem i higieną pracy, ochroną zdrowia i chorobami zawodowymi. Obecnie na pierwszym miejscu znajduje się promocja zdrowia, zaś w miejscu higieny pracy, zagadnienia szeroko rozumianej alergii zawodowej, oraz badania i szkolenia związane z psychologią pracy.

W Polsce zainteresowanie wpływem warunków pracy na zdrowie sięga XVIII wieku. Pierwsza publikacja na ten temat ukazała się w 1788 r. w Warszawie. Był to przetłumaczony z francuskiego i wydany przez B. Dufoura „Dykcyonarz powszechny medyki, chirurgii”. Autor przedstawiał w nim analizę warunków pracy i ich wpływu na zdrowie aż w 37 zawodach. Kolejne pozycje ukazały się w 1801 i 1802 roku. Były to numery „Dziennika Zdrowia dla Wszystkich Stanów” wydawanego przez Leopolda Lafontaine’a. W następnych publikacjach znajdziemy szczegółowe analizy szkodliwych warunków pracy m.in. artystów i rzemieślników, górników, tkaczy i młynarzy.¹ Do wyodrębnienia się medycyny pracy jako osobnej specjalizacji przyczyniło się prawodawstwo. Zapoczątkowane w Niemczech w latach 80-ych XIX wieku, a później w pozostałych państwach Europy ustawy przeciwwypadkowe i powszechne ubezpieczenia pociągnęły za sobą m.in. konieczność wydawania orzeczeń lekarskich.

W Polsce po odzyskaniu niepodległości rozpoczęły się na tym polu działania na skalę ogólnokrajową. Już w 1922 r. odbył się I Zjazd Higieny Przemysłowej. W 1929 r. powołano Inspekcję Lekarską, a w 1930 r. Polski Komitet Medycyny Pracy. Istotną rolę w rozwoju ruchu ochrony zdrowia i bezpieczeństwa pracy spełniał założony w 1931 r. Instytut Spraw Społecznych, gdzie prowadzono badania naukowe dotyczące oceny warunków pracy w różnych gałęziach przemysłu. Działała również Państwowa Szkoła Higieny z Oddziałem Higieny Pracy. Placówki te zatrudniały niewielką liczbę personelu i wraz z grupą lekarzy-społeczników kładły podwaliny pod rozwój higieny i medycyny pracy.

XIX wiek – pisał w 1949 roku – *profesor Brunon Nowakowski*, wybitny lekarz higienista – *wypracował formę organizacyjną w postaci inspekcji pracy*,

która pozwoliła powiązać czynnik lekarski i czynnik techniczny. Zastosowana została racjonalna walka z chorobami zawodowymi przez szersze zastosowanie środków technicznych higieny otoczenia: zaopatrzenia w wodę, i usuwanie nieczystości, wentylacje i ogrzewanie, oświetlenie itd. Zapoczątkowano również opiekę lekarską nad czynnikiem ludzkim produkcji, najpierw w stosunku do młodocianych, następnie do grup pracowniczych narażonych na ryzyko chorób zawodowych w postaci badań wstępnych i okresowych. (...) Inspekcja pracy dostarczyła możliwości przetworzenia norm higienicznych na normy prawne, obowiązujące pracodawców i pracobiorców. Do tego trzeba dodać upowszechnienie ubezpieczeń społecznych, zwłaszcza ubezpieczeń od wypadków i chorób zawodowych.(...) W tym okresie nastąpił kolejny etap rozwoju higieny pracy. Dostrzeżono bowiem, że podniesienie stanu zdrowotnego załogi może przynieść dalsze ogromne korzyści natury gospodarczej. (...) Chodzi bowiem – pisał dalej profesor – o zastosowanie wszystkich zasobów wiedzy lekarskiej byśmy ze swej strony przyczynili się do pomyślnego rozstrzygnięcia centralnego zagadnienia wszelkiego postępu, jak ulżyć pracy ludzkiej stale podnosząc jej plon? Chcąc wykonać to zadanie, nie wystarczy, że biorą w nim udział różne specjalności lekarskie, że wykorzystujemy różne możliwości badawcze, zapobiegawcze, orzecznicze i lecznicze wiedzy lekarskiej, lecz zachodzi konieczność scalenia funkcjonalnego w imię jedności celu przy różnorodności środków działania. Dla tej jedności szukamy jednego wyrazu. Jest nim termin „medycyna pracy”. Pod medycyną pracy rozumiałbym więc zastosowanie wszystkich możliwości wiedzy lekarskiej do osiągnięcia możliwie wysokiej wydajności pracy przy minimum strat energii, zdrowia i życia ludzkiego.²

W Polsce Ludowej zatrudniano lekarzy we wszystkich większych zakładach przemysłowych; powołano koła i placówki bezpieczeństwa i higieny pracy. Z inicjatywy Ministerstwa Zdrowia powstawały kliniki chorób zawodowych. Według profesora Nowakowskiego „był to aparat, który ma wiele rąk i nóg, ale nieproporcjonalnie małą głowę”.

Potrzebne były mniej sztywne ramy organizacyjne, ale za to specjaliści i własne zaplecze naukowo-badawcze.

Postulat profesora Nowakowskiego został zrealizowany pięć lat później. Uchwała rządu PRL nr 59/ 54 z dnia 30 stycznia 1954 r. powołała w Łodzi Instytut Medycyny Pracy w Przemśle Włókienniczym i Chemicznym. Dyrektorem został prof. Emil Paluch, znany naukowiec i lekarz, przedwojenny asystent Państwowego Instytutu Higieny, dobrze znający zagraniczne systemy ochrony zdrowia.

W statucie Instytutu tak określono jego zadania: badania naukowe w zakresie higieny pracy, profilaktyki i leczenia chorób zawodowych występujących w przemyśle włókienniczym i chemicznym, oraz w przemysłach pokrewnych, a także badanie zagadnień biologicznych, klinicznych i społecznych, związanych z pracą.

(Jednocześnie działały Instytuty Medycyny Pracy na Śląsku dla potrzeb górnictwa i hutnictwa, oraz w Lublinie dla potrzeb wsi.)

Profesor Paluch zmarł po kilku miesiącach kierowania placówką, a na jego miejsce powołano profesora Jerzego Nofera, który pełnił funkcję dyrektora Instytutu do chwili przejścia na emeryturę, czyli do 1977 r. Wówczas dyrektorski vacat powierzono prof. dr. hab. Januszowi Indulskiemu, który pozostał na tym stanowisku aż do swojej przedwczesnej śmierci w 1999. Od 2000 r. placówką kieruje prof. dr. hab. Konrad Rydzyński. W 1985 r. Instytutowi nadano imię prof. dr. med. Jerzego Nofera i od tej pory placówka znana jest w świecie jako Nofer Institute of Occupational Medicine.³

Instytut zaczynał swoją działalność od podstaw, czyli od stworzenia własnej, specjalistycznej kadry, oraz bazy laboratoryjnej i klinicznej. Obecnie Instytut tworzą następujące Zakłady Naukowe: Organizacji Ochrony Zdrowia, Epidemiologii Środowiskowej, Środowiskowych Zagrożeń Zdrowia, Fizjologii Pracy i Ergonomii, Psychologii Pracy, Immunotoksykologii, Toksykologii i Kancerogenezy, Informacji Naukowej, Zagrożeń Chemicznych, Ochrony Radiologicznej, Zagrożeń Fizycznych, oraz kilkanaście pracowni i laboratoriów. Od lat Instytut specjalizował się w gromadzeniu i przetwarzaniu danych z dziedziny szeroko pojętej toksykologii. Powołane w Instytucie Krajowe Centrum Informacji Toksykologicznej służy informacjami (również telefonicznymi) na temat szkodliwości związków chemicznych, leków, roślin i grzybów. Z powodu ostrych zatruc substancjami toksykologicznymi w Polsce leczy się rocznie około 10 000 dorosłych pacjentów. Nie wszyscy trafiają do specjalistycznych klinik i nieodzowna jest szybka informacja i pomoc. Baza ITOX zawiera ok. 360 tysięcy haseł o wszystkich dostępnych preparatach chemicznych w Polsce i służy lekarzom pomocą zarówno w przypadku ostrych zatruc jak i w działalności profilaktycznej. W Centrum Informacji można także zebrać dane na temat przyczyn zatruc i metodach leczenia pacjentów we wszystkich ośrodkach toksykologicznych w Polsce. (Baza STAT).

Odpowiedzią na wyzwania współczesności jest powstająca w Centrum baza danych dotyczących zagrożeń czynnikami rakotwórczymi. Wzrasta bowiem ilość chorób nowotworowych wśród pracowników narażonych na czynniki toksyczne. Najnowsza, zorganizowana w ubiegłym roku baza informacyjna dotyczy kosmetyków i spowodowanych przez nie chorób.

Bazy: MEDIP, MEDLINE, TOXLINE i OSH-ROM – zawierają dane bibliograficzne na temat najnowszej literatury przedmiotu w kraju i zagranicą.

Daleko poza Łódź sięga także działalność Krajowego Centrum Metod Alternatywnych do Oceny Toksyczności.

Od początku powołania Instytutu czynne były wyspecjalizowane placówki medyczne. Dziś pacjenci z całego kraju korzystają z pomocy: Kliniki Chorób Zawodowych, Kliniki Ostrego Zatrucia, oraz z Przychodni Chorób Zawodowych, Samodzielnej Pracowni Otolaryngologii i Audiologii Zawodowej oraz z Zakładu Diagnostyki Laboratoryjnej.

Tylko w Klinice Ostrego Zatrucia w latach 1990-2004 przyjęto 2500 pacjentów, a w Przychodni Chorób Zawodowych korzysta z porad do 6000 chorych rocznie.

Z różnorodnych inicjatyw szkoleniowych IMP wymienić trzeba Szkołę Zdrowia Publicznego, w której w latach 1992-2004 ukończyło studia podyplomowe 1000 absolwentów. W tym samym czasie z inicjatywy osób związanych z IMP powołano Towarzystwo Zdrowia Publicznego.

W latach 90-ych zacieśniono współpracę ze Światową Organizacją Zdrowia i odpowiednimi agendami Unii Europejskiej. Instytut uczestniczy m.in. w pracach Międzynarodowego Programu Bezpieczeństwa Chemicznego, międzynarodowych programach badań nad nowotworami, ochrony radiologicznej i innych. Naukowcy z IMP pełnią funkcję ekspertów i reprezentują Polskę w zarządach międzynarodowych organizacji i towarzystw naukowych.

Chlubą Instytutu jest działalność wydawnicza. Oprócz wydawnictw stałych jak: „International Journal of Occupational Medicine and Environmental Health”, „Medycyna Pracy i Higiena Pracy” tutejsza oficyna wydawnicza publikuje pozycje książkowe, oraz tłumaczenia z języków obcych – głównie dla celów dydaktycznych.

Zmiany polityczno-gospodarcze jakie nastąpiły w Polsce w latach 90-ych wymagały zmiany koncepcji ochrony zdrowia i pojęcia „medycyny pracy”. Dotychczasowy system nastawiony na duże przedsiębiorstwa z własnymi poradniami, lekarzami i komórkami bhp nie był w stanie sprostać obecnej sytuacji. Powstawały małe firmy doradcze oferujące swoje świadczenia w zakresie bhp, ochrony środowiska, szkolenia i medycyny pracy.

Za wzorem państw zachodnich, które miały już za sobą podobne problemy zaczęto odchodzić od pojęcia organizacyjnego „medycyny pracy” (occupational medicine services) na rzecz systemu służącego „zdrowiu pracujących” (occupational health services). W 1996 r. Światowa Organizacja Zdrowia opublikowała dokument „Strategia zdrowia dla wszystkich pracujących”. Zarówno Dokument, jak przyjęta później przez Polskę Deklaracja uznawały zdrowie pracujących za wspólną troskę władz lokalnych, związków pracowniczych, środowisk naukowych, medycznych i biznesowych.

Od 2000 r. Instytut Medycyny Pracy ze Szkołą Zdrowia Publicznego stara się upowszechnić tę koncepcję na terenie Łodzi. Zorganizowano m.in. pierwszą w kraju prezentację Dobrej Praktyki na forum zorganizowanym przez Klub Profesjonalnych Menadżerów i Łódzki Oddział Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa.

Dwa lata później przy współudziale władz miasta i Biura Regionalnego WHO, Instytut Medycyny Pracy zorganizował międzynarodową konferencję pod nazwą: „Zdrowe przedsiębiorstwo w zdrowym mieście”.



W maju bieżącego roku IMP był jednym z organizatorów w Łodzi I Ogólnopolskiego Forum Zdrowia Pracujących. Uczestniczyli w nim przedstawiciele różnorodnych, z pozoru dalekich od siebie dyscyplin naukowych, organizacji społecznych i stowarzyszeń, jak np.: Łódzki Klub Biznesu, Instytut Onkologii w Warszawie, Zakład Ubezpieczeń Społecznych i Główny Inspektorat Pracy.

Obecni na obradach zgodnie uznali, że jest potrzebny interdyscyplinarny dialog w celu wypracowania nowych rozwiązań ochrony zdrowia pracujących, bowiem skuteczność dotychczasowych form jest z każdym rokiem mniejsza.

Jest to podstawowe zadanie także dla Instytutu Medycyny Pracy, który wkracza w 51 rok swej działalności.

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Przy pisaniu artykułu korzystałam z monografii dr. Jana Nosko: „50 lat Instytutu Medycyny Pracy”, wydanej przez IMP w 2004 r.

Przypisy:

1. *Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego 1847*; t.17, 46.
2. Nowakowski B: *Prądy rozwojowe higieny pracy za granicą i w Polsce*. Pol. Arch.Med. Pr. i: (dodatek do Wiad. lek) 1949, 1: 7-22
3. Początkowo Instytut mieścił się w gmachu PZH, później Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej przy ul. Wodnej 40, oraz w budynkach Akademii Medycznej przy ul.Narutowicza 96. W 1961 r. placówka otrzymała pawilon przy ul. Teresy 8. Po remoncie w 1964 r. znalazły tu miejsce wszystkie agendy Instytutu. Obecnie w Instytucie przeprowadzany jest kolejny remont.

Z Badań Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi

Przemoc w miejscu pracy

Agresja i przemoc w pracy nie są zjawiskiem nowym. Prawie każdy z nas doświadczył osobiście lub był świadkiem obraźliwych uwag, pogroźek, wyśmiewania, nieuzasadnionej krytyki, plotek, czy ostantacyjnego ignorowania pracownika przez przełożonego lub kolegów. Wiemy jak bolesne są takie formy agresji, jak potrafią wprowadzić w stan apatii, przygnębienia, lęku a w ostateczności zniechęcić do zajęć i zmusić do zmiany miejsca pracy.

Pod wpływem agresji w miejscu pracy zmieniają się relacje ze współpracownikami, pojawiają się konflikty, zmniejsza się wydajność i jakość

pracy. Maleje zaufanie do przełożonych. Konflikty z miejsca pracy ofiary agresji przenoszą do domu: cierpią ich najbliżsi. W rezultacie powiększa się krąg poszkodowanych. Zakłóceniu ulega także życie rodzinne i społeczne.

Według definicji zaproponowanej przez Komisję Europejską za akty agresji w miejscu pracy uważa się „wszystkie sytuacje w których pracownik jest obrażany, zastraszany, lub atakowany w okolicznościach związanych z pracą i stanowi to wprost lub pośrednio zagrożenie jego bezpieczeństwa, dobrego samopoczucia i zdrowia”.

Badania przeprowadzone w świecie wykazują, że najbardziej narażeni na przemoc i agresję są pracownicy zatrudnieni w usługach: handlu, hotelarstwie, gastronomii, komunikacji, pracownicy placówek związanych z odpowiedzialnością materialną i kontrolną np. pracownicy banków, policja skarbową, służby celne i inspekcja pracy. Osobną grupę stanowią pracownicy służby zdrowia, nauczyciele i policjanci.

Przyczyny zachowań agresywnych są bardzo złożone i wymagają systematycznych, wnikliwych badań. W Zakładzie Psychologii Pracy IMP kierowanej przez prof. dr. hab. Bohdan Dudka przeprowadzono wstępne badania nad narażeniem na agresję w grupie 74 pielęgniarek zatrudnionych w szpitalach i poradniach. Okazało się, że 91,4 % badanych narażonych było na krzyk ze strony pacjentów, 69,4% siostr pacjenci grozili, 65,4% obrażano przy innych pacjentach i tyle samo przy innych pracownikach. 47% pielęgniarek pacjenci szantażowali, a 32,5% zaatakowali fizycznie. Jeśli do tych przejawów agresji dodamy krzyki, pogroźki i brak szacunku dla średniego personelu medycznego ze strony przełożonych, to okaże się, że zawód pielęgniarki jest wyjątkowo stresujący.

Narażone na agresję siostry cierpią na objawy somatyczne: migreny, wrzody żołądka, uporczywe wymioty, wzrost napięcia mięśniowego i zaburzenia seksualne.

W zakresie zdrowia psychicznego następstwem agresji są: poczucie winy i bezradności, depresja, zaburzenia koncentracji uwagi, a nawet myśli i próby samobójcze.

U ofiar agresji obserwuje się zespół wypalenia zawodowego, obniżenie motywacji do pracy i związanej z nią satysfakcji, niższą efektywność, częste konflikty z innymi pracownikami, oraz brak zaufania do kadry kierowniczej.

Autorzy badań radzą jak przeciwdziałać i jak kontrolować agresję w miejscu pracy. Wczesne rozpoznanie, odpowiednia wiedza na temat zachowań sprawców agresji, jak również umiejętność radzenia sobie z przemocą, może w znacznym stopniu ograniczyć konflikty i poprawić sytuację.

Wszelkie porady i informacje można uzyskać w Pracowni Stresu Zawodowego Instytutu Medycyny Pracy.

Sztuka wolnego rynku – wolny rynek w sztuce

Problemy studentów Filmówki

Trochę historii

Zabytkowa willa przy ulicy Targowej, stylizowana na włoski renesans, niegdyś własność Oskara Kona, od kilkudziesięciu lat jest siedzibą Łódzkiej Filmówki – jak zwykle się mawiać o Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera. Historia uczelni rozpoczęła się po II Wojnie Światowej, kiedy to w 1948 r. postanowiono utworzyć Wyższą Szkołę Filmową. Na jej siedzibę wybrano Łódź, jedyne duże miasto w centrum Polski, które nie zostało zniszczone w czasie wojny. W Łodzi osiadali rozproszeni wojną, po Polsce i świecie, aktorzy, pisarze, dziennikarze, ludzie kultury i nauki. Tu otwarto pierwsze kina, kabarety, teatry i tu powstało też centrum produkcji filmowej. Łódź przejęła wówczas rolę kulturalnego centrum Polski. W 1958 r. doszło do połączenia „Filmówki” z Wyższą Szkołą Aktorską. Uczelnia była wówczas miejscem awangardowym na mapie polskiego życia kulturalnego. W jej murach powstał pierwszy zespół grający muzykę jazzową, założony przez dwóch znanych operatorów filmowych Jerzego Matuszkiewicza i Witolda Sobocińskiego, co dało początek temu gatunkowi muzyki w Polsce. W końcu lat 70-tych Szkoła nawiązała szerokie kontakty międzynarodowe, a zrealizowane wówczas studenckie etiudy brały udział w wielu festiwalach filmowych, zdobywając szereg znaczących nagród.

PWSFTViT należy do światowej organizacji szkół filmowych CILECT (Centre International de Liason des Ecoles de Cinema et de Television). Organizuje liczne pokazy filmowe w kraju i na świecie, sympozja i konferencje na tematy filmowe. W 1982 r. zainicjowała coroczny Ogólnopolski Festiwal Szkół Teatralnych, a w 1994 Międzynarodowy Festiwal Szkół Filmowych „Mediaschool”. To dzisiaj jedyna, autonomiczna uczelnia filmowa finansowana w pełni przez państwo. Podlega Ministerstwu Kultury, a pośrednio Ministerstwu Edukacji Narodowej i Sportu. Kształci dziś około 1000 studentów, w tym kilkadziesiąt osób z zagranicy.

Łódzką Filmówkę ukończyło wielu znanych i cenionych artystów; ludzi filmu i teatru. Byli to min.: Andrzej Munk, Andrzej Wajda, Janusz Morgenstern, Kazimierz Kutz – którzy w końcu lat 50-tych stali się znani jako twórcy tzw. „szkoły polskiej” w filmie fabularnym i wybitni dokumentaliści: Kazimierz Karabasz i Andrzej Brzozowski. W łódzkiej uczelni studiowali operatorzy: Jerzy Wójcik, Mieczysław Jahoda, Wiesław Zdroń, którzy stworzyli podstawy nowoczesnej sztuki operatorskiej w Polsce. Absolwentami Filmówki są także: Roman Polański, Krzysztof Kieślowski, Krzysztof Zanussi, Janusz Gajos, Marek Piwowski, Barbara Brylka, Pola Raksa, Mariusz Benoit, Cezary Pazura, Wojciech Malajkat i wielu, wielu innych znanych twórców filmu i teatru.

Mimo tego, że polska kinematografia od kilkunastu lat przeżywa widoczny kryzys, zauważyć można wzmożone zainteresowanie zawodami i karierą w branży filmowej. Wydziały aktorskie w Łodzi, Warszawie, Krakowie i we Wrocławiu przeżywają prawdziwe oblężenie. W odpowiedzi na tak duże zainteresowanie kształceniem w tej dziedzinie powstają „jak grzyby po deszczu” szkoły prywatne. W rejestrze Centrum Edukacji Artystycznej figuruje już 17 takich szkół. Prezentują one jednak bardzo zróżnicowany poziom. Choć w niektórych wykładają znani artyści, a studenci – jak mówią sami wykładowcy – nie są mniej zdolni od słuchaczy Filmówki, to absolwenci prywatnych szkół po zakończeniu edukacji nikną gdzieś bez większych sukcesów. Są też tacy, którzy wybierają dwuletnie kursy przygotowujące do zawodu, choć po ich ukończeniu nie otrzymują żadnego dyplomu. Z reguły jednak najlepsi kandydaci starają się o indeksy szkół państwowych. Wśród tych uczelni, niezaprzeczalnie prym wiedzie PWSFTviT, która wciąż cieszy się dużą renomą w Polsce i za granicą. To uczelnia z tradycjami, w której pod okiem najlepszych wykładowców kształcą się profesjonalistów w szeroko pojętej dziedzinie branży filmowej. Proces rekrutacji jest wielostopniowy: oprócz wiedzy ogólnej, zdolności i umiejętności, talentu oraz predyspozycji do zawodu kładzie się nacisk – jak czytamy na stronie internetowej PWSFTViT – na to, by kandydaci „wykazwali się kierunkowymi uzdolnieniami i zainteresowaniami, oraz by legitymowali się pewnymi doświadczeniami życiowymi i własnymi osiągnięciami twórczymi”. Na większość kierunków wraz z dokumentami aplikacyjnymi należy złożyć teczkę prac własnych. Studia rozpoczynają zatem osoby posiadające już pewien dorobek artystyczny, które w toku nauki będą doskonalić swoje umiejętności, a nie dopiero odkrywać powołanie. Nie dziwi zatem fakt, że studenci Filmówki nie zamieniają swojej uczelni na żadną inną. – „Dlaczego mieliby rezygnować? – odpowiada pytaniem na pytanie pracownik szkoły. – Przeszli przez gęste sito, aby się tu dostać. Wie pani ile osób chciałoby tu studiować? Po ile razy próbują? Jakże są tu egzaminy? Jak się już dostali, to czemu mają rezygnować ze swojej szansy? Nie, z tej szkoły ludzie sami nigdy nie odchodzą”.

Uczelnia jest dobrze i nowocześnie wyposażona; posiada studio filmowe i telewizyjne, teatr studyjny, własny sprzęt filmowy. To szczególnie ważne, gdyż właśnie na aspekt praktyczny edukacji kładzie się szczególny nacisk. Przykładem może być Wydział Aktorski, który jako jedyny w Polsce prowadzi, we współpracy z Wydziałami Reżyserii Filmowej i Operatorskim, zajęcia praktyczne wzbogacone wykorzystaniem technik filmowych. Studenci otrzymują gruntowne przygotowanie techniczne i warsztatowe. Podkreśla się również „rozumną współpracę” między studentami i pedagogami. Jej celem jest zindywidualizowane podejście do przyszłego samodzielnego twórcy dzieła artystycznego, pozostawiające mu znaczną swobodę w realizacji tematu. Wielu studentów ujawnia dużą aktywność w trakcie studiów. Poszukują praktyk, stażów, angażują się w przedsięwzięcia realizowane na terenie uczelni, biorą udział w castingach i konkursach. To pozwala na rozpoznanie swoich możliwości, predyspozycji do zawodu. Wzbogaca też doświadczenie i stanowi znaczącą przewagę nad konkurentami w wyścigu o pracę. Takie sytuacje stwarzają również szansę na to, by dać się poznać od jak najlepszej strony i nawiązać kontakty zawodowe. Powstała też tendencja niekończenia studiów w ustalonym terminie, aby przez cały ostatni rok przygotowywać pracę dyplomową, pozostając niejako dłużej w kręgu powiązań i kontaktów uczelni; pod jej parasolem ochronnym. Przykładem mogą być absolwenci Wydziału Aktorskiego, którzy na ogół po zakończeniu studiów przygotowują dwa, trzy, a nawet czasami cztery spektakle dyplomowe, które następnie prezentowane są w szkole i na festiwalach. Jeśli przedstawienie jest dobre, ciekawe, wtedy studenci zapraszani są na liczne pokazy. Jednak w czerwcu nieuchronnie nadchodzi koniec roku akademickiego i sezonu teatralnego zarazem. Dla wielu wówczas kończy to możliwość współpracy z uczelnią. Dla niektórych niknie także szansa na wykonywanie wyuczonego zawodu.

Pomimo, że uczelnia daje profesjonalne przygotowanie i stwarza potencjalne możliwości rozwoju, sytuacja absolwentów z tytułem magistra sztuki jest znacznie trudniejsza niż kiedyś. Zgodnie dziś uważają profesorowie i studenci. Nie może to dziwić, bo przecież adepci profesji artystycznych podlegają tym samym prawom i wymaganiom rynku, co absolwenci innych uczelni. Wysokie bezrobocie i trudności gospodarcze szczególnie dotkliwie uderzają właśnie w ludzi młodych. Dyplom, nawet najlepszej uczelni, choć jest niewątpliwie dużym atutem, nie gwarantuje kariery, czy pracy w zawodzie. – „Kiedyś było inaczej, lepiej. Studentów kierowano do pracy, żeby mogli robić to, co umieją i lubią. Teraz absolwenci znajdują się w takiej strasznej dżungli, gdzie są inne prawa niż w szkole – uważa jeden ze studentów V roku. – Skończę Szkołę Filmową, ale co będę robił w najbliższym czasie, tego nie wiem. Szkoła tego nie gwarantuje. Wszystko sobie trzeba samemu wywalczyć” – uważa.

Niepokoje młodego pokolenia Polaków odzwierciedlają wyniki badania przeprowadzonego przez pracownię SMG KRC w 2003 r. na zlecenie AIG i „Gazety Wyborczej”, z którego wynika, że w obliczu wysokiego bezrobocia i dekoniu-

ktury gospodarczej, w okresie, kiedy na rynek pracy wkracza pokolenie drugiego powojennego wyżu demograficznego, coraz częściej młodzi ludzie zaczynają postrzegać pracę jako wartość samą w sobie. Rodzi się poczucie ograniczenia możliwości realizowania własnych planów, optymizm ustępuje miejsca ostrożności, a dla wielu najważniejszym staje się „program minimum”, czyli znalezienie pracy w ogóle lub po prostu jej utrzymanie. Nie może to dziwić, skoro 40% badanej populacji nie ma pracy. Taka sytuacja powoduje, że rośnie poziom lęku wśród młodych pracowników i tzw. „myślenie magiczne”, które przedkłada wpływ sprzyjających okoliczności i przypadku nad umiejętności, kwalifikacje i włożony wysiłek. Wzmaga to poczucie rezygnacji i zwątpienia lub też rodzi frustrację u osób o niskiej odporności na sytuacje niepewności i ryzyka. Orientacja na sukces i wiara w swoje możliwości, skłonność do wytyczania dalszych celów zawodowych są zaś stopniowo wzmacniane, o ile wzrasta poczucie sukcesu i stabilizacji pozycji zawodowej.

Nie jest inaczej wśród absolwentów łódzkiej Filmówki. Są osoby, które systematycznie i wytrwale pracują na swój sukces, a każde wyzwanie stanowi dla nich pozytywną motywację, ale też są i tacy, którzy już na studiach popadają w pewnego rodzaju apatię, martwią się tym, co będzie dalej, a swoje szanse na pracę w zawodzie oceniają jako nikłe. „To szkoła dla wybranych, a praca w zawodzie tym bardziej” – mówi jedna ze studentek. Dodatkowo, specyfika zawodów artystycznych sprawia, że rzadko kto ma stałe zatrudnienie, raczej pracuje się od angażu do angażu, na umowę czasową, co nie daje poczucia stabilizacji i wymaga ciągłej aktywności, umiejętności autopromocji i eksponowania własnego dorobku zawodowego.

Przykładem profesji szczególnie narażonej na zmienność passy jest zawód aktora, w którym nieustannie przeplatają się okresy wytężonej pracy i oczekiwania na propozycje. Aktorzy składają w agencjach życiorysy artystyczne, chodzą na castingi, spotkania, starają się być widoczni, ale ostatecznie i tak pozostaje oczekiwanie na telefon z propozycją, co trwa nieraz latami. Renata Pękul po sukcesie filmu „W labiryncie”, na następną propozycję pracy czekała aż trzy lata. – Takie momenty bywają bardzo trudne i uczą pokory. Brak widoczności jest szczególnie dotkliwy dla absolwenta szkoły teatralnej, filmowej. – Wyznała w telewizyjnym programie „Między nami”. Niektórzy zupełnie nie radzą sobie w takich sytuacjach, poddają się, załamują inni decydują się przekwalifikować. – Teraz pracę mają ludzie o dużej sile przebicia, a ta, paradoksalnie, często kłóci się z wrażliwością artystyczną – podkreśla Marek Piwowski. W USA jest około 100 tys. wykwalifikowanych aktorów, którzy czekając na ofertę pracy w zawodzie w międzyczasie wykonują inne, dorywcze zajęcia. Jednak w przeciwieństwie do polskich realiów wcześniej czy później te propozycje nadchodzą. Również w naszym kraju młodzi filmowcy zaczynają sobie uświadamiać, że podejmując inne zajęcia nie przestają być artystami i nie rezygnują definitywnie z wybranej przez siebie drogi.

W dzisiejszych czasach poważnym rywalem aktora na polu zawodowym staje się „człowieku z ulicy”. Nie tylko dlatego, że reżyser może zaproponować

mu rolę obok profesjonalisty, ale raczej ze względu na pewną tendencję, która stawia na programy będące „lustrzanym odbiciem rzeczywistości”, którym brak skondensowania i przetworzenia artystycznego, właśnie aktorskiego, reżyserskiego. Mowa o programach reality show, talk show, teleturniejach, itp., które znajdują bardzo duże zainteresowanie u odbiorcy masowego i dlatego też zajmują znaczącą pozycję w ofertach stacji telewizyjnych. Realizacja tego typu programów stwarza natomiast miejsca pracy dla operatorów, organizatorów, producentów słowem adeptów łódzkiej Szkoły Filmowej o profesjonalnym przygotowaniu technicznym.

Absolwenci, chętnie wybierają duże ośrodki kulturalne, które pozwalają pozostać w kręgu szerszego zainteresowania zarówno publiczności jak i ewentualnych pracodawców, co stanowi pole nowych szans i wyzwań, stwarza większe możliwości rozwoju. Życie pokazuje, że często rezygnują oni z wcześniejszych ideałów, na rzecz stabilności zatrudnienia lub pieniędzy, co dobrze obrazuje wypowiedź studenta IV roku: – Wszyscy musimy z czegoś żyć, więc musimy zarabiać pieniądze. Tylko, że żyć ze sztuki jest trudno... Mam nadzieję, że będę miał możliwość robienia „dobrych” filmów, czegoś, co jest dla mnie ważne, i że będę mógł z tego żyć. A jak nie, to będę robić pieniądze na telenowelach – przewiduje student. Można też kręcić teledyski, reklamówki, itp. Dla twórców starszego pokolenia, przynajmniej na początku było to sprawą wstydliwą. Teraz powoli to nastawienie się zmienia. Młodzi w większości nie wykazują tego rodzaju skrupułów, życie stworzyło im dużo mniej komfortowy start w dorosłość: – Myślę, że można być artystą, tak do końca, ale niestety nie będzie się mieć pracy. Trzeba pójść na jakiś kompromis, choć niektórzy nawet wtedy potrafią coś ważnego przekazać – uważa student V roku produkcji. Młodzi twórcy idą zatem na kompromis, podejmując pracę nie zawsze zgodną ze swoimi oczekiwaniami, czy ambicjami, w nadziei, że kiedyś będzie lepiej. Albo podejmują ryzyko, czekają na swoje „pięć minut”, by móc zadebiutować, jak np. absolwenci wydziału reżyserii. Po zmianach zasad finansowania i uszczupleniu środków asygnowanych przez państwo, ich sytuacja znacznie się pogorszyła. Finansuje się przede wszystkim superprodukcje i ekranizacje lektur szkolnych, a brakuje środków na debiuty, choć z reguły są to dobre i ambitne filmy.

Kandydaci starający się o indeks łódzkiej Szkoły Filmowej doskonale zdają sobie sprawę z sytuacji na rynku pracy. Jednak prognozy na przyszłość mogą wydawać się optymistyczne skoro w tym roku o 9 miejsc na reżyserii starało się 120 osób, a na wydział aktorski spośród 400 przyjęto 20. Ci młodzi ludzie nie zrażają się bezrobociem – może to właśnie ich zdolności, nowe pomysły i zapał do pracy będą w stanie odmienić polską kinematografię?

Magdalena Ryłska
– socjolog

W służbie medycyny

Biomateriały z „Tricomedu”

„Samofinansujący się ośrodek badawczo-naukowy, wysoko zaawansowana technologia i technika, interdyscyplinarność dociekań – zweryfikowane dziesiątkami tysięcy zabiegów operacyjnych. Uznanie świata medycznego dokumentowane w konferencjach MEDTEKSTYLIA. – Dla Łodzi, to jasny promyk w nauce i technice.”

nauka

Prof. Janusz Szosland,
Prezes Honorowy Stowarzyszenia Włókienników Polskich

W tym roku minie 45 rocznica podjęcia w Polsce prac nad wytwarzaniem i zastosowaniem wszczepiennych biomateriałów włókienniczych. Pionierami na tym polu stali się naukowcy z Pracowni Artykułów Medycznych Centralnego Laboratorium Dziewiarstwa w Łodzi, będącego naukowo-badawczym zapleczem przemysłu dziewiarskiego.

Od 1958 roku kierownikiem Pracowni Artykułów Medycznych był inż. Zdzisław Zbieranowski. W 1959 roku Pracownię przemianowano na Zakład Artykułów Medycznych (ZAM), a CLD na Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Dziewiarskiego. Zbieranowski był inicjatorem prac badawczych nad biotekstyliami. W 1959 roku na konferencji RWPG w Bukareszcie usłyszał, że Czesi rozpoczęli prace nad dzianą protezą naczynia krwionośnego. To był pierwszy impuls. Drugim impulsem stał się list profesora Jana Molla z września 1960 roku, w którym zachęcał do podjęcia prac w tym właśnie kierunku. Niedługo potem warszawski chirurg Jan Nielubowicz przekazał inż. Zbieranowskiemu amerykańskie wzory protez naczyń krwionośnych. W USA prace nad wszelkiego rodzaju biomateriałami, czyli tzw. „częściami zamiennymi” dla człowieka, rozkwitły w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Chirurdzy Michael de Bekay i Danton Cooley wykonali wtedy pierwsze udane zabiegi wszczepienia ludziom protez naczyń krwionośnych.

W 1960 roku w USA użyto po raz pierwszy nazwy „bionika” na określenie nowej nauki z pogranicza biologii i techniki, badającej strukturę i funkcjonowanie organizmów, w celu wykorzystania uzyskanych wyników do konstruowania urządzeń technicznych. To bionice zawdzięczamy między innymi sztuczne nerki, płuco-serce, czy protezy stawów. Stąd już tylko krok do wyrobów, jakie zaczęto projektować i wykonywać w ZAM. Niemal wszyscy członkowie zespołu byli absolwentami Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej.

Tętnice z dzianiny

Prace badawcze nad pierwszymi dzianymi protezami naczyń krwionośnych, głównie z przedz poliestrowych, rozpoczął zespół w składzie: Zdzisław Zbieranowski, Czesław Okrojek, Andrzej Nawrocki i Przemysław Granas. Współpracowali z nimi chirurdzy: Jan Nielubowicz, Jan Moll, Andrzej Alichniewicz, Kazimierz Dębicki, Jerzy Pryczkowski, Henryk Kuś, Jan Berner, Krystyna Kasprzak. Jak okazało się później, zaczęli od produktów najtrudniejszych z punktu widzenia technicznego, a także medycznego. Nie było przecież żadnej dokumentacji technicznej więc należało dokonać szerokiej, fizykochemicznej analizy wielu surowców. Badania histopatologiczne wykazały, że najlepszym materiałem do prac będzie włoska przędza poliestrowa Tertial. Pierwsze protezy naczyń krwionośnych wykonano w Łodzi na dość powszechnie używanej maszynie dziewiarskiej, szydełkarce płaskiej. Przeprowadzone badania chemiczne i metrologiczne były zadowalające. Doświadczenia na zwierzętach zakończyły się sukcesem. Protezy były w pełni drożne i funkcjonowały właściwie.

Na świecie przez dziesiątki lat, już od początku XX wieku, prowadzono liczne próby wykonania sztucznych naczyń krwionośnych. Nie sprawdził się jednak żaden z używanych do tego celu materiałów: drewno, glin, złoto, srebro ani szkło. W miejscach połączeń z naturalną tętnicą następowały krwotoki i zmiany zakrzepowe. Mimo to doświadczenia trwały. W latach pięćdziesiątych zaczęto badać możliwość zastosowania coraz powszechniej występujących i coraz lepszych tworzyw sztucznych, na przykład metakrylanu, czy polietylenu. Na dłuższą metę i te okazały się niewypałem. Dokładniejsze obserwacje organizmu ludzkiego pozwoliły wyciągnąć wniosek ostateczny: protezy winny być wykonane z materiałów porowatych, pozwalających zachować określoną przepuszczalność i obojętnych biologicznie. Zwyciężyło włókiennictwo, a ściślej dziewiarstwo. Po pierwszych próbach z zastosowaniem protez szytych – początkowo ręcznie z nylonu – (w 1955 r. produkowano je w USA fabrycznie) okazało się, że szybko tracą one wytrzymałość na rozciąganie i wywołują nadmierny odczyn zapalny. W 1957 roku powszechnie zaczęto stosować dacron (poliester) i teflon. Zauważono, że porowata, przepuszczalna proteza stanowi tylko rusztowanie, na którym już w trakcie operacji odkłada się warstwa płytek krwi, stopniowo zmieniających się w masę elementów komórkowych przylegających do ścian naczynia je uszczelniających. Później zaczęto stosować uszczelnianie protez krwią pacjenta przed wszczepieniem do organizmu. Struktura materiału dzianego, składającego się z oczek, po około dwóch tygodniach od wszczepienia zaczynała przerastać tkanką. Badając protezę, przez kilka lat funkcjonującą w organizmie ludzkim stwierdzono, że tak szczelnie pokryły ją elementy komórkowe, iż z trudem można było dostrzec przerośnięte włókna przędzy. Od strony konstrukcyjnej zauważono, że sfałdowanie powierzchni protezy naczynia krwionośnego, pozwala ją skracać lub wydłużać, co ułatwia chirurgom przeprowadzenie zabiegu.

Do wykonania biomateriałów konieczna jest doskonała znajomość fizjologii organizmu ludzkiego, aby móc wyobrazić sobie funkcję, jaką spełniać ma proteza i warunki, w jakich będzie działać, oraz znajomość technik operacyjnych, aby dostosować protezę do ich możliwości i ograniczeń. Trzeba również zapewnić biogodność tworzywa protezy, żeby organizm ją zaakceptował. Dodatkowo należy liczyć się z możliwością powikłań i tak przygotować wszczepiany biomateriał, aby można było łatwo go usunąć. Protezy nie mogą zawierać składników szkodliwych dla organizmu, muszą posiadać określone właściwości biologiczne. Ważna jest także masa aplikowanego materiału. Im mniejsza, tym lepiej. Na przykład proteza naczyniowa waży 7 gramów. W protezach dzianych istotna jest wielkość oczka, powierzchnia prześwitów oczek, grubość przędzy i przepuszczalność. Istotne są też: stopień zwilżalności protezy, zawartość ładunków elektrostatycznych na jej powierzchni, struktura protezy (tkana, dziana, pleciona), rodzaj jej powierzchni (typ splotu dzianiny), wysoka wytrzymałość mechaniczna i chemiczna czystość, oraz szczelne i funkcjonalne opakowanie zapewniające utrzymanie jałowości produktu i łatwość otwierania.

Uratowana ręka rolnika

6 czerwca 1961 r. w Gdańsku wszczepiono polską protezę pierwszej pacjentce – Annie Morawskiej. Operację wykonali dr Jerzy Pryczkowski i prof. Kazimierz Dębicki. Kobieta cierpiała na schorzenia dość typowe. Warto bowiem zaznaczyć, że do operacji takich kwalifikują się najczęściej pacjenci w podeszłym wieku, ze zmianami miażdżycowymi. Dlatego tak ważny jest przypadek drugiego zoperowanego 22 czerwca 1961 roku pacjenta. Młody rolnik uległ wypadkowi przy pracy w polu. Gdyby nie natychmiastowe wszczepienie tętnicy podobojczykowej, straciłby rękę. Ten nowatorski zabieg wykonał profesor (wówczas dr) Henryk Kuś z Wrocławia. Dzisiaj, 43 lata po wypadku, Eugeniusz Kozłowski cieszy się dobrym zdrowiem, a uratowana ręka jest w pełni sprawna.

Zespół pasjonatów pod kierownictwem dr. inż. Zdzisława Zbieranowskiego prowadził badania nad kolejnymi biomateriałami i wyrobami medycznymi. Jako pierwsi na świecie opracowali naczynia krwionośne uszczelniane kolagenem. Była to praca habilitacyjna współpracującego z nimi dr. (obecnie prof.) Wojciecha Noszczyka. Niestety w r. 1978 dr Zbieranowski został po niespełna 20 latach administracyjnie odsunięty przez ówczesnego zwierzchnika od prac nad biomateriałami i skierowany do innych obowiązków. Skutkiem przeżytych stresów była emigracja całej rodziny Zbieranowskich do Kanady.

W 1978 kierownictwo Zakładu Artykułów Medycznych objął inż. Czesław Okrojek. Rozbudowywanemu zespołowi przekazał sporą wiedzę włókienniczą. Jego zastępcą został młody, wybitnie uzdolniony mgr inż. Krzysztof Raczyński, który rozszerzył prace naukowe, produkcyjne oraz współpracę z lekarzami. Zaczęto konstruować i instalować wysoko specjalistyczne maszyny dziewiarskie. Zautomatyzowano wiele czynności technologicznych. W tym celu projektowano i budowano urządzenia

nie mające pierwowzorów. Między innymi, we współpracy z Instytutem Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą, opracowano i wdrożono metodę sterylizacji radiacyjnej biomateriałów wraz ze specjalistycznymi, nowoczesnymi opakowaniami. Rozwinięto wytwarzanie protez kości czaszki, więzadeł, ścięgien, przełyku, powięzi mięśni i wielu innych biomateriałów. Produkcja protez ścięgien, więzadeł, siatek chirurgicznych, elastycznych bandaży i siatek opatrunkowych przynosiła zysk. Umożliwiało to finansowanie dalszych badań nad doskonaleniem różnych odmian polskich protez naczyniowych.

W latach 1980 -1995 zespół: Czesław Okrojek, Krzysztof Raczyński, Alicja Dyczka, Krystyna Lesiakowska, Hanna Zubrzycka, Ewa Maciejewska, Teresa Terpiał-Koszmider, Eugeniusz Przyborowski, Zygmunt Majcherek, Zofia Gawlikowska-Hatlas, Jacek Bekier, Anna Wolska, Jolanta Bożek-Sobol, korzystając z nowoczesnego zaplecza technicznego, opracował i wdrożył do produkcji wiele nowych, unikatowych biomateriałów odpowiadając na potrzeby zgłaszane przez lekarzy, które od początku działania ZAM, zawsze były jedną z głównych przyczyn podejmowania kolejnych wyzwań.

Powstanie „TRICOMEDU”

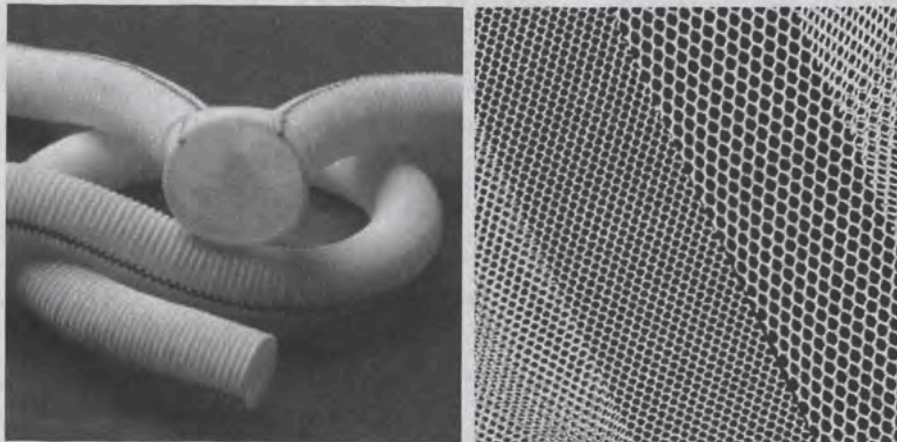
W tym czasie zmieniły się w Polsce warunki gospodarcze, należało podjąć działania dostosowawcze. W 1986 r. Krzysztof Raczyński przejął kierownictwo Zakładu po Czesławie Okroju, który z przyczyn zdrowotnych odszedł na rentę. W umyśle inż. Raczyńskiego powstał pomysł utworzenia prywatnej, medycznej firmy naukowo-produkcyjnej. Ponieważ propozycja Raczyńskiego, aby Centralny Ośrodek Badawczo Rozwojowy Przemysłu Dziewiarskiego przekształcić w Instytut Biomateriałów została odrzucona, inż. Raczyński wraz z zespołem podjął decyzję o usamodzielnieniu się ZAM. W efekcie, 28 lipca 1995 r. powstała spółka akcyjna TRIKOMED ze 100 procentowym kapitałem polskim. To jedna z nielicznych tego typu firm na świecie, jedyna w Polsce. Prezesem jednoosobowego zarządu został mgr inż. Raczyński.

Spółka wynajmowała pomieszczenia od COBR, który się przekształcił w tym czasie w Instytut Technologii Dziewiarskich – TRICOTEXTIL, wykupiła od Instytutu logo TRICOMED i patenty autorstwa swoich specjalistów. Odkupiono również maszyny i urządzenia, zakupione wcześniej dla potrzeb ZAM. Po dwóch latach pracownicy spłacili kredyty zaciągnięte na zakup akcji. W ciągu kilku lat wartość akcji spółki wzrosła kilkudziesięciokrotnie. Do 2003 roku firma prosperowała świetnie. Nie tylko utrzymano, ale nawet zwiększono zatrudnienie. Spółka osiągała zyski, inwestowała, wprowadzała na rynki światowe kolejne, coraz nowocześniejsze wyroby medyczne. W roku 2002 rentowność wyniosła 9,8%, a zysk netto 286 tys. zł. „Produkty TRICOMEDU, które na początku były niezłe, ostatnio stały się doskonałe” – powiedział wtedy ordynator oddziału chirurgii ogólnej szpitala im. Sonnenberga w Łodzi, dr Andrzej Kling.

Najwyższa jakość

Wszystkie biotekstylia TRICOMEDU są oryginalnymi, polskimi rozwiązaniami. Proteza czaszki – CODUBIX, na bazie której opracowano także protezy żeber, szczelna proteza naczyń krwionośnego, samoczynnie uszczelniająca się krwią pacjenta – DALLON H i sztuczna powłoka brzuszna dla noworodków z wytrzewieniem (wada wrodzona polegająca na nie wykształceniu się powłoki brzusznej) – TEGMENTUM, to wyroby unikatowe. Z kilkudziesięciu produktów oferowanych przez TRICOMED w ponad 20 grupach asortymentowych, znaczną część stanowią biomateriały wszczepiane do organizmu. Są to m.in.: zamki do wielokrotnych laparotomii (takim suwakiem wszytym na kilkanaście dni, chirurg może wielokrotnie otwierać brzuch chorego) – ABDOCLICK, siatki chirurgiczne do operacyjnego leczenia przepuklin – DALLOP, poliesterowe protezy więzadeł i ścięgien – DALLOS, oraz wiele materiałów dla neurochirurgii, onkologii, kardiochirurgii, ginekologii, stomatologii, okulistyki, chirurgii plastycznej. Producent oferuje również materiały opatrunkowe, na czele z syntetyczną skórą – CODOGARD, wyroby służące do rehabilitacji, jak na przykład – CODOPRESS – wyroby uciskowe zapobiegające tworzeniu się bliznowców po oparzeniach, czy kołnierze ortopedyczne. Są to produkty najwyższej jakości, niezawodne, bo TRICOMED nie uznaje kilkustopniowej skali jakości. Aby jednak takie były, muszą przejść długą drogę prób i testów. Obecnie znacznie ogranicza się badania na zwierzętach. Zastąpiły je symulacje i analizy komputerowe, oceny, badania kliniczne, obserwacje z zabiegów i operacji, opinie lekarzy i wiele innych działań. Prototyp przechodzi skomplikowane badania laboratoryjne. Cały proces, trwający 5-6 lat, kończą procedury rejestracyjne.

Biomateriały opracowywane, testowane, wdrażane i produkowane przez TRICOMED, wielokrotnie potwierdziły swój wysoki standard i z powodzeniem konkurowały z wyrobami renomowanych firm światowych. Prężny Dział Marketingu i Sprzedaży pod kierownictwem inż. Teresy Terpiat-Koszmider bez trudu znajdował nabywców na całym świecie. Dowodem na to był eksport do Anglii, Niemiec, Meksyku,



Włoch, Chin, Syrii, Turcji, Litwy i Rosji. Prace badawcze prowadzone we współpracy z wybitnymi specjalistami polskimi i zagranicznymi, na przykład z Niemiec, są formą uznania dla działalności i osiągnięć naukowców z TRICOMEDU. Dowodem wysokiej jakości produkowanych wyrobów jest uzyskanie przez firmę licznych krajowych i zagranicznych certyfikatów. W roku 2000 TRICOMED otrzymał certyfikat systemu zarządzania jakością ISO 9001.

Zasadą jest ścisła współpraca załogi z pomysłodawcami, którymi często są lekarze, głównie chirurdzy. W jej wyniku powstało ponad 60 rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. Zarejestrowano blisko 60 wynalazków i patentów będących wspólnym dziełem inżynierów i lekarzy. Ten bliski, bezpośredni kontakt zaowocował rozwojem firmy. Udało się też nawiązać bezpośrednią współpracę naukową z zagranicą. Dzięki temu narodził się eksport do Chin, Niemiec, Meksyku i Włoch. Warto też wspomnieć o wspólnym projekcie Victora Miramontesa z Meksyku i Krzysztofa Raczyńskiego, dotyczącym implantu stabilizującego odcinek lędźwiowy kręgosłupa. Istotą tego pomysłu jest całkowita eliminacja stosowanego dotychczas metalu. Implant wszczepiono już – z doskonałym skutkiem – kilkuset pacjentom za oceanem. W Polsce pierwszy taki zabieg przeprowadzono w grudniu 2002 roku. Ciągłe jeszcze polskie szpitale dają się łatwo złapać na lep agresywnego marketingu firm zachodnich, nie zawsze dostrzegając, lub nie chcąc dostrzec, że polskie doświadczane firmy oferują produkty niejednokrotnie lepsze. I do tego – co nie jest bez znaczenia – znacznie tańsze.

Do chwili obecnej, około 100 tys. pacjentów ma wszczepione biomateriały produkcji łódzkiego TRICOMEDU.

* * *

Na początku 2003 roku większościowy pakiet akcji przejął dotychczasowy udziałowiec spółki – Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych. Z funkcji prezesa odsunięto, z powodu różnicy zdań na temat dalszego rozwoju przedsiębiorstwa, dr. Krzysztofa Raczyńskiego. Tak oto, twórca wizerunku i pozycji TRICOMEDU odszedł po 25 latach pracy dla firmy, której wybitnie unikatowa wartość rynkowa powstała w znacznym stopniu dzięki jego pomysłom i pragmatycznym działaniom.

Danuta Gruszczyńska
– niezależna dziennikarka, publikuje w łódzkiej prasie.

kultura

Lodzermensch nowej Łodzi

O Antonim Szramie – twórcy muzeów i stylu życia

Maria Sondej

str. 65

Raport zwykłego miasta

III Festiwal Dialogu Czterech Kultur

Marek Strąkowski

str. 73

Między awangardą a bezradnością tradycji

Łódzkie życie artystyczne (1)

Gustaw Romanowski

str. 83

Proces w starej konstrukcji

I Łódź Biennale

Marek Strąkowski

str. 88

W poszukiwaniu kina wyzwań naszego czasu

Festiwal Mediów „Człowiek w zagrożeniu”

Mieczysław Kuźmicki

str. 95

Stolica pubów miastem poezji

Twórczością para się coraz więcej łódzian

Joanna Napiórkowska

str. 101



Negatywy utrwalonej historii

55 lat działalności Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego

Hubert Kubasiewicz

str. 106

Muzy przy krosnach

Kultura fabrycznej Łodzi

Jerzy Urbankiewicz

str. 110

Uczy szacunku do kultury fizycznej

Muzeum Sportu i Turystyki

Kamila Cybulska

str. 113

Zdecydowanie przyjemne spotkania ze sztuką

Dziesięciolecie Ogólnopolskiego Festiwalu

Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych

Agata Winer

str. 118

Lodzermensch nowej Łodzi

O Antonim Szramie

– twórcy muzeów i stylu życia

*Odkąd wszedł na burżujskie sale
Nie zabytki mu w głowie, lecz bale.*

(fraszka o Antonim Szramie
autorstwa Mieczysława Michała Szargana)

kultura

Antoni Szram do dziś żałuje, że nie udało mu się uratować przed zniszczeniem tzw. domków tkaczy. Jeszcze w latach siedemdziesiątych kilka z nich tworzyło oryginalny relikw starożytnej Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej. Ich zburzenie uważa za swoją klęskę. – *To był mój pierwszy konflikt z ówczesnymi władzami miasta. W miejscu zabytkowych domów rosną dziś brzozy-samosiejki – irytuje się. Za swoją przegraną uważa także to, że park ródliński nie został przekazany Muzeum Kinematografii. Chciał zrobić w nim galerię scenografii filmowej i rzeźby. – Bo co to za rezydencja bez parku!*

Zbigniew Nowak, redaktor naczelny „Tygla Kultury”, tak tłumaczy uhonorowanie Antoniego Szrama „Sprężyną 2000”: – *To współczesny Lodzermensch, który wiele dla Łodzi zrobił i bardzo ją zmienił. Pismo przyznaje to wyróżnienie ludziom, których działalność „wprowadza ożywczy ferment kulturalny w Łodzi albo w regionie i wykracza poza zwyczajowo przyjęte obowiązki”.*

Dzikość łódzkiej architektury

Antoni Szram dziś mówi, że odebrał tę nagrodę z radością, ale i z żalem. – *No cóż, w moim przypadku wyrobiła się już ta sprężyna – stwierdza ze smutkiem. Do Łodzi przyjechał z Poznania, gdzie ukończył historię sztuki i od dzieciństwa mieszkał. Łódź go zafascynowała, twierdził, że jest inna niż wszystkie miasta Europy. – Nie można było nie zachwycić się dzikością łódzkiej architektury przemysłowej. Ta czerwień murów i bluesowy rytm pracujących czółenek w maszynach włókienniczych, to robiło wrażenie. A poza tym zawsze największą prowokacją jest kobieta. Ja też poznałem w Łodzi kobietę i tu zostałem, również dzięki niej – opowiada Antoni Szram. – Mnie, „poznańskiej pyrze”, Halusia zaimponowała swoją bogatą osobowością i kontaktami ze światem artystycznym. Mowa tu o pierwszej żonie, nieżyjącej już Halinie Morawskiej, znakomitej znawczynie teatru i pięknej kobiecie.*

Zostali małżeństwem, on dość szybko doszedł do znaczącej funkcji w mieście. – *W wieku 25 lat miałem i syna, i urząd – śmieje się. Ten urząd to było stanowisko Konserwatora Zabytków Miasta.*

Wcześniej pracował w Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, inwentaryzując wykonane przez politycznych więźniów rozmaite przedmioty: wisiorki, bransolety, obrazki. Zajął się także krytyką plastyczną, razem z Gustawem Romanowskim redagowali dla działu kultury Głosu Robotniczego kolumnę poświęconą tej dziedzinie twórczości, a później, w latach 70. to samo robili w popularnym tygodniku „Odgłosy”.

W 1974 roku obydwaj pojechali do Paryża. – *Każdy z nas dostał urzędowy przydział bodajże stu czy stu pięćdziesięciu dolarów i za to żyliśmy w stolicy Francji przez miesiąc* – wspomina Romanowski. Mieli list polecający do dyrektora stacji PAN i dostali tanie lokum w polskim hoteliku. Jedli przywiezione z Polski konserwy i zupy w proszku, po Paryżu chodzili pieszo. Żał im było wydawać pieniądze na metro, zwiedzili za to wszystkie paryskie muzea. – *Antek był mądrym i fajnym kompanem. Mieliśmy ścisły i stały podział obowiązków: ja gotowałem, on zmywał.*

Fabryki piękne jak rzymskie akwedukty

Jako konserwator zabytków Antoni Szram nawoływał: „trzeba ratować Łódź zabytkową!” Ponad 30 lat temu pisał proroczo o łódzkich kamienicach i fabrykach: „Kiedyś będą nie mniej warte podziwu niż rzymskie akwedukty”. On, Wielkopolanin (choć urodzony we Lwowie) przekonywał, że secesyjne kamienice zasługują na szacunek. – *Jemu zawdzięczamy zmianę świadomości samych Łódzian na temat ich miasta* – uważa Nowak.

Potwierdza to Piotr Uznański, prezes Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Łodzi. – *Szram ujrzał piękno w mieście, które nie podobало się jego rodowitym mieszkańcom. On pierwszy zaczął mówić o Łodzi jako o mieście zabytkowym* – podkreśla. Według niego dużą w tym rolę odegrały głośne sesje naukowe, organizowane w Łodzi przez to stowarzyszenie w latach 70. XX wieku. Istotnie, w listopadzie 1971 r. sesja zatytułowana „Sztuka II połowy XIX wieku” zakończyła się przyjęciem przez uczestników uchwały, w której historycy sztuki po raz pierwszy potwierdzili kulturową rangę łódzkiej architektury oraz postulowali, że należy ją otoczyć opieką. Sesji towarzyszyła przygotowana przez Antoniego Szrama wystawa łódzkich zabytków. – *Przedstawiłem także program ich ochrony, proponując kolejność remontu i zmianę użytkowników. Bo sam remont to za mało, równie ważne jest znalezienie użytkownika, który o budynek będzie dbał* – twierdził Szram.

Wśród autorów zdjęć eksponowanych na wystawie Szram znalazł Andrzeja Wachę, z którym potem zrealizował album zatytułowany „Architektura Łodzi przemysłowej”. Po tej publikacji Wach z prasowego fotoreportera zmienił się w artystę. – *On sam przyznaje, że szczęśliwie stanąłem na jego drodze* – mówi Antoni Szram.

Album został wydany z inicjatywy Konserwatora Zabytków Miasta. – *Czyli mojej. Teraz uznano by to za nadużycie władzy, bo sobie samemu zleciłem ten temat. Ale ja wtedy miałem największą wiedzę z tej dziedziny, miałem materiały archi-*

walne. Dlaczego? Bo w czasach, gdy w Związku Radzieckim wszystko było tajemnicą, udało mi się dokonać cudu. Wpuścili mnie do archiwum uczelni w Petersburgu (wtedy – w Leningradzie), którą kończyła większość budujących Łódź architektów XI w.

Zrozumiałe, że gdy w 1974 r. Andrzej Wajda zaczynał zdjęcia do „Ziemi obiecanej”, konsultantem tego dziejącego się w Łodzi filmu mógł być tylko Antoni Szram.

Odślonięcie stiuków

W 1975 roku Szramowi znudziło się być miejskim konserwatorem. Pod koniec urzędowania stworzył jeszcze Biuro Dokumentacji Zabytków, które zajęło się inwentaryzacją, oraz sprawił, że do urzędowego rejestru zabytków wpisano 230 łódzkich obiektów. To był ogromny sukces.

Ale on już chciał zająć się czymś innym. Zainteresował się dawnym pałacem Poznańskiego przy ulicy Ogrodowej, w którym mieścił się urząd wojewódzki. Ozdobne stiuki zabudowano gładkimi ścianami (zrobili to w czasie wojny Niemcy), sala lustrzana została w połowie wysokości podzielona dodatkowym stropem, dzięki czemu zyskano dwa poziomy pokoje biurowe, a w sali jadalnej odbywały się posiedzenia Frontu Jedności Narodu.

To z inicjatywy Szrama urząd z pałacu wyprowadzono a jego dwa skrzydła zostały przeznaczone na siedzibę powstającego Muzeum Historii Miasta



Łodzi. Organizatorem nowej placówki i przez dziesięć lat jej dyrektorem był Antoni Szram. Gromadził wszystko, co mu wpadło w ręce. W muzeum utworzył m.in. Galerię im. Artura Rubinsteina, wydzielił odrębny dział poświęcony łódzkiemu sportowi.

W 1986 r. odszedł, by stworzyć kolejną placówkę: Muzeum Kinematografii. Na jego siedzibę wskazał pałac Scheiblera przy placu Zwycięstwa. – *W ten sposób sam realizował ideę, żeby fabrykanckie pałace odnawiać i przywracać im dawną świetność przez lokowanie w nich instytucji kultury* – mówi Gustaw Romanowski.

Antoni Szram kierował Muzeum Kinematografii przez 14 lat, do 2000 roku. Także i tutaj zainicjował remont gmachu i zdołał dużą część tego remontu przeprowadzić. W placówce organizował barwne wernisaże i wystawy pokazywane także za granicą, promował książki, urządzał spotkania z filmowcami. Za osiągnięcie uznano cykle imprez związanych z premierami filmów: „Ogniem i mieczem” (muzealne wydarzenie roku – Sybilla '99) i „Pan Tadeusz”. Muzeum przyznawało także swoje nagrody – „Artury” – za wybitne osiągnięcia filmowe.



Fachowcy z importu

Antoni Szram ma jeszcze jedną dla Łodzi zasługę: sprowadził tu wielu fachowców z dziedziny historii sztuki, którym pomógł znaleźć pracę i mieszkanie. Znajdował ich głównie w Poznaniu i Toruniu. Jest wśród nich prof. Ewa Marxen-Wolska i jej mąż, prof. Jerzy Wolski („kupił nas mieszkaniem”), Bronisław Podgarbi – dziś konserwator wojewódzki, Wojciech Walczak – kustosz muzeum w Pabianicach, Małgorzata Lauren-

towicz – kustosz w MHML, Bożena Pietraszczyk – wicedyrektor tego muzeum. Śluzaczka Małgorzata Laurentowicz przyjechała do Łodzi w 1972 roku jako jedna z pierwszych. Ukończyła konserwatorstwo i zabytkoznawstwo w Toruniu (gdzie była studentką prof. Wolskiej). Na Łódź namówił ją pochodzący z Pabianic kolega z roku, Wojciech Walczak. – *Gdy spotkałam się z Antonim, zrobił na mnie ogromne wrażenie: przystojny, młody człowiek, w czerwonym swetrze z szetlandu i w czarnych sztruksowych spodniach. To było połączenie playboya z wizjonerem – wspomina. – Cały czas barwnie opowiadał o swoich planach. I tak mnie ten jego zapał zachęcił, że przyjechałam.*

– *Mnie także w jakimś sensie tu ściągnął – śmieje się Piotr Uznański. Ukończył historię sztuki na KUL-u, ale nie znalazł pracy w swoim zawodzie. Ożenił się z łodzianką i w czasie jednego z pobytów w Łodzi został przedstawiony Szramowi, wówczas dyrektorowi MHML. – Przyjął mnie w swoim gabinecie. „Przyjeżdżaj, chłopie, do Łodzi, tu znajdziesz pracę i mieszkanie”. Tak mnie przekonywał. Nawet wystąpił na piśmie do mojego pracodawcy, prosząc o „przekazanie” mnie do łódzkiego muzeum.*

Piotr Uznański stawiał się do pracy 2 stycznia 1983 roku, ale etatu już dla niego nie było. Udało mu się zatrudnić w Ośrodku Badań Dokumentacji Zabytków. – *Jakiś czas miałem do Szrama żal. Ale i tak do niego trafiłem, gdy został dyrektorem Muzeum Kinematografii. Pracowaliśmy razem przez dwa lata – wspomina Uznański.*

Jakim Szram był szefem? – *Przychodził do pracy wcześniej i był w muzeum długo, żył nim. Ale od nas nie oczekiwał przesiadywania po godzinach. Chyba, że montowaliśmy nową wystawę albo odbywała się jakaś impreza, wtedy pracowaliśmy do skutku – opowiada Uznański.*

Także w jego wspomnieniach Szram swoje wielkie wizje próbował zaszcześcić innym. – *Nawet jeśli tylko fragmenty pomysłów udało mu się zrealizować to ich waga sprawia, że tego człowieka trzeba uznać za wyjątkowego – uważa Uznański.*

Antoni czyli Marek

Nowak: – *Szram był kolorową postacią, także zewnętrznie. Nieustannie się zmieniał: z wąsami lub bez, z brodą długą jak patriarcha albo bez zarostu. Ciągłe wyglądał inaczej. Potrafił tworzyć w Łodzi taką atmosferę, jak Piotr Skrzynecki w Krakowie. Pamiętam go z imprezy sylwestrowej w 1980 roku, zatytułowanej „Magiel”, którą organizował. W białych butach, muszce i czarnej marynarce prowadził „część artystyczną”. To wtedy w nieco frywolnych okolicznościach powiedział słynne: „Czwartego rozbioru nie będzie”, gdy publiczność domagała się kolejnego striptizu.*

Zbigniew Nowak ubolewa, że Antoni jest dziś człowiekiem stonowanym, nie tak skorym do zabawy, jak kiedyś. A bywało ciekawie!

Szram zawsze chętnie bywał w Klubie Dziennikarza, który mieścił się przy ul. Piotrkowskiej 96. Dostępnie zaprzyjaźnił się ze znanym malarzem, Konstantym Mackiewiczem, który moczył na obiad suchary w herbacie i popijał

koniakiem. Wpadał też tam często znakomity aktor Ludwik Benoit. On z kolei nauczył młodszego kolegę mieszać koniak z piwem. – *Teraz piję koktajle tylko z białą wódką* – informuje Szram.

Wspomina Ireneusz Kowalewski, szef Stowarzyszenia Jazzowego „Melomani”: – *Spotykaliśmy się często, bo bywaliśmy na tych samych bankietach i w tych samych lokalach. Najpierw była linia prosta: Klub Plastyka – „Siódemki” – Spatif, która zamieniła się w trójkąt: „Fraszka” przy ul. Piotrkowskiej 56 – Klub Plastyka – Spatif. Skład bywalców był otwarty, pamiętam m.in. Tadzia Piechurę, rzeźbiarza Rodanowicza, braci Erolów i Joczów. Z boku wyglądało to tak, jakby się nieustannie bawili. – Ale tak naprawdę, to te zabawy były ciężką pracą, przy restauracyjnych stolikach powstawały rozmaite pomysły na różne imprezy, koncerty, wystawy.*

Także Małgorzata Laurentowicz pamięta, że najciekawsze dyskusje z udziałem Szrama toczyły się w lokalach gastronomicznych. – *Antoni lubił balować, ale w trakcie tych spotkań zawsze toczyły się ostre dyskusje na poważne tematy. Wymyślaliśmy rozmaite zadania i kłóciliśmy się o to, jak je najlepiej zrealizować. Były to kłótnie twórcze, zakończone konkretnym projektem. Czasem był to projekt szaleńczy, ale nawet takie Szram umiał wcielać w życie.*

Nie dla wszystkich był Antonim, wiele osób mówi do niego *per* Marek. Przyczyna tkwi w... praktyczności poznaniaków. Imieniny Antoniego są w czerwcu, a poznańscy studenci mieli już wtedy wakacje, by w ich akademikach



można było ulokować uczestników międzynarodowych targów. By nie tracić wspólnych przyjaciół imieninowych u kolegi, przechrzcili go na Marka, bo Marek ma swoje święto w kwietniu. I tak zostało. – *Ale wolę Antoniego* – przekonuje Szram.

Wszyscy jego znajomi podkreślają, że jest bardzo życzliwy ludziom. Ma przyjaciół w rozmaitych środowiskach. – Na wręczenie „Sprężyny” zaprosiliśmy gości według listy Szrama, dzięki czemu obok siebie usiedli ludzie z przeciwnych obozów politycznych – dziwi się Nowak.

Pigułka na zdrowie

Niedawno Stowarzyszenie Historyków Sztuki przyznało Antoniemu Szramowi (który przez dwie kadencje był prezesem łódzkiego oddziału) Honorowe Członkostwo stowarzyszenia. – *Jego dokonania zawodowe nie podlegają w naszym środowisku dyskusji, chociaż są w Łodzi ludzie, którzy chcą pomniejszyć jego zasługi* – mówi Piotr Uznański. – *Od co najmniej dziesięciu lat musi się bronić przed różnymi atakami. Koledzy ze stowarzyszenia kilkakrotnie występowali w jego obronie, gdy groziła mu utrata pracy czy stanowiska.*

Jednak pracę stracił. Poważnie zachorował i odwołano go z funkcji dyrektora Muzeum Kinematografii. Po wyzdrowieniu został pełnomocnikiem prezydenta Łodzi do spraw wpisania Księżego Młyna na listę dziedzictwa światowego UNESCO. Przygotował odpowiedni wniosek i nawet doprowadził do opracowania specjalistycznej dokumentacji zabytkoznawczej i technicznej. Jednak Księży Młyn do tej pory nie trafił na listę UNESCO, a Antoni Szram został bezrobotnym.

Na szczęście nie na długo; obecny dyrektor MHMŁ, Ryszard Czubaczyński, zaproponował mu prowadzenie placówki, którą Szram stworzył w 1982 roku, czyli Muzeum Sportu. Mieści się ono w hali sportowej przy ul. ks. Skorupki. – *To pierwszy w powojennej Polsce obiekt tego typu, zbudowany z wielkim rozmachem. Na tamte czasy łódzka hala była bardzo nowoczesna, ale dziś już ją „uzabytkowiam”* – mówi Szram. Nie ma nikomu za złe, że znalazł się „na bocznicy”. Znowu, jak kiedyś, ma głowę pełną nowych pomysłów. Chce stworzyć w Łodzi Aleję Gwiazd Sportowych. Między hotelem Centrum a ul. Sienkiewicza mają być ustawione pierścienie na tle kół olimpijskich, a każdemu pochodzącemu z łódzkiego regionu sportowcowi-olimpijczykowski będzie poświęcony osobny znicz oraz informacja. Autorem projektu plastycznego jest Tadeusz Piechura. – *Za rok wszystko będzie gotowe, dopinane są projekty prac niwelacyjnych. Pieniądze się znajdują* – podkreśla.

Cieszy się, że wśród około 30 tys. eksponatów jest także pochodnia, która w 1936 r. przeniosła „święty ogień” na stadion olimpijski w Berlinie. Muzeum kupiło ją rok temu od kolekcjonera, nikt nie wie, skąd się w Polsce wzięła.

Antoni Szram jest także nadal prezesem Fundacji im. Antoniego Bohdziewicz, którą powołał w 1992 r. przy Muzeum Kinematografii. Miała wspierać finansowo i organizacyjnie rozmaite imprezy. – *Chciałem mieć dodatkowe pieniądze*

na wystawy i katalogi – mówi. Dziś fundacja razem ze szkołą filmową współorganizuje Aleję Sławy przed Grand Hotelem, gdzie umieszczane się w chodniku gwiazdy poświęcone polskim artystom filmowym. Popiera także działania francuskiej firmy Apsys, która tworzy Manufakturę w dawnej fabryce Poznańskiego.

Najnowszym przedsięwzięciem fundacji jest przygotowanie wystawy Waleriana Borowczyka we współpracy z Muzeum Filmu Animowanego w Annency. Ten pomysł narodził się dawno, ale Szram nie zdążył go zrealizować w Muzeum Kinematografii. – *Dzięki fundacji mam nadal związek z filmem i z filmowcami. To dla mnie pigułka na zdrowie* – mówi.

Nagrody, nagrody

Jak Łódź wyglądałaby bez Szrama? Na pewno wiele później zaczęłaby dbać o swoje zabytki i o wiele mniej by ich ochroniła. Byłaby też uboższa o dwa stworzone przez niego muzea. I byłoby w niej smutniej, to pewne.

Antoni Szram ma swoją kostkę na ulicy Piotrkowskiej. Ta z jego nazwiskiem ma numer 5, otrzymał ją za zasługi dla Łodzi. W pierwszej dwudziestce obdarowanych „honorowymi” kostkami znalazł się także Michał Urbaniak (skrzypek jazzowy) i Piotr Pustelnik – himalaista.

Zaszczytów miał w życiu niemało, zwłaszcza kiedyś. Za stworzenie miejskiego muzeum otrzymał Nagrodę Miasta Łodzi, „Laterna Magica” od ministra kultury trafiła do Szrama za upowszechnianie filmu, a jego praca doktorska („Inicjatywy budowlane I. K. Poznańskiego jako wyraz mecenatu artystycznego łódzkiego przemysłowca”) otrzymała nagrodę prezydenta miasta. Było tych nagród jeszcze wiele, rozmaitych. – *Ale największą korzyść odniosłem z reportażu Joanny Podolskiej, który ukazał się w 1999 w Gazecie Wyborczej. Leżałem wtedy w szpitalu, bardzo chory, wymagałem stałej opieki. Gdy pielęgniarki przeczytały, że ja „stoły unoszę i pałace wznoszę”, zajęły się mną tak jakoś bardziej serdecznie. Nawet pościel miałem częściej zmienianą – opowiada wzruszony, ale i nieco rozbawiony.*

Lubi, gdy mówi się o nim „Łodzermensch”. – *To przecież znaczy po prostu „człowiek Łodzi”. Rzeczywiście jestem nim, bo Łódź mnie uwiodła i pochłonęła.*

Maria Sondej

– dziennikarka; redaktorka miesięcznika *Kalejdoskop*.

Raport zwykłego miasta

III Festiwal Dialogu Czterech Kultur

kultura

Najważniejszymi elementami programu tegorocznej edycji Festiwalu były wydarzenia teatralne. Językiem teatru powiedziano prawie wszystko to, co stanowiło inherentny czynnik rozwoju kulturowego i społecznego Łodzi w okresie wieloetnicznej koegzystencji jej mieszkańców.

Jedyny rozpoznawalny dzisiaj znak obecności czterech kultur w jednym mieście, to smętne światła teatralnych scen. Głuchy pogłos szeptanych przez aktorów słów wypełnia widownię i ucieka w miasto w poszukiwaniu tożsamości swojego efemerycznego bytu. Fakt, że teatr przywołuje historię, ma dla niej samej drugorzędne znaczenie. Dla mieszkańców Łodzi ma jednak wartość nie tylko sentymentalną w przekonaniu, że miasto trwa w ludziach. Z każdym kamieniem swojego bruku, z każdym pierwszym tramwajem opuszczającym zajezdnię, z każdym rynsztokiem na peryferyjnej uliczce i z każdą latarnią wyraźnie oświetlającą „klepsydre czasu”.

Preludium festiwalu miało miejsce na Starym Rynku. Odbył się tu koncert, który z każdą chwilą swojego trwania przeobrażał się w misterium czterech żywiołów – alegorię światła i symbol zwycięstwa nad mrokiem.

Spektakl Muzyczny „Niewidzialni” kończył uroczystości upamiętniające 60. rocznicę likwidacji Litzmannstadt Ghetto. W sposób naturalny stał się jednocześnie prologiem Festiwalu Dialogu 4 Kultur. Autor spektaklu – Jerzy Kalina – złożył hołd pamięci łódzkich Żydów poświęcając koncert tragicznej przeszłości ocalonych. Aranżacja muzyczno-plastyczna przedstawienia zasadzała się na dosłownym odczytaniu tytułu: „Niewidzialni”. W koncercie udział wzięli tylko dwaj żywi wykonawcy: kantor z synagogi przy 5. Alei w Nowym Yorku – Joseph Malovany i dyrygent – Łukasz Borowicz. Zamiast chóru stał rząd świecących kolumn a w miejscu orkiestry były porzucone instrumenty.

Program rozpoczęła modlitwa za zmarłych – „Kadisz”, wykonany przez Malovanego a *capella*. (...) *Qua postquam parte resedit. Dis genitus vates et fila sonantia movit.* (Ovid, *Metamorphosen*)¹. W takt pierwszych wersów modlitwy niespodziewanie silne uderzenia wiatru wybiły ogniste interludium, zasadzając się na stojące po obu stronach sceny koksowniki z węglem drzewnym. Setki płomiennych znaków ulatywało wraz ze słowami tenora. Jego *cantor parlando*² pchał wprost do nieba płomienie żywego ognia. Ten wyrazisty symbol jedności światów szybko zastąpił inny: mocna, gwałtowna ulewa wywołała asocjację Zagłady.



Tak więc w sposób niezaplanowany przyroda stała się demiurgicznym emblematem spektaklu Kaliny. W takiej oprawie odbijający się od murów głos kantora miał moc i siłę sprawczą, nieomal biblijną. W tym też znaczeniu śpiew Malowanego na zalewanym deszczem Rynku Starego Miasta wpisał się wyraziście w *topos* miłości silniejszej niż strach przed śmiercią. W pewnym momencie ten wielki artysta nie stanowił już metafor życia – sam stał się *sacrum*, które „idzie przez ciała milczenie stężone i w głębi serca bezgłośnie umiera”.³

Poza koncepcją autora znalazła swój wyraz siła cienia, którego długie ramię trzymało w swej dłoni batutę nad martwą orkiestrą. Naiwna w warstwie symbolicznej inscenizacja Kaliny, dzięki siłom natury, zstąpiła w obszar interpretacji ambitnej. Intencja reżysera nie przewidywała aż tak afiliacyjnej konstrukcji dzieła. Kiczowata estetyka walorów aranżacyjnych gwałtownie zmieniła swoje oblicze. Ożywiona przyroda nadała koncertowi walory ekspresji, która odnosząc się do istoty rzeczy potęgowała muzyczne doznania.

Słuchając Malowanego, w interwałach, monotonnie wybrzmiewał cytat z Rilke: „i nawet moc niszcząca w świat się zamienia.”



Poza Kadiszem podczas koncertu wykonane zostało oratorium „Shma Israel” („Słuchaj Izraelu”), autorstwa Anatolijusa Senderovasa, jednego z wybitniejszych współczesnych kompozytorów litewskich. Ten przesadnie stylizowany formalnie utwór łączy w sobie motywy żydowskich modlitw, muzyki klezmerskiej i śpiewu synagogalnego. Światowa prapremiera oratorium odbyła się w 1997 roku w Wilnie. Spektakl zakończył Joseph Malowany wykonując – znów a *capella* – żydowską modlitwę „El Mallie Rachamim”. („Łaskawy Boże”).

* * *

Drugim ważnym wydarzeniem festiwalowym było zaprezentowanie przez zespół Teatru Rozmaitości z Warszawy „Dybuka” w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego. W pustej hali Łódzkiego Centrum Filmowego odbyło się przedstawienie doskonale współgrające z charakterem miejsca i przestrzeni. Czas zobiektywizował ideę spektaklu, bo – jak chce Schopenhauer – człowiek z natury jest zły. A skoro tak, to jego namiętności, potrzeby, postawy i jego subiektywne wcielenia są złe. I tylko zło jest obiektywne. Każdy ma więc swojego Dybuka – „nagą duszę” nie mogącą zaznać spoczynku lub reinkarnacji, która musi znaleźć sobie ciało już zajęte, lecz przez swój grzech podatne na takie wtargnięcie.

Spektakl Warlikowskiego złożony został z dwu części. Pierwsza, oparta na dramacie Szymona An-skiego, opisuje rzeczywistość mityczną. Druga, współczesna, jest sceniczną transpozycją tekstu Hanny Krall. Próba konfrontacji tych dwóch rzeczywistości uzasadnia podział przedstawienia na dwie, pozornie odrębne względem siebie, części. Przestrzeń, w której dochodzi do zestawienia elementów z obu dzieł literackich, stanowi założenie inscenizacyjne „Dybuka”. Dramat An-skiego jest ortodoksyjną parafrazą żydowskich podań i legend. Opowiadanie Krall ustanawia współczesny surogat idei dybuka. Z tych tak odmiennych koncepcyjnie tekstów reżyser stworzył kompilację, której nadał rangę uniwersalnego doświadczenia wszystkich Żydów. W kontekście *Shoah* jest to doświadczenie ogólnoludzkie, ze szczególnym uwzględnieniem sumienia jednostki.

Jest „Dybuk” Warlikowskiego przedstawieniem wyraźnie podzielonym na pół. Założenie, aby obie części dopełniały się w strukturze narracji – pozostając poza granicami oddziaływania upływu czasu na myśl ludzką – stało się *par excellence* efektem widowiskowym. Każda z tych dwóch składowych posiada odrębne, jasno określone cechy własne. Wynikają one bezpośrednio z wykorzystanych przez autora materiałów wyjściowych. Dwa tak różne dzieła literackie mogą pozostawać względem siebie w biernej bądź czynnej opozycji. Na płaszczyźnie znaczeń formalnych nie dochodzi do jawnego konfliktu poszczególnych elementów. Chaos emocjonalny, który rodzi się wraz z próbą odczytania pierwotnej warstwy znaczeniowej sztuki, znieczula na właściwy kontekst dramatu.

Prolog spektaklu: aktorzy, w krótkich odstępach czasu, siadają na krzesłach ustawionych rzędem wzdłuż widowni. Prezentując swoje monologi zwracają się bezpośrednio do widzów i do siebie. Przysłuchują się kwestiom swoich protagonistów. Tak niejednoznacznie określony walor sytuacyjny powoduje, że to miejsce wyznaczające granicę pomiędzy sceną a widownią czyni aktora nierozpoznawalnym. Jest on jednocześnie i widzem, i odtwórcą przypisanej mu roli. W pierwszej części spektaklu jest to jedyny moment rzeczywisty. Później aktorów oddzieli od sceny przezroczysta ściana, która spotęguje obcość duchową i powiększy dystans mentalny do przedstawionego świata.

Aktorzy „wygłaszają” legendy i opowiadania żydowskie. Ilustruje to dobitnie mnogość i trwałość składowych elementów żydowskich w kulturze polskiej. Stanowi również o sile jej oddziaływania. Solowe występy aktorów inicjują główne tematy rozwijane następnie w sztuce. A podstawowym motywem tych wszystkich wystąpień jest Bóg. I samotny człowiek w relacji z Absolutem: jego niepewność wiary, jej natury i przejawów. I problem istnienia Boga odczuwany szczególnie boleśnie w chwili totalnej klęski.

Adaptacja jakiej dokonał Warlikowski na tekście An-skiego pozbawiła ten tekst przypisanego mu żydowskiego folkloru. Struktura sztuki została ułożona od nowa. Jej akcji nie determinuje już ani czas, ani miejsce, ani nawet historia. Ten zabieg spowodował wytworzenie się klarownej narracji w zamkniętej przestrzeni „przypadków międzyludzkich”. Słowa wybrzmiewają donośniej, wymowniej, głębiej. Brzmia jednak pusto, głucho, bezdźwięcznie. Wnikają w otchłań sceny rażąc wrażliwe uszy swoim raz łomotem, raz brzękiem. W ten sposób, w pustym obszarze czynności estetycznych rodzi się chwilowa wrażliwość rozumu.

Pierwsza scena – rozgrywająca się w mykwie – stygmatyzuje koncepcję estetyczną całego przedstawienia. Wolna, sprowadzona do działań statycznych akcja, ujawnia ciężką, monotonną atmosferę.

Wprowadzony w ten zaduch element opętańczego tańca – jako kontrapunkt – podkreśla jeszcze mocniej ciężący bezruch słów i postaci.

Powstaje w ten sposób konieczność rejestracji i analizy przedstawienia z pozycji oglądającego obrazu. Sceny stają się beznamietnymi kalkami dzieł plastycznych. Zmieniające się kadry pozostawiają w całkowitym zawieszeniu relacje z odbiorcą. Niepewność interpretacyjną widza potęguje projektowana na ścianę animacja, która jest rekonstrukcją synagogałnych malowideł – będąc tematem rozmowy w drugiej części spektaklu. Motyw malowideł prowadzi wprost do konstatacji, że Warlikowski takimi właśnie środkami wyrazu artystycznego usiłuje zrekonstruować przeszłość. Taki punkt widzenia, choć mógłby znacznie ułatwić analizę formalną, byłby jednocześnie zaprzeczeniem istnienia ducha czasu, którego przywrócić jest rzeczą niemożliwą. *Zeitgeist* nie jest wartością fizyczną, przez to jego istnienie jest koniecznością czysto umowną. Można się nim jednak posłużyć do przedstawienia jakiegś

rzeczywistości. Ten afirmatywny stosunek do tamtego świata – świat znaczy tutaj więcej niż zmysłowe ogarnięcie rzeczywistości – został przez reżysera wypowiedziany dobitnie i konsekwentnie jest powtarzany w czasie trwania całej sztuki.

Dwie części „Dybuka” pozostają względem siebie w relacjach paralelnych: są swoim zaprzeczeniem, jednocześnie z siebie wynikając. Powoduje to konstrukcyjnie płynne przejście z pierwszej części spektaklu w drugą choć jest to zupełnie odmienny świat sceniczny.

Warlikowski opowiada tekst Krall według tej samej formuły co dramat Anskiego. Oderwanie wszystkich sensów pobocznych spowodowało uśmierzanie całego organizmu. Paradoksalnie, wiwisekcja, której autor dokonuje na martwym materiale literackim, w warstwie logicznej staje się substancją świata przedstawionego. Decydując się na dwubiegunowość dramaturgiczną przeciwstawił Warlikowski mit „prawdziwy” świata urzeczywistnionemu w – jak to nazwał Max Weber – „okcydentalnym procesie racjonalizacji”. To, że oglądając inscenizację tekstu Hanny Krall nie odczuwamy dziedzictwa Holocaustu, nie jest winą Warlikowskiego. Współczesna „wolność od wartościowania” dała nam możliwość wyparcia się doświadczeń przodków. Pustka, którą odczuwamy oglądając drugą część „Dybuka” jest dla nas, i w życiu, i w teatrze naturalną konsekwencją części pierwszej. *Pneuma* naszego świata ogranicza się tylko do interpretacji wartości. Głównie tych materialnych mierzonych ilością środków płatniczych.

„Dybuk” Warlikowskiego jest sztuką również o miłości, choć to pojęcie ztraca z wolna swoje prawdziwe znaczenie. Pamiętać trzeba, że pamięć o śmierci wynika z miłości do życia. Cytując Baudelaire: „Kto nie ścisnął szkieletu w ramionach, dla tego wnętrze grobu żadnych czarów nie ma”. Wie o tym reżyser spektaklu. Subtelnie wypomina nam brak czegoś, co Weber nazywa *Liebesakosmismus* (akosmistyczne uczucie miłości). Zdegenerowana wrażliwość współczesnego człowieka z coraz większym trudem odnosi się do takich zagadnień. Czas stawia coraz to nowe wyzwania. Dziś spokój intelektualny więcej jest wart niż jakakolwiek prawda. A Krzysztof Warlikowski udowodnił, że czas w ujęciu metafizycznym jest rzeczywiście abstrakcją.

Reżyseria i adaptacja tekstów – Krzysztof Warlikowski

Scenografia – Małgorzata Szczeńniak

Muzyka – Paweł Mykietyn

Obsada:

Magdalena Cielecka, Stanisława Celińska, Irena Laskowska, Orna Porat,
Andrzej Chyra, Zygmunt Malanowicz, Marek Kalita, Jacek Poniedziałek,
Maciej Tomaszewski, Tomasz Tyndyk.

* * *

W nietypowej dla teatru scenerii zaprezentował się Izraelski Teatr Gesher. Rozstawiony na Starym Rynku cyrkowy namiot przejął funkcję świątyni Melpomeny. Sama muza nie pojawiła się niestety na żadnym przedstawieniu „Adama Zmartwychwstałego”. Sprawuje przecież opiekę nad sztuką dramatyczną, nie cyrkową. Widowisko Alexandra Chervinsky'ego w reżyserii Yevgeny Arye wprowadza doświadczenie Zagłady w miejsce, w którym rozpoznanie zła pozbawione jest przymusu pamiętania o nim. W takim miejscu niedookreślenia nie istnieje osąd wartości rzeczywistych. Przedstawienie stanowi samo dla siebie czysto zabawowy, a nie egzystencjalny wyznacznik istnienia.

Treścią „Adama Zmartwychwstałego” jest historia głównego bohatera – Adama Steina. Jego losy opisane są w formie retrospekcji: sławny clown trafia do obozu koncentracyjnego, gdzie jest psem komendanta (w sensie dosłownym); obwołany prorokiem zostaje zamknięty w zakładzie psychiatrycznym. Z przemożnym imperatywem odnalezienia córki, za wszelką cenę chce dotrzeć do Izraela. Gdy zjawia się w Ziemi Obiecanej okazuje się, że córka nie żyje. Podróży Steina towarzyszą rozmowy z duchami – co w kontekście tego dramatu jest raczej mierną figurą stylistyczną. Mocną peryfrazą jest w tym przedstawieniu scena wchodzenia ludzi do pieca krematoryjnego. Niestety, równoległy zabieg sceniczny: przejeżdżający drezyną przez cyrkową arenę Ahaswer, zmniejsza siłę oddziaływania tego symbolu przez niewłaściwe proporcje użytych środków. Zabrakło wyrazistości, „posłusznego rozłożenia światła i cienia”.

Czy można obłaskawić *Shoah*? O tragedii Holocaustu mówi – zawieszony na trapezie – linoścoczek, o bólu poniżenia rozprawia clown. Obóz koncentracyjny stał się cyrkiem. Obrazu groteski dopełniają: hitlerowcy tańczący kankana, komendant obozu rozdający mydło, człowiek-pies wściekle łaszący się do kata. Niemieckie piosenki kabaretowe – jak fraktale dobrze skomponowanego obrazu – rozbijają spektakl na samoistne epizody. Poszczególne części tej inscenizacji, tak samo jak jej całość, nie mają żadnej racji bytu. Ten byt nie ma racji. Nasza racja zależy od nas i – jak mówi Heidegger – od niektórych innych. To mianowicie, czy podejmujemy namysł, czy w ogóle chcemy i możemy jeszcze podejmować namysł. Bo „jest w naturze racja dla której istnieje raczej coś niż nic.”⁵

* * *

Teatr im. Jaracza zaproponował w ramach festiwalu sztukę pt. „Wojna Matka”, opartą na motywach „Matki Courage” Bertolda Brechta. Scenariusz teatralny został napisany przez reżysera spektaklu – Remigiusza Brzyka i Zdzisława Jaskułę. Z inspiracji pierwowzorem pozostały tylko dwa elementy: metaforyczna postać Matki Courage i temat wojny religijnej. Brechtowską wojnę trzydziestoletnią zastąpiła inna wojna: nieprzypisana żadnemu konkretnemu miejscu walka o religijne pryncypia. Mottem tego

spektaklu mogłoby być słynne zdanie Voltaire: „Religio, ileż ty złego możesz jeszcze spowodować”. Mogłoby być, gdyby reżyser zdecydował się je wypowiedzieć.

Brzyk twierdzi: „mnie nie dotyka teatr epicki, tylko wydarzenia w Biesłanie w Osetii. I nie interesuje mnie estetyczna zabawa na ten temat”. Świadomie zrezygnował z konwencji Brechta. Pozwolił, aby wpływ na rozwiązania dramaturgiczne przedstawienia miał rozwój wypadków w Biesłanie. Szlachetna to postawa. Niestety całkiem nie artystyczna.

Przyczyną każdego zjawiska w sztuce jest inne zjawisko w sztuce. Dążenie do tego, aby doraźność zdarzeń politycznych decydowała o języku sztuki, jest gwałtem zadany rozumowi. Ładnie jest składać hołd ofiarom zamachu terrorystycznego w Osetii, pod warunkiem że narzędzie swobodnej interpretacji zdarzeń – jakim jest teatr – na taką interpretację pozwala. Chęć dowiedzenia prawdy w sztuce niszczy sztukę, powodując jednocześnie, że każdy błąd zostaje uznany za prawdę. Zadaniem i rolą artysty jest udowodnienie, że sztuka nie jest stroną konfliktu. Sztuka jest każdego sporu beneficjentem. Tak się rodzi i dojrzewa, aby zmuszać do wyborów. Zbyt wczesne ustawienie jej w służbie ideologii jest brutalnym zamachem zadany eschatologicznej funkcji sztuki.

Krzyk Brzyka jest szczery, donośny i namiętny. Dramat Brechta mógł ponieść ten krzyk w każde miejsce na Ziemi. Wszędzie tam, gdzie mieszczańskiego spokoju nie mąci obraz wojennej tragedii odbijający się głuchym echem od ekranu telewizora. Ten krzyk byłby głośniejszy, gdyby nie domagał się usankcjonowania swojego prawa do niezgody na zło.

* * *

Festiwalowy repertuar dopełniało przedstawienie pt. „Dziś wieczorem: Lola Blau” Georga Kreislera, na deskach Sceny Kabaretowej Teatru Powszechnego. Autor sztuki – austriacki pacyfista – językiem kabaretu mówi o sprawach dla swojego narodu niezmiernie ważnych: o antysemityzmie i o nazizmie. Sama fabuła jest dosyć prosta. W musicalowej formie opowiada historię tytułowej Loli Blau. Panna Blau, Żydówka, gwiazda wiedeńskich kabaretów, zmuszona zostaje do ucieczki z Austrii. W 1938 roku wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Nieprzystawalność warunków amerykańskiego świata showbusinessu, który sprowadza ją do roli seksbomby, wymusza na niej powrót do ojczyzny. Losy Loli ilustrują kabaretowe piosenki. Wykonuje je obdarzona bardzo dobrym głosem i dużą umiejętnością śpiewania Beata Olga Kowalska. Reżyser spektaklu – Andrzej Ozga – wprowadził do swojej wersji inscenizacji drugoplanową postać mężczyzny. Konferansjer towarzyszy Loli w jej peregrinacjach, stając się często punktem odniesienia narracji scenicznej.

* * *

Dwie ostatnie pozycje teatralne tegorocznego Festiwalu Dialogu 4 Kultur to recital Hanny Schygulli pt. „Protokoły snów”, oraz monodram Orny Porat. W repertuarze

Schygulli znalazły się teksty niemieckiego reżysera Wernera Fassbindera, jak również jej własne utwory poświęcone temu wybitnemu twórcy filmowemu. Orna Porat czytała wiersze Lei Goldberg, urodzonej w Kownie a zmarłej w Izraelu poetki żydowskiej.

* * *

III Festiwal miał charakter bardziej zwarty i uporządkowany niż dwa poprzednie wydania. Konstrukcja była stabilniejsza i wyrazista. Przesłanie jasne i czytelne. Miejsce właściwe i konkretne – i abiotyczne. Okazało się ostatecznie, że nie jest zamiarem organizatorów dopuszczenie do udziału w tej imprezie łódzkich twórców. Potencjał związanych z Łodzią artystów nie został wykorzystany, ba, skutecznie jest pomijany i lekceważony. Dzisiaj Łódź jest jednym z ważniejszych miejsc życia artystycznego na mapie kraju. Z tego faktu – dla organizatorów – nie wynika jednak żadna, najkrótsza nawet myśl, czy choćby wtórna konstatacja. Dyrektorem artystycznym jest abordowany z Poznania i związany z festiwalami „Malta” – Michał Merczyński. Osoba nie znająca lokalnego środowiska artystycznego i najpewniej nie chcąca lepiej rozpoznać obcego sobie terytorium. Zapomniano, że zarówno Szkoła Filmowa, jak i ASP mogłyby wnieść znaczący udział do festiwalowego życia rozgrywającego się, bądź co bądź, na ich terenie. I że w Łodzi mieszka kilku wybitnych twórców znanych lepiej w Europie niż na miejscu. Skutecznie też pomija się działających w Łodzi artystów sztuki alternatywnej.

Kolejne festiwale, jeżeli powiełały będą dotychczasowy standard organizacyjny, staną się tylko zabiegiem swoistej dystanacji przeprowadzanym pod czujną obserwacją kamer patronackiej telewizji publicznej. Pożytek z oglądania będą mieli oczywiście wszyscy, z wyjątkiem Łodzi, która firmuje coś, w czym rzeczywiście nie bierze udziału. Łódź nie jest kakotopiecznym miejscem, gdzie trzeba wprowadzić element z zewnątrz, aby naprawić istniejące stosunki społeczne.

Festiwal Dialogu 4 Kultur przywraca Łodzi historię. Rzecz idzie o to, aby przywracać ją we współudziale jej mieszkańców. Bowiem – jak powiada Roman Ingarden – „nowa terażniejszość oddala nas coraz bardziej od przeszłych zdarzeń. To co przeszłe, wraz z okresem czasu, w którym się odbywało zapada się w przeszłość coraz dalszą”.

Ponad wszystkie zalety i wady tego Festiwalu ma on jedną wartość niezbywalną: udowodnił, że kultury równe temu samemu są między sobą równe.

Marek Strąkowski

Przypisy:

1. „(...) Pochodzący od bogów śpiewak zasiadł i poruszył dźwięczące struny.” (Owidiusz *Metamorfozy*)
2. „śpiew mówiony” – termin wprowadzony przez Monteverdi
3. Rainer Maria Rilke – *Pantera*
4. G. W. Leibniz – (Gehr.VII, s.289nn.)

Oni mogliby tworzyć...

*Rozmowa z profesorem Jerzym Kaliną,
artystą rzeźbiarzem – autorem widowiska
„Niewidzialni”.*

Danuta Gruszczyńska: *Widowisko „Niewidzialni” to bardzo nietypowy koncert, inaugurujący tegoroczny Festiwal Dialogu Czterech Kultur, bo wieńczy on jednocześnie obchody 60. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Getto. Co jest najważniejszego w tym artystycznym pomysle?*

Jerzy Kalina: Najważniejsi w tym widowisku są ci, których nie ma. Im to jest poświęcone. Byłem już troszkę znużony i zniesmaczony pewnymi rutynowymi formami, które towarzyszą podobnym wyzwaniom, dotyczącym Holocaustu, II wojny światowej. Ogólnie rzecz biorąc – Zagłady w takim dla nas prawie abstrakcyjnym wymiarze. Mamy do tego stosunek emocjonalny, a jednocześnie bardzo trudny do wyrażenia, bo nie przeżyliśmy sami tego czasu. Ktoś powiedział, że przy takiej ilości ofiar pamięć hekatombi przeradza się w pewną abstrakcję. Ja nie chciałem i nie chcę, żeby śmierć przerodziła się w abstrakcję. Przecież ten moment dla każdego człowieka jest bardziej świadomy, a więc ważniejszy niż jego narodziny. Dlatego, kiedy zacząłem się zmagać z tematem, uciekłem od tak zwanych – nawet wybitnych – artystycznych wzorców. Zredukowałem środki wyrazu do minimum. Wydaje mi się, że to się powinno sprawdzić.

Dlaczego zamiast orkiestry na scenie leżą jedynie samotne instrumenty?

Są dwa filmy, które szalenie utkwiły mi w głowie, „Orkiestra” Felliniego i „Dyrygent” Wajdy. Tam problem tworzenia wspólnego dzieła, współbrzmienia, podporządkowania się dyrygentowi, jest czymś najważniejszym, co się może na tym świecie zdarzyć.

Czy muzyków nie ma, bo nie przeżyli Holocaustu?

To jest szersza metafora. Można ją również interpretować tak, że to jest nasz żal za tym, że ich nie ma między nami. Ale może oni dopiero nadejdą, bo może

się narodzą? I ten właśnie moment wyczekiwania jest bardzo istotny. To, że muzyków nie ma, o wiele bardziej boleśnie uświadamia nam, jak wielu ludzi wybitnych, wrażliwych mogłoby żyć i nadal tworzyć. Gdyby ich nam nie odebrano. Orkiestra symfoniczna jest dla mnie przykładem takiej wspólnoty i wrażliwości umysłu i jednocześnie chęci podporządkowania się autorytetowi, jakim jest dyrygent. On przy całej swej wrażliwości musi pamiętać o partyturze, kompozycji, idei kompozytora i o podporządkowaniu się kompozytorowi. Oprócz dyrygenta pojawia się w spektaklu kantor – jedyna osoba, która może pośredniczyć między obecnymi i nieobecnymi. Jego modlitwa i obecność odbywa się jakby w zawieszeniu, bo dla mnie muzyka ma w sobie element pewnej bezsilności. Ale z drugiej strony ma ona tę wielką przewagę nad literaturą, filmem, malarstwem, że jest najbardziej uniwersalnym środkiem porozumiewania się ludzi – przede wszystkim dzięki emocjom. Komponowanie zresztą, to najtrudniejsza rzecz w każdej dziedzinie sztuki.

A dominujące w scenografii widowiska wielkie, gorejące macewy?

One w pewnym sensie bezpośrednio odnoszą się do losu, bo są jednocześnie elementem nadziei i zniszczenia. Zamianą energii w popiół. Ale też odradzaniem się z popiołu.

Czy wybór miejsca na realizację tego spektaklu był podyktowany specjalnymi względami?

Rynek Starego Miasta jest bardzo piękny i w nocnej scenerii chyba idealny. Ma on charakter zamknięty, a jednocześnie opiera się o ruchliwą ulicę, podcienia i park. Wszystko więc dzieje się pod drzewami, które żyją, i na starym, zdeptanym bruku ze śladami upływającego czasu. Jest dobrze, że nie ma tam efektownych fasad, ani zrujnowanych budowli. Ten plac jest dla mnie uniwersalny. Duch tego miejsca nie zobowiązuje mnie, żebym czynił jakieś szczególne odniesienia. Rynek ma w sobie coś z miast polskich, taki mały Kazimierz, taki mentalny sztetł. To miejsce jest więc jak nasza rzeczywistość. Brakuje mu pewnej estetycznej ogłady, ale nie ma w nim fałszu. Łuki podcieni odpowiednio podświetlone, są dla mnie przez swój kształt zwielokrotnieniem tych macew żarliwych, gorejących, zanikających jednocześnie, zanim zmieniają się w szkielet, obnażoną konstrukcję. W tym sensie jest więc tak jakbyśmy i my – współcześni, patrząc na to podnosili się z popiołów.

Zapis rozmowy sprzed spektaklu

Rozmawiała: Danuta Gruszczyńska

Między awangardą a bezradnością tradycji

Łódzkie życie artystyczne (1)

kultura

Przyjęło się nazywać Łódź „miastem awangardy – a takie określenie padło publicznie już we wczesnych latach trzydziestych XX wieku”. Upoważniał do tego w pewnym sensie splot kilku niewątpliwie ważnych faktów. Najpierw więc spektakularne przyznanie Władysławowi Strzemińskiemu nagrody artystycznej Miasta Łodzi w 1932 r., potem powstanie w tym samym czasie legendarnej już kolekcji grupy „a.r.” a dalej wydawanie w mieście znakomitego jak na owe czasy czasopisma „Forma” a także cała działalność przedwojennego Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków.

I jest to niewątpliwie prawdą.

Ale opinia taka jest uzasadniona tylko o tyle, o ile można nazwać Łódź także „miastem sztuki realistów”. Znalazło się bowiem w Łodzi miejsce zarówno dla awangardy artystycznej jak i dla sztuki zachowawczej; dla eksperymentów formalnych ale i dla bardzo wciąż aktywnych postaw głęboko estetycznie konserwatywnych, usiłujących również narzucić społeczności miasta swoją koncepcję sztuki.

Awangarda i piętno ubóstwa

Na pewno bezprecedensowa działalność Władysława Strzemińskiego, działalność Karola Hillera, powstanie w mieście kolekcji międzynarodowej sztuki nowoczesnej, ukazywanie się w Łodzi periodyku na tak wysokim poziomie jak „Forma” oraz aktywność sporej grupy twórców poszukujących nowego formalnego języka w sztuce, to było w Łodzi lat 30' XX w. istotnie bardzo dużo. Jednakże te wszystkie fakty nie mogą przesłonić prawdy, że taka pionierska działalność oznaczała w ówczesnej biednej i zaniedbanej kulturalnie Łodzi przedsięwzięcie niezwykle elitarne. Warto uzmysłowić sobie czym w sferze potrzeb kulturalnych było w okresie międzywojennym to miasto bardzo biednego proletariatu, żeby zrozumieć, jak minimalny mógł być zakres oddziaływania twórców nowoczesnych na świadomość przeciętnego łodzianina i jak niewiele dla niego znaczyły zażarte spory toczące między „nowoczesnymi” a „konserwatystami”.

Wyjątkowo wysoki, bo sięgający 65 procent udział ludności robotniczej wśród mieszkańców Łodzi – z czego połowę stanowili zresztą analfabeci – może być dość wymownym dowodem, że sztuka w ogóle, a na pewno sztuka tak bardzo

odległa od estetyki szmirowatego oleodruku, ma szansę przemówić czy choćby tylko trafić do świadomości owego teoretycznie wymarzonego przez awangardzystów „masowego odbiorcy”. Rzeczywisty odbiorca takiej sztuki mógł istnieć jedynie wśród bardzo wąskiej grupy inteligencji, snobującej się burżuazji oraz części środowiska artystycznego.

Owo „niezatarte piętno prymitywu i ubóstwa” – jak widział Łódź w tym okresie Adam Ginsbert w swojej poświęconej Łodzi monografii – dominowało zapewne zbyt silnie nad staraniami artystów i działających w Łodzi wielu światłych społeczników, aby naiwne hasło „Tworzyć kulturę proletariacką!”, rzucone w 1928 r. przez komunizującego poetę i dramaturga Witolda Wandurskiego i powtarzane później przez artystów awangardy, mogło pozostać nadal tylko pustym hasłem.

Przeciętny mieszkaniec wielonarodowościowej Łodzi – ten przeważnie ubogi i niewykształcony proletariusz – stał przecież wciąż daleko od spraw sztuki. Stąd też późniejszy rozpoczynający się gdzieś około 1937 r. odwrót twórców nowoczesnych od ich poprzednich nieprzejeźdźnianych poglądów, demonstrowanych programowo obrazami nieprzedstawiającymi i oschle geometrycznymi. Realistyczne pejzaże miejskie zaczyna więc oto malować Karol Hiller. Jednocześnie do elementów realizmu zaczyna nawiązywać też coraz wyraźniej w swoich pejzażach morskich i miejskich Władysław Strzemiński.

Oznaczać to mogło tylko jedno: obojętnemu na sprawy sztuki przeciętnemu łodzianinowi trzeba było zaproponować inną, mniej awangardową formę przekazu artystycznego. Coś o wiele mniej hermetycznego, niż robili to początkowo członkowie grupy „a.r.” i redaktorzy modelowego czasopisma „Forma”. Trudno więc było mówić potem – a więc u samego zarania odbudowy całej przestrzeni społecznej dla plastyki artystycznej po 1945 r – że wiążącą tradycję dla jej rozwoju wskazała sztuka awangardowa. Tradycja taka tkwiła, oczywiście, w pamięci wielu artystów, w zachowywanych nielicznych publikacjach Biblioteki grupy „a.r.”, w odtwarzanych z dużą determinacją zbiorach Muzeum Sztuki. Nie było jej natomiast – bo być nie mogło – w świadomości łodzian, których populacja w wyniku wojny, okupacji i powojennych migracji miała się zresztą zasadniczo zmienić.

Tradycja bez tradycji

Już pierwsze dni po opuszczeniu miasta przez okupacyjne wojska niemieckie miały wykazać, że łódzka plastyka artystyczna nie dysponuje tak naprawdę żadną silniejszą tradycją, która – po przejściu wojennej zawieruchy byłaby możliwa do kontynuacji. Z dość licznej grupy artystów reprezentujących międzywojenną awangardę, odnalazło się na miejscu zaledwie kilku. Zginęli podczas wojny wszyscy, którzy łączyli twórczość z określoną działalnością polityczną a także – w wyniku hitlerowskiej programowej eksterminacji – artyści pochodzenia żydowskiego. Nie odnowiła swej działalności grupa „a.r.” – choć przecież wszyscy jej przedwojenni członkowie przeżyli. Dziesiąt-

kowany został z rozmaitych powodów przedwojenny Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków. Jednocześnie nowa pozycja Łodzi, pełniącej – wobec całkowitego zniszczenia Warszawy – rolę nieoficjalnej stolicy kraju, spowodowała, że do miasta zaczęło napływać dużo artystów o uznanych już przed wojną nazwiskach ale uprawiających twórczość w różnych estetykach i reprezentujących przeróżne formacje artystyczne.

A zatem u początków tworzenia się po 1945 r. powojennej plastyki artystycznej w Łodzi, swoje właściwe miejsce musieli tu odnaleźć wszyscy ci, którzy przeżyli wojnę, choć ich dotychczasowe drogi twórcze nigdy nie były ze sobą styczne. Byli więc twórcy międzywojennej awangardy: Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro i Stefan Wagner – a więc ci, którzy w latach 30' XX w. nadawali powstającej w Łodzi sztuce piętno sztandarowej nowoczesności. Równocześnie osiada w Łodzi Felicjan Szczyński Kowarski – jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego koloryzmu a jednocześnie twórca posiadający własny program tzw. sztuki społecznej. Pojawienie się Kowarskiego w Łodzi – mieście, gdzie koloryzm nie miał dotychczas żadnej zauważalnej reprezentacji – można uznać za moment o tyle istotny, że odtąd ten tak ważny w historii polskiej sztuki XX w. nurt, zaczął odgrywać w Łodzi liczącą się, choć przecież mocno spóźnioną już rolę. W tym samym bowiem czasie przybywa do Łodzi Marian Jaeschke, również kolorysta, niegdyś uczeń a potem współpracownik Kowarskiego, członek przedwojennej grupy artystycznej „Pryzmat”.

Znalezienie się w Łodzi dwóch „pryzmatowców”, którzy w przedwojennym środowisku warszawskim zaznaczyli swój wyraźny ślad dążeniem do „maksimum malarstwa z pominięciem efektów taniej dekoracyjności lub literatury” – jak określał ich malarstwo pisarz Tytus Czyżewski – spowodowało, że autorytet Strzemińskiego, jako jedynego lidera formacji walczącej o „czystą plastykę”, ulega wyraźnemu osłabieniu.

Wkrótce osiadają w Łodzi i następni koloryści – Adam Gerzabek z Krakowa i Leon Ormeżowski z Warszawy. Reaktywuje też swoją obecność twórczą Wacław Borowski, przedwojenny profesor warszawskiej ASP, z urodzenia łódzianin. Zaczynają w Łodzi pracować twórcy, którzy wcześniej w różnych ośrodkach polskiego życia kulturalnego prezentowali dokonania artystyczne cieszące się znaczącą popularnością. Wśród nich jest Jan Marcin Szancer, Stanisław Teisseyre, Adam Rychtarski – malarze; Henryk Tomaszewski, Ludwik Tyrowicz, Tadeusz Trepcowski, Eryk Lipiński – graficy. Zamieszkuje w Łodzi także Władysław Daszewski – bardzo znany scenograf teatralny oraz Ignacy Witz – popularny krytyk sztuki i grafik.

W tym napływie uznanych indywidualności, doświadczenia przedwojennych łódzkich „nowoczesnych” błędą i usuwają się z pamięci tej niewielkiej grupki miejscowej inteligencji, która mogła mieć jeszcze świadomość istnienia tu ongiś „miasta awangardy”. Nie żyją już, przecież ani Karol Hiller ani Jerzy Krause i Aniela Menkesowa – najwybitniejsi obok Strzemińskiego przedstawiciele łódzkiego ośrodka

sztuki nowoczesnej w wydaniu konstruktywistyczno – kubistycznym. Wycofuje się ze swoich awangardowych dociekań tak wielkiej klasy rzeźbiarka jak Katarzyna Kobro, która zresztą wkrótce – stłamszona ciężkimi warunkami bytowania – całkowicie zarzuci twórczość plastyczną.

Strzeмиński natomiast w tym okresie większą energię poświęca publicystyce niż twórczości ściśle artystycznej, co powoduje, że jego wiodąca w Łodzi pozycja najwybitniejszego twórcy sztuki awangardowej dalej słabnie. To prawda: ten wybitny artysta pisze o sprawach tak ważnych, jak pionierska problematyka przebudowy urbanistycznej Łodzi, zastanawia się nad zasadami rządzącymi konstrukcjami różnych architektur, poszukuje nowoczesnych prawideł planowania przestrzenno – geograficznego i postuluje zmianę modelu gospodarczego Polski – ale im bardziej wchodzi w rejony różnych specjalistycznych dziedzin naukowych, tym mniej czasu poświęca własnej sztuce. Choć przecież jej nie zarzuca, malując w tym czasie cykl nowatorskich kompozycji solarystycznych. Strzeмиński angażuje się jednocześnie mocno w organizację Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, opracowując całościową koncepcję kształcenia studentów oraz bardzo spójny, choć od początku kontrowersyjny model związania procesu dydaktycznego z praktyką.

To wszystko decyduje, że w Łodzi w okresie 1945 – 1948 w istniejącym już wówczas w mieście stosunkowo liczny środowisku plastycznym, nie dominuje żadna koncepcja artystyczna o profilu szczególnym i odrębnym – mogącym mieć wpływ na określenie powstającej tu sztuki jako „łódzkiej”. Dawni antagoniści ze zwalczających się wzajemnie ośrodków artystycznych Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa czy Poznania musieli się teraz znaleźć obok siebie, żeby nie tylko tu żyć ale i uprawiać sztukę. Wielu też artystów odczuło, że po wojennej traumie i po doświadczeniu holocaustu potrzebna jest w sztuce inna ekspresja a nowy narzucony brutalnie ład polityczny nie ułatwi im teraz bynajmniej artystycznych wyborów. Nic więc dziwnego, że utarczki i polemiki pomiędzy realistami i kolorystami, konstruktywistami i formistami zeszły na dalszy plan i przyschły. I znacznie większe znaczenie nabrały sprawy odnalezienia się w nowej rzeczywistości niż nierozstrzygnięte przed wojną spory artystyczne. W poważnym stopniu wpłynęła na tę atmosferę środowiskowego praktycyzmu – pozbawionego większych dyskusji i fermentu intelektualnego – początkowa niewiara w dłuższą trwałość powojennego systemu politycznego. I zapewne także świadomość tymczasowości swego pobytu w Łodzi u wielu osiadłych tu po wojnie twórców.

Ucieczka do Warszawy

Wywarło to duży, ale i niestety, niedobry wpływ na rozwój sztuki w Łodzi – nie tylko zresztą plastycznej. Bardziej bowiem przedsiębiorczy artyści, z chwilą powstania jakichś warunków w Warszawie, wszyscy traktujący Łódź jedynie jako przystanek po wojennej tułaczce, ruszyli do stolicy, wywożąc stąd nie tylko ledwo poczęte prace

twórcze ale i dalsze artystyczne plany. „W 1948 roku po przeszło dwu i półletnim postoju tranzyt ruszył do innej stacji docelowej. Było bardzo tłoczno.(...) W ciągu krótkiego czasu wyjechała do Warszawy połowa Łodzi artystycznej i intelektualnej (...) Masowość tych wyjazdów sprawiała wrażenie biblijnego Exodusu” – wspominał po latach pisarz Tadeusz Chróścielewski.

W krótkim więc czasie opuścili Łódź Felicjan Szczęsny Kowarski, Władysław Daszewski, Jan Marcin Szancer, Stanisław Teisseyre, Tadeusz Trepkowski, Henryk Tomaszewski, Adam Gerżabek, Ignacy Witz i wielu innych. Jak było to szkodliwe w warunkach, gdy Daszewski pełnił wówczas funkcję prezesa Okręgu Łódzkiego reaktywowanego właśnie Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków a Kowarski był szefem sekcji artystycznej związku, trudno dzisiaj jednoznacznie ocenić. Jednak coraz bardziej intensywny proces stałych wyjazdów nie stabilizował środowiska plastycznego Łodzi, szarpiąc nie tylko samą organizacją związkową ale i krzepnącym bardzo powoli życiem artystycznym.

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że znane zaniedbania Łodzi, sięgały nie tylko sfery gospodarczej, socjalnej, kulturalnej. Ich sedno stanowiły nie rozbudzone jeszcze w ogóle aspiracje kulturalne lwiej części mieszkańców miasta. Te aspiracje miały się dopiero ukształtować w przyszłości. Ale zanim to w ogóle mogło się rozpocząć, w 1949 r. władze komunistyczne niespodziewanie zarządziły obowiązkowe uprawianie tylko „sorealizmu” jako jedyne „poprawnego politycznie” stylu w sztuce. Ten prosty nakaz i podporządkowanie twórczości hybrydzie normatywnego realizmu socjalistycznego, spowodowały nie tylko załamanie bądź w wielu przypadkach nawet zahamowanie wyborów drogi twórczej samych artystów. Wpłynęło to także niezwykle szkodliwie na kształtowanie się gustów estetycznych poważnej części społeczności łódzian, stawiającej dopiero pierwszy krok ku wyższej kulturze.

I choć Łódź jest dzisiaj ważnym centrum kultury artystycznej, to konsekwencje tamtych decyzji są w dalszym ciągu zauważalne w świadomości wielu przeciętnych odbiorców sztuki, jak i w trwającej latami bezradności estetycznej niektórych nawet skądinąd dobrze wykształconych łódzian.

Gustaw Romanowski

Proces w starej konstrukcji

I Łódź Biennale

Stowarzyszenie Międzynarodowe Muzeum Artystów z siedzibą w Łodzi podjęło decyzję o zorganizowaniu pierwszego polskiego biennale sztuki współczesnej. Projekt obejmował trzy niezależne wystawy: Biennale Międzynarodowe, Biennale Sztuki Polskiej i Biennale Sztuki Łódzkiej. Impreza trwała od 2 do 31 października. Jej dyrektorem był **Janusz Głowacki**.

Artyści biorący udział w pierwszej edycji Biennale zostali wybrani przez Komitet Selekcyjny wyłoniony z członków Rady Międzynarodowego Muzeum Artystów. W skład Komitetu weszli artyści i krytycy związani z organizowaniem „Konstrukcji w Procesie”. Każdy przedstawiciel Rady Selekcyjnej miał możliwość zaproszenia siedmiu artystów. Metodę weryfikacji pozostawiono do indywidualnego wyboru, starano się jednak wybrać takich reprezentantów, których prace wpisały się na stałe do kanonu światowej sztuki współczesnej.

W skład Międzynarodowego Komitetu Selekcyjnego weszli m.in. **Leon Golub** – jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy amerykańskich, przedstawiciel tzw. realizmu krytycznego w malarstwie; **Robert C. Morgan** – krytyk, historyk sztuki i kurator, autor wielu publikacji i książek o sztuce współczesnej. Wykładowca w School of Visual Arts w Nowym Yorku; **Emmett Williams** – artysta i poeta amerykański, jeden ze współtwórców radykalnego ruchu artystycznego FLUXUS.

Najważniejsza wystawa Łódź Biennale nosiła nazwę „Wybór krytyków”. Kuratorzy zaprosili pięćdziesięciu twórców z USA, Kanady, Japonii, Niemiec, Słowenii, Korei, Francji, Polski. Jest to kolejne po praskim międzynarodowe biennale sztuki w naszej części Europy. Na potrzeby tej ekspozycji prezydent Jerzy Kropiwnicki przekazał część terenu byłego „Uniontexu” Międzynarodowemu Muzeum Artystów.

Idea Łódź Biennale nawiązuje formułą do „Konstrukcji w Procesie”. Zasadą jest, że artyści tworzą na miejscu i wobec konkretnej przestrzeni. Dzieła na wystawę międzynarodową powstawały „pod przestrzeń” określoną i rozpoznaną, która stawała się dla artystów inspiracją i motorem działania. Przestrzeń pofabrycznych hal nie jest miejscem neutralnym. Brak muzealnej sterylności i obojętności określa z góry charakter prac, wymuszając na twórcach zasadę korelacji pomiędzy miejscem a dziełem. Te hale – z typowym dla takich budowli systemem filarów wspierających strop – narzucają artystom nieunikniony pretekst wizualny w kontekście historycznym i społecznym.

Cisza, opuszczone miejsca pracy, odrapane ze spłowiejałej farby ściany, podłogi kryte deskami powygniętymi przez ciężkie maszyny tkackie są materialnym śladem industrialnej Łodzi. Te pozostałości pokazują nie tylko potęgę fabrykanckiego imperium Scheiblerów, ale i szarą rzeczywistość upaństwowionego i skolektywizowanego zakładu. Trwająca w tej pustce nieobecność stała się obszarem twórczym dla wszystkich prezentowanych tu prac. Ogołocona ze swych podstawowych funkcji utylitarna architektura wydaje się tylko wywoływać echa rytmicznie pracujących maszyn i odgłosy krzątających się przy nich robotników.

Do wrażenia fabrycznego huku odwołuje się w swojej instalacji **Kimsoonja**, pozwalając „przemawiać” fabryce. Obecne w niej kiedyś życie symbolizuje tu wyłącznie dźwięk

– zrytmizowany, jakby przywołujący pracę maszyn, jednocześnie przez wydłużony, przeciągły dźwięk jednej nuty sugerujący podniosły, pełen powagi nastrój. Poprzez podkreślenie nieobecności jakiegoś działania w tej porzuconej przez ludzi hali, Kimsoonja pragnie nadać nowy sens temu miejscu i nową celowość działania w nim. Jest to najbardziej „niematerialna” z wszystkich prezentacji z ulicy Tymienieckiego. Jednocześnie w procesie reifikacji wywiera najsilniejsze wrażenie doświadczania miejsca odwołując się wyłącznie do wyobraźni widza.

W zupełnie inny sposób zastanę przestrzeń zaadaptowała artystka z USA – **Sook Jin Jo**. Postanowiła wypełnić wybraną część powierzchni hali zabudowując ją kawałkami połamanych desek, gałęzi, jednym słowem tworząc z nich skomplikowaną konstrukcję. Wotywnie przedstawienie przeciwieństwa pustki i próżni za pomocą dekompozycyjnego chaosu wpływa na skojarzenia z wojną, walką, zniszczeniem. Jednak ta szczelnie wypełniona drapieżnymi formami przestrzeń – choć jest tworem dynamicznym, choć eksploduje od nadmiaru kształtów i napięć – jest obiektem obłaskawionym przez odczucie bezpośredniego z nim kontaktu. Artystka potraktowała opuszczenie tego miejsca, po zniknięciu fabrycznej aktywności, jako imperatyw kategoryczny swojego dzieła.



Bardziej dosłowne odniesienia do tkackiej tradycji Łodzi odnaleźć można w instalacji „Winorośl” autorstwa **Ming Fay**. Artystka stworzyła zawieszoną w przestrzeni płataninę sznurowych „gałęzi”, z których wyrastają barwne liście sklejone z fragmentów tkanin. Kompozycja dowcipnie przypomina o tym, czemu służyły ogromne hale tej fabryki. Jest to wyraźna reminiscencja z czasów „rozrastającej się” i kształtującej rozwój i charakter miasta produkcji włókienniczej.

Artyści, sięgając do kontekstu miejsca nie ograniczyli się tylko do znaczeń socjologiczno-ekonomicznych. Z pełną świadomością zwrócili się także do tradycji artystycznych związanych z Łodzią, z jej awangardowym rodowodem (Strzeмиński, Kobro, Stażewski). Wyraźnie nawiązuje do tej tradycji **Mimmo Roselli**. Jego dzieło przestrzenne oparte zostało na przeciwstawieniu architektonicznym rytmom stropów i filarów, dynamicznych skosów linii stworzonych przez wiązki lin „wybiegających” ze stropu i przecinających podłogę. Te swobodnie puszczone linie tworzą sugestywną iluzję alternatywnej i abstrakcyjnej zarazem przestrzeni, która z premedytacją rozbija istniejącą, prostopadłościenną strukturę hali fabrycznej. Także **Chuck Ginnever** swoją kompozycją „Zip” sytuuje się w nurcie postkonstruktywizmu. Minimalistyczna konstrukcja zbudowana z balansujących w wolnej przestrzeni skorodowanych rur, nawiązuje do industrialnego otoczenia, osiągając zarazem geometryczną czystość formy.

Wystawa międzynarodowa była główną częścią łódzkiego biennale sztuki współczesnej. Zasadniczy cel projektu został osiągnięty. Łódź znów stała się miejscem spotkania najciekawszych artystów ze świata sztuki nowoczesnej. Prace pokazane na wystawie były unikalnymi dziełami twórczości artystycznej. Sam fakt spotkania się w jednym miejscu i w tym samym czasie tak dużej ilości twórców, w warunkach artystycznej współpracy oraz współdziałania, stanowi rzeczywistą rangę tej imprezy.

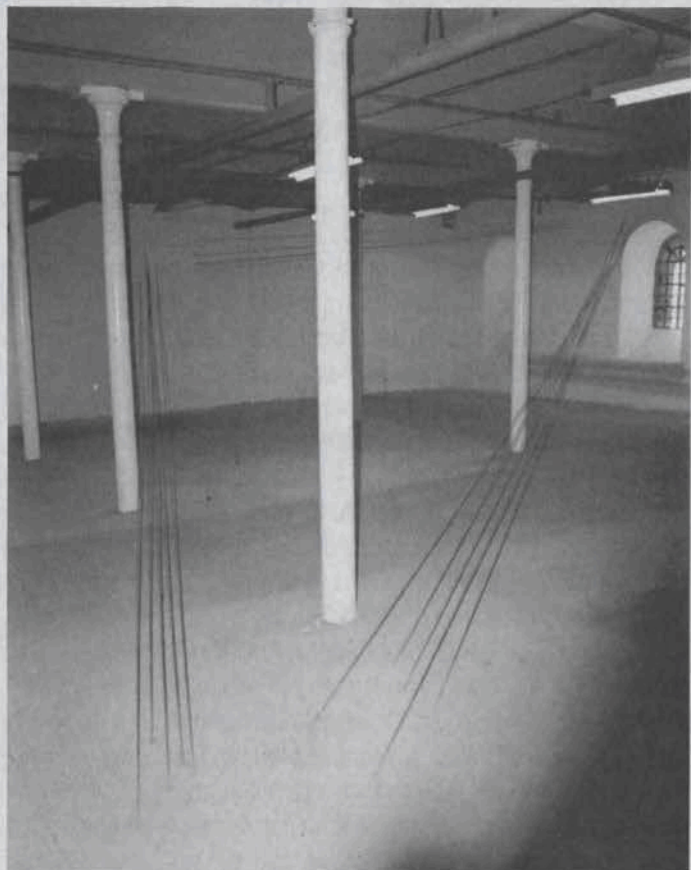
Cechą charakterystyczną prawie wszystkich prezentowanych na tej wystawie prac jest coraz słabsze zainteresowanie artystów procesem poznania przez sztukę. Konsekwencją tego zjawiska stał się brak identyfikacji sztuki poprzez proces poznania. „Proces poznania przestał już być przedmiotem artystycznych poszukiwań i chętniej akceptujemy nasze tożsamości, tak jak są one nam dane, niż zgłębiamy je za Freudem (niewątpliwie jednym z najbardziej „poznawczych” filozofów), pytając, kim jesteśmy lub dlaczego albo skąd my to wiemy” – twierdzi Dick Higgins.

* * *

Kuratorem wystawy polskiej, noszącej tytuł „Palimpsest Muzeum”, była **Aneta Szyłak**. Biennale polskie zaprezentowało się w Muzeum Historii Miasta. Ze względu na miejsce ekspozycji ten pokaz sztuki zorganizowano według wszelkich wzorów działalności kuratorskiej. Kompleksowo przemyślana i konsekwentnie przeprowadzona ekspozycja



Chuck Ginnever
„Zip”



Mimmo Roselli
„Rand Łódź”

znajdowała się dokładnie na przeciwnym biegunie wystawy zbiorowej jaką było biennale międzynarodowe.

„Palimpsest Muzeum” powstał we wnętrzach muzealnych, wnikając w strukturę istniejącej ekspozycji prezentującej dzieje Łodzi i historię rodziny Poznańskich. Koncepcja Szyłak nie była jednak rodzajem wypowiedzi określającej muzeum. Nie czyniła też żadnych odniesień do kolektywnej obserwacji miasta. Została skonstruowana na zasadzie relacji pomiędzy starszym a młodszym. Miało to spowodować powtórne odczytanie tego, co już stało się matrycą gotowych pojęć i receptur estetycznych. Dominowały na tej wystawie prace dotyczące kwestii konserwowania historii i rekonstruowania pamięci. Niektóre z projektów pokazywały stosunek artystów do roli kuratora, jako funkcji instytucjonalnej, wykorzystującego artystów do własnych celów.

Pracą fizycznie ustosunkowującą się do przedstawicieli zinstytucjonalizowanej sztuki był zabieg **Romana Dziadkiewicza**, przedstawiający Anetę Szyłak związaną i zakneblowaną, pilnowaną przez zamaskowanych osobników. W idei tej pracy zawarto się pytanie o zakres uprawnień establishmentu sztuki i cel jego działania. Wyśmiana też została determinacja z jaką wielu artystów usiłuje utrzymywać dobre kontakty z kuratorami muzealnymi, wytykając jednocześnie marazm instytucji i sztywność jej pracowników. Ironicznie zatem określono pracę kuratorów jako działanie opresyjne, wymierzone w twórcę.

Postawienie przez **Grzegorza Klamana** laptopa na biurku Izraela Poznańskiego staje się w kontekście miejsca manifestem tradycji, pieniądza, kapitalizmu i wreszcie sukcesu zawodowego. W innym znaczeniu monitor laptopa emitujący obrazy z kamer monitorujących muzealną ekspozycję, przywołał pęd do dominacji i władzy. Kontrola nad człowiekiem prowadzi do jego rzeczywistego ubezwłasnowolnienia, bo ludzie są zawsze ofiarami swoich kultur.

Niczym niedającą się wyjaśnić potrzebę gromadzenia pamiątek pokazuje w swojej pracy **Rafał Bujnowski**. Artysta mówi o tym jak powstaje mit, mówi też o materialnym aspekcie wiary. Prezentuje trzy etażerki – wierne kopie jedyne mebla jaki zachował się z młodości papieża. Eтажerki zostały skopiowane z dużą dokładnością, łącznie z odciskami papieskiego kubka na półce. Przypisując np. symbol rzeczom zamiast je chłonać można zawsze zastąpić marnym, gotowym pojęciem najlepsze nawet odczucie bezpośrednie.

„Kolumna kurzu” **Hanny Nowickiej** stała się swoistym pomnikiem codzienności. Autorka zbierała materiał na rzeźbę przez kilka lat. Brud umieszczała w specjalnej formie, która kojarzy się z urną. Jest to osobliwa zaduma nad przemianami, bezpośrednio doświadczenie entropii. Tak bezpośrednio, że staje się transformacją w śmierć. Jest jeszcze kilka znaczeń tej „rzeźby” sztucznie zawartych pomiędzy sytuacją zmysłowej analizy a zwykłym patrzeniem receptywnym: kpina z patosu, ofiara codziennego życia, trywializm przeszłości.

Wpisanie wystawy w kanwę istniejącej ekspozycji nie jest działaniem nowatorskim. Podobne wystawy organizował w latach 90. XX wieku Joseph Kosuth. Oryginalność nie była rzeczą najważniejszą z zaproponowanych przez Anetę Szyłak rozwiązań formalnych. Wybrane przez nią prace dobrze wpisały się we wnętrza Muzeum Historii Miasta Łodzi. Z powodzeniem mogłyby również istnieć w każdym innym muzeum. Historia i specyfika Łodzi nie zdołały skłonić kurator Szyłak do rozwiązań zogniskowanych na miejscu a nie tylko w przestrzeni... wystawienniczej. Zamyśl tej wystawy zasadzał się na próbie dekonstrukcji struktur myślowych współczesnego odbiorcy. „Dekonstrukcja nie jest tym, co myślisz” – mówi Geoffrey Bennington.

* * *

Wystawa „W czterech ścianach” realizowana była przez artystów łódzkich. Na miejsce ekspozycji zaanektowano prywatne przestrzenie mieszkalne w XIX – wiecznej kamienicy przy alei Kościuszki, w której na co dzień toczyło się zwykłe, codzienne życie jej lokatorów. Tematem wystawy było przenikanie sztuki w obszar życia prywatnego. Poza faktem zaistnienia doświadczenia estetycznego i duchowego dzieła wobec życia i w związku z życiem, powstały naturalne relacje pomiędzy sztuką i architekturą. Dwie równorzędne dziedziny sztuki określały się nawzajem i wynikały z siebie tworząc przy tym unilateralny obraz rzeczywistości. W prywatnej przestrzeni, determinowanej przez indywidualną wrażliwość estetyczną, jest miejsce dla każdej sztuki. Tak samo jak ta przestrzeń jest naznaczona pozostawionymi przez ludzi śladami, tak sztuka powstała w tym miejscu nosi znamiona odcisniętej w materii wyższej konieczności.

Wnętrza opuszczonych mieszkań stały się wyzwaniem dla artysty, zmuszając go do „kolaboracji” z „archeologią” dziejącej się w nich niegdyś egzystencji. I rzeczywiście, przynajmniej część zaproszonych twórców przyjęła zastany kontekst kreując instalacje związane z pojęciem prywatności, intymności, zamkniętości.

To, co zamknięte w czterech ścianach i ukryte przed okiem „obcego” stanowiło perspektywę poznawczą **Konrada Kuzyszyna**. Autor pozwolił widzowi na podglądanie przez wizjer przytulnego „gniazdka”, zastawionego mnóstwem zbędnych bibelotów i niepotrzebnych gratów. Sytuacja podglądacza, którą zmuszony jest przyjąć widz, odpowiada na wielu poziomach pozycji uczestnika współczesnej kultury – skopofila życia innych na ekranie telewizora, na zdjęciach w kolorowych pismach. Nasza niezdrowa ciekawość napotyka naturalną zaporę w postaci zawsze zamkniętych drzwi. Wiedza o „prawdziwej” prywatności innych jest zawsze zapośredniczona, skrzywiona przez medialny ogląd i wypaczona przez rozmiar oczekiwań.

Inaczej postępuje z prywatnością **Anna Orlińska** w swojej realizacji „Wczesne doświadczenie traumatyczne”. Zrekonstruowała ona typowe wnętrza mieszczańskie, charakterystyczne dla minionego ustroju. Wystrój pokoju z obo-

wiązkowym kredensem na wysoki połysk, usytuowanym centralnie okrągłym stołem i odbiornikiem telewizyjnym przykrytym koronkową serwetą, przywołuje skojarzenia z niezmiennymi rytuałami codzienności: rutyną i smutkiem życia rodzinnego zamkniętego w klatce społecznych ograniczeń. Artystka „zatopiła” w sensie dosłownym tę „oazę szczęśliwości”, sugerując stopniowe zanurzanie się mebli, „schodzenie” ich pod podłogę. Ten przechyl wnętrza, stwarzając wrażenie niepewności i braku równowagi, mówi wyraźnie o ludzkiej konieczności przystosowania się za wszelką cenę do warunków bytowania. Nawet za cenę utraty poczucia równowagi moralnej.

Łukasz Ogórek potraktował wnętrze pokoju jak przestrzeń najbliższą człowiekowi: skórę strzegącą ludzkiego ciała. Wywołał w jednym z pomieszczeń temperaturę ciała człowieka tj. 36,6 stopni Celsjusza. Ta temperatura jako wartość fizyczna jest stała dla wszystkich ludzi i utrzymuje się nawet w pustce po nich. I choć jest to wielkość fizyczna, jest to jednocześnie najbardziej niematerialny ślad po człowieku jaki można sobie wyobrazić.

Mottem wystawy łódzkiej mogłoby być stwierdzenie: sztuka restytuuje pamięć. Teza prawdziwa, bo sztuka jest podporządkowana określone systemowi interpretacyjnemu, który polega – jak twierdzi Jaques Derrida – „w swej bezgranicznej tautologii, na badaniu tego, co chce wypowiedzieć wszelkie dzieło sztuki, nawet gdy jego forma nie służy wypowiedzaniu się”.

* * *

I Łódź Biennale było wydarzeniem oryginalnym z kilku powodów.

Wystawy nie zostały sprowadzone do konfrontacji poszczególnych dzieł sztuki, ale były miejscem spotkań artystów. Starano się przywrócić właściwe role w relacji kurator – artysta, nie pozwalając posługiwać się kuratorom dziełami sztuki dla przeprowadzenia własnych koncepcji artystycznych. Trójpodział Biennale umożliwił percepcję całej ekspozycji i dał możliwość porównania dzieł twórców lokalnych i międzynarodowych.

Wiele spośród prezentowanych na wszystkich trzech łódzkich wystawach dzieł to przykłady sztuki egzemplatywnej. Chodzi w niej o to, że dzieło nie jest ostateczną realizacją, lecz raczej przykładem, jakąś możliwością potencjalnych realizacji. Było szczególnie widoczne na opracowanym przez **Grzegorza Musiała** projekcie Biennale Sztuki Łódzkiej oraz na wystawie międzynarodowej.

Historia większości sztuk, to historia ich awangard. W tym znaczeniu Biennale jest wtórne, wywodzi się bowiem od „Konstrukcji w Procesie”, czyli od wydarzenia, które dało początek wystawie sztuki współczesnej w Łodzi. Biennale wyrasta z awangardy i – co za tym idzie – wskazuje proponowany przez nią kierunek ewolucji sztuki, zaś rozwój Biennale znajduje się w rękach artystów.

Marek Strąkowski

W poszukiwaniu kina wyzwań naszego czasu

Festiwal Mediów „Człowiek w zagrożeniu”

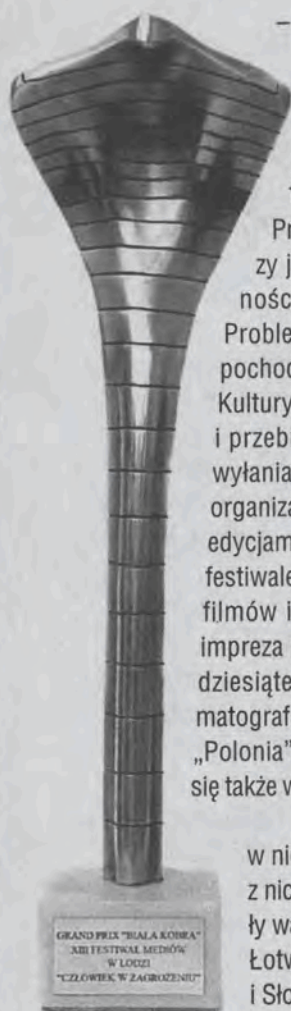
kultura

Festiwal, który w listopadzie 2004 r. odbywać się będzie po raz czternasty, ma już ugruntowaną pozycję wśród imprez promujących ambitną twórczość filmową. Impreza narodziła się w okresie zmian ustrojowych, w latach 1989/1990 i zapełniła pewną pustkę po Festiwalu Filmów Społeczno – Politycznych. W jego trzech ostatnich edycjach w latach 1984 – 1986 – 1988, mogły już być pokazywane filmy nieobecne w tzw. szerokim rozpowszechnianiu, a nawet wyłączone z pokazów na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.

Wśród pomysłodawców nowej łódzkiej imprezy filmowej byli m.in.: Marek Miller, dziennikarz i scenarzysta filmowy, Władysław Wasilewski, reżyser dokumentalista, wykładowca PWSFTviT, Andrzej Reiter, reżyser a wówczas także urzędnik odpowiedzialny za kulturę w Urzędzie Miasta Łodzi, Jan Jakubiszyn, ówczesny dyrektor Łódzkiego Domu Kultury, Elżbieta Drecka i Teresa Oziemska z Wytwórni Filmów Oświatowych, Sławomir Olejniczak i Krystyna Namysłowska z Radia Łódź oraz Andrzej Chętko z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Idea festiwalu zawarta została w hasło: „Człowiek w zagrożeniu”. Znajdowało ono potwierdzenie w otaczającej rzeczywistości. Świat stał się bowiem mniej opiekuńczy, upadały przedsiębiorstwa i instytucje, pojawiło się bezrobocie i brak poczucia stabilizacji, ale z drugiej strony przyszła wolność, pluralizm, wolny rynek. W mediach coraz więcej spotykało się informacji o przemocy, narkomanii, alkoholizmie, różnego rodzaju patologiach. Zło otaczało zagubionego i niepewnego jutra człowieka osaczającego zalewem bzdurnych, niemożliwych do zweryfikowania informacji i reklam.

Wraz z likwidacją cenzury nastąpiła eksplozja tematów dawniej nieobecnych – dotyczących najnowszej historii Polski i wschodniej części Europy, stosunków z sąsiadami, problemów mniejszości narodowych, tabu religijnych i obyczajowych. W takim to czasie rodziła się impreza nazwana „festiwalem mediów”, która pragnęła ukazać zasygnalizowane zjawiska w różnych środkach przekazu – w filmie, telewizji, radiu, prasie, na plakacie i fotografii.

W pierwszych edycjach festiwalu odbywały się równoczesne pokazy oceniane przez odrębne sądy konkursowe: filmowy, radiowy i prasowy. Początkowo organizatorzy zamierzali w każdej kategorii przyznawać Grand Prix



– „Białą Kobrę”. Nagroda ta ma lokalny, łódzki rodowód. Statuetka nagrody jest miniaturą monumentalnej rzeźby autorstwa Zbigniewa Dudka z Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, której oryginał jest ustawiony przed wejściem do uczelni.

Statuetce „Białej Koby” towarzyszy gratyfikacja finansowa. Do 1998 r. była fundowana przez prezesa TVP SA a od 1999 r. przez Prezydenta Miasta Łodzi. Od 1998 roku patronem honorowym imprezy jest Przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi. Utrzymanie niezależności programowej festiwalu nie napotykało większych trudności. Problem tkwił w zakresie finansowania imprezy. Środki na organizację pochodziły i pochodzą przede wszystkim z funduszy miejskich (Wydział Kultury, wydziały odpowiedzialne za promocję i edukację). Za organizację i przebieg imprez festiwalowych odpowiada Rada Programowa, która wyłania ze swego grona dyrektora festiwalu oraz podlegające mu biuro organizacyjne. Pierwszą edycją festiwalu w 1990 r. kierował Marek Miller, edycjami od drugiej do piątej – Władysław Wasilewski, od szóstej (1995 r.) festiwalem kieruje Mieczysław Kuźmicki. Do roku 1998 miejscem pokazów filmów i imprez towarzyszących był Łódzki Dom Kultury. W roku 1999 impreza na skutek zawirowań organizacyjnych nie odbyła się, zaś od edycji dziesiątej (2000 r.) festiwal został włączony w strukturę Muzeum Kinematografii w Łodzi. Od tego roku miejscem pokazów konkursowych jest kino „Polonia”. Pokazy specjalne i towarzyszące, imprezy i spotkania odbywają się także w kinie „Charlie”, Poleskim Ośrodku Sztuki i Muzeum Kinematografii.

Na festiwalu dominował nurt filmowy i tylko on do dziś przetrwał w niezłej kondycji. Nagrodzone filmy świadczą o jego poziomie. Niektóre z nich weszły do klasyki polskiego dokumentu. Filmy zagraniczne stanowiły ważną część przeglądu. Stąd obecność materiałów filmowych z Litwy, Łotwy, Ukrainy, Białorusi, Rosji, Czechosłowacji a potem także Czech i Słowacji, Niemiec, Francji, Szwecji. Od początku festiwalowi towarzyszyły różnorodne wystawy plastyczne i fotograficzne, które z reguły poszerzały jego formy oddziaływania, prezentując problemy nie zawsze obecne w filmach.

Konkurs radiowy był współorganizowany przez Radio Łódź. Wiele energii i czasu w jego sprawne przeprowadzenie wkładała dziennikarka tej stacji Krystyna Namysłowska. Przesłuchania dokumentalnych audycji radiowych (przede wszystkim reportaży) odbywały się w łódzkiej rozgłośni do 1998 roku. Festiwalowe wyróżnienia miały charakter symboliczny z powodu permanentnego braku dostatecznych środków finansowych. Warto jednakże przypomnieć, że przesłuchania radiowe cieszyły się dużym zainteresowaniem twórców, którzy starali się uczestniczyć w imprezie, traktując ją jako spotkania warsztatowe. Niestety, po wznowieniu festiwalu radio nie znalazło się w programie imprezy.

Wyjściem poza nurt filmowo-radiowy festiwalu były również konferencje popularnonaukowe. Za ich kształt odpowiadał socjolog z Uniwersytetu Łódzkiego Andrzej Rostocki. Cztery konferencje zorganizowane w latach 1990-93 miały tytuły: „Człowiek w zagrożeniu a środki masowego przekazu”, „Między niewiedzą, lękiem a agresją”, „Instytucje i ludzie w czasach przemiany systemowej”, „Jacy są i jacy będą: młodzież wobec zagrożeń współczesności”. W sesjach uczestniczyli m.in. Marek Kotański, ks. Arkadiusz Nowak, Iwona Śledzińska-Katarasińska, prof. Ewelina Nurczyńska-Fidelska, bp Adam Lapa, Ryszard Kapuściński, Jerzy Wertenstein-Żuławski. Dorobek trzech pierwszych spotkań został wydany drukiem. W latach następnych odbyły się m.in. dyskusje o kondycji polskiego kina dokumentalnego z udziałem wielu znakomitych realizatorów, krytyków i publicystów, rozmowy o dokumencie radiowym, prawach człowieka i nietolerancji, z udziałem m.in. reż. Grzegorza Królikiewicza, Karola Głogowskiego, Andrzeja Kerna. Ostatnio debatowano na temat reklamy filmowej, jako zjawisku niebezpiecznym, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży. W 2002 r. zaprezentowano widzom festiwalu blok filmów reklamowych, przygotowany specjalnie przez producenta, Studio Filmowe Opus Film. Każda reklamówka została podpisana przez twórców. Dzięki temu zabiegowi publiczność mogła przekonać się, że ich autorami są najwybitniejsi, honorowani (nawet Oscarem), twórcy polskiego kina. W następnym roku w spotkaniu uczestniczyli obok widzów i krytyków także realizatorzy.

Jednakże najważniejszym był i pozostaje nurt filmowy festiwalu. Podczas trzynastu dotychczas przeprowadzonych festiwali zaprezentowanych zostało około 700 tytułów polskich dokumentów filmowych, przynajmniej kilkadziesiąt spośród nich ma szansę dłużej pozostać w historii tego gatunku. Jakość filmów nagrodzonych nie tylko Grand Prix, ale i pozostałymi nagrodami i wyróżnieniami, nazwiska laureatów to już antologia polskiego nowego dokumentu zdominowanego przez twórców młodych i najmłodszych, których poetyka wywodzi się często z gorących mediów elektronicznych. Znamiennym dla tej imprezy jest, iż z konfrontacji klasyków polskiego dokumentu, takich jak Kazimierz Karabasz, Andrzej Barański, Andrzej Titkow, Krzysztof Wojciechowski czy Grzegorz Królikiewicz z młodymi, często debiutującymi autorami, z reguły zwycięsko wychodzili ci ostatni. Nie bez znaczenia są tu oczywiście upodobania jurorów, dlatego przypomnę przynajmniej kilkanaście postaci, które swoim autorytetem wyznaczały też drogę dokumentowi: Roman Gutek, Tadeusz Sobolewski, Tadeusz Szczepański, Maria Malatyńska, Jadwiga Żukowska, Grażyna Bryżuk, Juliusz Janicki, Dorota Wardęszkiewicz, Paweł Łoziński, Andrzej Różycki, Sławomir Kryński, Andrzej Cieczot, Piotr Trzaskalski, Jerzy Armata, Zbigniew Kotecki, Janusz Pawłowski, Piotr Wojciechowski, Jerzy Ridan, Andrzej Czulda, Wojciech Staroń, Henryk Dederko, Lechosław Czołnowski, Wanda Mirowska, Jerzy Trunkwalter, Władysław Wasilewski, Zygmunt Skonieczny.

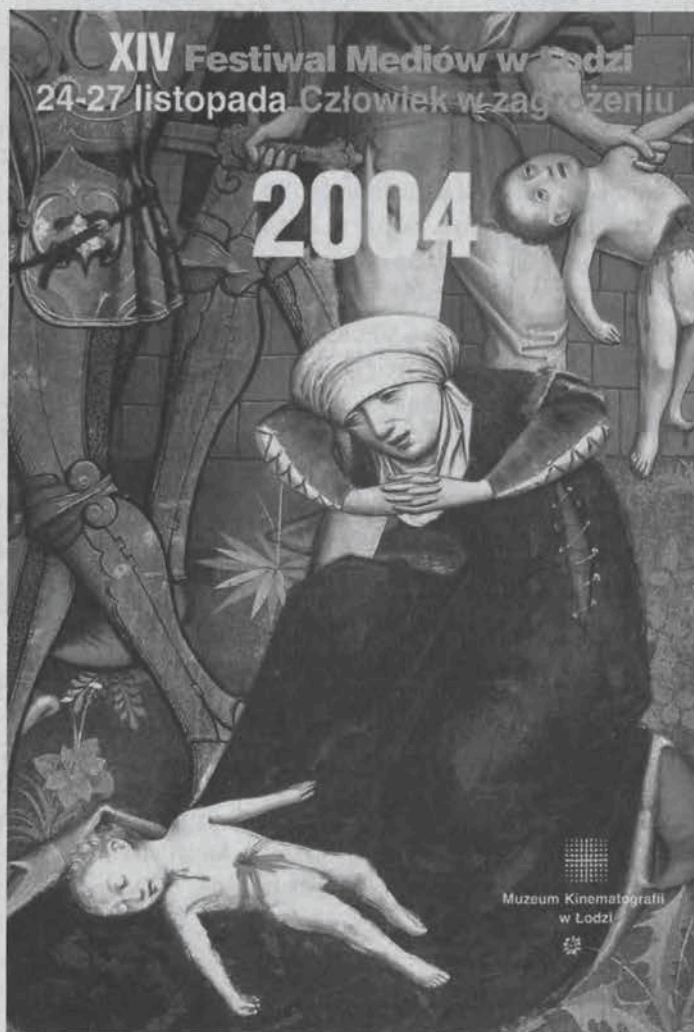
Ważną zmianą wprowadzaną stopniowo od szóstej edycji jest rozdzielenie krajowego przeglądu konkursowego od pokazów specjalnych filmów

zagranicznych. Podczas trzynastego festiwalu zaprezentowany został monumentalny (4 części, blisko dwie i pół godziny projekcji) obraz „Wołyń. Znak nieszczęścia” zrealizowany w Kijowie przez młodych twórców Ołeksandra Bałabana i Ołeksandra Radyńskiego, którzy starali się z dobrym skutkiem przedstawić w sposób możliwie zobiektywizowany tragiczne wydarzenia na Wołyniu w roku 1943. Dyskusja po filmie świadczyła, że dotknęli bólejczy rany. Taki właśnie gorący sposób postrzegania i opowiadania o świecie jest najważniejszy dla Festiwalu Mediów. Staramy się też, by był on swoistym znakiem rozpoznawczym imprezy.

Nagrodzenie na VIII Festiwalu Mediów (1997) obrazu Henryka Dederki „Witajcie w życiu” wywołało prawdziwą burzę. Film ukazał działalność, osobliwe metody werbowania członków i sposoby pozyskiwania klientów korporacji Amway, zajmującej się tzw. dystrybucją bezpośrednią. Sieć Network 21, do której należy korporacja, poczuła się zniesławiona sposobem pokazania jej przez autora, oskarżyła reżysera i producenta, łódzkie Contra Studio, zażądała też wycofania filmu z dystrybucji nie tylko z festiwalu. Bez kłopotów też uzyskała sądowy zakaz jego prezentacji. Zakaz ten obowiązuje do dziś. Od listopada 1997 roku mija siedem lat! W obronie filmu wystąpiło środowisko filmowe, przedstawiciele mediów. Apel do marszałka sejmiku podpisali redaktorzy naczelni chyba wszystkich polskich periodyków, od Michnika przez Turowicza po Urbana. Wobec zakazu prezentacji w jakiegokolwiek formie obrazu, redakcje „Gazety Wyborczej” i „Trybuny” opublikowały zapis ścieżki dźwiękowej filmu. Pirackie kasety z filmem można było kupić na łódzkich targowiskach!

Inne ważne wyróżnione filmy, to kontrowersyjne obrazy Ewy Borzęckiej „Trzynastka” i „Arizona”. Ten ostatni opowiadał o pozbawionych środków do życia pracownikach byłych PGR-ów, dla których jedynym sposobem na życie i jedyną radością jest tanie wino o nazwie takiej jak tytuł filmu. W podobnym tonie rozgrywał się film Ewy Straburzyńskiej „Dzieci z Trójkąta” („Biała Kobra” 1995). Autorka opowiada o zagubionych, deprawowanych od najmłodszych lat dzieciach z wrocławskiej dzielnicy zwanej „trójkątem bermudzkim”. Świat oczami wrażliwego dziecka prezentuje reportaż filmowy Lidii Dudy „U nas w Pietraszach” – kilkunastoletni chłopiec jest obserwatorem i narratorem dziwiącym się światu, w którym dorośli nie mają pracy a dzieciom brakuje radości życia. Próba przedstawienia wyjścia z kręgu beznadziei spowodowanej bezrobociem, upadkiem zakładów, degradacją całych środowisk i warstw jest obraz Dagmary Drzazgi „Bobrek dance” („Biała Kobra” 2002). Dla kilku młodych chłopaków z tej niegdyś przemysłowej a dziś coraz bardziej lumpenproletariackiej śląskiej enklawy, sposobem na wyrwanie się z nędzy egzystencji prowadzącej prosto do patologii i przestępczości stała się nauka tańca ulicy – break dance. Nagrodzony w 1996 roku film Tomasza Thomsona „Wiola” jest historią losów dziewczynki ze Zgierza, która nagle znalazła się na „złej drodze”: uciekła z domu, weszła w środowisko przestępców, imponują jej ludzie zdeprawowani, a jej zachowania i reakcje coraz częściej odbiegają od norm społecznych. Film nie daje pełnej odpowiedzi na ewentualne pytania, niczego nie dopowiada, nie komentuje.

Inny ważny nurt festiwalu reprezentuje kino polityczne, rozrachunkowe i demaskatorskie. Tutaj najważniejsze obrazy pojawiały się zwłaszcza podczas pierwszych edycji festiwalu. Kilka filmów poświęconych trudnym stosunkom polsko-żydowskim a także eksterminacji Żydów podczas wojny zostało wyróżnionych przez jury. Jest wśród nich sławny „Fotoamator” (Nagroda Prezydenta Łodzi w 1997 r.) Dariusza Jabłońskiego – obraz getta łódzkiego przedstawiony poprzez niedawno odnalezione kolorowe slajdy, które komentuje świadek zagłady Arnold Mostowicz. Jest też przejmujący dokument Jolanty Dylewskiej o powstaniu w getcie warszawskim zbudowany z fragmentów zachowanych materiałów archiwalnych i komentarza Marka Edelmana. Niewątpliwie najciekawszym i najbardziej dojrzałym artystycznie pozostaje



laureat „Białej Koby” z roku 1992, film Pawła Łozińskiego „Miejsce urodzenia”. To bardzo osobisty zapis wędrówki pisarza Henryka Grynberga, który po latach spędzonych za granicą wraca do Polski i szuka grobu swojego ojca. Trafia do wsi, w której w czasie wojny ukrywał się on i jego rodzina, dociera do żyjących jeszcze świadków. Odnajduje miejsce pochówku ojca, dowiaduje się też, zginął on z ręki chciwego sąsiada!

W nurcie demaskatorskim mieszczą się też obrazy: Mariusza Fronta „Sposób na życie” („Biała Kobra” 1993) – o polskich najemnikach walczących w byłej Jugosławii po stronie serbskiej oraz Macieja Drygasa „Stan nieważkości” („Biała Kobra” 1994) – bardzo rzetelna próba odbrażowania radzieckich kosmonautów, pokazanie rzeczywistej ceny podboju kosmosu. Do podobnego nurtu nawiązuje też laureat Grand Prix z roku 2001, film „Schizofrenia”. Jego autorka Vita Želakeviciute (prywatnie: córka wybitnego litewskiego reżysera, którego film „Nikt nie chciał umierać” miał w swojej ojczyźnie rangę i popularność porównywaną z „Popiołem i diamentem” Andrzeja Wajdy, a także żona Macieja Drygasa) przedstawia dramatyczny obraz radzieckiej, nie bardzo odległej rzeczywistości, kiedy to przodująca medycyna tego kraju wykryła istnienie „schizofrenii bezobjawowej”. Na podstawie takiej diagnozy w miejscu odosobnienia mógł znaleźć się każdy krytyczny wobec władzy obywatel.

Warto również zatrzymać się przy nurcie zawsze silnie obecnym w polskim dokumencie: obserwacjach rejestrujących życie, egzystencję ludzi w ich naturalnym otoczeniu, pejzażu, ich zachowania, sposoby na życie. Na pierwszym festiwalu bezapelacyjnie zwyciężył film Andrzeja Różyckiego z Łodzi „Nieskończoność dalekich dróg. Podpatrzona i podsłuchana Zofia Rydet A.D. 1989”. To fascynujący zapis obserwacji wybitnej, dziś już nieżyjącej artystki, fotografującej ludzi w ich naturalnym środowisku, w strojach i w pozach jakie sami wybrali do sportretowania. To zapis pewnego fragmentu naszego świata, w którym czas zatrzymał się nie tylko na fotografii. Obraz filmowy komentuje zza kadru autorka zdjęć dodając swoją interpretację ukazywanej rzeczywistości, która nabiera jednocześnie metafory.

„Tor” Piotra Kielara (główne laury z roku 2000) – to obserwacja życia mieszkańców kilku miejscowości położonych wzdłuż kolejki wąskotorowej w centralnej Polsce. Ich tradycyjne zajęcia wyznaczają nie tylko pory roku, ale w równym stopniu rozkład jazdy pociągu. Co stanie się z ich życiem, kiedy linia zostanie zlikwidowana? – pyta autor. Dziś, w 2004 roku wiemy, że pociągi już tamtędy nie jeżdżą.

W jakim kierunku podąży polski dokument filmowy, jaki nurt będzie w nim dominował? Nie ma – jak dotąd – jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Festiwal Mediów jest miejscem gdzie pytania tego rodzaju padają. Odpowiedzi na nie szukają widzowie, których coraz liczniej festiwal przyciąga.

Mieczysław Kuźmicki

– filmolog; dyrektor Muzeum Kinematografii w Łodzi.

Stolica pubów miastem poezji

Twórczością para się coraz więcej łodzian

kultura

Aleja Gwiazd na Piotrkowskiej to echo dawnej Łodzi filmowej, opisanej już w licznych książkach i artykułach. Nieoficjalne „maratony piwne” wzdłuż głównej ulicy przypominają, że Łódź bywa nazywana także miastem pubów. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że w naszym mieście bujnie kwitnie życie poetyckie.

Życie poetyckie w Łodzi przypomina nieco obieg wydawniczy w poprzednim ustroju: istnieje tutaj zarówno nurt oficjalny, określany przez sztywne regulaminy i statuty, jak i nieoficjalny – odrobinę „podziemny”, spontaniczny, nie wpisany w sztywne ramy i konkretne ustalenia.

Oficjalnie i statutowo rodzimą kulturę propagują łódzkie oddziały Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Na rzecz rozwoju literatury pracują między innymi poprzez działalność wydawniczą, organizowanie konkursów, dyskusji i spotkań literackich.

Do najbardziej prestiżowych imprez, organizowanych przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, należy Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Jacka Bierzina, na debiutancki, niepublikowany tomik poezji. Konkurs ów cieszy się dużym zainteresowaniem, bo i nagroda jest niebagatelna – publikacja tomiku laureata – co w czasach, gdy debiutantowi bardzo trudno jest pokonać barierę druku, staje się bardzo atrakcyjne.

Publikacją poezji laureatów kończy się również Konkurs o Nagrodę im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Organizatora – Stowarzyszenie Literackie im. Baczyńskiego – wspiera finansowo i otacza opieką Wydział Kultury i Ochrony Zabytków Urzędu Miasta Łodzi.

Jednym z najmłodszych konkursów poetyckich jest organizowany od dwóch lat przez Bałucki Ośrodek Kultury RONDO, „Tygiel Kultury” i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Konkurs Poetycki im. Zbigniewa Dominiaka, zatytułowany „Moje świata widzenie”. Pierwszym jego laureatem został Adam Szadkowski.

Bez mecenatu

Mecenat państwa skończył się i młodzi autorzy sami muszą się przebijać i walczyć o wydanie swoich wierszy, natomiast nieco starsi z łezką rozrzewnienia wspominają czasy, gdy Ośrodek Sztuki Młodych Łódzkiego Domu Kultury zajmował się sprawami wydawniczymi pomagając początkującym, nieznanym jeszcze poetom opublikować najlepsze utwory. Niestety, można sądzić, że sporo dobrych utworów łódzkich poetów

nadal zalega szuflady. Widać nic nie może zastąpić sprawdzonego wynalazku starożytnych, jakim jest mecenat.

Dużą popularnością cieszą się otwarte turnieje poetyckie, w których mogą wziąć udział zarówno członkowie stowarzyszeń twórczych, jak i poeci nie zrzeszeni. Jedynym warunkiem jest przeczytanie utworu (o dowolnej tematyce i formie), który nie był dotychczas publikowany, i złożenie maszynopisu czcigodnemu jury. Zasiadają w nim najczęściej popularniejsi łódzcy pisarze, poeci i krytycy literaccy. Nie da się ukryć, że w tego typu imprezach bierze udział również „podziemie” literackie, licząc na zaistnienie w oficjalnym świecie poetyckiej Łodzi oraz na nagrodę pieniężną, która – choć zwykle symboliczna – bywa często ratunkiem dla „chudych literatów”.

Jednym z najstarszych konkursów jest doroczny Turniej Jednego Wiersza „O Puchar Wina”. Narodził się w 1967 roku w Kole Młodych przy ówczesnym Związku Literatów Polskich, a od około dwudziestu lat organizuje go Ośrodek Artystyczny Łódzkiego Domu Kultury. „Puchar Wina” zdobyło wielu znanych dziś autorów, między innymi Andrzej Biskupski, Mieczysław Michał Szargan, Dorota Koman, Krystyna Kwiatkowska.

Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Poleski Ośrodek Sztuki organizują podobny konkurs dla młodych poetów – Turniej Jednego Wiersza o Laur Juliana Tuwima. Podczas ostatnio rozegranego turnieju pod hasłem „Ojczyznę szarpać deklinacją”, jury wyłoniło czterech laureatów: Grand Prix wyśpiewał (przy akompaniamencie własnej gitary) Przemysław Owczarek, zaś trzy równorzędne nagrody zdobyli: Krzysztof Grzelak, Wojciech Kądziała i Piotr Macierzyński.

Pisząc o poezji „zrzeszonej” czy też „stowarzyszonej”, trzeba podkreślić ważną rolę klubów i domów kultury, które otwierają swoje drzwi przed adeptami sztuki słowa, prowadząc warsztaty literackie, wieczory autorskie i spotkania ze znanymi pisarzami. Należy tu wymienić Klub Literacki Nauczycieli (gałąź Klubu Nauczyciela), organizujący spotkania warsztatowe i autorskie oraz promocje książek i tomików poetyckich, a także Stowarzyszenie Literackie AKANT, działające na podobnych zasadach przy Klubie Garnizonowym. Wieczory z poezją są również organizowane w Bałuckim Ośrodku Kultury RONDO i w Widzewskim Domu Kultury „Widok”.

O tym, że wśród młodych ludzi piszących wiersze rodzi się potrzeba konfrontowania swojej twórczości z rówieśnikami o podobnych zainteresowaniach, świadczy fakt, iż nawet w widzewskim „Widoku” – który statutowo zajmuje się muzyczną edukacją młodzieży – powstała pod opieką Marka Czuku i Danieli Zajączkowskiej Grupa Literacka „Między innymi”, zrzeszająca gimnazjalistów i licealistów. Młodzi spotykają się w czwartki, dyskutują o swoich utworach, przygotowują się do regionalnych konkursów poetyckich.

Ośrodek Kultury „Górna”, przy ulicy Siedleckiej, od dwudziestu jeden lat udziela gościny jednej z najstarszych grup literackich w Polsce – powstałej

wiosną 1980 roku Grupie Literackiej „Centauro”. Twórcy skupieni wokół Henryka Zaslowskiego – barwnej i charakterystycznej postaci poetyckiej Łodzi – nie mają określonego programu literackiego, piszą w różnych konwencjach i poetykach. Tym, co ich łączy, to z całą pewnością sama chęć pisania. Zaslowski twierdzi, że należy pisać, nawet wówczas, gdy utworom „czegoś brakuje”, ponieważ w dzisiejszym, rozpędzonym i nieprzyjaznym świecie może to być sposób na przetrwanie.

Miejscem, w którym dzieje się prawdopodobnie najwięcej i najbardziej efektownie, jest Poleski Ośrodek Sztuki. Na organizowanych tu spotkaniach i wieczorach autorskich gościli między innymi: Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz, ks. prof. Józef Tischner.

Abordaż, trans-taras i slamy

Ciekawą formą odbywających się tu spotkań z poezją był cykl „Abordaż – spotkania poetyckie w Łodzi”, organizowany i prowadzony przez Piotra Macierzyńskiego od marca 2002 roku (początkowo w Łódzkim Domu Kultury). Na wieczorach tych prezentowali się najlepsi i najbardziej interesujący poeci, urodzeni w latach siedemdziesiątych, między innymi: Krzysztof Siwczyk (pierwszy laureat Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina), Marta Podgórnica, Tadeusz Dąbrowski, Anna Podczaszy (jedyna poetka z roczników siedemdziesiątych nominowana do Nagrody NIKE), Paweł Lekszycki. Wśród ponad dwudziestu „Abordaż” odbyły się dwa specjalne: dziesiąty, na którym gościli redaktorzy antologii *Tekstylii – o „rocznikach siedemdziesiątych”* (Piotr Marecki, Igor Stokfiszewski, Michał Witkowski), oraz dwudziesty, podczas którego miał miejsce pokaz serii krótkometrażowych, kręconych amatorską kamerą filmów Wojciecha Koronkiewicza „Poczet Poetów Polskich”. Wśród sfilmowanych znaleźli się: ks. Twardowski, Wanda Chotomska, Tadeusz Różewicz, Marcin Świetlicki, Marcin Cecko, Dariusz Brzóska, Jarosław Lipszyc.

– Abordaż od dwóch lat gromadzą liczną publiczność, a poeci z całej Polski przyjeżdżają i próbują podbić/zdobyć (zaabordować) łódzkich czytelników – mówi Macierzyński.

W Poleskim Ośrodku Sztuki powstało – z inicjatywy Zuzanny Ogorzewskiej, Elżbiety Szaniawskiej, Agnieszki Kowalskiej, Przemysława Owczarka, Marcjusza Moronia, Rafała Maurina, Michała Wawszczaka i Rafała Gawina – nowe, określone statutem zrzeszenie poetów. Pierwsza oficjalna prezentacja Klubu Literackiego przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich „trans-taras” miała miejsce 15 czerwca 2004 roku, kiedy to z wysokości tarasu ośrodka założyciele Klubu recytowali swoje wiersze. Poezji towarzyszyły piosenki w wykonaniu Agnes Band i Przemka Owczarka. Poeci nie zapomnieli również o mniej duchowej strawie i hojnie częstowali publiczność chlebem ze smalcem i gorącą kaszanką. Po prezentacji klubowiczów odbył się otwarty turniej jednego wiersza, który wygrał Marcin Moron.

Drugi raz „trans-taras” zaprezentował się 8 września 2004 roku, w ramach Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. Ten wieczór poetycko-muzyczny zainicjował istnienie Saloniku Literacko-Artystycznego w klubie muzycznym „Jazzga”.

Na mapie poetyckiej Łodzi pojawił się nowy punkt – „Apetyt na czytanie”. Jest to akcja promująca czytelnictwo, która z inicjatywy Polskiej Izby Książki ruszyła w marcu właśnie w naszym mieście (a pomysłodawca wyraża pragnienie, by ogarnęła cały kraj). W księgarniach i pubach, w określony dzień tygodnia (w Łodzi jest to czwartek) mają odbywać się rozmaite imprezy – promocje i wystawy wydawców, spotkania autorskie, przeglądy filmów, będących ekranizacjami książek, koncerty poezji śpiewanej itp.

W akcji tej uczestniczy „Klub Stereo Krogs”, w którym odbywają się wieczory poezji (w kwietniu czytał tam swoje wiersze Tomasz Różycki). W ramach „Apetytu na czytanie” Piotr Macierzyński będzie prowadził wieczory autorskie w księgarnio-kawiarni „Mała Litera”.

„Apetyt na czytanie” to także łódzki slam poetycki, który po raz pierwszy odbył się 13 maja właśnie w Stereo Krogs. Slam to skrzyżowanie poezji i performance’u, stawiające na pierwszym miejscu kontakt poety z publicznością, która wyraża swoje zdanie na temat utworów i sposobu ich przedstawienia, oraz wyłanianie najlepszego autora. Tego typu imprezy są zwykle otwarte, ale prowadzący łódzki turniej Piotr Macierzyński postanowił wcześniej zebrać zgłoszenia ograniczonej liczby kandydatów, by móc rozegrać konkurs metodą pucharową. Żywiotowo reagująca publiczność, zgromadzona w „Klubie Stereo Krogs”, niemalże jednogłośnie zdecydowała, że pierwszy w Łodzi slam wygrał Rafał Maurin – młody, obiecujący łódzki poeta, często posługujący się w swej twórczości grą i skojarzeniami językowymi.

Kolejny slam odbył się 18 października, również w „Stereo Krogs”. Tym razem Macierzyński zastosował metodę znaną wszystkim z mistrzostw świata w piłce nożnej i – z pomocą „sierotki” z publiczności – wylosował cztery trzyosobowe grupy. Nowością było również „upolowanie” pięcioma piłeczkami ping-pongowymi jury, które w pierwszej rundzie przyznawało występującym punkty. Publiczność, głośno wykrzykując imiona swoich ulubieńców, wyłoniła finalistów: Rafała Maurina i Pajaca Kultury (czyli Wojtka Kądziałę).

19 października w Teatrze Nowym odbył się pierwszy „Ring poetycki” – impreza łącząca w sobie tradycyjny turniej jednego wiersza i slam. Spośród piętnastu uczestników, występujących w Małej Sali teatru, szacowne jury (w składzie: Jan Grzegorz Issaieff, Wojciech Kądział, Bogdan Urbankowski) wyłoniło trójkę laureatów. I nagrodę zdobył Rafał Maurin, II – Zuzanna Ogorzewska, III – Przemysław Owczarek.

Drugi strumień poezji

Poetycka Łódź płynie także drugim strumieniem – niesformalizowanym, rodzącym się żywiotowo, nie ograniczanym sztywnymi ramami programowymi. Do tego nurtu należy „Wycie wersa – rozmowy piszących” (zapoczątkowane w listopadzie 2003 roku). Jest

to reakcja na wieczory autorskie i spotkania grup literackich, na których najczęściej nie dochodzi do wnikliwej analizy prezentowanych tekstów; zwykle pojawiają się jedynie ogólne opinie: „podało mi się” lub „ten typ poezji mi nie odpowiada”.

– A mnie się od dawna wydawało, że istotą literackich prezentacji jest dialog, i jeśli już ktoś poważnie podjął się ciężkiej pracy pisania, zależeć mu winno na wymianie myśli. Dlatego, nie bacząc na trudy nudy, postanowiłem utworzyć forum takiej wymiany, dostępne całemu literackiemu środowisku, w każdą środę od osiemnastej w »Jamie Madejowej« – mówi Wojciech Kądziera, w profesjonalny sposób prowadzący „Wycie wersa”.

Warto tam zajrzeć, wypić herbatę, wysłuchać wierszy i nieśmiertelnego pytania Kądzieli, kierowanego do młodych poetów: „A po co?”

Niestety, przez niemal całe wakacje „Jama Madejowa” była w remoncie. Poetyckie towarzystwo przeniosło się wobec tego do „Zapiecka”, ale tam nieraz więcej było „wycia” niż „wersa” – „rozmowy piszących” często polegały na niemalże krzykach, w próbie przebicia się przez gwar głosów zapieckowych bywalców.

Podobnie nietuzinkowy charakter mają „Zderzenia z poezją” – cykl comiesięcznych prezentacji poezji w oberży folkowej „Zapiecek”. Pomysł i początki należą do nieżyjącego już Tadeusza Przyguckiego, prozaika i poety, po którym prowadzenie imprezy przejął Wojciech Kądziera. Wydawać by się mogło, że w knajpie trudno znaleźć miejsce dla literatury; wątpliwości miał początkowo nawet Kądziera: – Zrazu sam nie ufałem, że poezja w oberży może zaciekać, lecz trzy lata reakcji przypadkowej często publiczności poczynają mnie przekonywać – wspomina. Scena „Zapiecka” zaprasza poetów w każdy pierwszy wtorek miesiąca o godzinie dwudziestej. W listopadzie Kądziera zderzył publiczność z poezją nietypową. Jego gościem był Mateusz Grodzki, poeta hip-hopowiec.

Nigdy nie powstała „łódzka szkoła”, która charakteryzowałaby się wspólnym rysem czy orientacją literacką. – W Łodzi nie ma grupowego działania, strategii lansującej nasze miasto na zewnątrz. Trzeba jednak pamiętać, że grupa ogranicza, wymuszając na piszących pewną poetykę, zaś brak «miejscowej szkoły poetyckiej» pozwala zachować indywidualność – mówi Andrzej Strąk, prezes łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Warto jednakże tutaj zaznaczyć, że – mimo twórczej „inności” i wielopokoleniowości – łódzkie środowisko poetyckie jest dość mocno zintegrowane na gruncie towarzyskim i „wspierająco-warsztatowym”.

Poetycka Łódź lekko unosi się na wodach poezji, wpływając w nurty rozmaitych poetyk, konwencji i form. Być może do wypłynięcia na pełne wody brakuje jej właściwie tylko odpowiedniej strategii marketingowej, reklamującej łódzkich poetów poza granicami naszego miasta. Prężna promocja na „obcych rynkach” może sprawić, iż Łódź stanie się jednym z najciekawszych punktów na mapie poetyckiej Polski.

Joanna Napiórkowska

– absolwentka polonistyki, doktorantka w UŁ.

Negatywy utrwalonej historii

55 lat działalności Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego

Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne to pierwsza powojenna placówka fotograficzna w naszym mieście. Powstała w 1949 roku jako Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Fotograficznego; pod obecną nazwą funkcjonuje od 1961 roku. Jako stowarzyszenie kulturalne działa głównie w oparciu o własne środki wspomagane dotacjami celowymi pochodzącymi z funduszy miejskich, oraz pomoc finansową pozyskanych sponsorów. Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne jest najdłużej i nieprzerwanie działającą galerią fotograficzną w Polsce. Głównym celem działalności ŁTF jest upowszechnianie fotografii jako dziedziny sztuki. Towarzystwo od samego początku skupia wielu wybitnych artystów – zarówno z Polski jak i z zagranicy – którzy rozwijają i poszerzają rejony fotografii. Swoje osiągnięcia prezentują na licznych wystawach organizowanych od 1957 roku w Salonie Fotografiki (obecnie Galerii Fotografii ŁTF) – miejscu szczególnym dla całego środowiska fotograficznego oraz jednym z najważniejszych ośrodków kulturalnych w Łodzi.

Do priorytetowych działań Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego należy utrwalanie wizerunku naszego miasta – od ponad pięćdziesięciu lat w Archiwum Fotografii Łodzi gromadzone są najcenniejsze zdjęcia prezentujące łódzką architekturę, kulturę, atmosferę i ludzi – oraz udostępnianie go szerokiemu kręgowi odbiorców. ŁTF prezentowało prace swoich twórców między innymi na Festiwalu Kultury Europalia 2001 w Brukseli („Polska w Belgii”), gdzie zaprezentowano dwie, specjalnie przygotowane wystawy: „Łódź – opowiadki o mieście” (ekspozycja pokazana również w Hiszpanii, w 2002 roku) oraz „50 lat Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego”. Kolejne wystawy, promujące nasze miasto, odbędą się w 2005 roku w Galerii Verhaeren w Brukseli i w Tampere w Finlandii (wystawa historyczno-fotograficzna o rozwoju Łodzi przemysłowej od początku XIX wieku).

Od początku istnienia Towarzystwo zorganizowało ponad pięćset czterdzieści wystaw. Co roku widzowie mogą uczestniczyć w około 20 prezentacjach twórczości wybitnych autorów, zarówno fotografii polskiej (m. in. Zofii Rydet, Edwarda Hartwiga, Ewy Rubinstein, Józefa Robakowskiego), jak i zagranicznej (m.in. z Włoch, Belgii, USA). Wystawy oraz konkursy, organizowane przez ŁTF, doczekały się międzynarodowego uznania.



Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne pomaga także rozwijać się młodym, nieznanym jeszcze fotografom. W związku z tym organizuje spotkania warsztatowe oraz lekcje w Galerii Fotografii, gdzie prowadzone są zajęcia poszerzające wiedzę: między innymi z fotografii, plastyki, przyrody, geografii oraz historii naszego miasta. Stwarzając dla młodzieży szansę pokazania swoich prac, w 1994 roku po raz pierwszy ogłoszono cykliczny konkurs dla młodych fotografów pt. „Łódzka fotografia miesiąca”, na który stale napływają prace licznych uczestników.

ŁTF prowadzi również działalność charytatywną. Dzięki akcjom Towarzystwa zebrano środki finansowe oraz sprzęt fotograficzny dla Schroniska dla Bezdomnych Mężczyzn w Łodzi (wystawa „Bezdomni fotografują”). We współpracy z Towarzystwem Pomocy im. św. Brata Alberta przeprowadzono również ogólnopolski konkurs dla mieszkańców schronisk dla bezdomnych. Łódzkim działaczom i członkom ŁTF na pewno nie jest obojętny los osób niepełnosprawnych o czym świadczy wystawa „Świat wokół ciebie”, stanowiąca dobrą przestrzeń włączenia ich do kulturalnego życia miasta.

Czynne uczestnictwo ŁTF w kulturalnym życiu Łodzi nie sprowadza się tylko do organizowania licznych imprez i konkursów. Towarzystwo miało swój udział między innymi w Międzynarodowym Festiwalu Fotografii i Festiwalu Odkrywców i Podróżników Mediatravel (edycje 2002 i 2004), Dniach Portugalii w Łodzi, V Festiwalu Gór, Sportów Ekstremalnych i Podróży, X Festiwalu Filmów Podróżniczych im. Włodzimierza Puchalskiego (2003), Festiwalu Dialogu Czterech Kultur oraz w obchodach 60-tej rocznicy likwidacji Litzmannstadt Ghetto.

Tegoroczną, pięćdziesiątą piątą rocznicę swego istnienia, Towarzystwo uczciło wystawą zatytułowaną „Fotografie mistrzów kamery” (impreza towarzyszyła Międzynarodowemu Festiwalowi Camerimage 2004), do udziału w której zaproszono operatorów filmowych, absolwentów Szkoły Filmowej. Prace nadesłało jedenastu twórców, między innymi: Zbigniew Chałetek, Ryszard Lenczewski, Krzysztof Ptak, Andrzej Wyrozębski.

Dzięki ludziom aktywnym w ŁTF, Łódź i powiązani z nią artyści promowani są zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Obszary zainteresowania ŁTF stale się powiększają, można więc uważać to stowarzyszenie za ważne centrum pracy nad rozwojem i promocją sztuki fotograficznej.



Zbyszko Rzeźniacki
Z cyklu: Dzieci ulicy
1963



Mirosław Zajdler
Obraz wojenny
1975



Jerzy Kosiński
Samotne drzewko
1957

**Mówi prezes Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego,
prof. PŁ Krzysztof Wojciechowski:**

– Za największy sukces uważam fakt nieprzerwanej działalności Towarzystwa od pięćdziesięciu pięciu lat – pomimo szeregu trudności i zmian form działania, wymuszonych zewnętrznymi czynnikami. W tym czasie zorganizowaliśmy 550 wystaw, nawiązaliśmy kontakty i zrealizowaliśmy ekspozycje w ramach wymiany z galeriami polskimi i międzynarodowymi. Dręczący był dla nas na pewno brak stabilności finansowej oraz problemy lokalowe. Uważam, że te czynniki wpłynęły na brak pełnej dokumentacji zbiorów z całego okresu działalności Towarzystwa.

Planujemy w dalszym ciągu kontynuację działalności wystawienniczej, szczególnie pod kątem promocji dorobku fotograficznego autorów łódzkich oraz promocji miasta w kontaktach zagranicznych, prezentacji archiwaliów łódzkich i historii rozwoju miasta. Pragniemy również opublikować historię Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego oraz skatalogować Bibliotekę i Archiwum Fotografii ŁTF na nośnikach cyfrowych.

Mówi członek zarządu ŁTF

Sławomir Gutowski, lekarz neurolog:

– W lutym bieżącego roku w pięknych salach Izby Lekarskiej w Łodzi pokazałem swoje zdjęcia z podróży do Włoch na wystawie pod tytułem „Viva Italia”. Wśród gości liczne grono stanowili członkowie ŁTF. To między innymi dzięki ich głosom otrzymałem Nagrodę Publiczności na Ogólnopolskiej Wystawie Fotograficznej „Lato w obiektywie lekarskim” w październiku 2004. Udało mi się zorganizować plener na mojej działce w Łaknarzu, koło Wolborza, w którym uczestniczyli wszyscy członkowie zarządu, wzbudzając ogromne zainteresowanie okolicznych mieszkańców. Towarzystwo nasze integruje środowisko entuzjastów fotografii. Do tradycji należą spotkania koleżeńskie po wernisażach, organizowane są coroczne wspólne Wigilie, na których panuje prawdziwie rodzinna atmosfera. Do siedziby Towarzystwa codziennie przychodzi wiele osób odwiedzających Galerię Fotografii, chcących porozmawiać z fachowcami na temat techniki fotografii, nowości sprzętowych i aktualnie panujących trendów. Liczne wpisy do książki pamiątkowej świadczą, że ŁTF aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym miasta i regionu łódzkiego, działając w bardzo różnych środowiskach.

Hubert Kubasiewicz

– *anglista; pracownik Biura Promocji Turystyki i Współpracy z Zagranicą UMŁ.*

Muzy przy krosnach

Kultura fabrycznej Łodzi

Kiedy polskie władze Królestwa Polskiego przyznały Łodzi przywileje, umożliwiające powstanie i rozwój przemysłu, do miasteczka zaczęli ściągać koloniści – najpierw z Wielkopolski i Śląska – Niemcy i Żydzi. Początkowo byli chałupnikami tkającymi len na płótno, a kiedy ich status materialny zaczynał się poprawiać, zatrudniali robotników jako nakładcy. Tym samym dali pracę wielu polskim chłopom, mieszkającym w okolicznych wsiach. Wkrótce dotarł do miasta ukaz cara Aleksandra I nakazujący tworzenie osobnych dzielnic dla ludności żydowskiej, z czego wynika, że napłynęło jej sporo. Nikt nie prowadził spisów ani badań statystycznych, toteż trudno powiedzieć coś o proporcjach liczbowych; pewne światło rzucają jednak wydarzenia związane z powstaniem listopadowym. Niemcy zadeklarowali wtedy lojalność wobec cara, a ksiądz Metzner wołał z ambony: „Przekłeta niech będzie ręka, co się na cara podnosi!” Kiedy powstanie upadło, przyszedł nakaz, by pozdejmować „orły nieprawidłowo urządzone” – oczywiście orły białe – co świadczy o tym, że postawa Polaków przeważała lojalność niemiecką – liczebność Polaków była już znaczna.

Wymienione trzy narodowości przez kilka dziesiątków lat rozwijały się odrębnie, z tym, że w rozwoju kultury dość wcześnie ujawnił się akcent polski. Mianowicie w roku 1844 radny Drewnowicz sprowadził z Łęczycy polski teatr objazdowy Marzantowicza, który dwukrotnie wystąpił w szopie przy ulicy Zgierskiej, pokazując mieszkańcom dwie sztuki: melodramat „Joanna czyli dziewczyna z gminu” i wodewil „Adam i Ewa”. Jak należało się spodziewać, przedstawienia wywarły na widzach duże wrażenie. To, co oglądali wydało im się zapewne fragmentem realnego życia, kiedy bowiem aktor Fijałkowski zgrał się w melodramacie nad Joanną, publiczność burzliwie protestowała, jedna zaś z mieszczek, urozmaicać sobie spektakl robieniem na drutach, rzuciła w aktora kłębkami wełnianych nici. Gdy następnego dnia ten sam aktor grał w wodewilu uwodzieleńskiego amanta, zachwycone kobiety zrobiły zbiórkę i pieniądze przekazały mu w upominku.

Warto dla porównania przytoczyć informację podaną przez Agatę Skrzypek w nr 3-4 „Kroniki Miasta Łodzi” z 2003 roku, że pierwszy objazdowy teatr żydowski przyjechał do Łodzi dopiero w roku 1868, a więc krąg odbiorców był, ze względu na język, ściśle określony. Tymczasem wpływ teatru polskiego zatoczył w społeczeństwie polskim szerokie kręgi, o czym świadczy wystawione w roku 1856 przedstawienie zespołu Józefa Barańskiego. Przyjechał on do Łodzi ze sztuką w sześciu aktach autorstwa Sankowskiego: „Rinaldo Rinaldini”. Był to bohater w rodzaju popularnego dziś Zorro. Jako statystów reżyser zaangażował młodzież tkacką i rzemieślniczą, która – jak to się

mówi – połknęła w ten sposób bakcyła teatru, zwłaszcza, że swój udział w spektaklu potraktowała równie poważnie jak kilka lat wcześniej widzowie „Joanny, czyli dziewczyny z gminu”, bo kiedy w końcu pierwszego aktu doszło do bójki między rozbójnikami a żandarmami, statyści nie udawali, tylko bili się na serio.

Pewne pojęcie o kierunku rozwoju kultury wśród polskiego społeczeństwa daje zainteresowanie jedną z kolejnych sztuk przywiezionych do Łodzi. Była to sztuka Bogusławskiego pt. „Krakowiacy i górale”, przywieziona przez dyrektora Juliusza Pfeifera. Był to już początek lat sześćdziesiątych, urząd prezydenta sprawował Traeger, postać nie do końca rozszyfrowana pod względem narodowości. W historii teatru zapisał się tym, że bilety na przedstawienie rozprzedał za pośrednictwem policjantów (zapewne robili „propozycje nie do odrzucenia”). Tym razem sztuka była wystawiona w prawdziwej sali widowiskowej w ogrodzie „Paradyz”. Co ciekawe, wiele biletów wykupili Niemcy. Trudno dziś powiedzieć, czy skutkiem „perswazji” policjantów, czy z zainteresowania teatrem. Ważny jest jednak sam fakt wystawienia właśnie tej sztuki, istotny dla dalszego rozwoju teatru w Łodzi. Bowiem po okresie teatrów objazdowych przysły próby stworzenia teatru stałego, który pod koniec XIX wieku stał się wizytówką Łodzi. Dawno, dawno temu znakomity aktor Władysław Hańcza powiedział mi, że jeszcze przed pierwszą wojną słynęło wśród aktorów polskich powiedzenie „sezon w Łodzi – nie zaszkodzi”, bowiem taki sezon otwierał przed aktorem sceny: warszawską, lwowską, wileńską i inne.

Dobra tradycja teatru łódzkiego przetrwała przez Leona Schillera, aż do Kazimierza Dejmka.

Według mojej wiedzy, pod koniec XIX stulecia zacierała się odrębność tych trzech kultur. Może najwolniej kultury żydowskiej ze względu na specyfikę religijną, obyczajową, a przede wszystkim językową. Niemniej na przełomie stuleci ujawnili się spolonizowani, wybitni przedstawiciele tej społeczności. Wystarczy wymienić Artura Rubinsteina, Juliana Tuwima, czy Edwarda Heimana, fundatora gmachu Towarzystwa „Uczelnia” który stał się siedzibą gimnazjum im. Mikołaja Kopernika i istnieje do dziś pod tym samym imieniem. Jego syn – Aleksander Heiman-Jarecki – pokrył koszty budowy gmachu Biblioteki Publicznej, jeszcze przed wojną uznanej za pomnik Józefa Piłsudskiego, o czym rzadko się przypomina.

Polonizacja Niemców oraz ich integracja ze społecznością polską zachodziła łatwiej niż ludności żydowskiej. Niektórzy znaczący fabrykanci uważali się za Polaków już w XIX wieku. Jeśli zaś idzie o nurt kultury niemieckiej, to teatr niemiecki pojawił się chyba dość późno. Natomiast wcześniej, bo już w latach czterdziestych XIX wieku powstała pierwsza zintegrowana instytucja muzyczna, nosząca nazwę Towarzystwa Muzycznego, kierowana przez Jana Kreczmera i Jana Krenca. Z towarzystwa tego wyłonił się chór niemiecki „Blaue Schleife”, po różnych przemianach nazwany „Lodzer Männer Gesang Verein”. Z czasem powstały chóry polskie. Pierwszy pod nazwą „Chór Polski”, który jako „Echo” przetrwał z przerwami bardzo długo, bo aż do okresu po drugiej wojnie światowej. W zapisach zostały też nazwy polskich zespołów śpiewaczych „Lutnia” i „Lira”.

W roku 1915, bez względu na to, że *inter arma silent musae*, powstała pierwsza Łódzka Orkiestra Filharmoniczna, w której grali przedstawiciele wszystkich trzech narodowości. Podkreślam wszystkich trzech, a nie czterech! Jeśli był jakiś udział Rosjan w kształtowaniu się łódzkiej kultury, to chyba tylko ten, że w parku Helenowskim koncertowała w dni świąteczne orkiestra 37-go jekaterynowskiego pułku. Poza tym był terror bezlitosnego zaborcy, aresztowania, tortury i egzekucje.

Dokonując choćby tak pobieżnego jak ten przeglądu dziejów kształtowania się kultury w Łodzi, niepodobna pominąć sprawy udziału w tej kulturze tzw. „klasy robotniczej”. W publicystyce dotyczącej tej sprawy dominuje od dawna, bo od Adama Próchnika, poprzez roczniki Łodzi międzywojennej, zainteresowanie wyłącznie smutnym losem robotników. Tymczasem zdarzyło mi się w moich dziennikarskich peregrynacjach trafić na robotnicę, która nieproszona przedstawiła mi zgoła inny obraz tej „klasy”. W połowie lat sześćdziesiątych XX w. wieku kobieta miała lat 90, a więc pamiętała sporo. Indagowałem ją o wydarzenia roku 1905. Niewiele mogła mi o nich opowiedzieć, ale chętnie zgłosiła gotowość zaśpiewania tego, co śpiewała w młodości. Ku memu zdumieniu sięgnęła do tematyki powstania styczniowego, w kontekście obrazów Grottgera, ale najpierw zrobiła cenną uwagę: „Dużo zapomniałam, a pamiętam o tym, jaki był rozbiór Polski.” I zaśpiewała:

Chowaj matko suknie moje
I te wieńce z róż,
Jasne takie świetne stroje
To nie dla mnie już.
Niegdyś jam stroje świetne nosiła,
Lecz gdy najeżdźca zagarnął kraj,
I gdy do grobu Polska wstąpiła,
Jeden mi tylko pozostał strój:
Czarna sukienka i biały sznur.

Gdy zapytałem, skąd zna tę piosenkę, po prostu powiedziała: „Wtedy to się śpiewało”. Pieśń była długa, liczyła chyba osiem zwrotek, każda zakończona takim samym refrenem. Okazało się, że „klasa robotnicza” miała i inne oblicze, to mało znane publicystom.

Dałem temu artykułowi tytuł „Muzy przy krosnach”. Kto jednak pamięta, kim były Muzy, kto oprócz najstarszych mieszkańców miasta pamięta, co to krosna? Czy kultura polska w Łodzi jest równie bogata, jak w okresie jej kształtowania się? – wątpię.

Jerzy Urbankiewicz

Powyższy artykuł przekazany został przez autora naszej redakcji w lipcu 2004 roku. Jest to, obok materiałów przygotowanych do miesięcznika „Wiano”, jedna z ostatnich prac dziennikarskich Jerzego Urbankiewicza.

Uczy szacunku do kultury fizycznej

Muzeum Sportu i Turystyki

kultura

Jednym z pierwszych udokumentowanych przejawów życia kulturalnego Łodzi była aktywność sportowa, łącząca się z działalnością utworzonego w 1824 roku Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego, organizującego każdego roku w czasie Zielonych Świątek „Strzelanie Królewskie” o tytuł Króla Kurkowego.

Wraz z rozwojem miasta mieszkańcy coraz częściej organizowali sobie wolny czas według nowych wzorców, napływających głównie z Zachodu. Z czasem najbardziej popularna rozrywka fizyczna nabrała znamion rywalizacji sportowej i stała się ważną dziedziną życia społecznego. Tym samym zrodziła się potrzeba rejestrowania i porządkowania osiągnięć oraz konieczność zademonstrowania materialnych pamiątek sportowych dokumentujących dokonania mieszkańców Łodzi.

Historia inicjatyw wystawienniczych w dziedzinie sportu rozpoczęła się w roku 1928, gdy w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości ówczesne władze miasta zorganizowały ekspozycję, pokazującą dorobek łódzkich sportowców. Ważną datą jest rok 1938, kiedy w salach Państwowej Szkoły Techniczno – Przemysłowej w Parku Poniańskiego otwarto Wielką Wystawę Sportową Łodzi. Zebrane wówczas pamiątki, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem władz miasta, umieszczono w nowo otwartej tam izbie pamięci. W tym samym roku eksponaty z wystawy przeniesiono do Miejskiej Hali Sportowej w Parku Poniańskiego. Niestety, większość z nich zaginęła podczas niemieckiej okupacji, a Halę Sportową przejęli po wojnie filmowcy.

Geneza Muzeum Sportu i Turystyki

W okresie PRL kilkakrotnie podejmowano próby utworzenia muzeum. Po raz pierwszy podjęto je podczas modernizacji toru kolarskiego w Helenowie. Tam, w podziemiach, planowano urządzić sale wystawiennicze. Niestety, mimo, że już rozpoczęto zbieranie pamiątek oraz trofeów sportowych od przedwojennych mistrzów i olimpijczyków, plany się nie powiodły. Gromadzone w domach prywatnych medale i nagrody często ginęły i tylko część z nich dotarła do organizatorów zbiórki.



W 1981 roku działaczom sportowym i łódzkim sportowcom udało się przekonać władze miasta do potrzeby utworzenia placówki muzealnej, której istnienie zapobiegłoby rozproszaniu wielu cennych dla historii łódzkiego sportu pamiątek. W tym samym roku powołany został Komitet Założycielski przyszłego muzeum. Znaleźli się w nim: Henryk Grenda – dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki Urzędu Miasta Łodzi, Maciej Łukowski – dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Roman Balcerzak – dyrektor Łódzkiego Ośrodka Sportu, Antoni Szram – dyrektor Muzeum Historii Miasta Łodzi, Andrzej Bogusz – historyk sportu oraz Józef Pisarski i Władysław Król – działacze sportowi, olimpijczycy.

Co zdopingowało te osoby do podjęcia starań o utworzenie placówki dokumentującej historię sportu w Łodzi? Niewątpliwie fakt, że sporo cennych i ciekawych eksponatów związanych z dziejami sportu łódzkiego trafiło do Warszawy – do tamtejszego Muzeum Sportu i Turystyki, gromadzącego pamiątki z terenu całego kraju. Znalazły się tam między innymi przedmioty należące do najwybitniejszego łódzkiego przedwojennego boksera, Henryka Chmielewskiego, Mistrza Europy z 1937 roku i olimpijczyka. Kiedy po raz pierwszy po wojnie przyjechał do Polski ze Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkał od 1938 roku, wyraził zgodę, by przekazano jego Złote Rękawice Bokserskie i Pas Mistrza Europy do muzeum warszawskiego, które godziwie za te cenne eksponaty zapłaciło. Później nie udało się już nigdy nakłonić placówki

warszawskiej do odsprzedań eksponatów nowo utworzonemu Muzeum Sportu i Turystyki w rodzinnym mieście boksera.

Pierwsze spotkanie Komitetu Założycielskiego odbyło się 4 listopada 1981 roku. Wówczas podjęto decyzję o utworzeniu muzeum i ulokowaniu jego siedziby w Hali Sportowej. Było to zgodne z ogólnosiwiatową tendencją do organizowania tego typu placówek przy obiektach sportowych.

Między Pałacem Sportu a Pałacem Poznańskiego

Zbudowany w Łodzi w latach 1947–48 obiekt przy dzisiejszej ulicy ks. Skorupki miał być, według założenia, centrum zgromadzeń świata pracy, manifestacji i robotniczych uroczystości. Dopiero pod koniec lat czterdziestych, gdy instytucje rządowe przeniosły się z Łodzi do odbudowywanej Warszawy, a organizacja życia publicznego przejęła wszelkie radzieckie wzorce, powstała koncepcja utworzenia w tym miejscu Pałacu Sportu, wchodzącego w skład Łódzkiego Ośrodka Sportu. W hali zainstalowano między innymi ściągniętą z Gdańska, wydobytą z zatopionego niemieckiego statku aparaturę chłodniczą i urządzono taflę lodową, by mogły się tu odbywać rewie na lodzie – doskonała rozrywka dla mas. W Łodzi powstał wówczas Ośrodek Przygotowań Olimpijskich w łyżwiarstwie figurowym. Stworzono w nim specjalne warunki treningowe m.in. dla Grzegorza Filipowskiego – późniejszego łódzkiego mistrza w tej dyscyplinie. Pamiątki jego kariery sportowej można dziś oglądać na stałej wystawie Muzeum Sportu i Turystyki.

Największą aktywnością w całym przedsięwzięciu wykazali się przede wszystkim przedwojenni łódzcy mistrzowie sportu, działacze klubów oraz okręgowych związków sportowych. To oni zainspirowani przez dr. Andrzeja Bogusza – przyszłego kierownika oddziału muzealnego, podjęli się trudu gromadzenia materiałów źródłowych do historii łódzkiego sportu.

Władzom miasta zależało, aby mimo ogłoszonego 13 grudnia stanu wojennego i zawieszenia normalnego trybu funkcjonowania wielu placówek kultury, doszło do otwarcia pierwszej wystawy w ramach organizowanego Muzeum Sportu i Turystyki. 18 stycznia 1982 roku zainaugurowało ono działalność jako oddział Muzeum Historii Miasta Łodzi. Symboliczną wstęgę w obecności władz miasta i centralnych władz sportowych przecięli łódzcy olimpijczycy: Jadwiga Wajs, Maria Kwaśniewska oraz Józef Pisarski. Na początku lat osiemdziesiątych, w obliczu wielu trudności finansowych i kryzysu politycznego, nie chcieli „kłuć w oczy społeczeństwa” tworzeniem nowego muzeum. Dlatego koncepcja filii była organizacyjnie najkorzystniejszym rozwiązaniem. Po przemianach ustrojowych, na początku lat dziewięćdziesiątych podejmowano próby usamodzielniania Muzeum Sportu i Turystyki. Uznano to jednak za niekorzystne dla interesu muzeum miejskiego z ulicy Ogrodowej.

Podczas tworzenia stałej ekspozycji łódzkiego sportu, dyrektorem Muzeum Historii Miasta Łodzi był dr Antoni Szram, jeden z najwybitniejszych muze-

alników w Polsce. To on wspomógł głównie zapalaczy, którzy nie mieli pojęcia o muzealnictwie, a pragnęli zachować namacalne dowody życia sportowego Łodzi. Po przejściu na emeryturę Andrzeja Bogusza funkcje kierownicze w muzeum sprawowali Janusz Jędrych oraz Teresa Andrzejewska. W 2003 roku kierownikiem Muzeum Sportu i Turystyki został dr Antoni Szram.

Źródła eksponatów

Z ponad 30 000 obiektów muzealnych posegregowanych wedle dyscyplin sportowych około 80% stanowią darowizny. Sposób przekazywania niektórych z nich wart jest opisania. Władysław Król, piłkarz i hokeista, przyniósł i wysypał na biurko całą walizkę swoich skarbów. Spisanie ich zajęło pracownikom muzeum trzy dni. Olimpijczyk, mistrz Polski Józef Pisarski, przywiózł swe trofea w stanie wojennym. Kiedy zdjął liczne dyplomy ze ściany swego mieszkania, ukazały się odbarwione plamy szpecące domostwo mistrza. Dlatego muzeum wynajęło malarza, który odnowił mieszkanie Króla. Maria Kwaśniewska, brązowa medalistka Igrzysk Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku w rzucie oszczepem, przekazała do muzeum swój medal, jak również order medalu olimpijskiego, którym została uhonorowana w 1979 roku. Kilku innych, nie tylko sportowców, ale i działaczy, przekazało pamiątki swoich sportowych osiągnięć. Niektóre eksponaty odkupiono od rodzin sportowców.

W 1987 roku w muzeum znalazła się rzeźba ufundowana w roku 1937 przez przewodniczącego Rady Nadzorczej zakładów Scheiblera i Grohmana,



generała Jaremę Maciszewskiego, z okazji otwarcia stadionu Klubu Pracowniczego „Zjednoczenie”. Wykonany w Paryżu monument, przedstawia alegoryczną scenę młodzieńca atakowanego przez żmiję. Rzeźba przez pięćdziesiąt lat stała przy ulicy bpa Tymienieckiego. Niestety nie była tam należycie szanowana. Zdeństowaną i niszczoną, sprowadzona do muzeum, gdzie poddano ją konserwacji.

Ciekawy zestaw obiektów muzealnych dotyczy działalności Gniazd Sokolich. Łódzkie gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego Sokół powstało 21 grudnia 1905 roku w podwórku przy ulicy Piotrkowskiej 285/87. W mieście działało 6 Gniazd Sokolich, które odegrały niebagatelną rolę w zakresie rozwoju fizycznego i budowania świadomości narodowej. Działalność ta na terenie Królestwa Polskiego była zabroniona przez rosyjskie władze zaborcze. W muzeum łódzkim pozostał mundurek, wyposażenie sokolego oraz sztandar Sokoła, z którym łączy się niezwykła historia. Z początku była to chorągiew kościelna, podarowana w 1863 roku oddziałowi powstańców. Później przechowywana na plebani, w 1918 roku, po przeróbkach stała się sztandarem Towarzystwa Gniazd Sokolich. Ukrywana przez okres okupacji i komunizmu, zachowała się do dziś.

Ekspozycja na temat turystyki dotyczy głównie historii PTTK, ale nie tylko. W tej chwili główna część wystawy poświęcona jest zmarłemu w maju 2003 roku Ryszardowi Wyrzykowskiemu, łódzkiemu podróżnikowi i miłośnikowi przyrody, autorowi telewizyjnego programu „Klub Pana Rysia”.

Rok olimpijski.

Rok 2004 to rok igrzysk XXVIII Olimpiady w Atenach. Z tej okazji sprowadzono z Warszawy wystawę „Olimpijskie Konkursy Sztuki 1912–1948” autorstwa dwu olimpijczyków szermierzy: Wojciecha Zabłockiego i Ryszarda Parulskiego.

Muzeum posiada od niedawna znaną przypadkowo w Bytomiu unikatową pochodnię olimpijską, którą w 1936 roku rozpoczęto XI Letnie Igrzyska Olimpijskie w Berlinie. Pochodnia wzbogaca stałą wystawę dotyczącą łódzkich olimpijczyków.

W tym roku odbędzie się V edycja przeznaczonego dla młodzieży „Konkursu Sztuki” o tematyce olimpijskiej. Jest to autorski projekt pracującej w muzeum Ewy Sobczyk.

Gośćmi muzeum są głównie uczniowie łódzkich szkół, którzy mają możliwość wzbogacenia swojego programu wychowania fizycznego o przygotowane przez pracowników muzeum specjalne lekcje.

Wszystkich zainteresowanych ekspozycją Muzeum Sportu i Turystyki zaprasza od poniedziałku do piątku, w godzinach 9.00-16.00.

Kamila Cybulska
– socjolog.

Zdecydowanie przyjemne spotkania ze sztuką

Dziesięciolecie Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych

W 2004 roku już po raz dziesiąty odbył się Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Przez te wszystkie lata Festiwal cieszy się niesłabnącą popularnością. Jak co roku, okazałych przecież rozmiarów sala teatru pękała w szwach podczas niemal każdego przedstawienia; entuzjastów sztuki teatralnej nie odstraszały nawet wysokie ceny biletów – a były to sumy rzędu 70 lub nawet 150 zł (w zależności od przedstawienia). Z myślą o mniej zasobnych widzach teatr sprzedawał też znacznie tańsze wejściówki uprawniające do siadania na wolnych miejscach, i choć w praktyce często oznaczało to siadanie na podłodze, ta drobna niedogodność nie zraziła tłumnie przybywających teatromanów. Czym tłumaczyć tak ogromny sukces tego festiwalu?

Przede wszystkim, festiwal stanowi dla łodzian właściwie jedyną, za wyjątkiem nielicznych i dość przypadkowych występów impresaryjnych, z pewnością zaś niepowtarzalną okazję do ujżenia na scenie najbardziej cenionych polskich artystów dramatycznych na żywo. Gośćmi festiwalu są przecież najważniejsze polskie teatry: Stary z Krakowa, Ateneum, Powszechny, Rozmaitości z Warszawy, Nowy z Poznania, Współczesny ze Szczecina, Teatr Zagłębia z Sosnowca. W ramach festiwalu, na scenie łódzkiego Teatru Powszechnego, występowali m.in. Maja Komorowska, Mirosława Dubrawska, Krystyna Janda, Anna Dymna, Joanna Żółkowska, Marta Lipińska, Magdalena Cielecka, Maja Ostaszewska, Dominika Ostalowska, Janusz Gajos, Piotr Fronczewski, Zbigniew Zapasiewicz, Jan Englert, Henryk Machalica, Olgierd Łukaszewicz, Jerzy Stuhr, Krzysztof Kowalewski i wiele innych aktorskich sław.

Szczególnymi wydarzeniami kulturalnymi okazały się niewątpliwie dwie wizyty zespołu Teatru Narodowego. Teatr ten po raz pierwszy w historii przyjechał do Łodzi podczas VII edycji Festiwalu, by zaprezentować rewelacyjną „Szkołę żon” Moliere, w reżyserii Jana Englerta, nagrodzoną zresztą przez publiczność mianem Najprzyjemniejszego Spektaklu. Jako Gość Specjalny Teatr Narodowy zaprezentował się także podczas kolejnego, VIII Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Przyjemnych – tym razem Jan Englert pokazał łódzkiej publiczności „Dożywocie” Aleksandra Fredry.

Festiwal z pewnością zawdzięcza swoje powodzenie również prze-myślanemu doborowi prezentowanych sztuk – jest to festiwal autorski **Ewy Pilawskiej**, dyktującej od lat Teatrem Powszechnym. Zważywszy na stopniową, obejmującą całe dziesięciolecie ewolucję festiwalu – od lekkich fars, przez ambitne komedie, na trudnych dramatach skończywszy – trudno oprzeć się wrażeniu, że jego repertuar nie tylko zaspokajał gusty publiczności, ale także w pewnej mierze je kształtował. Stąd też zapewne wyniknęła konieczność zmiany nazwy, na którą dyrektor Ewa Pilawska zdecydowała się w 2003 roku: dotychczasowy Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych przemianowała na Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych, otwierając tym samym jego ramy dla sztuk trudnych, bolesnych, często wstrząsających, nie rezygnując jednak do końca z weselszego repertuaru. Wszak w tegorocznym, X Festiwalu obok „Uroczystości” Grzegorza Jarzyny, obok „Rodzeństwa” i „Kalkwerku” Krystiana Lupy zobaczyliśmy „Czego nie widać” – brawurową farsę w wykonaniu Teatru Powszechnego z Warszawy, jak również frywolną „Piękną Lucyndę”, zaprezentowaną przez gospodarza festiwalu łódzki Teatr Powszechny.

Od ubiegłego roku festiwalowi towarzyszą **„Karty festiwalowe”** – gazetka komentująca na bieżąco wydarzenia artystyczne minionego tygodnia, wydawana przez studentów teatrologii Uniwersytetu Łódzkiego. Po każdym pierwszym przedstawieniu (niemal wszystkie sztuki prezentowane są dwukrotnie) Teatr Powszechny zapraszał widzów na spotkania z twórcami, aktorami, reżyserami tegoż spektaklu. Spotkania te również były przygotowane i prowadzone przez studentów oraz pracowników naukowych łódzkiej teatrologii.

Od początku istnienia festiwalu towarzyszy mu plebiscyt, przeprowadzany wśród publiczności, na Najprzyjemniejszą Aktorkę, Najprzyjemniejszego Aktora i Najprzyjemniejszy Spektakl; od ubiegłego roku, w związku ze zmianą nazwy – na Najlepszą Aktorkę, Najlepszego Aktora i Najlepszy Spektakl. Jedynym jury, oceniającym dokonania artystów, jest tutaj publiczność. Nagrodą, wręczaną laureatom plebiscytu, są tradycyjnie grafiki Anny Szyłło. Laureatami tegorocznego, jubileuszowego X Festiwalu zostali:

Najlepsza Aktorka:

Marta Lipińska

za rolę Betty w spektaklu „Namiętna kobieta”,
Teatr Współczesny w Warszawie
oraz

Danuta Stenka

za rolę w spektaklu „Uroczystość”,
Teatr Rozmaitości w Warszawie
i w „Zwycięstwie”,
Teatr Współczesny we Wrocławiu

Najlepszy Aktor:**Andrzej Hudziak**za rolę Konrada w spektaklu „Kalkwerk”,
Teatr Stary w KrakowieNajlepszy Spektakl:**„Kalkwerk”** Thomasa Bernharda,
reż. Krystian Lupa,
Teatr Stary w Krakowie

A oto lista wszystkich nagrodzonych do tej pory,
w ramach pierwszych dziesięciu festiwali, aktorów i przedstawień:

I Ogólnopolski Permanentny Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 1994/95

Najprzyjemniejsza Aktorka:**Marta Lipińska**za rolę w spektaklu „Czego nie widać” Frayna,
Teatr Współczesny, Warszawa,**Daniela Popławska**za rolę w spektaklu „Piękna Lucynda”
Mariana Hemara,
Teatr Nowy, Poznań**Joanna Żółkowska**za rolę w spektaklu „Mąż i żona” Fredry,
Teatr Powszechny, WarszawaNajprzyjemniejszy Aktor:**Piotr Machalica**za rolę w spektaklu „Mąż i żona” Fredry,
Teatr Powszechny, Warszawa**Jerzy Stuhr**za rolę w spektaklu
„Mieszczanin szlachcicem” Moliera,
Teatr Ludowy, Nowa HutaNajprzyjemniejszy Spektakl:**„Piękna Lucynda”** Mariana Hemara,
reż. Eugeniusz Korin,
Teatr Nowy, Poznań

II Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 1995/96

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Irena Kwiatkowska

za rolę w spektaklu „Mój przyjaciel Harvey”,
Teatr Kwadrat, Warszawa

Olga Sawicka

za rolę w spektaklu „33 omdlenia”
wg A. Czechowa,
Teatr Stu, Kraków

Najprzyjemniejszy Aktor:

Jan Kobuszewski

za rolę w spektaklu „Mój przyjaciel Harvey”,
Teatr Kwadrat, Warszawa

Mirosław Kropielnicki

za rolę w spektaklu „Zagraj to jeszcze raz, Sam”,
Teatr Nowy, Poznań

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„33 omdlenia” wg Antoniego Czechowa,
reż. Zbigniew Zapasiewicz,
Teatr Stu, Kraków

„Zagraj to jeszcze raz, Sam” Woody Allena,
reż. Eugeniusz Korin,
Teatr Nowy, Poznań

III Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 1996/97

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Agnieszka Fatyga

za rolę w spektaklu „Opera Granda”,
Teatr Ateneum, Warszawa

Najprzyjemniejszy Aktor:

Władysław Kowalski

za rolę w „Ożenku” Mikołaja Gogola,
Teatr Powszechny, Warszawa

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„Opera Granda”

reż. Maciej Wojtyszko,
Teatr Ateneum, Warszawa

IV Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon – 1997/98

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Barbara Szcześniak

za rolę w spektaklu „Moralność pani Dulskiej”
G. Zapolskiej,
Teatr Powszechny, Łódź

Najprzyjemniejszy Aktor:

Marian Cebulski

za rolę w spektaklu „Pan Jowialski”
A. Fredry,
Teatr Ludowy, Nowa Huta

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„**Korowód**” Artura Schnitzlera,
reż. Agnieszka Glińska,
Teatr Ateneum, Warszawa

V Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 1998/99

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Dominika Ostałowska

za rolę w spektaklu
„Opowieści Lasku Wiedeńskiego”
Odon von Horvatha,
Teatr Ateneum, Warszawa

Najprzyjemniejszy Aktor:

Cezary Kosiński

za rolę w spektaklu „Bzik tropikalny”
wg Witkacego,
Teatr Rozmaitości, Warszawa

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„**Crocodilla, czyli coś niesamowitego**”
wg Fiodora Dostojewskiego,
reż. Eugeniusz Korin,
Teatr Nowy, Poznań

VI Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 1990/2000

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Anna Dymna

za rolę w spektaklu „Po latach o tej samej porze”,
Teatr Bagatela, Kraków

Najprzyjemniejszy Aktor:

Piotr Fronczewski

za rolę w spektaklu „Cyrano de Bergerac” Rostanda,
Teatr Ateneum, Warszawa

Jacek Łuczak

za rolę w spektaklu „Szalone nożyczki”
Paula Portnera,
Teatr Powszechny, Łódź

Mariusz Sabiniewicz

za rolę w spektaklu „Fredro dla dorosłych”
wg A. Fredry,
Teatr Nowy, Poznań

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„**Magnetyzm serca**” wg A. Fredry
reż. Grzegorz Jarzyna,
Teatr Rozmaitości, Warszawa

„**Kaleka z Inishmaan**” M. McDonagha,
reż. Agnieszka Glińska,
Teatr Powszechny, Warszawa

VII Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 2000/2001

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Maja Komorowska

za rolę Cecily w spektaklu „Kwartet”
Ronalda Harwooda,
Teatr Współczesny, Warszawa

Najprzyjemniejszy Aktor:

Jan Englert

za rolę Arnolfa w spektaklu „Skoła żon” Moliera,
Teatr Narodowy, Warszawa

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„**Skoła żon**” Moliera,
reż. Jan Englert, Teatr Narodowy, Warszawa

VIII Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych Sezon 2001/2002

Najprzyjemniejsza Aktorka:

Marta Lipińska

za rolę Alicji w przedstawieniu „Odwrót”
Williama Nicholsona,
Teatr Współczesny, Warszawa

Najprzyjemniejszy Aktor:

Zbigniew Zapasiewicz

za rolę Normana w przedstawieniu
„Nad Złotym Stawem” Ernesta Thompsona,
Teatr Powszechny, Warszawa

Krzysztof Tyniec

za rolę Francois Pignona w przedstawieniu
„Kolacja dla głupca” Francisa Vebera,
Teatr Ateneum, Warszawa

Najprzyjemniejszy Spektakl:

„Odwrót” W. Nicholsona, reż. Maciej Englert,
Teatr Współczesny, Warszawa

IX Ogólnopolski Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych Sezon 2002/2003

Najlepsza Aktorka:

Krystyna Janda

za rolę Marthy w „Kto się boi Wirginii Woolf?”
Albee’go,
Teatr Powszechny, Warszawa

Dorota Lulka

za rolę Jesienna Dziewczyzna / Bidula
w „Niespodziewanym Końcu Lata”,
Teatr Miejski, Gdynia

Najlepszy Aktor:

Marek Kondrat

za rolę George’a w spektaklu
„Kto się boi Wirginii Woolf?” Albee’go,
Teatr Powszechny, Warszawa

Najlepszy Spektakl:

„Bambini di Praga” Bogumila Hrabala,
reż. Agnieszka Glińska,
Teatr Współczesny, Warszawa

„Jestem niezależna od opinii publicznej”

Rozmowa z **Ewą Pilawską**, dyrektorką naczelną i artystyczną Teatru Powszechnego, inspiratorką **Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych**.

Agata Winer: Jakie były inspiracje do stworzenia tak pomyślanego festiwalu właśnie w Łodzi?

Ewa Pilawska: W Łodzi, kiedy powstawał ten festiwal, nie było wydarzenia skupiającego profesjonalne teatry dramatyczne. Do dziś jest to jedyny w tym mieście festiwal teatrów zawodowych.

Festiwal prezentuje same sprawdzone sztuki – uznane przez publiczność i krytyków, uhonorowane licznymi nagrodami. Czy niesłabnąca popularność jest najlepszym sprawdzianem wartości danej sztuki?

Nie, w doborze sztuk jestem zupełnie niezależna od opinii publicznej i od recenzji.

Czyli to jest jedynie zbieżność...

Tak naprawdę trudno nie dostrzec przedstawień, które na różne sposoby wyróżniają się spośród wielu propozycji teatralnych. Stąd ich obecność także na innych festiwalach. Dobre spektakle wyłapuje się od razu. Jestem też otwarta na debiuty nowych, ciekawych twórców, nieznanych jeszcze szerszej publiczności. Jeżdżę i oglądam bardzo wiele spektakli, ale decyzję o goszczeniu któregoś z nich w ramach festiwalu podejmuję sama. Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych ma być festiwalem dobrego teatru.

Po czym Pani poznaje dobrą sztukę?

Musi mnie ona poruszyć, zafascynować – to jest kwestia osobistego gustu. Dobry teatr sprawia, że siedząc na widowni nie odczuwamy upływu czasu, wtapiamy się całkowicie w przestrzeń, którą artyści budują na scenie.

Wraz z zaproszonymi przez Panią przedstawieniami przyjeżdżają do Łodzi najwięksi twórcy polskiego teatru – aktorzy, reżyserzy, pracujący głównie w Warszawie i Krakowie, w Łodzi występujący niezmiernie rzadko. Czy ma Pani poczucie misji, jaką spełnia ten festiwal w zaznajamianiu łódzian z wielkim światem artystycznym?

Zdecydowanie tak. Uważam, że teatr jest misją, rodzajem posłannictwa; bywa i swoistą terapią. W tej chwili zaproszone teatry z wielką chęcią biorą udział w festiwalu. Ale proszę sobie wyobrazić, jaka praca musiała zostać wykonana, Grzegorz Jarzyna czy Krystian Lupa – twórcy niezwykle trudno osiągalni, reprezentujący Polskę na wielu festiwalach międzynarodowych – wystawiali swe sztuki także w Łodzi. Chęć artystów do wzięcia udziału w festiwalu to największy dowód uznania. Gdyby ten festiwal nie był ważny artystycznie, nie przyjeżdżałby tu Teatr Narodowy, Stary i inne ważniejsze teatry polskie.

Skoro są to przedstawienia o ugruntowanej opinii i wysokim prestiżu, zwykle grane już od dłuższego czasu, jakie wobec tego znaczenie ma plebiscyt przeprowadzany wśród publiczności? Czy otrzymanie na tym festiwalu tytułu najlepszego aktora, aktorki, najlepszego przedstawienia, ma dla i tak uznanych już twórców jakieś istotne znaczenie?

Ocena publiczności jest niezwykle istotna dla twórców, jest najlepszym potwierdzeniem sensu ich pracy, bo werdykty niezawisłych jurorów, krytyków czy wielkich autorytetów są przecież oparte na subiektywnym guście sześciu – siedmiu osób, który nie zawsze odzwierciedla gust widowni. A tutaj mamy do czynienia z głosem 100-150 osób. Nie ma większego wyróżnienia, zwłaszcza, że w naszym plebiscycie jest tak ogromna konkurencja – przyjeżdżają tu przecież same najlepsze spektakle, sami najwybitniejsi polscy aktorzy. Wręczenie tych nagród to niezwykle moment – zawsze widać wzruszenie w oczach nagrodzonych.

Pierwszy z festiwali nazywał się „permanentny”, czy w zamyśle miał to być nieustający festiwal trwający cały rok?

Na początku ogromnym problemem było przekonanie teatrów, żeby w ogóle przyjechały, bowiem każde tego typu nowe przedsięwzięcie jest zwykle nieufnie „obwąchiwane”. Festiwal nie miał jeszcze swej jasno ustalonej formuły artystycznej i często to teatry dyktowały jej warunki – jeden zespół mógł przyjechać we wrześniu, drugi w grudniu. Stąd nazwa „permanentny”. Dla mnie wydarzenie to nie

miało jeszcze atmosfery festiwalu, miałam wrażenie, że było to coś z pogranicza występów impresaryjnych. Ale i to musiało się zdarzyć, żeby Festiwal mógł się rozwijać, zdobyć pozycję w świecie artystycznym i dojść do obecnego stanu. Zresztą rozwijamy się nadal, za kilka tygodni powitamy pierwszego gościa z zagranicy.

W ubiegłym roku zmieniła Pani formułę Festiwalu dodając sztuki „Nieprzyjemne”. Czy dobry teatr naprawdę czasem „musi zabołeć”?

Absolutnie – teatr musi być różnorodny, bawić, wzruszać, ale i boleć, nie wolno tego gubić, nie wolno zamykać się tylko w jednej przestrzeni artystycznej. Ponieważ podpisuję się pod tym festiwalem, chcę pokazywać teatr, który mnie porusza, który jest dla mnie ważny.

Festiwal ewoluował, rozwijał się. Czy ma Pani wrażenie, że publiczność również rozwijała się wraz z nim?

Rzeczywiście, nastąpiła swoista wymiana publiczności. Zwłaszcza przez pierwsze dwie edycje miałam wrażenie, że przychodziła do nas ta sama publiczność, która odwiedzała inne teatry w czasie gościnnych, dość przypadkowych występów artystów warszawskich. Z czasem publiczność zaczęła się zmieniać. Doświadczaliśmy tego przy czwartej, piątej edycji festiwalu. Celowo dodawałam do repertuaru takie spektakle, jak choćby „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”, obserwując publiczność, czy odrzuci taki teatr, czy też okaże zaufanie do gospodarza. To zaufanie budowałam powoli, etapowo. W tej chwili przychodzi duża grupa ludzi, którzy czekają specjalnie na ten festiwal, mających potrzebę zobaczenia tego, co jest najważniejsze w polskim teatrze, tego, co tętni życiem, co porusza.

Czy zmiana oczekiwań publiczność wynika tylko z tej wymiany, czy też może poszczególni widzowie dojrzeli do kontaktu z bardziej wymagającą sztuką?

Na pewno jest też i taka grupa widzów. Z pewnością odeszła pewna część publiczności, którą repertuar przestał zadowalać, repertuar poszedł bowiem w trudniejszym kierunku; jeśli pojawia się na scenie śmiech, to często gorzki.

X Festiwal, jubileuszowy, był w pewnym sensie festiwalem powrotów, bo i „Czego nie widać” i „Piękna Lucynda” powracają kolejny raz, obie te sztuki wystawione były w ramach I Festiwalu w sezonie 1994/95. Czy jest to zamierzony „powrót do korzeni”?

Bardzo się ucieszyłam, że tak się złożyło z realizacją Eugeniusza Korina, gdy po poszukiwaniu różnych tekstów dla mojego zespołu wróciliśmy po latach do „Lucyndy”. To bardzo dobry pretekst dla zabawy formą, zabawy teatrem. Nie planowałam, że po dziesięciu latach zrobimy pętlę i jako gospodarze jeszcze raz zagramy „Lucyndę”, ale tak się stało.

Zaproszenie teatru praskiego zdaje się znów „rozsadzać” ramy festiwalu, przynajmniej te wyznaczone przez nazwę, w tym wypadku za ciasne okazuje się słowo „Ogólnopolski”. Czy w związku z tym czeka nas niebawem kolejna zmiana nazwy?

Na „Międzynarodowy”?

To miałam na myśli.

Bardzo bym chciała poszerzać ramy naszego festiwalu. Marzy mi się nieustanna twórcza konfrontacja. Bo sam teatr jest nieustającą konfrontacją, rozmową, niekiedy wymianą mądrzej myśli właśnie pomiędzy publicznością a twórcami. Nie możemy się zamykać jedynie w obrębie miasta, trzeba się otwierać ze sztuką na ludzi, na świat. Bardzo bym chciała pokazać państwu, co dzieje się w teatrze europejskim. Mam poczucie, że nasz festiwal nieustająco pozostaje w drodze i – mam nadzieję – ciągle się rozwija, pozostając otwartym na nowe przestrzenie artystyczne. Wszystko, co jest zamknięte, zaczyna nieubłaganie kostnieć. Chciałabym, żeby ten festiwal jak najdłużej był twórczym tygłem oraz reprezentantem polskiej kultury w świecie. I cieszę się z tej drogi, która jest jeszcze przed nami.

*Agata Winer
– absolwentka kulturoznawstwa UŁ.*

historia

Tragizm bohatera

Emil Fieldorf (1895-1953)

Stefan Niesiołowski

str. 131

Między nadzieją a beznadzieją

Kronika okupowanej Łodzi – wrzesień 1939

Andrzej Rukowiecki

str. 141

Dziecięca wojna

Zabaw bronią skutki tragiczne

Józef H. Wiśniewski

str. 150

Zapomniany rozdział historii miasta

Nazwy łódzkich ulic

Ewa Żuchowska

str. 154

Ulica bez wylotu

Zwichnięte plany „zielonej Dąbrowy”

Wacław Pawlak

str. 159

Pocztówki z fabrycznego miasta

Łódź w sepii i w kolorze

Włodzimierz Kupisz

str. 162

Żywa lekcja historii

Skansen Pilicy

Jerzy Gałęba

str. 167

1. The first part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States. It is argued that a knowledge of the past is essential for a full understanding of the present and for the development of a sound policy for the future. The author points out that the study of history is not only a means of satisfying our curiosity about the past, but also a way of learning from the mistakes of our ancestors and of avoiding them in the future.

2. The second part of the paper deals with the question of the role of the individual in the history of the United States. It is argued that the actions of individuals, particularly those of the great men of the past, have played a significant role in shaping the course of the nation's history. The author discusses the lives and achievements of such men as George Washington, Abraham Lincoln, and Franklin D. Roosevelt, and shows how their actions have influenced the development of the United States.

3. The third part of the paper discusses the question of the role of the government in the history of the United States. It is argued that the government has played a significant role in shaping the course of the nation's history, and that it is the duty of the government to continue to play this role in the future. The author discusses the actions of the government in such areas as the establishment of the Constitution, the development of the federal system, and the promotion of the welfare of the people.

4. The fourth part of the paper discusses the question of the role of the people in the history of the United States. It is argued that the actions of the people, particularly those of the great men of the past, have played a significant role in shaping the course of the nation's history. The author discusses the lives and achievements of such men as George Washington, Abraham Lincoln, and Franklin D. Roosevelt, and shows how their actions have influenced the development of the United States.

5. The fifth part of the paper discusses the question of the role of the future in the history of the United States. It is argued that the actions of the future, particularly those of the great men of the past, will play a significant role in shaping the course of the nation's history. The author discusses the lives and achievements of such men as George Washington, Abraham Lincoln, and Franklin D. Roosevelt, and shows how their actions have influenced the development of the United States.

Tragizm bohatera

Emil Fieldorf (1895-1953)

Na dzień 10 listopada 1950 roku Wydział Społeczno-Administracyjny przy Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi wezwał „celem wyjaśnienia tożsamości”, Walentego Gdanickiego, zamieszkałego w Łodzi przy ulicy Próchnika 39 m.15. Wezwanie było pułapką. Za tożsamością Walentego Gdanickiego ukrywał się w rzeczywistości generał Emil Fieldorf. Po wyjściu z budynku aresztowany przez UB wciągnięty i zawieszony do Warszawy, do cieszącego się ponurą sławą aresztu śledczego MBP przy ulicy Koszykowej. Tam właśnie rozpoczął się ostatni rozdział w życiu Emila Fieldorfa, zakończony egzekucją w podziemiach więzienia na Mokotowie w dniu 24 lutego 1953 roku.

historia

Wielokrotny Kawaler Krzyża Walecznych

August Emil Fieldorf – wielki polski patriota, jeden z wybitniejszych dowódców Armii Krajowej, a wcześniej żołnierz Legionów, obrońca granic Polski w 1920 i 1939 roku, człowiek wielkiej odwagi, prawości i uczciwości, poświęcił życie walcząc za wolną i niepodległą Polskę. Urodził się 20 marca 1895 w Krakowie, jego rodzicami byli Andrzej Fieldorf maszynista kolejowy i Agnieszka z domu Szwanda. W domu obok Augusta, używającego drugiego imienia: Emil, było jeszcze troje dzieci: Emma, Józefa i Jan. W 1912 roku siedemnastoletni Emil wstąpił do Związku Strzeleckiego. Służbę wojskową rozpoczął 6 sierpnia w momencie wymarszu Legionów Piłsudskiego (słynny wymarsz Pierwszej Kadrowej) z Oleandrów. Już 14 sierpnia przeszedł chrzest bojowy w bitwie z wojskami rosyjskimi pod Brzegami. Brał udział w wielu bitwach, jak większość legionistów odmówił złożenia przysięgi na rzecz państw centralnych, na skutek czego został najpierw internowany, a następnie wcielony do wojska austro-węgierskiego i wysłany na front, gdzie walczył do końca wojny. Brał udział w wyzwoleniu Krakowa 31 października 1918 i Lwowa, gdzie trwały zaciekle walki z Ukraińcami. Po wyzwoleniu Lwowa uczestniczył w obronie Wilna przed nacierającą Armią Czerwoną. Za obronę mostu Zielonego na Wilejce, gdzie dowodził kompanią karabinów maszynowych, otrzymał Krzyż Walecznych. Uczestniczył w krwawej bitwie o Dyneburg – tam wspólnie z oddziałami łotewskimi wojsko polskie odpierało natarcie bolszewickie. Te walki przyczyniły się do umocnienia młodej, łotewskiej niepodległości, a ppor. Emil Fieldorf został po raz drugi odznaczony Krzyżem Walecznych oraz orderem łotewskim. Krzyżem tym odznaczany był jeszcze wielokrotnie, między innymi za bohaterską postawę w szereg bitew: w okolicach Lidy, Sejn, Grodna i Nowogródka. Ostatecznie zawieszenie broni w wojnie polsko-bolszewickiej, które weszło w życie 18 października

1920 roku zastało 1 pułk Legionowy ppor. Fieldorfa w Radoszkowicach na Wileńszczyźnie. W 1921r. Emil Fieldorf został awansowany do stopnia kapitana i pozostał jako zawodowy oficer w służbie czynnej.

W II Rzeczypospolitej 1 Dywizja Litewsko-Białoruska Legionów, w której służył kpt. Emil Fieldorf stacjonowała w Wilnie. Ale podczas zamachu majowego w 1926 r. dywizja ta wzięła udział w walkach po stronie Józefa Piłsudskiego. Walcząc na Powiślu Fieldorf został ranny. Choć brak jest danych pozwalających stwierdzić, jaki był wówczas stosunek młodego oficera do złamania przysięgi i zbrojnego sięgnięcia po władzę – czym był bez wątpienia ten zamach – pośrednio można wnioskować, że nie był on raczej entuzjastyczny. Fieldorf nigdy nie przyznawał się do odniesionej wówczas rany i nigdy na temat swojego udziału w tamtych wydarzeniach nie chciał mówić. Na początku lat trzydziestych został wysłany w misji specjalnej do Francji, a po powrocie do kraju dowodził samodzielnym batalionem Korpusu Ochrony Pogranicza „Troki” w Trokach koło Wilna. Tam też zastała go hitlerowska agresja. W kampanii wrześniowej walczył we wchodzącej w skład armii „Prusy”, Południowej Grupie Operacyjnej dowodzonej przez gen. Stanisława Skwarczyńskiego. Brał udział w ciężkich walkach w okolicach Skarżyska, a następnie w odwrocie za Wisłę. Jego jednostka rozbijana w kolejnych starciach, przebiła się przez lasy pod Biłgorajem, aby wziąć udział w obronie Lwowa. Wtedy też nadeszła tragiczna wiadomość o wkroczeniu ze wschodu Armii Czerwonej i beznadziejności dalszej walki na ziemiach Rzeczypospolitej.

Płk Fieldorf podjął decyzję o przedostaniu się do Francji i wstąpieniu do formującego się tam polskiego wojska. Wraz z grupą oficerów dotarł przez Słowację na Węgry, gdzie zostali internowani. Przy cichym poparciu władz węgierskich, bardzo Polakom życzliwych, grupa polskich oficerów przedostała się na Zachód. Do Francji Fieldorf dotarł 9 lutego 1940 r. i zameldował się w stacji zbornej w koszarach Bessieres w Paryżu. Tymczasem wiadomości z kraju były przerażające: Stalin i Hitler podzielili się Rzeczypospolitą. Trwał krwawy terror nazistów i komunistów wymierzony w ziemiaństwo, duchowieństwo, inteligencję, warstwy przywódcze, środowiska patriotyczne, a zwłaszcza młodzież. Zaczęło się mordowanie Polaków realizowane w ramach polityki mającej na celu uniemożliwienie kiedykolwiek w przyszłości odrodzenie się państwa polskiego, które dla Mołotowa było tylko „poronionym płodem traktatu wersalskiego”, a dla Hitlera „żołdakiem, który podpalił świat”. Na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki rozpoczął się ponury, haniebny okres kolaboracji części społeczeństwa, niestety przy pewnym udziale elity intelektualnej (z Sowietami współpracowali m.in.: Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Jerzy Lec, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Leon Pasternak, Wanda Wasilewska, Jerzy Putrament). Na obszarze podległym III Rzeszy kolaboracja była mniej powszechna, chociaż i tu wykształciła się profesja tzw. szmalcownika (wydającego gestapo ukrywających się Żydów i denuncjującego udzielających im pomocy), oraz różnie motywowanych donosicieli i konfidentów hitlerowskiej policji politycznej.

Emisariusz „Maj”

Polacy oczywiście nie pogodzili się z utratą własnego państwa. Już 27 września 1939 r. w zajmowanej przez Niemców Warszawie utworzona została podziemna Służba Zwycięstwa Polski, przemianowana na Związek Walki Zbrojnej a 14 02 1942 r. w Armię Krajową. Budowane było podziemne państwo i walczące z okupantami wojsko. Komendant Główny ZWZ gen. Kazimierz Sosnkowski powołał specjalny Samodzielny Wydział Krajowy, którego celem było między innymi organizowanie łączności z krajem, pomoc działającym na obszarach okupowanych struktutom podziemia, przerzucanie do Polski przeszkolonych ludzi. Jednym z pierwszych emisariuszy Naczelnego Wodza i Rządu do kraju był „Maj” – płk Emil Fieldorf. Jego odlot do kraju opóźnił się z powodu zasadniczej zmiany sytuacji, spowodowanej klęską Francji. Francuzi, którzy tchórzliwie porzucili polskiego sojusznika na polu walki w 1939 r. i nie chcieli „umierać za Gdańsk”, nie bardzo też mieli ochotę umierać za Paryż. Masowo oddawali się do niewoli, bili się słabo i źle, zrezygnowali z dalszego prowadzenia wojny w oparciu o kolonie i w końcu podpisali kapitulację, ustanawiając podporządkowany III Rzeszy, kolaborancki reżim w Vichy, będący po dziś dzień wstydlwym i przemilczanym rozdziałem najnowszej historii. Pozostała już tylko Anglia – „wyspa ostatniej nadziei” – jak wówczas mówiono.

Długą więc drogę musiał wędrować emisariusz „Maj” do kraju. Statkiem do Południowej Afryki, później samolotem nad Nilem przez cały kontynent, (stąd późniejszy i najczęściej używany pseudonim „Nil”), do Turcji i dalej drogą lądową przez Grecję, Serbię i Węgry. Granicę pomiędzy Słowacją, a Generalną Gubernią przekroczył w nocy z 7 na 8 września 1940 r. W Warszawie znalazł się najprawdopodobniej rano 9 września i zamieszkał początkowo w domu przy ul. 3 Maja nr 5. Dom ten na Powiślu przy Moście Poniatowskiego stoi do dziś, podobnie jak jakimś szczęśliwym trafem prawie wszystkie miejsca, w których przebywał Emil Fieldorf. Od tej pory walczył już tylko na obszarach kontrolowanych przez nazistów lub komunistów, nie licząc krótkiego okresu, gdy jako jeden z dowódców Armii Krajowej kierował walką bohaterskich żołnierzy w powstańczej Warszawie.

Mianowany inspektorem Komendy Głównej ZWZ, realizował wiele misji specjalnych, jak np. ciągle niewyjaśnioną kwestię powrotu do kraju marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i jego współpracy z londyńskim podziemiem. Wyjeżdżał w teren nadzorując działania komendantów obwodów i okręgów, w tym także bardzo niebezpiecznych obszarów pod okupacją sowiecką.

Heroizm Kedywu

W 1942 r. został dowódcą obszaru II Białystok, a następnie pod koniec tego roku wszedł do ścisłego kierownictwa walki zbrojnej Armii Krajowej jako dowódca Kierownictwa Dywersji (Kedywu). Nazwa ta weszła do historii najnowszej jako bohaterski przykład skutecznego oporu wobec niemieckich okupantów i szeregu brawurowych, odważnych akcji bojowych. Informując Naczelnego Wodza o mianowaniu obywatela „Maja”, byłego komendanta obszaru II komendantem Kedywu, Komendant Główny AK gen. Stefan



Rowecki „Grot” sformułował rodzaje działania Kedywu. Były to między innymi: dywersja na linie kolejowe, drogi i przemysł wojenny okupanta, sabotaż na wszystkich odcinkach pracy, gdzie można osiągnąć agresora oraz terror w stosunku do Niemców, volksdeutschów i wszystkich współpracujących z okupantem. Ludzie Kedywu mieli atakować gestapo, policję, SS, oddziały partyjne, administrację okupacyjną i brać odwet za wysiedlanie, łapanki, egzekucje, uwalnianie aresztowanych, akcje bojowe na więzienia, transporty, obozy i miejsca straceń, a także umacniać działalność partyzancką. Kedywowi, a zatem bezpośrednio generałowi Fieldorfowi, podlegała

najistotniejsza część walki prowadzonej przeciwko okupantom. Po ataku Hitlera na Związek Sowiecki i szybkim zajęciu całego obszaru II RP przez Niemcy, został tylko jeden okupant. Była to też najtrudniejsza, najbardziej heroiczna, najbardziej znana i podziwiana w kraju, a z czasem na całym świecie, działalność polskiego podziemia. Z rozkazu gen. „Nila” zlikwidowani zostali szczególnie okrutni i bestialscy funkcjonariusze gestapo: Franz Burckl, August Kretchmann, Ernest Weffels, Engelberth Fruhwirt i wielu innych, a 1 lutego 1944 r. roku o godz. 9.15 został zabity z wyroku sądu Polskiego Państwa Podziemnego gen. SS i policji na dystrykt warszawski, Franz Kutschera, główny organizator i wykonawca trwającego od dłuższego czasu terroru, polegającego na mordowaniu przypadkowych zakładników. W efekcie tego zamachu wkrótce potem tego rodzaju terror niemiecki ustał. Zamach na Kutschere był jedną z najgłośniejszych i najtrudniejszych akcji ruchu oporu w okupowanej Europie, porównywalnej do likwidacji nazistowskiego protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha.

W drugiej połowie 1943 r. roku stawało się coraz bardziej jasne, że Hitler wojnę przegra, a do Polski nie wkroczą wojska zwycięskich aliantów, ale Armia Czerwona. Po przegranej przez Niemców bitwie pod Kurskiem przewaga sowiecka stawała się coraz bardziej widoczna. Front wschodni pochłaniał gigantyczne ilości sprzętu i ludzi, trwał nieprzerwany niemiecki odwrót na wszystkich frontach. Alianci wylądowali w Północnej Afryce i na Sycylii, włoscy generałowie i politycy obalili Mussoliniego, co oznaczało nie tylko rozpad Osi i otwarcie nowego frontu dla i tak nadmiernie rozciągniętych armii Hitlera, lecz także przykład do naśladowania dla pozostałych sojuszników III Rzeszy.

Organizacja „Nie”

W tej sytuacji polscy przywódcy polityczni i wojskowi zdecydowali się utworzyć nową organizację, której zadaniem byłoby przygotowanie się na bardzo prawdopodobną nową okupację, tym razem wyłącznie sowiecką. Organizacja ta miała nazywać się „NIE” od słowa „Niepodległość”, ale słowo „nie” symbolizowało także polski sprzeciw wobec podporządkowania kraju Związkowi Sowieckiemu, oddania rządów nad Polską agentom i marionetkom Stalina, dzięki polityce jednostronnych ustępstw Anglii i Stanów Zjednoczonych. Ustępstw czynionych kosztem niepodległości i wolności narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Zadanie utworzenia tej organizacji otrzymał od dowódcy AK gen. Emil Fieldorf „Nil”. Rozpoczął się ostatni najtrudniejszy okres w życiu tego wielkiego Polaka – walka o wolność i niepodległość Polski, tym razem z komunistycznym zagrożeniem. Tej walki, przynajmniej na obszarach zajętych przez Armię Czerwoną, nikt wygrać nie mógł. Musiało minąć 45 lat, aby w nowych warunkach końca XX wieku, spełnione zostały marzenia o niepodległości. To oczywiście w latach 1944-45 było niemożliwe do przewidzenia.

Na temat budowania organizacji „NIE” jeden z historyków pisał tak: „Budowa jej postępowała w żółwym tempie także i dlatego, że zrazu nie bardzo wiedziano, jakie nadać jej formy, jak te formy dostosować do warunków sowieckiej okupacji; hamująco działały również liczne »niewiadome«: jak się ukształtuje sytuacja w Polsce, jaki będzie stosunek polityczny Zachodu do Polski, jak się rozwijać będą stosunki anglosasko-sowieckie... rozwiązaniem najlepszym byłoby wciągnięcie do nowej sieci ludzi jeśli nie zupełnie nowych, to przynajmniej mało otoczeniu znanych; powaga zadań kazała jednak sięgnąć po jednostki wypróbowane i doświadczone... zamierzano rozwiązać problem przez wyłączenie kandydatów z bieżącej pracy i polecenie im zerwania wszelkich dotychczasowych związków z AK”. (Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia Polski*, t. III. Londyn, 1960). Problemów było znacznie więcej. Obok podstawowej kwestii politycznej, w jaki sposób w obliczu przewagi sowieckiej i jednoczesnym porzuceniu sprawy niepodległości Polski przez zachodnich aliantów, można tę niepodległość osiągnąć, pojawiało się wiele problemów konkretnych, praktycznych, organizacyjnych. Po pięciu latach nazistowskiej i dwóch latach sowieckiej okupacji na wschodzie, po upadku Powstania Warszawskiego i ogromnych stratach poniesionych przez Polskę, naród znalazł się na granicy wytrzymałości. Był zagrożony w swojej egzystencji, w pewnym stopniu także w biologicznym sensie. Dalsze podtrzymywanie podziemia w obliczu potęgi zwycięskiego Związku Sowieckiego nie mogło prowadzić do sukcesu. Coraz więcej ludzi rezygnowało z dalszej walki, zwłaszcza gdy jej wynik stawał się tak bardzo niepewny. Coraz częściej rwała się łączność, zawodziły struktury organizacyjne, coraz więcej ludzi odchodziło, odmawiało współpracy, rezygnowało nie widząc celu dalszego działania.

Z żadnej strony nie nadchodziła pomoc, a polska emigracja na Zachodzie nie była w stanie zmienić tego stanu rzeczy. Dla Anglii i Stanów Zjednoczonych partnerem i decydującym w sprawach Polski był tylko Stalin, co znalazło ostateczne potwierdzenie w Jałcie. Oznaczało to koniec polskich nadziei i możliwość składania tylko bezsilnych protestów. Następnym problemem był stosunek „NIE” do AK oraz losy samej AK i rola jej dowódcy, którym po oddaniu się gen. Bora-Komorowskiego do niewoli został gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Sam Okulicki rozkazem z 19 stycznia 1945 r. roku rozwiązał Armię Krajową i miał zamiar po prostu przejść do „NIE”. Oznaczało to nie tylko konflikt kompetencyjny z gen. Fieldorfem, ale było też sprzeczne z istotą nowej organizacji, która nie miała być w żadnym stopniu kontynuacją AK. Okulicki, jako częściowo przynajmniej zdekonspirowany, nie nadawał się do kierowania nową elitarną, głęboko zakonspirowaną strukturą. O sytuacji powstałej po rozwiązaniu AK tak bardzo trafnie pisze cytowany już Pobóg-Malinowski: „Rozkaz rozwiązania zostanie wykonany przez okręgi i oddziały AK w pewnej tylko, nieznaczej, mierze; olbrzymia część po prostu nie uzna go i nie przyjmie. W warunkach posępnej rzeczywistości dokona się zmiana form, powrót do początkowego sprzed pięciu lat stanu bezładu organizacyjnego, rozbicia na wiele odłamów, z rozszczępieniem wysiłków i nieograniczoną samodzielnością w poczynaniach... W tym samym czasie Podziemie polityczne będzie się szarpać rozpaczliwie i beznadziejnie w sieci tragicznych przyczyn i skutków: rozdarte wewnętrznie na sprzeczne kierunki w myśleniu, bezradne wobec rzeczywistości, załęcznione steroryzowane przez najbardziej ślepy swój, ludowcowy, odłam – samo, własnymi rękoma, ukręci sznur na własną szyję”.

Kolejarz Gdanicki

Do spotkania generałów Okulickiego i Fieldorfa nie doszło. 7 marca 1945 r. w Milanówku „Nil” jako kolejarz Walenty Gdanicki został aresztowany przez NKWD, za posiadanie walut w ilościach budzących podejrzenie o spekulację. Nie został jednak rozpoznany. Jako Gdanicki wywieziony został do obozu pracy w Związku Sowieckim, skąd wrócił schorowany i wyniszczony w październiku 1947 r. 27 marca 1945r. także w Milanówku został aresztowany wraz z 15 przywódcami Polski Podziemnej, podstępnie zaproszony na rozmowy i wywieziony do Moskwy gen. Okulicki. W Moskwie osądzony w tzw. procesie 16, skazany na 10 lat więzienia, został zamordowany 24 grudnia 1946 r. w więzieniu NKWD. Nazwisko Fieldorfa wielokrotnie pojawiało się podczas procesu, między innymi w zeznaniach samego Okulickiego. Nie wiadomo czy Okulicki wiedział, że Fieldorf nie został przez NKWD schwytany, być może zorientował się, że jest on poza zasięgiem sowieckim. Mógł przypuszczać, że przebywa na Zachodzie. Mimo to, jak mógł osłaniać swoimi zeznaniami Fieldorfa, twierdząc, że nic mu nie wiadomo o instrukcjach dotyczących terroru skierowanego przeciwko Armii Czerwonej, że o przypadkach takiego terroru dowiedział się w śledztwie itp. Oczywiście i tak było

jasne, że władze sowieckie będą usilnie poszukiwały generała „Nila” i że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tymczasem pod nazwiskiem Gdanicki „Nil” przebywał w obozie pracy na Uralu, nierozpoznany przez NKWD, mimo wielu przesłuchań i nawet podejrzeń, że nie jest to handlarz walutą i kolejarz. Jak widać wszechwładny NKWD nie był wszechwiedzący, a tak długi pobyt gen. Fieldorfa w Związku Sowieckim pod fałszywym nazwiskiem, ośmiesza sprawność sowieckich tajnych służb. Tam, gdzie nie stosowały one drakońskich metod wymuszania zeznań torturami i strzelaniem w tył głowy, służby te często okazywały się bezradne. Takie wspomnienie o Fieldorfie przekazał z pobytu w sowieckich obozach inny więzień, jeden z młodzieżowych działaczy Stronnictwa Pracy Jan Hoppe: „Wrażliwy na to, co nazywamy sprawami człowieka, lecz bez cienia roztkliwiania się czy taniej czułości. W każdym wypadku prawy. Koleżeński i dyskretnie opiekuńczy, bez względu na różnicę wieku czy poziomem intelektualnego, czego najlepszym dowodem był stosunek do takiego pod każdym względem szczeniaka, jakim wtedy byłem (...) W swych poczynaniach, niezależnie od osobistych sympatii, starał się ratować choć jednego z młodego pokolenia...świat jego pojęć o prawdzie, dobru i pięknie był żywy i głęboki, a kryteria ocen w tej dziedzinie były wyraźnie określone i bezkompromisowe. Nie znosił moralizowania, ale był głęboko moralny. Nie tolerował obłudy i frazesów na temat dobra, ale nikomu nie dał się ubiec w niesieniu pomocy słabszym. Jeżeli zdobył choćby drobny kawałek chleba, to nie tknął go, dopóki nie znalazł przyjaciół, z którymi mógłby się podzielić”. (Jan Hoppe, „O generale Emilu Fieldorfie”, „Na Antenie”, Londyn, 1972 r.).

Adres: Próchnika 39

Po powrocie do Polski wraz z transportem repatriantów Walenty Gdanicki w grudniu 1947 roku przyjechał do Łodzi, gdzie przy ulicy Próchnika 39 m. 15 mieszkała jego żona Janina z córkami Krystyną i Marią. Był schorowany i słaby, nie było mowy o jakiegokolwiek pracy, musiał się leczyć. Wyjeżdżał do Zakopanego, ale zdrowia już nie odzyskał. Namawiany przez znajomych, dawnych kolegów z AK, do opuszczenia kraju, mimo pełnej świadomości zagrożenia zdecydował się pozostać. Uważał, że tchórzostwem byłoby pozostawianie byłych podkomendnych. Powtarzał także, że po pobycie w Rosji, każde polskie więzienie byłoby dla niego sanatorium. Do konspiracji nie miał zamiaru powrócić, bo dostrzegał dramatyczną i właściwie beznadziejną sytuację ludzi walczących z bronią w rękę przeciwko sowieckim okupantom i ich lokajom.

Postanowił więc ujawnić się wobec władz wojskowych. Zgłosił się najpierw do RKU w Łodzi podając, że jest generałem brygady Emilem Fieldorfem, wysłał też pismo do Ministerstwa Obrony Narodowej. Czyżby nie wiedział z kim ma do czynienia? To zgłoszenie oznaczało uruchomienie Urzędu Bezpieczeństwa. Generał zbierał dokumenty potrzebne do przeniesienia w stan spoczynku, nie liczył na służbę

w Ludowym Wojsku Polskim dowodzonym przez sowieckich generałów Popławskiego i Rokossowskiego, ale w tym samym czasie trwało jego „rozpracowywanie” operacyjne. Ostatecznie koło zamknęło się 10 listopada, gdy po raz ostatni wychodził, nie spodziewając się niczego, z domu przy ulicy Próchnika. Teraz walkę o Polskę prowadził już tylko w ponurych warunkach celi więziennej, w pokoju przesłuchań, w celi śmierci i w obliczu śmierci.

Śledztwo zmierzało do wykazania, że generałowi Fieldorfowi jako dowódcy Kedywu podlegały oddziały terenowe, które na jego wniosek i zgodnie z jego instrukcjami dokonywały likwidacji lewicowych działaczy, a zwłaszcza partyzantów sowieckich oraz, że z terenu dostawał raporty o wykonywaniu jego rozkazów. Na te zarzuty Fieldorf konsekwentnie odpowiadał „teren nie był mi absolutnie podległy”. Bardzo trudno odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu kierowana przez gen. Fieldorfa, zajmująca się walką z niemieckim okupantem formacja, ponosi odpowiedzialność także za czynną walkę z komunistyczną dywersją i zagrożeniem. Niewątpliwie dochodziło do starć oddziałów AK zarówno z sowiecką partyzantką, jak i z oddziałami podległych ZSRR uzbrojonych grup komunistów. Było to w warunkach wojny i okupacji nieuchronne, zresztą stroną zaczępną byli z reguły komuniści. Oni też nie ponosząc żadnej odpowiedzialności, nie uznając legalnych władz polskich, państwa podziemnego, lekceważąc zasady zbiorowej odpowiedzialności stosowaną przez nazistów, często doprowadzali do krwawych represji, niepotrzebnych strat, ofiar, zniszczeń. Dla nich los Polski i Polaków był najczęściej obojętny, a liczyły się interesy i cele sowieckie. Była to w końcu w przeważającej części obca agentura działająca na ziemiach polskich. I dlatego sądenie już po wojnie jednego z przywódców Armii Krajowej przez komunistów, którzy wobec całego ruchu niepodległościowego, narodu i państwa polskiego dopuścili się licznych zbrodni, miało zwyczajne cechy odwetu, zemsty, załatwiania dawnych porachunków, doktrynerskiego zaślepienia. Nadzór nad śledztwem sprawowała prokurator Helena Wolińska, ona też nadawała bieg sprawie i ponosi współodpowiedzialność za zamordowanie Emila Fieldorfa. Dziś przebywa w Anglii i w nikczemny sposób usiłuje uniknąć ekstradycji do Polski, zasłaniając się rzekomym polskim antysemityzmem, twierdząc, że domaganie się (bardzo niestety anemiczne, nieudolne i wybitnie jak widać nieskuteczne) przez rząd III RP jej ekstradycji, ma podłoże antysemickie. Sam gen. Fieldorf nie przyznał się do stawianych zarzutów, ale przy pomocy tortur ubecy wymusili od dwóch byłych wysokich oficerów AK zeznania obciążające go. Myślę, że nie warto przypominać tych nazwisk, zostali złamani torturami, mało kto jest w stanie wytrzymać piekielne metody stosowane przez oprawców, dziś już nie żyją i byłoby to tylko upokarzaniem ich rodzin. Zresztą natychmiast po zmianach wprowadzonych w 1956 roku, gdy skończyły się najbardziej represyjne działania komunistów, związane z tzw. stalinizmem, odwołali swoje wymuszone torturami zeznania, co z kolei było podstawą „rehabilitacji” Emila Fieldorfa. Niestety już pośmiertnej. W wymuszonych torturami zeznaniach znalazły się takie fragmenty: „oddziały te...zlikwidowały w podanym wyżej okresie 27 polskich działaczy lewicowych,

3 Ukraińców, 1 Rosjanina oraz zlikwidowały 17 partyzantów radzieckich oraz tylko 1 volksdeutscha, czyli oprócz tego ostatniego, wykonując otrzymywane rozkazy z Kedywu KG AK po linii antylewicowej, zamordowały w miesiącu styczniu 1944r. 42 osoby”.

Sędzia Gurowska skazuje

To wystarczyło 16 kwietnia 1952 r. Sąd Wojewódzki dla Warszawy w składzie: Maria Gurowska (przewodnicząca), Bolesław Malinowski i Michał Szymański po kilkugodzinnym procesie skazał Emila Fieldorfa na śmierć. 8 grudnia 1952 r. wyrok ten został zatwierdzony przez Sąd Najwyższy w składzie: Remil Mertz, Igor Andrejew, Gustaw Auscaler. Po latach, już w wolnej Polsce profesor Andrejew, jeden z czołowych prawników i komentatorów prawa karnego tłumaczył się w liście do wdowy po generale ze swojego postępowania. Maria Gurowska była w III RP przesłuchiwana w związku z wydaniem tego wyroku, ale nie zdążyła stanąć przed sądem. Umarła i dalsze śledztwo musiało zostać umorzone. Nie żyje już chyba nikt z ludzi odpowiedzialnych za mord sądowy na generale Emilu Fieldorfe.

Wszystkie prośby pisane do Bolesława Bieruta, przez matkę, ojca, brata i żonę zostały odrzucone. Sam generał żadnej prośby do Bieruta, ani innych komunistów nie napisał, do żony natomiast powiedział: „Pamiętaj, abyś nie prosiła ich o łaskę, zabraniam tego”. Odrzucił też ubecką ofertę podpisania odezwy do byłych żołnierzy AK. Tak piszą na ten temat Maria Fieldorf i Leszek Zachuta: „...przeczytano Fieldorfowi odezwę do byłych akowców, wzywającą ich do zdekonspirowania się i obdarzenia tzw. władzy ludowej pełnym ich zaufaniem. Odezwa apelowała także do patriotycznych uczuć całego społeczeństwa polskiego, by wiernie wykonywało polecenia nowej władzy. Miała się ukazać w prasie i zostać ogłoszona w radio jako produkt generała polskiego Fieldorfa. Ten ostatni odmówił kategorycznie firmowania tej odezwy”. Być może była to ostatnia szansa na uratowanie życia? Zachowała się więzienna, policyjna fotografia Emila Fieldorfa wykonana zaraz po aresztowaniu. Twarz wychudzona, zmęczona, ostre rysy, ale w oczach nie widać żadnej rozpacz, to nie jest człowiek złamany, ani nadający się do złamania. Takim pozostał do końca. W relacjach ocalałych więźniów, którzy przebywali razem z nim w ostatnim okresie, powtarza się opinia, że od pewnego momentu nie miał złudzeń, co do swojego losu.

24 lutego 1953 r. o godzinie 15.00 wyprowadzono Emila Fieldorfa na miejsce egzekucji. Była to cela straceń mokotowskiego więzienia. Prokurator odczytał sentencję wyroku sądu oraz decyzję Rady Państwa o nieskorzystaniu z prawa łaski i zarządził wykonanie wyroku. Kat przystąpił do egzekucji przez powieszenie. O godz. 15.25 protokół z wykonania wyroku podpisali: prokurator Witold Gatner, naczelnik więzienia Aleksander Grabicki, lekarz więzienny Maksymilian Kasztelański, który wcześniej stwierdził zgon. Ciało zamordowanego nie zostało wydane rodzinie, znalazło się najprawdopodobniej w jednej ze zbiorowych mogił na Powązkach (takie stanowisko prezentowało MON w liście do żony generała). Istnieje zresztą na ten temat

kilka trudnych do sprawdzenia hipotez. Zbliżał się koniec lutego 1953 roku, za kilka dni, 28 lutego pośrednio odpowiedzialny i za te zbrodnie sowiecki dyktator Józef Stalin dozna wylewu krwi do mózgu i po kilkudniowej agonii zakończy życie (5 marca). Będzie to oznaczało, najpierw powolne, a stopniowo coraz szybsze odchodzenie od najbardziej okrutnych, najbardziej odrażających form terroru, a dla wielu uwięzionych i skazanych pojawi się nadzieja na ocalenie.

Rehabilitacja ocenzurowana

W 1956 roku w nowej już sytuacji politycznej rozpoczął się proces zmierzający do „rehabilitacji” Emila Fieldorfa zakończony umorzeniem śledztwa przeciwko Augustowi Emilowi Fieldorfowi z „powodu braku dowodów winy”. Wyrok był wydany przez wiceprokuratora Prokuratury Generalnej 4 lipca 1958 roku. Takich pośmiertnych „rehabilitacji” wydawano w tym czasie wiele. W jakimś częściowym stopniu ekipa Władysława Gomułki starała się zyskać zaufanie, odciąć się od ponurego dziedzictwa stalinizmu. Stopniowo następowało przywracanie pamięci o bohaterskim generale „Nilu”. Ogromna w tym była zasługa żony Janiny Fieldorf, walczącej przeciwko otaczającej jej męża zмовie milczenia. Po długich negocjacjach wdowa ustaliła z przedstawicielami MON tekst napisu na nagrobku przekazanym rodzinie przez ministra obrony narodowej (gen. Wojciecha Jaruzelskiego). Po latach tak pisze: „Na dzień 8 grudnia 1972 r. wyznaczono termin przekazania nagrobka rodzinie. Miałam zamiar zaprosić paru towarzyszy broni Emila i kilka innych osób, ale pułkownik (z MON) zaczął błagać, żebym ograniczyła się tylko do rodziny, bo on i tak miał dużo przykrości z powodu tego napisu, i ja ustąpiłam, a potem bardzo tego żałowałam. Żebym okazała tyle uporczywości co przy napisie – musieliby ustąpić. Byłam jednak tak znużona i chora, że nie miałam siły dłużej walczyć. W dniu 8 grudnia 1972 r. w dzień Matki Boskiej przyszliśmy z kwiatami... Pułkownik przemówił, że Minister i oni wszyscy w MON-ie skłaniają głowy przed postacią generała, a pomnik Minister polecił przekazać mnie i córkom na własność”.

Dopiero w wolnej Polsce, za którą oddał życie Emil Fieldorf pamięć jego walki i męczeńskiej śmierci została w pełni przywrócona. W domu, w którym się urodził i w wielu innych miejscach związanych z jego życiem znajdują się dziś pamiątkowe tablice. Powstało wiele artykułów, kilka książek, prowadzone są prace historyków Instytutu Pamięci Narodowej. Być może zostanie wreszcie wydana Polsce Helena Wolińska, aby odpowiedzieć za zbrodnie, której się dopuściła? Również w Łodzi przy ulicy Próchnika 39, gdzie po wojnie wraz z żoną i dwiema córkami mieszkał gen. Emil Fieldorf, i skąd wyszedł 10 listopada 1950 r., aby już nigdy nie wrócić, 1 września 1989 r. senator Cezary Józefiak odsłonił tablicę pamiątkową poświęconą jasnej pamięci Emila Fieldorfa.

Stefan Niesiołowski

*– prof. UŁ, dr hab. nauk biologicznych, entomolog;
polityk, publicysta.*

Między nadzieją a beznadzieją

*Kronika okupowanej Łodzi
– wrzesień 1939*

Przedstawiamy fragment pracy Andrzeja Rukowieckiego. Z opracowanej przez niego kroniki, obejmującej ponad pięć lat hitlerowskiej okupacji, zawierającej blisko 100 stron, przedstawiamy jedynie wydarzenia z września 1939 r. Liczymy, że znajdzie się wydawca zainteresowany wydrukowaniem całej pracy dokumentującej okupacyjną rzeczywistość zniewolonej Łodzi.

1 IX 1939

Z dziennika nieznannej dwudziestoletniej łodzianki:

„Kopimy rowy przeciwnicze. Do kopania zgłaszają się ochotnie wszyscy mieszkańcy: biedni, bogaci, dzieci, kobiety. Fabrykant kopie z robotnikiem, obok nich kopie rabin, żebrak, doktor i dozorca, kucharka, uczennica, dama z kabaretu i aktor, komunista i rezerwista.”

Pracownicy narodowości niemieckiej firmy „Karol Bennich” w Łodzi ogłosili „Deklarację lojalności”, którą wydrukował „Goniec Warszawski” z 1 IX 1939 r.: „My niżej podpisani obywatele Rzplitej Polskiej narodowości niemieckiej oświadczamy, że jesteśmy lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej i gotowi jesteśmy na każde zawołanie złożyć w ofierze nasze życie i mienie dla dobra Polski”.

Gazeta codzienna „Echo” (nr 242, 1 IX 1939 r.) zamieściła na pierwszej stronie artykuł pod tytułem „Z wiarą, ufnością i męstwem pójdziemy w bój o Polskę. Nasza moralna przewaga nad wrogiem”. W tekście zamieszczono duże fragmenty listu pasterskiego ks. biskupa Stanisława Kostki Łukomskiego – ordynariusza diecezji łomżyńskiej – do diecezjan, wydanego w związku z groźbą wojny. Na tej samej stronie znalazło się orędzie Prezydenta RP do Narodu Polskiego zaczynające się od słów: „Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii”.

* * *

Pociąg jadący z Kutna do Łodzi wypełniony ludnością cywilną został zbombardowany przez samoloty niemieckie w pobliżu wsi Boża Wola. Zginęło 30 osób, a kilkadziesiąt zostało rannych.

2 IX 1939

Nalot niemiecki na Łódź. Zbombardowano Dworzec Łódź – Kaliska i lotnisko na Lublinku.

* * *

Pod patronatem ordynariusza łódzkiego, biskupa Włodzimierza Jasieńskiego, prezydenta Łodzi Jana Kwapińskiego i wicestarosty łódzkiego L. Giełczyńskiego powstał Okręgowy Łódzki Komitet Społeczny Niesienia Pomocy Żołnierzom i ich Rodzinom.

3 IX 1939

Nalot na stację Łódź – Widzew, fabrykę nici przy ul. Niciarnianej, elektrownię, gazownię i dzielnice mieszkalne przy ul. Bandurskiego, Kopernika i Karłowskiej. Zginęło przeszło 300 osób.

* * *

Manifestacja patriotyczna Łódzian przed gmachem Magistratu na pl. Wolności oraz konsulatami Wielkiej Brytanii (ul. Piotrkowska 271) i Francji (al. Kościuszki 3) w związku z wypowiedzeniem przez te kraje wojny Niemcom.

* * *

Utworzony został Miejski Komitet Apropowizacji, który miał współdziałać z władzami w sprawach zaopatrzenia miasta.

* * *

Na ulicach pojawili się pierwsi jeńcy niemieccy eskortowani przez żołnierzy polskich.

* * *

Polski Czerwony Krzyż w Łodzi ogłosił apel o składanie ofiar pieniężnych, żywności i środków opatrunkowych oraz dostarczanie krwi dla rannych. Łódzianie odpowiedzieli hojnymi darami.

* * *

Do Łodzi przybyli pierwsi ranni żołnierze. Kierowano ich do czterech szpitali miejskich i szpitala garnizonowego, przy ul. Żeromskiego 113. Lżej rannym udzielano pomocy w specjalnie uruchomionych ambulatoriach i punktach sanitarnych.

4 IX 1939

Ogłoszono przez radio apel, aby wszyscy mężczyźni do 50 roku życia wycofali się wraz z wojskiem w kierunku Warszawy.

* * *

Prezydent miasta Jan Kwapiński zwrócił się do władz wojskowych z wnioskiem budowy okopów wokół Łodzi i zorganizowania Batalionów Ochotniczych. Ta ostatnia inicjatywa została odrzucona przez wojsko.

* * *

Zamożniejsi mieszkańcy Łodzi zaczęli opuszczać miasto.

4/5 IX 1939

Rozpoczęła się ewakuacja urzędów państwowych, samorządowych, wojska i policji.

5 IX 1939

Biskupi łódzcy odrzucili propozycję wojewody łódzkiego Henryka Józewskiego opuszczenia stolicy diecezji.

* * *

Silny nalot niemieckich bombowców na lotnisko Lublinek.

* * *

Mjr dypl. Kazimierz Kowalski ps. „Wyrwa” z upoważnienia wojewody utworzył pierwszą konspiracyjną grupę kierowniczą. W jej skład weszli: kpt. Bolesław Balcerzak (przedstawiciel Związku Strzeleckiego), hm. Mieczysław Łętowski (komendant komendy łódzkiej Związku Harcerstwa Polskiego), Aleksy Rzewski (były prezydent Łodzi w latach 1919 – 1923, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej), Fabian Urbaniak (Federacja Związków Obrońców Ojczyzny), Janina Żyźniewska (Przysposobienie Wojskowe Kobiet). Grupa ta w przyszłości stała się załącznikiem łódzkiej Służby Zwycięstwu Polski (SZP).

* * *

Za pośrednictwem mikrofonów rozgłosił łódzkiej Polskiego Radia przemówienie do narodu wygłosił ordynariusz łódzki bp Wł. Jasieński.

5 IX 1939

Do miasta dotarli uchodźcy z terenów zajętych przez wojska niemieckie oraz żołnierze z rozbitych pododdziałów w bitwie pod Rozprzą koło Piotrkowa Trybunalskiego.

5/6 IX 1939

W nocy z 5 na 6 września miasto opuściły władze państwowe z wojewodą Henrykiem Józewskim i starostą grodzkim Henrykiem Mostowskim oraz władze samorządowe z prezydentem Janem Kwapińskim. Ewakuacja objęła także straż pożarną i karetki pogotowia ratunkowego.

5/6 IX 1939

Po opuszczeniu miasta przez władze i wojsko zdemoralizowane grupy ludności przystąpiły do rabowania sklepów i magazynów.

6 IX 1939

W siedzibie Zarządu Miejskiego przy pl. Wolności 14 ukonstytuował się (zgodnie z uprzednim poleceniem wojewody) Komitet Obywatelski, na którego czele stanął biskup sufragan ks. dr Kazimierz Tomczak. Zadaniem Komitetu było kierowanie życiem miasta w związku z ewakuacją jego władz i przewidywanym wkroczeniem Niemców. Najbardziej czynnym działaczem Komitetu był jego wiceprzewodniczący Zygmunt Lorentz, prof. Gimnazjum Miejskiego im. J. Piłsudskiego – wybitny społecznik.

* * *

Mieszkańcy Łodzi na wiadomość o zbliżaniu się wojsk niemieckich zaczęli masowo i w panice opuszczać miasto kierując się w kierunku wschodniej granicy.

* * *

Zbombardowany został pałac Heinzlów w parku Julianowskim, gdzie mieścił się sztab armii „Łódź”. Nalot nastąpił w chwili ewakuacji sztabu. Zginął 1 oficer i 4 żołnierzy. Zostali pochowani na pobliskim cmentarzu p.w. św. Rocha, przy ul. Zgierskiej.

6–7 IX 1939

Przez Łódź i okolice wycofywały się oddziały armii „Łódź”. Łodzianie, licznie zebrani na ulicach, ze łzami w oczach żegnali żołnierzy, obdarowując ich żywnością i papierosami.

7 IX 1939

Artyleria niemiecka przez kilkanaście minut ostrzeliwała miasto.

8 IX 1939

W godzinach popołudniowych do miasta wkroczył pierwszy patrol niemiecki. Wieczorem przedstawiciel dowództwa 8 Armii przekazał przewodniczącemu Komitetu Obywatelskiego warunki poddania miasta.

* * *

W Zgierzu przy ul. Wiejskiej żołnierze niemieccy zabili kilkunastoletniego chłopca pasącego krowy, a innego zakłuli bagnetami.

8/9 IX 1939

Ujawniły się oddziały łódzkiego Selbstschutzu (paramilitarna organizacja niemieckiej mniejszości) zajmując kilka budynków w mieście, m. in. koszary i siedzibę redakcji dziennika „Freie Presse”. W późniejszym czasie Selbstschutz na własną rękę dokonywał napadów na Polaków i Żydów grabiąc sklepy i mieszkania prywatne łodzin.

9 IX 1939

Wojsko niemieckie tryumfalnie wkroczyło do Łodzi. Przemarsz oddziałów odbywał się od południa – ul. Piotrkowską i od zachodu – ul. 11 Listopada. Trybuna „honorowa” w postaci wojskowego odkrytego kabrioletu ustawiona została przed budynkiem Ratusza – pl. Wolności 1. Mniejszość niemiecka zgotowała swym „wyzwolicielem” gorące powitanie. Komendantem wojennym Łodzi został generał-major Freiher von Plotho, który za swą siedzibę obrał budynek Zarządu Miejskiego. Z tej przyczyny, kilka dni później, usunięto z tego budynku Komitet Obywatelski, który zainstalował się w siedzibie Izby Przemysłowo-Handlowej przy al. Kościuszki 4.

* * *

Ukazał się pierwszy i jedyny numer gazety „Przyjaciel Narodu” – organu Komitetu Obywatelskiego w Łodzi.

9 IX 1939

Żydzi łódzcy na rozkaz Wehrmachtu przystąpili do zasypywania rowów przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Traktowani byli przy tym bardzo brutalnie przez żołnierzy.

* * *

Uczniowie gimnazjum niemieckiego zorganizowali przed gmachem Grand Hotelu, gdzie umieszczono kwaterę dowództwa niemieckiego, prohitlerowską manifestację.

* * *

W Głównie żołnierze niemieccy rozstrzelali 18 Polaków z miasta i okolic.

10 IX 1939

Władze niemieckie wznowiły wydawanie dziennika „Freie Presse” zawieszonego przez władze polskie pierwszego września.

* * *

Odbyła się pierwsza narada przedstawicieli wojskowych okupacyjnych władz miasta i prezydium Komitetu Obywatelskiego.

* * *

W Będkowie gm. Zgierz Niemcy zamordowali 22 mieszkańców przez spalenie żywcem w stodole.

11 IX 1939

Do Łodzi przybył 2 oddział III Specjalnej Grupy Operacyjnej dowodzony przez dr Fritza Liphardta. Głównym zadaniem takich oddziałów przydzielonych do każdej z pięciu armii wkraczających do Polski było wyszukiwanie, aresztowanie i likwidacja warstw kierowniczych w Polsce. Oddział zajął nowo wybudowany budynek

gimnazjum żydowskiego przy ul. Anstadta i tam po przekształceniu się w łódzką placówkę gestapo, pozostał do końca okupacji hitlerowskiej w Łodzi.

* * *

W kinach „Rialto” (przy ul. Przejazd) i „Palladium” (przy ul. Napiórkowskiego, dziś Przybyszewskiego) oraz w kinie „Muza” w Rudzie Pabianickiej rozpoczęto wyświetlać propagandowe filmy niemieckie. Początkowo wstęp był bezpłatny. Do końca września uruchomiono kilka dalszych kin. Polacy uczęszczali do nich rzadko. Wyświetlano głównie filmy niemieckie bez polskich napisów. Do czterech najlepszych kin w centrum miasta wstęp dla ludności polskiej był zabroniony. Kino w okresie okupacji było najbardziej masową rozrywką ludności niemieckiej w Łodzi.

11 IX 1939

Staraniem Komitetu Obywatelskiego szkoły podstawowe i średnie rozpoczęły rok szkolny. Do nauki przystąpiło 60% uczniów.

12 IX 1939

W Łagiewnikach niemieccy żołnierze rozstrzelali 13 Polaków.

13 IX 1939

Okupacyjne władze niemieckie Łodzi wydały rozkaz o zakazie opuszczania miasta.

* * *

O godz. 15.00 przez Łódź przejeżdżał Adolf Hitler. Kanclerz udawał się na front, aby moralnie wesprzeć swych żołnierzy w bitwie nad Bzurą.

* * *

W Łodzi zaczęła wychodzić „Soldaten-Zeitung der Schlesischen Armee” („Gazeta Żołnierska Armii Śląskiej”). Od 17 września tytuł zmieniono na „Soldaten-Zeitung fuer den Militarbezirk Lodz”. („Gazeta Żołnierska Okręgu Wojskowego Łódź”)

* * *

W Zgierzu żołnierze niemieccy postrzelili śmiertelnie szesnastoletniego Eugeniusza Błaszczyka.

* * *

W Łodzi powstał Urząd Pracy (Arbeitsamt), którym kierował Günther Fonck. Siedzibą Urzędu był początkowo budynek PKO przy al. Kościuszki 15, a następnie kompleks budynków przy zbiegu ul. Zachodniej, Śródmiejskiej i Wólczańskiej. Arbeitsamt rejestrował bezrobotnych, wypłacał zasiłki (głównie Niemcom), decydował o zatrudnieniu i wysyłał Polaków na roboty przymusowe.

* * *

Z Wrocławia przybył do Łodzi sztab Szefa Zarządu Cywilnego przy Dowództwie 8 Armii i objął władzę cywilną w mieście. Jego siedzibą został gmach byłego Urzędu Wojewódzkiego przy ul. Ogrodowej 15.

14 IX 1939

Policja rozstrzelała w Aleksandrowie Łódzkim około 20 osób. Dzień wcześniej całkowicie niewinne ofiary pobito i głodzono przez 24 godziny.

14–16 IX 1939

Gestapo aresztowało czterech członków Komitetu Obywatelskiego. Trzech zwolniono po interwencji u okupacyjnych władz wojskowych, natomiast przewodniczącego Milicji Obywatelskiej Józefa Wolczyńskiego nie udało się uwolnić. Wkrótce został rozstrzelany w lasach lućmierskich.

15 IX 1939

W związku z trudnościami w zaopatrzeniu miasta w żywność wojskowe władze okupacyjne wystosowały apel do okolicznych rolników, aby przywozili swe płody na łódzkie targowiska. Jednocześnie zapewniono, że konie i wozy nie będą konfiskowane.

* * *

W Konstancynie Łódzkim miejscowy Niemiec – komendant policji Oswald Schultz „dla siania postrachu” rozstrzelał trzech Polaków – lekarza i dwóch robotników.

16 IX 1939

Władze okupacyjne wysłały do większych zakładów bawełnianych pisma z żądaniem uruchomienia produkcji najpóźniej w ciągu tygodnia. Właścicielom fabryk wełnianych wydano ustnie takie polecenie.

* * *

Wojskowe władze okupacyjne mianowały Cywilnego Komisarza m. Łodzi. Został nim D. Leister, dotychczasowy burmistrz małego miasta Bergzabern w Nadrenii. W dniu 18 września Komisarz oficjalnie ogłosił swe urzędowanie w dawnym ratuszu przy pl. Wolności 1.

* * *

Uruchomiono 9 niemieckich szkół powszechnych. Szkół polskich władze wojskowe nie likwidowały ale zakazano nauczania historii, śpiewu i geografii Polski. Do programu klas V – VII wprowadzono 5 godzin języka niemieckiego w tygodniu.

17 IX 1939

Szef Zarządu Cywilnego Łodzi przy 8 Armii wydał zarządzenie zakazujące podwyższania cen artykułów spożywczych.

18 IX 1939

Zamknięto żydowskie konta bankowe i zabroniono Żydom przechowywania gotówki powyżej 2 000 zł oraz zakazano prowadzenia handlu towarami włókienniczymi i skórzanymi.

20 IX 1939

Niemieckie naczelne dowództwo nakazało wywiezienie z Łodzi do Rzeszy wszystkich zastanych w mieście surowców.

* * *

W związku z rozbieżnościami wśród władz niemieckich na temat konieczności oddawania aparatów radiowych przez Polaków Szef Zarządu Cywilnego w Łodzi wysłał pismo do kwatermistrza 8 Armii nakazujące zaniechania konfiskaty Polakom aparatów radiowych. Sprawę tę rozstrzygnął osobiście Adolf Hitler polecając 10 października konfiskować radia zarówno Żydom jak i Polakom.

22 IX 1939

W Łodzi rozpoczął działalność niemiecki Sąd Specjalny (Sondergericht). Rozprawy odbywały się w przyspieszonym trybie, a wyroki podlegały natychmiastowemu wykonaniu.

* * *

Zaczął wychodzić dziennik popołudniowy w języku polskim – „Gazeta Łódzka”. Komisarycznym kierownikiem redakcji był Niemiec pochodzący z Prus Wschodnich, Heinz Schulz a redaktorem naczelnym łódzki dziennikarz Michał Walter. Gazeta starała się zachować charakter informacyjno – urzędowy. Była jednak typową „gadzinową” gazetą, próbującą urabiać opinię społeczną w duchu zgodnym z bieżącymi interesami okupanta. W niedługim czasie została przez Niemców zamknięta.

24 IX 1939

Wprowadzono godzinę policyjną od 20 do 5 rano.

* * *

Zaczął funkcjonować Urząd Prezydium Policji w budynku byłej Komendy Policji Państwowej przy ul. J. Kilińskiego 152.

* * *

Rozpoczął się rok szkolny w szkołach niemieckich.

* * *

Dziennik „Freie Presse” zmienił tytuł na „Deutsche Lodzer Zeitung”.

28 IX 1939

Na podstawie specjalnej listy proskrypcyjnej aresztowano Aleksandra Falzmana, znanego z patriotyzmu pastora ze Zgierza. Został on osadzony w więzieniu przy ul. Sterlinga 16. Po 9 miesiącach wywieziony do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, a następnie do Dachau, gdzie zmarł podczas transportu do komory gazowej.

29 IX 1939

Wznowił działalność pierwszy urząd pocztowy przy ul. Moniuszki 10, głównie dla okupacyjnej administracji i wojska.

* * *

W kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przy pl. Kościelnym powstał przejściowy obóz dla jeńców polskich. Po kilku dniach pobytu przewożono ich do innych obozów. W tym samym czasie powstał także obóz dla jeńców przy ul. Żwirki 36, w fabryce wyrobów bawełnianych S. Rosenblatta. W obozach przebywało kilka tysięcy jeńców, wśród nich było wielu rannych i chorych. Obozy te istniały do końca października.

IX 1939

W związku z trudną sytuacją finansową miasta Komitet Obywatelski uzyskał zgodę na emisję bonów jako pieniądza zastępczego.

* * *

Powstał Polski Komitet Pomocy dla Najbiedniejszych. Udzielał on wsparcia łodzianom pozostającym bez środków do życia.

IX 1939

Żydom zabroniono świętowania Nowego Roku i Sądnego Dnia, przypadających na 11 i 12 oraz 23 września.

IX/X 1939

Do Łodzi przybył wysłannik Komendy Głównej Służby Zwycięstwu Polski ppłk dypl. Stanisław Sosabowski ps. „Węglarz”. Doprowadził on do włączenia grupy konspiracyjnej utworzonej przez mjr. K. Kowalskiego w szeregi SZP.

* * *

Zamknięto wszystkie biblioteki w Łodzi. Przez cały okres okupacji łodzianie zastępowali brak bibliotek powszechnym, wzajemnym wypożyczaniem książek.

Andrzej Rukowiecki

– historyk,

starszy kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.

Dziecięca wojna

Zabaw bronią skutki tragiczne

Armia Czerwona idąc na zachód oszczędziła Łódź, zajmując wcześniej Aleksandrów i dając hitlerowcom możliwość ucieczki w stronę Wrocławia. Uciekających dziesiątkowało lotnictwo, nic więc dziwnego, że Niemcy porzucili zarówno w Łodzi, jak i w okolicach wiele sprzętu – mnóstwo broni, amunicji, mundurów i oporządzenia. W parku 3-Maja został potężny park samochodowy ukrywany przed nalotami i unieruchomiony na skutek braku paliwa. W okolicach Łodzi pozostały baterie artylerii przeciwlotniczej z zapasami amunicji, które przygotowano do obrony miasta przed nalotami sowieckimi. Dla młodzieży był to istotny „raj”. Można sobie było postrzelać, można też było urządzać hałaśliwe fajerwerki, co w wielu wypadkach kończyło się bardzo tragicznie.

Przypominam sobie, że odpowiadając na liczne apele MO, a także groźby władz, ludzie zdawali broń i materiały wybuchowe. Młodzież ukrywała jednak często swe zdobycze nawet przed rodzicami i trudno było ją wysledzić i pozbawić „zabawek”, stanowiących zagrożenie dla zdrowia i życia.

Pamiętam jak sąsiadka z ulicy Ludwiki sprowadziła do mieszkania ekipę MO by zabrała zgromadzony w izbie arsenał. Jej syn, trzynastolatek, ukrył pod łózkami aż cztery karabiny, jeden rewolwer dwa pistolety, kilka granatów, panzerfaust, a także pokaźną ilość spłonek do granatów, które były szczególnie atrakcyjne, gdyż ładowane dynamitem dawały bardzo duży huk przy detonacji.

W lutym 1945 roku zacząłem uczęszczać do Gimnazjum im. Gabriela Narutowicza przy ul. Targowej (gmach ten i obszerne boisko scedowano później na rzecz Szkoły Filmowej). W czasie wojny stacjonowała tu jednostka Wehrmachtu, która pozostawiła wokół budynku sporo amunicji do granatników, granaty ręczne i inne śmiertelne przedmioty. Po kilku dniach, gdy oglądanie już się nam znudziło, ktoś zapytał, jak się strzela z panzerfaustu. Ja wiedziałem. Chłopcy namówili mnie, bym rozwalił betonowy śmietnik wypełniony popiołem i odpadami zużytego karbidu. Efekt był spektakularny: pocisk dopalił się w popiołach, lecz w górę wzniosł się olbrzymi słup pyłu i dymu. Zaobserwował to ktoś z komendy Straży Pożarnej. Przybyli na miejsce strażacy polali gorący popiół wodą, zapobiegając w ten sposób rozprzestrzenianiu się ognia. Skutkiem mojej dziecięcej niefrasobliwości wszystkich uczestników „akcji” zawieszono w prawach ucznia i zwołano zebranie rodziców. Być może byłbym relegowany ze szkoły, ale nikt nie zdradził, kto był sprawcą detonacji. Dyrekcja szkoły uprosiła władze wojskowe, by sprzątnęły niebezpieczne przedmioty z boiska. W kilka tygodni później, w czasie lekcji matematyki, którą prowadził sędziwy kresowiak prof.

Ławrynowicz, jeden z kolegów czyścił broń – „parabelkę” i – próbując ją zabezpieczyć – oparł lufę o mięsień ręki między kciukiem i palcem wskazującym. Ząb bezpiecznika zsunął mu się spod palca i pistolet wypalił. Chłopak omdlał. Być może nieco głuchawy profesor nie dosłyszał huku. Wówczas jeden z młodszych chłopców dobiegł do piszącego na tablicy zadanie i krzyknął – „panie psorze Wiesiek przestrzelił sobie rękę!”

W odpowiedzi usłyszał – „siadaj, siadaj, mówiłem, chłopcy, nie bawcie się bronią” – i wrócił do pisania równań na tablicy.

Jeden z chłopców porwał kosz naśmieci, zebrał kilka sztuk broni od wystraszonych uczniów, wyniósł to w krzaki do szkolnego ogródka, a potem pobiegł do sekretariatu, by wezwać pogotowie. Ktoś pouczał Wieska, że powinien powiedzieć lekarzowi, iż wybuchła mu w dłoni spłonka od granatu.

Przyjechało pogotowie ratunkowe – bryczka z białą chorągiewką i czerwonym krzyżem na koźle. Lekarz zabezpieczył na miejscu ranę, a chłopaka zabrali na kilka dni do szpitala. Wiesiek był dzielny i nie zdradził nikomu, że postrzelił się z pistoletu

Po wschodniej stronie parku 3-Maja rozciągało się pole w stronę ulicy Niciarnianej, na którym znajdowała się głęboka żwirownia, eksploatowana od kilkudziesięciu lat. Gromada chłopców z Widzewa pracownicy znosila tu wiosną 1945 roku wszelkiego rodzaju środki wybuchowe, w tym także duże miny przeciwczołgowe, pociski armatnie i inne materiały wybuchowe. A było tego mnóstwo w najbliższej okolicy. Podczas, gdy większość obserwowała tę „zbrojownię” z dużej odległości, kilku śmiałków stanęło na wysokim wzniesieniu nad samym urwiskiem. Któremuś udało się zrzucić ciężki głaz na minę. Nastąpiła ciężka detonacja, po której nastąpiła seria mniejszych wybuchów. Niestety, dwóch chłopców stało zbyt blisko krawędzi urwiska nad żwirownią i zostali przysypani ścianą obsuwającego się żwiru, pod którą trwały dalsze detonacje. Wkrótce też wszyscy rozbiegli się, gdyż na miejscu detonacji pojawiły się samochody z czerwonoarmistami. Sądziili, że wybuchy spowodowali ukrywający się „giermańcy”. Dopiero następnego dnia dokopano się martwych ciał dwóch uczestników fajerwerkowej „zabawy”.

W pobliżu wejścia na stadion ŁKS-u stała wieża spadochronowa zbudowana jeszcze przed wojną, a potem użytkowana przez hitlerowskich kandydatów na spadochroniarzy. Na poszczególnych poziomach wieży wycofujący się hitlerowcy zostawili duże ilości broni i środków wybuchowych. Pomimo iż, budowla była zaminowana, znaleźli się „saperzy amatorzy”. Wieżę rozminowali i stała się ona miejscem zaopatrzenia młodzieży w broń. Nikt z władz cywilnych, ani wojskowych nie zajmował się usunięciem tego niebezpiecznego arsenału. Nawiasem mówiąc w takich miejscach zaopatrywali się też w potrzebne środki uzbrojenia ludzie podziemia niepodległościowego, czy też potencjalni kandydaci na bojowników podziemia, a takich było niemało.

Tuż pod Łodzią, w okolicach wsi Łukaszew – Moskule, na wzgórzach morenowych w pobliżu wieży triangulacyjnej stała bateria artylerii przeciw-



lotniczej z całym zapasem amunicji. Tylko zamki z dział zostały wyjęte i ukryte. Któryś z miejscowych chłopców wypatrzył miejsce ukrycia zamka od armaty. Chłopcy po długich manipulacjach dopasowali zamek do armaty, załadowali pocisk i oddali strzał w niebo. A że bardzo im się ta zabawa spodobała – strzelali dalej. Aż w oddali na szosie pojawiły się samochody z czerwonoarmistami, którzy idąc przez pola z dużej odległości otworzyli ogień w stronę baterii. „Artylerzyści rozbiegli się w popłochu po wsi, zaś czerwonoarmiści znów poszukiwali „giermańców”. Czynne działo zabrali, resztę łącznie z dużym zapasem amunicji zostawili ku uciechu miejscowych amatorów fajerwerków. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Chłopcy pozbawieni możliwości strzelania zabawiali się już inaczej. Zbierali całe stosy chrustu, którym okładali ułożone w stos pociski artyleryjskie, podpalali i uciekali, by z dużej odległości obserwować efektowne i głośnie wybuchy. Powtarzali ten proceder wielokrotnie, ale nikt się tym nie interesował. Niestety zdarzyło się, gdy zbierali pociski do przeciwlotniczych ckm-ów i jednemu z nich pocisk wybuchł w dłoni. Chłopcu wybuch urwał dwa palce – uczyniło go to kaleką na całe życie. Gdy mieszkańcy wsi udali się do władz z żądaniem usunięcia z pól amunicji przegnano ich z potępieniem, że nie nadzorują swych dzieci i wszystko zostało bez zmian.

W pobliżu wiaduktu kolejowego, przy obecnej al. Marszałka Edwarda Rydza-Śmiałego istniała bocznicą kolejowa, za którą, między al. Marszałka Józefa Piłsudskiego, a torami kolejowymi, rozciągało się tzw. Polesie. Niemcy zostawili przy tej bocznicy wiele skrzyń z amunicją artyleryjską, pociskami do granatników i innymi środkami wybuchowymi. Leżało to aż do wiosny 1947 roku w niewielkim wąwozie, którym przebiegały tory kolejowe. Dla chłopców była to nie lada gratka. Wydobywali pociski z łusek, wyjmując ze środka naboju jedwabne woreczki z prochem syrkim oraz rurki

dynamitu nadające się na lonty. Można było z tego urządzić świetne fajerwerki. „Znawcy” wiedzieli, że najbezpieczniej było rozładowywać pociski z wykręconymi zapalnikami.

Właśnie w jakiś wiosenny dzień wybraliśmy się po lekcjach po nęcący łup fajerwerkowy. Rozglądaliśmy się za pociskami z wykręconymi zapalnikami. Ale jeden z nas – Tadzio, chwycił pierwszy z brzegu pocisk i nie zważając na to, że miał on wkręcony zapalnik, zaczął nim walić o szynę.

Zdołałem tylko krzyknąć – „nie” i skoczyć za wał okalający torowisko. Rozległa się potężna detonacja. Wszyscy jak szaleni uciekali w pole. Potem jednak ktoś pobiegł do pobliskiego budynku szkoły, by wezwać pogotowie. Widok był potworny. Tadzio dawał jeszcze słabe oznaki życia, lecz miał wyrwane wnętrzności. W drodze do szpitala zmarł. Odłamki z rozpryskującego się pocisku raniły jeszcze innych chłopców, ale były to tylko lekkie obrażenia. Wypadek był wstrząsem dla wszystkich ludzi w mieście.

W kilka dni później odbył się pogrzeb Tadzia. Przybyły tysiące łódzian. Zgromadzeni na uroczystości ludzie przeszli tłumnie pod gmach ówczesnej Miejskiej Rady Narodowej przy ul. Piotrkowskiej 104, by zmanifestować swój sprzeciw wobec istniejącego stanu rzeczy. Domagano się rozmowy z władzami. Do zebranych wyszedł tylko jakiś urzędnik, który mętnie tłumaczył, że saperzy byli dotąd zajęci usuwaniem min, które Niemcy zostawili w bardzo wielu miejscach. Manifestacja okazała się skuteczna, bo w następnych dniach zaczęły krążyć po mieście wojskowe ciężarówki, które wywoziły niebezpieczne przedmioty na poligon na Zdrowiu. Tam składano tę amunicję w dołach i bardzo często detonowano. Huk saperskich detonacji mieszkańcy Łodzi słyszeli ~~między~~ w ciągu wielu jeszcze miesięcy. Czy zdołano całkowicie oczyścić Łódź z tych niewypałów? Można wątpić, skoro do dziś, po kilkudziesięciu latach, słyszymy o niebezpiecznych znaleziskach na terenie naszego miasta i województwa.

Jedno, co się stało po tej spektakularnej i spontanicznej manifestacji, to był koniec owej „dziecięcej wojny” w skali masowej. Śladem po tamtych wydarzeniach są okaleczenia spotykane u ludzi w starszym wieku, urwane palce, blizny po ranach widoczne do dziś.

Jeden z dziennikarzy „Głosu Robotniczego” stracił w taki sposób obie dłonie. Pewnego razu w czasie konferencji prasowej, ówczesny premier Józef Cyrankiewicz widząc protezy obu jego dłoni – zagadnął go – czy to się stało na wojnie? Odpowiedź brzmiała – „nie, na weselu”. Dziennikarz wyjaśnił, iż chciał sprawić wychodzącej za mąż siostrze przyjemność huknąć na wiwat (...)

Okazuje się, iż nie trzeba mieć wrogów, aby odnieść „wojenne” rany – beztroskie zabawy bronią – nawet po tej samej stronie barykady – zawsze przynoszą tragiczne skutki.

Józef H. Wiśniewski

– poeta, dziennikarz, publicysta; rodowity łódzianin.

Zapomniany rozdział historii miasta

Nazwy łódzkich ulic

Nazewnictwo ulic to mało znany rozdział historii Łodzi. Ulicom zmieniano nazwy, otrzymywały one nowych patronów – wiązało się to z różnymi wydarzeniami historycznymi, społecznymi, kulturalnymi. Ich nazwy są swego rodzaju ilustracją poplątanych dziejów miasta.

W marcu 1913 r. ukazał się wydany przez Alfreda Siebera 10-kopiejkowy *Plan Miasta Łodzi*. Dzisiaj jest interesującym dokumentem, bo z jego zawartości możemy dowiedzieć się, że do chwili uzyskania niepodległości w 1918 r. nazwy ulic nie ulegały zmianą. Wyjątek stanowiła tylko ulica Spacerowa, potocznie zwana Promenadą. Za prezydentury Leopolda Skulskiego, w październiku 1917 r., w setną rocznicę śmierci naczelnika insurekcji, przemianowano ją na aleję Tadeusza Kościuszki.

Począwszy od 1919 r. magistrat zaczął porządkować nazwy ulic wywodzące się z czasów zaborów lub pochodzące od nazwisk prywatnych właścicieli. Uchylono więc uchwałę z 1900 r., podjętą dla uczczenia cara Mikołaja II, o zmianie ulicy Dzikiej na Mikołajewską. Nie wrócono jednak do poprzedniej nazwy. Dawną Dziką zastąpiła ulica Henryka Sienkiewicza. Znikła ulica Jekaterynburska, obecna ulica św. Jerzego. Wspominany w *Kwiatach polskich* pasaż Meyera („Była uliczka od Piotrkowskiej...”) nazwano ulicą Stanisława Moniuszki. W miejscu pasażu Szulca powstała aleja 1 Maja (ówczesny magistrat był pepeesowski).

W 1923 r. znaną z Lecznicy pod Koniem ulicę Milscha przemianowano na Mikołaja Kopernika. Według wspomnianego planu z 1913 r. istniała już wtedy w Łodzi inna ulica Kopernika, prostopadła do Zagajnikowej i równoległa do Tkackiej, można sądzić, że jest to obecna ulica Stanisława Małachowskiego.

Aby uczcić powrót Pomorza do Polski w 1920 r. ulicę Średnią przemianowano na Pomorską, a ulicę Długą na Gdańską. Ulicę Średnią zapisał Tuwim w *Kwiatach polskich* („Idę przez Wschodnią, przez Kamienną, Północną, Średnią, Nowomiejską”). O Długiej śpiewano w wystawionym przez STS Pstrąg wodewilu bałuckim *Siódme nie flatruj* (premiera: marzec 1960 r.), oryginalny łódzki tekst: „Jest na Długiej kamienica, wszystkie okna zbrojne w kraty...”. W tym samym roku dawna Zelichnówka zmieniła się w plac generała Hallera.

W 1922 r. na wiadomość o zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza Rada Miasta zareagowała uchwałą o nadaniu jego imienia dotychczasowej ulicy

Dzielnej. W tym samym roku, dla upamiętnienia wymarszu I Kadrowej, ulicę Benedykta (wspominaną w *Kwiatach polskich*) przemianowano na 6 Sierpnia. Starto wtedy z mapy Łodzi postać Benedykta Tykla, zasłużonego współpracownika Rajmunda Rembielińskiego – prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego. Jednak nie wszystkie zmiany przebiegały bezkonfliktowo. W 1922 r. doszło do zatargu między Radą Miasta a wojewodą. Wojewoda postanowił anulować uchwałę Rady o nadaniu ulicy Rozwadowskiej imienia Ludwika Zamenhofs. Konflikt rozstrzygnięto na rzecz Rady Miasta. Jednak zanim wojewoda wycofał się z podjętej decyzji, ulica Zamenhofs występowała pod obydwoma nazwami. Przysporzyło to немало kłopotów w funkcjonowaniu władz miasta.

W 1925 r. na wieść o śmierci Stefana Żeromskiego i Władysława Reymonta, Rada Miasta podjęła uchwały o zmianie ulicy Pańskiej na Żeromskiego i przemianowaniu Górnego Rynku na plac Reymonta.

W 1928 r., w 10-lecie odzyskania niepodległości, radni postanowili, że jedną z ulic nazwą ulicą 11 Listopada. Komitet Obywatelski, organizator obchodów, zaproponował przemianowanie Piotrkowskiej, jednak ta propozycja spotkała się ze stanowczym sprzeciwem większości Łódzian. Miano ulicy 11 Listopada nadano Konstantynowskiej na odcinku od placu Wolności do granic miasta. Jednak po II wojnie światowej nie wrócono ani do pierwszej ani do drugiej nazwy. Do 1994 r. była ulicą Obrońców Stalingradu, funkcjonując na co dzień jako ulica Obrońców. Powrót do nazwy 11 Listopada okazał się niemożliwy; już wcześniej



miano to otrzymała jedna z ulic osiedla Radogoszcz Zachód. Przedwojennej ulicy 11 Listopada nadano więc imię Legionów. Na mocy tej samej uchwały z 1928 r. patronem ulicy Aleksandrowskiej, na odcinku od Bałuckiego Rynku do Żabiańca, został wybitny działacz PPS Bolesław Limanowski. Natomiast patronat nad ulicą Wschodnią rozciągnął Józef Piłsudski. Określana jako najbardziej łódzka z łódzkich, ulica Jana Kilińskiego otrzymała imię swojego patrona w latach dwudziestych, wcześniej była to ulica Widzewska.

W latach trzydziestych, pragnąc uczcić pamięć osób zasłużonych dla Łodzi i kraju, zmieniano nazwy szeregu ulic. Gdy w 1932 r. zmarł w Rabce dr Seweryn Sztierling, imię jego nadano ulicy Nowo-targowej (przedłużenie Targowej). Pierwszy ordynariusz diecezji łódzkiej biskup Wincenty Tymieniecki zmarł w 1934 r. Od 1935 r. jego imię nosi dawna ulica św. Emilii – w okresie PRL była to ulica 8 marca. Po zamordowaniu w 1934 r., przez nacjonalistów ukraińskich, ministra spraw wewnętrznych Bolesława Pierackiego, jego imieniem nazwano ulicę Ewangelicką. Obecnie, po kolejnej zmianie, jest to ulica imienia Franklina D. Roosevelta, który – jak dzisiaj wiemy – nie przysłużył się polskiej racji stanu.

Rok wcześniej, po katastrofie, w której zginęli piloci Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura, Rada Miasta postanowiła przemianować ulicę Karola na Żwirki, a ulicę Pustą na Wigury. Od czasów prezydentury Edmunda Pohlena (1865-1869) Piotrkowska nie mogła mieć przecznic, a odchodzące od niej przeciwległe ulice powinny mieć odrębne nazwy. Przypuszczalnie, z tego właśnie powodu ulice Karola i Pusta nie stały się jedną ulicą Żwirki i Wigury.

W 1936 r. z protestem społeczeństwa spotkała się decyzja władz miasta o przemianowaniu ulicy Zagajnikowej na Stefana Kopcińskiego, a ulicy Przejazd na Ignacego Daszyńskiego. Uważano bowiem, że nie powinno się zmieniać starych tradycyjnych nazw. Proponowano, aby pamięć obu działaczy uczcić poświęcając im inne ulice. Jednak, mimo tak zdecydowanego sprzeciwu mieszkańców, zmian tych dokonano. Ulica Stefana Kopcińskiego istnieje do dziś, natomiast ulicy Daszyńskiego przywrócono pierwotną nazwę. Jednak od 1954 r. patronem Przejazdu został Julian Tuwim.

Jedną z najbardziej znanych łódzkich ulic jest ulica Andrzeja, nazwę której wiąże się z osobą Andrzeja Rosickiego, prezydenta Łodzi w latach 1862-1865, zmarłego w 1904 r. Łódzianie, ceniąc jego patriotyzm i działalność na rzecz miasta, chcieli poświęcić mu ulicę w centrum. Jednak ówczesne władze nie wyraziły na to zgody. Powstała wtedy ulica św. Andrzeja. Jednak ulica Andrzeja widnieje już na planie miasta z 1900 r. a więc wydanym jeszcze za życia prezydenta Rosickiego. Podobno – jak przypuszcza Konicki – nazwę tę nadał jej sam Rosicki, na początku swojej prezydentury, jeszcze przed 1863 rokiem.

Od Piotrkowskiej, równoległe do Rozwadowskiej, odchodziła ulica św. Anny, której nazwę wiązano z osobą żony prezydenta Rosickiego – Anny. W roku 1932 zmarł biskup Władysław Bandurski, działający na kresach wschodnich i to on został

kolejnym patronem tej ulicy. Według *Informatora na miasto wojewódzkie Łódź* z 1935 r., ulica ta ciągnęła się od Piotrkowskiej do kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. Dziś jest to Aleja Mickiewicza, a Aleja Bandurskiego łączy ulicę Krzemieniecką z ulicą Wróblewskiego.

Jak wynika ze wspomnianego *Informatora*, ulica Zarzevska począwszy od placu Reymonta do granic miasta otrzymała imię Aleksandra Napiórkowskiego, redaktora „Łodzianina”, znanego działacza PPS. Obecnie nie istnieje już w Łodzi ulica jego imienia. W 1946 r. przemianowano ją na ulicę Stefana Przybyszewskiego, działacza komunistycznego. W 1990 r. kolejnym jej patronem został raczej przypadkowo Stanisław Przybyszewski, całkowicie już dzisiaj zapomniany pisarz, przedstawiciel modernizmu i dekadentyzmu. Łodzianie prawdopodobnie nie zauważyli tej zmiany: dla nich to była i jest tylko ulica Przybyszewskiego.

Do wybuchu wojny w 1939 r. oprócz wyżej wspomnianych znikły lub zmieniły się m.in. ulice: (w nawiasach nazwy obecne) Nowy Rynek (pl. Wolności), Nowocegielniana (Śródmiejska) Luizy (28 Pułku im. Strzelców Kaniowskich), Leszno (gen. Żeligowskiego), Zakątna (kpt. Pogonowskiego) Olgińska (ks. Piramowicza), Skwero-wa (POW), Juliusza (Dowborczyków), Krótka (Traugutta), Gubernatorska (Abramowskiego), Żelazna (ks. Długosza), Placowa (ks. Skorupki), Hauslera (Pojezierska), Kunicera (Niciarniana), Nowo-Radwańska (Rembielińskiego), Targowy Rynek (plac Henryka Dąbrowskiego), Staro – Wólczańska (inż. Skrzywana), Nowo-Drewnowska (Piwna), plac Fabryczny (plac Katedralny).

Z ulic zaczynających bieg przy Piotrkowskiej swoje pierwotne nazwy zachowały tylko: Zielona (od 1934 r. do 1946 r. ulica Legionów), Nawrot, Brzeźna, Radwańska i Czerwona. Obecna ulica Próchnika to dawna Zawadzka (do 1946 r.), a Południowa w 1955 r. została ulicą Rewolucji 1905 r. W 1949 r. Cegielnianą przemianowano na ulicę Stefana Jaracza, a Śródmiejską na Stanisława Włęckowskiego. Nieistniejąca już ulica Główna ciągnęła się od Piotrkowskiej do Wodnego Rynku, od którego zaczynała się Rokicińska. Gdy w 1953 r. władze PRL poleciły, aby głównym ulicom miast nadać imię Stalina, w Łodzi zamiast Piotrkowskiej przemianowano tak Główną. W tym czasie sekretarzem KŁ była Michalina Tatarkówna-Majkowska. Po okresie kultu jednostki Główna wróciła na krótko do pierwotnej nazwy. Potem była przedłużeniem ul. Mickiewicza. Od 1991 r. jest to aleja Józefa Piłsudskiego.

Przekreślony został też związek między ulicą Andrzeja a osobą prezydenta Rosickiego. Nadano jej imię Andrzeja Struga, pisarza, laureata nagrody literackiej Łodzi w 1933 r. Dla dawnych łodzian pozostała jednak ulica Andrzeja, młodzi mówią Struga.

Po wojnie zniknęły dwa rynki: Wodny Rynek w 1972 r. nazwano placem Zwycięstwa a Zielonemu Rynekowi (do dziś jedno z największych targowisk Łodzi) nadano imię Norberta Barlickiego.

Nie są to oczywiście dokładne dzieje nazw wszystkich ulic Łodzi w granicach z 1913 r. Jest to tylko sygnał zapomnianego rozdziału historii miasta.

Wymaga on obszernego specjalistycznego opracowania, bez którego w historii Łodzi pojawią się liczne luki i błędy. I tak np. na reprimendzie 10-kopiejkowego Planu Miasta Łodzi wydany w 2000 r. podano, że druk i litografię wykonano w zakładzie Grapowa i Mazurkiewicza w Łodzi przy ulicy Długiej 87 (obecnie Sienkiewicza), jednak chodziło o ulicę Dziką zwaną wówczas Mikołajewską. W *Starych fabrykach Łodzi* można znaleźć informację, że w 1878 r. powstała przędzalnia bawełny i wełny Teodora Tietzena przy ulicy Tietzena. Nazwy tej ulicy nie ma zarówno na planie z 1900 r., jak i z 1913 r.; być może była to tylko droga wewnątrzzakładowa.

Bardzo odczuwa się brak pełnego leksykonu patronów łódzkich ulic. Tej luki nie wypełnia wydany w latach 1984-1986 *Słownik patronów łódzkich* A. Pilarskiej. Biuletyn ZW PTTK „Wędrownik”, w którym się *Słownik* ukazał nie jest pozycją dostatecznie znaną ani powszechnie dostępną. Łodzianie niewiele wiedzą o patronach swoich ulic. Kto potrafiłby powiedzieć kim byli np. Piotr Bardowski (sędzia pokoju w Królestwie Polskim w latach 1862-1868), Sebastian Felsztyński (znany teoretyk muzyki i kompozytor z przełomu XV i XVI wieku), Wacław Denhoff-Czarnecki (poeta, działacz niepodległościowy, żyjący w latach 1894-1927)?

Ewa Żuchowska

– zoolog; były długoletni pracownik Ogrodu Zoologicznego w Łodzi.
Obecnie na emeryturze.

Piśmiennictwo:

1. Jaskuński Mirosław, 1995: *Stare fabryki Łodzi* Tow. Opleki nad Zabytkami, Oddział w Łodzi.
2. Konicki Zdzisław, 1995: *Ulice w szachownicy. Ulice Łodzi*. Wyd. W. Grochowalski, Łódź.
3. Pawlak Wacław, 1984: *W rytmie fabrycznych syren. Łódź między wojnami*. Wydawnictwo Łódzkie.
4. Piekarski Stefan, 1935: *Informator na miasto wojewódzkie Łódź*. PAT.
5. Podolska Joanna, 2003: *Prezydenci Łodzi*. Dodatek do „Gazety Wyborczej”.
6. Pilarska Anna, 1984-1986: *Słownik patronów łódzkich ulic*. „Wędrownik”, biuletyn ZW PTTK w Łodzi.
7. Wojalski Mirosław Zbigniew, 2002: *Kieszonkowa kronika dziejów Łodzi*. Wydawnictwo Oficyna Wydawnicza.

Ulica bez wylotu

Zwichnięte plany „zielonej Dąbrowy”

historia

Ulica ta ma ponad dwieście lat. Początkowo była polną drogą, łączącą miasteczko Łódź z wsią Dąbrową, założoną w 1789 roku przez właściciela dóbr chojeńskich – Benedykta Górskiego. Wyciął on las w sąsiadującej z Łodzią części swego majątku i na karczo-wisku założył osadę rolną Dąbrowę. Wspomniana droga biegła wzdłuż granicznego potoku – Dąbrówki. Dzisiaj jest to ulica Jarosława Dąbrowskiego.

Dąbrowę zasiedlili koloniści z Niemiec, zwani olendrami. W 1822 roku mieszkało w niej 322 osadników. Prezydent Łodzi, Franciszek Traeger, przypisywał im sporo osobistych zasług w rozwoju rolnictwa na podłódzkim obszarze. Jego zdaniem, byli oni pracowici, gospodarni, oszczędni, dzięki czemu dochodzili do pewnej zamożności. Pokażny dochód rolnikom niemieckim przynosiła sprzedaż na łódzkim rynku nadwyżek produktów rolnych i hodowlanych.

Znaczne pokłady gliny na terenie Dąbrowy, jak również duże zapotrzebowanie na cegłę dla rozbudowującej się Łodzi sprawiły, że w drugiej połowie XIX wieku założono tu cztery cegielnie, m.in. Meissnera i Abła. Mieściły się one po południowej stronie drogi do Dąbrowy, przed torami zbudowanej w 1903 roku kolei obwodowej. Czysto rolnicze tereny wsi znalazły się za obwodnicą, zachowując aż do początków lat 70-tych XX wieku nazwę „zielonej Dąbrowy.”

Pierwsi przemysłowcy

Czerwony, opustoszały budynek fabryczny, usadowiony w narożniku ulic Rzgowskiej i Dąbrowskiego, świadczył o przemianach zachodzących pod koniec XIX wieku przy drodze wiodącej do Dąbrowy. W 1880 roku powstała w tym miejscu przędzalnia i tkalnia wyrobów bawełnianych Henryka Hüffera. Do fabryki należał ogród przylegający do wspomnianej drogi. Przedsiębiorstwo nabył w 1887 roku Rosjanin Włodzimierz Stolarow.

Po południowej stronie dzisiejszej ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w pewnym od niej oddaleniu, na terenie obecnie zajętym przez park miejski, w 1899 roku stanęły zabudowania fabryki kleju i produktów chemicznych Leskiego i Sztarkmana, zwanej przez okolicznych mieszkańców „zajzajerką”. Nieprzyjemne zapachy z tej fabryki rozchodziły się na wszystkie strony. W pobliżu płynął bezimienny strumyk, uchodzący na terenie ogrodu Stolarowa do rzeczki Dąbrówki. W czasie ulewnych deszczów strumyk przemieniał się w rwący potok. Wezbrane wody, nie mieszczące się w przepuście drogowym, rozlewały się na całą szerokość ulicy. Zarabiali na tym dorożkarze, przewożący chętnych przez rozlewisko za drobną opłatę.

W 1900 roku przy drodze do Dąbrowy, na wprost kończącej tu swój bieg ulicy Widzewskiej (Kilińskiego), Emil Haebler zbudował przędzalnię bawełny zatrudniającą około 200 osób. W sąsiedztwie fabryki stanął wyniosły budynek mieszkalny (dotąd istniejący), przeznaczony dla pracowników wspomnianego przedsiębiorstwa.

Zabudowa przemysłowa późniejszej ulicy Dąbrowskiego skupiła się na jej początkowym odcinku. Dalsza część drogi, z uwagi na brak utwardzonej nawierzchni oraz innych, niezbędnych urządzeń technicznych, nie była brana pod uwagę przy lokowaniu przemysłu. W 1906 roku uprzemysłowiony odcinek ulicy włączono do Łodzi.

Tramwajem do zajezdni

W latach międzywojennych znaczenie leżącej na peryferiach Łodzi ulicy Dąbrowskiego znacznie wzrosło. Minęły czasy, kiedy z drzemki budził ją tylko na krótko turkot przejeżdżających wozów z cegłą bądź węglem. W 1928 roku na obszernym terenie położonym u zbiegu ulic Dąbrowskiego i Kilińskiego stanęły zabudowania drugiej w Łodzi zajezdni tramwajowej. Odtąd od świtu do późnego wieczoru, rozlegało się tu dudnienie i zgrzyty kół tramwajów manewrujących na rozjazdach szyn. Hałasy dobiegające z zajezdni były utrapieniem okolicznych mieszkańców.

Odtąd też sąsiadujące z zajezdnią bezużyteczne wyrobiska po wydobytej glinie nabrały pewnej wartości. Właściciele cegielni rozparcelowali je na działki budowlane. Ich nabywcami byli głównie tramwajarze, a także lepiej zarabiający robotnicy z łódzkich fabryk. Oszczędności swe lokowali w budowę niewielkich domków, otoczonych starannie pielęgowanymi ogródkami.

Na wolnych terenach, pomiędzy z rzadka stojącymi domkami, pojawiły się czynszowe kamieniczki ze sklepami na parterze, oferującymi klientom „mydło i powidło”. Jednakże w tutejszym krajobrazie nadal przeważały poletka żyta i ziemniaków oraz wypalone słońcem łąki, na których krowy i kozy wyskubywały lichą trawę; czasem przemknął w podskokach zabląkany zając.

Dźwigi na grzęzawisku

Po ostatniej wojnie niemieccy mieszkańcy Dąbrowy wyemigrowali. Poza tym nie działało tu nic szczególnego. Dopiero rok 1960 zapoczątkował zasadnicze przemiany. Wiosną, po rozebraniu murów nieczynnej od lat fabryki Leskiego i Sztarkmana oraz po przykryciu cuchnącego kanału, na obszarze zamkniętym ulicami: Dąbrowskiego, Rzgowską i Podmiejską, przystąpiono do urządzania parku miejskiego. Na gruzach fabryki chemicznej usypano górkę saneczkową, zaś we wschodniej części parku zbudowano boisko sportowe. W pracach tych brali udział okoliczni mieszkańcy. Park otrzymał imię generała Jarosława Dąbrowskiego.

W tym czasie na rozległych terenach przylegających do ulicy Dąbrowskiego w jej środkowym biegu, pojawiły się spychacze i koparki niwelujące

teren i drążące wykopy pod budowę domów. Widoczne z dala wysokie dźwigi przyciągały okolicznych mieszkańców, obserwujących jak rosną domy nowych osiedli. Niektórzy byli zadowoleni, ale inni na tę inwestycję narzekali, bo nie odwodniony i pozbawiony dróg dojazdowych teren budowy w deszczowe dni zamieniał się w grzęzawisko. Wielkie platformy samochodowe, dowożące na budowę żelbetonowe elementy, grzęzły w lepkiej mazi po same osie. Ludzie gubili obuwie w grząskim błocie. Ba, w grzęzawisku przy ulicy Niższej zapadła się po sam brzuch krowa. Bydłociu musieli przyjść z pomocą strażacy.

Dąbrowa rosła. Do jej zabudowy nie pasowała już wąska, na pół wiejska ulica Dąbrowskiego. Wkrótce też jej śladem poprowadzono linię tramwajową, a na poboczach zbudowano asfaltowe jezdnie. Po przebudowie ulica nabrała wielkomiejskiego charakteru.

Za przejazdem kolejowym

Najstarsza część Dąbrowy, za koleją, nadal przypominała wieś. Dopiero po 1970 roku przystąpiono tu do budowania fatalnie zaprojektowanej dzielnicy przemysłowej. Wyburzono wiejskie zagrody, a na opróżnionej przestrzeni zbudowano wielopasmową jezdnię bitumiczną z wydzielonym miejscem na tor tramwajowy. Na poboczu nowej arterii komunikacyjnej stanęły hale fabryczne wielkich firm: „Polanilu”, „Bistony”, „Dywilanu” i innych. Jedyną pamiątką z czasów rolniczej Dąbrowy pozostała tylko przydrożna kapliczka.

Trzy potężne wiadukty nad torami kolejowymi – w tym środkowy przeznaczony dla tramwajów – połączyły dzielnicę mieszkaniową z dzielnicą przemysłową Dąbrowy. Wiadukty stały się głównie miejscem spacerów okolicznych mieszkańców, bowiem z ich wysokości rozciąga się rozległy widok na miasto: z jednej strony aż po wyniosły gmach szpitala przy ulicy Pomorskiej, z drugiej zaś – po wieżę kościoła św. Wojciecha na Chojnach.

Kryzys gospodarczy lat 80-tych XX wieku przerwał karierę urbanizowanej w tak paradoksalny sposób Dąbrowy. Wstrzymano budowę wielu obiektów przemysłowych; w krajobrazie do dziś tkwią żelbetonowe szkielety niedokończonych budynków. Potężne wiadukty, które z wolna porasta zieleni nie są w pełni wykorzystane. Zaniechano również prac przy przedłużeniu ulicy Dąbrowskiego. Białe-czerwone bariery zamknęły jej planowany wylot w kierunku pobliskiego Olechowa. Wydaje się, że ta niedokończona ulica doprowadziła do końca swoją historię, wchodząc w XXI wiek jako przykład nieprzemyślnych planów urbanistycznych i zaprzepaszczonej nadziei na zachowanie „zielonej Dąbrowy.”

Wacław Pawlak

– ekonomista; wnikliwy badacz dziejów Łodzi i okolic.

Autor pięciu książek o tematyce łódzkiej.

Pocztówki z fabrycznego miasta

Łódź w sepii i w kolorze

Zwaliste szeregi ogromnych albumów nie mieszczą się w małym pokoju, więc Zygmunt Perczyński upycha je nawet na etażerze za zasłoną okienną. Tysiące pocztówek z widokami Łodzi międzywojennej i z długiego okresu PRL to efekt poszukiwań całego życia.

Znaleźć, wymienić, skolekcjonować!

Perczyński nie ma smykałki handlarza, który skupuje eksponaty od naiwnych za grosze i sprzedaje koneserom z wielokrotnym zarobkiem. Dlatego jego kolekcja powstaje powoli. Zbieracz przegląda katalogi, bywa na aukcjach i giełdach, ale nigdy nie zapłaci stu złotych za brakujący stuletni egzemplarz do zbiorów. Raczej szuka okazji u przypadkowych sprzedawców, wyzbywających się pamiątek rodzinnych na Rynku Bałuckim albo na Górniaku.

Hobbyści – szczęściarze liczą na ogół pocztówki podarowane przez krewnych i sąsiadów znających ich kolekcjonerską pasję. Kto zaś ze zbieraczy nie może sobie pozwolić na zakup wyjątkowo rzadkich okazów, wymienia się na giełdach choćby takich jak w każdą niedzielę w Łódzkim Domu Kultury. Tylko jednak naiwni sądzą, że jest to wymiana kartka za kartkę. Za „rarytas” trzeba odliczyć pocztówki, których cena rynkowa odpowiada jej wartości. Nie mogą też być to pozycje przypadkowe, lecz z konkretnej tematyki. Przewidujący kolekcjoner nigdy też nie przepuści okazji, żeby zdobyć po drodze coś z kręgu zainteresowań jego kolegów. To są właśnie karty przetargowe przygotowywane przed każdą wymianą.

Łódzki kolekcjoner nie rozstaje się z listą, na której zaznaczył brakujące egzemplarze widokówek Łodzi powojennej z kolejnych wydań i serii, które laikowi nic nie mówią. Marzeniem Zygmunta Perczyńskiego jest pełne skatalogowanie emisji, które ukazały się po 1945 roku. Na rynku wydawniczym próżno szukać takiej pozycji.

Piotrkowska na jedwabiu

Współcześnie głównie wydaje się głównie reprinty dawnych kartek bez komentarza albo z lapidarnym opisem. Wśród nich wyróżnia się albumowe wydanie *Łodzi na starych pocztówkach* z 2000 roku. Ryszard Bonisławski, znakomity znawca Łodzi opatrzył widokówki podpisami i anegdotami związanymi z przedstawionymi obiektami miasta.

Pocztówki z przełomu XIX i XX wieku oraz późniejsze, wydane do 1939 r. były miniaturowymi dziełami sztuki. Bodaj najpiękniejsze wypuszczała na łódzki rynek firma „Atlas”. Płaciła fotografom takim jak Włodzimierz Puchalski i Jan Bułhak bajorńskie honoraria. Tylko o włos nie stało się to przyczyną jej bankructwa pod koniec lat trzydziestych. Zasłynęła również z tego powodu, że stosowała materiały najwyższej jakości.

Z kolei działająca w Łodzi przed wojną niemiecka oficyna „Empire” wydawała tylko czarno-białe pocztówki z polsko-niemieckimi napisami. Firma „Paul Wolimann” wypuściła kartkę z wizerunkiem ulicy Piotrkowskiej, wydrukowaną na sztucznym jedwabiu. Kilkadziesiąt serii tematycznych zapisała na swoim koncie oficyna Abrama Izaaka Ostrowskiego, łatwych do zidentyfikowania dzięki inicjałom A.I.O. umieszczonym w kółku lub trójkątku. Ostrowski działał jeszcze krótko na początku hitlerowskiej okupacji.

Unieśmiertelnione ruiny

– Moje zbiory kartek po 1914 roku otwiera seria wstrząsających obrazów zniszczeń wojennych m.in. w budynku dyrekcji szpitala w Kochanówce i w willi na Rogach – opowiada Zygmunt Perczyński. – 18 listopada 1914 roku rozpoczęła się bitwa Rosjan z Niemcami pod Łodzią, a pociski artyleryjskie spustoszyły północne obrzeża miasta. Według różnych źródeł zginęło wtedy ćwierć tysiąca cywilów, a tysiąc było rannych. 6 grudnia rozpoczęła się niemiecka okupacja, która trwała do końca wojny. Po bitwie zaczął się głód w mieście, a Wydawnictwo Sekcji Zbierania Ofiar drukując serię kartek pt. „Łódź podczas wojny 1914/1915” przeznaczyło zysk na pomoc poszkodowanym.



Cenny cykl w zbiorach stanowi „biała seria”, zawdzięczająca nazwę dużemu marginesowi. Ukazuje najbardziej charakterystyczne budowle okresu po I wojnie światowej. Miasto było nieporównywalnie mniejsze od obecnego, więc metody ukazujące reprezentacyjne miejsca powtarzały się często, choć w różnych ujęciach. Gdy się kartkuje przedwojenne widokówki i te w sepii i te czarno-białe, na większości widać ulicę Piotrkowską.

Elegancka ulica miała wówczas charakter mieszkalno-rezydencyjno-przemysłowy. Przeważnie szykownym kamienicom czynszowym, towarzyszyły liczne pałace fabrykanckie. W podwórkach przy ul. Piotrkowskiej skupione były liczne, choć niewielkie fabryki. Na ulicy nie brakowało kontrastów. Między reprezentacyjne budowle wciśnięte były parterowe domki kryte papą, w których prosperowały marne sklepiki.

Grand Hotel – ciężar legendy

Z budynków przy ul. Piotrkowskiej bodaj najwięcej pocztówkowych wizerunków doczekał „Grand Hotel”, oddany do użytku w 1888 r. Jego legenda dopiero się rodziła. Dziś w starych księgach meldunkowych można odnaleźć Jana Kiepurę, Ludwika Solskiego, Mieczysława Ćwiklińską, Stefana Jaracza, Juliusza Osterwę, Hankę Ordonównę czy Tadeusza Boya-Żeleńskiego.



ŁÓDŹ Grand Hotel.
Grand Hotel.

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości mieszkał w nim minister spraw wewnętrznych Adam Kamieński, premier Antoni Ponikowski w towarzystwie pięciu ministrów, a później nawet premier Władysław Sikorski i prezydent RP Stanisław Wojciechowski. Przed oknami hotelu odbywały się manifestacje 3-majowe i defilady, jak ta z 29 marca 1925 r. przed generałem Józefem Hallerem. Przemarsz oddziałów wojskowych odbył się z okazji zjazdu Związku Hallerczyków.

W 1929 r. hotel zajął trzecie miejsce w kraju w rankingu jakości usług, prowadzonym przez Organizację Polskiego Przemysłu Hotelowego w Warszawie. W połowie lat trzydziestych „Grand” dysponował prawie jedną czwartą miejsc hotelowych w całym mieście. W okresie między-

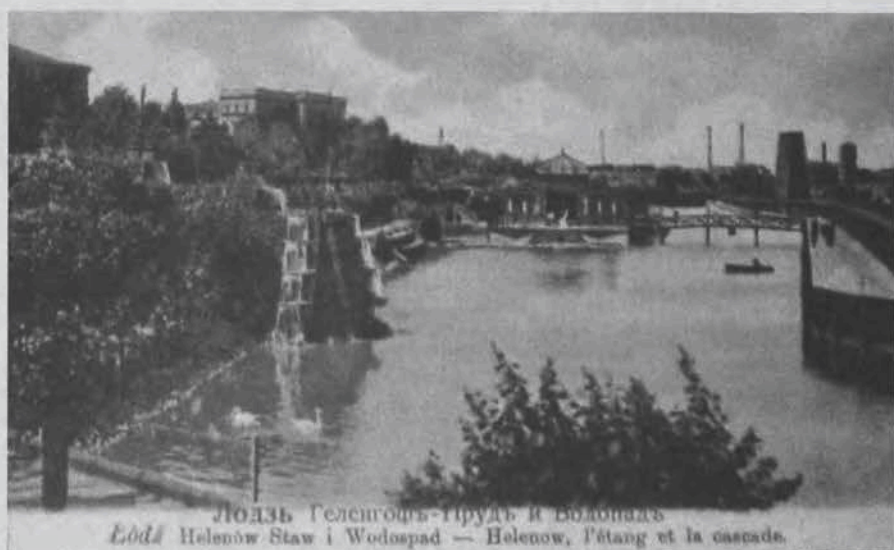
wojennym nie był wcale dochodowym przedsiębiorstwem, jak się powszechnie sądzi, a zadłużenie ciągnęło się od I wojny światowej. Hotel zaczął przynosić zyski dopiero na kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej.

Wielowyznaniowa i niepowtarzalna

Inną reprezentacyjną budowlą uwiecznianą na pocztówkach była synagoga u skrzyżowania ul. Zielonej z al. Kościuszki. Hitlerowcy spalili ją niedługo po zajęciu miasta, a osmałoną ruinę kazali rozebrać. Inna synagoga zaprojektowana w stylu mauretańskim i często uwieczniana na kartach pocztowych znajdowała się w pobliżu Starego Rynku. Niemcy wysadzili ją w powietrze. Teraz w tym miejscu znajduje się pomnik Mojżesza. Natomiast nie ma już żadnego śladu po „Palestynie”, jeśli nie liczyć kolorowej kartki w albumie Zygmunta Perczyńskiego. Mianem „Palestyny” Łódzianie ochrzcili monumentalny i elegancki, rzucający się w oczy dom bogatych Żydów przy ul. Głównej (stał po lewej stronie, tuż przed ul. Targową patrząc w kierunku Widzewa). Budynek bezpardonowo zburzono w latach 70-tych podczas poszerzania jezdni obecnej al. Piłsudskiego. Przed wojną co trzeci Łódzianin był wyznania Mojżeszowego (250 tys. z 700-tysięcznej społeczności).



Ze świątyń okresu międzywojennego wydawcy często pokazywali piękno architektury dzisiejszej katedry przy ul. Piotrkowskiej oraz cerkwi pod wezwaniem Aleksandra Newskiego przy skrzyżowaniu ulic Narutowicza i Kilińskiego. Z pocztówek znajdujących się w kolekcji pana Zygmunta ze zdziwieniem można odkryć, że przed wojną okazałe perony stacji Łódź Fabryczna dochodziły aż do samej ul. Kilińskiego!



Łódź. Helenów Staw i Wodospad — Helenów, Pétang et la cascade.

Pozostały tylko obrazy

Na pocztówkach unieśmiertelniono też pałac Heinzlów na Julianowie w dzisiejszym parku im. Mickiewicza. W pierwszych dniach kampanii wrześniowej 1939 r. stacjonował tutaj sztab Armii Łódź. W wieżycze rezydencji zamontowano najcięższy karabin przeciwlotniczy. Niestety, podczas bombardowania Julianowa – 5 września 1939 r. cekaemiści niewiele mogli zdziałać, żeby utrudnić celny zrzut bomb. Nie strzelały bowiem działa przeciwlotnicze, które już zakryto plandekami przed ewakuacją z miasta.

Z przedwojennych parków najpiękniejszy był bez wątpienia Helenowski z amfiteatrem, fontannami, sztucznymi grotami, wiatrakami i kanałami; po których można było pływać łódkami. Jak wynika ze starych widokówek, od miasta oddzielał go solidny mur. Jeden z opisów parku Helenów znalazł się nawet w *Ziemi Obiecanej* Władysława Reymonta.

Widokówki łódzkie z 1945 r. zostały wydrukowane z przedwojennych klisz. Na wielu z nich przewijają się jeszcze wizerunki kościołów i inne religijne akcenty. Nie trwało to długo. Wkrótce świątynie na długie lata ustąpiły miejsca symbolom socjalizmu: pomnikowi myśliwca Mig-17 przy Hali Sportowej, blokowisku im. Władysława Bytomskiej, pudełkowatym bryłom domów handlowych w rodzaju „Centralu” czy „Magdy”. I tylko prawdziwego kolekcjonera mogą zafascynować kolorowe widokówki z często rozmażanym obrazem, drukowane na kiepskim kartonie. O wiele bardziej wartościowe pod względem utrwalonej rzeczywistości wydają się peerelowskie kartki czarno-białe, mające wartość dokumentalnej fotografii. Ale to już temat na inną opowieść.

Włodzimierz Kupisz
– dziennikarz; obecnie pracuje w „Dzienniku Łódzkim”.

Żywa lekcja historii

Skansen Pilicy

Łódzianin, który zastanawia się, jak zorganizować sobie najbliższy weekend – powinien pomyśleć o całodiennej wycieczce do Skansenu Rzeki Pilicy w Tomaszowie Mazowieckim. Ten wyjątkowo interesujący kompleks – żywa lekcja historii dla dorosłych i dla dzieci, w której każdy może znaleźć coś ciekawego dla siebie – jest integralną częścią leżącego po sąsiedzku, urokliwego rozlewiska pełnego dzikich kaczek i łabędzi. To rezerwat przyrody zwany Niebieskimi Ródlami, które nigdy nie zamarzają.

W tomaszowskim skansenie sezon turystyczny trwa okrągły rok. Już teraz, na kolejnym etapie rozbudowy tej placówki, widać wyraźnie, jak bardzo różni się ona od pozostałych ośrodków etnograficznych, prezentujących regionalną architekturę wiejską. Warto też zaznaczyć, że skansen w Tomaszowie to nie jedynie muzeum młynarstwa. Wprawdzie młyn wodny stanowi jeden z głównych elementów ekspozycji, ale są tu także inne atrakcje.

Animatorem całego przedsięwzięcia jest miejscowy społecznik, regionalista i kustosz – Andrzej Kobalczyk. Jego hobby to także – a może przede wszystkim – odzyskiwanie zatopionych w pobliskiej rzece wraków niemieckich pojazdów wojskowych z okresu II wojny światowej. W tutejszej okolicy toczyły się bowiem wyjątkowo krwawe walki.

Ródlą historyczne podają, że jeszcze przed rozpoczęciem tu ofensywy przez Armię Czerwoną sprawozdawca wojenny niemieckiej armii pisał: „nie ma na świecie takiej siły, która by była zdolna przebić się przez ten pas. Już na kilkadziesiąt kilometrów przed brzegiem Pilicy ciągną się gęste i długie linie bunkrów, dołów przeciwczołgowych, zasieków z drutu kolczastego i cały szereg innych gigantycznych przeszkód – najnowszych zdobyczy techniki wojennej (...)”.

Ofensywa wojsk I Frontu Białoruskiego rozpoczęła się 14 stycznia, jak napisali w swojej pracy *Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej – styczeń 1945* (Wydawnictwo Łódzkie 1980) Kazimierz Badziak i Włodzimierz Kozłowski. Pięć armii polowych przystąpiło do natarcia z przyczółków: magnuszewskiego i puławskiego. Bezpośredni atak na hitlerowskie pozycje w rejonie Brzustówki (w pobliżu obecnej siedziby skansenu), poprzedziło ostre, prawie półgodzinne przygotowanie artyleryjskie. Forsowanie Pilicy, po otwarciu silnego ognia na wprost, rozpoczęła 20 brygada pancerna.

O przebiegu tych wydarzeń w relacji bezpośredniego uczestnika walk pisał tygodnik „Za Wolność i Lud” (nr 8, 1978): „Niemieckie jednostki pancerne, wypłoszone skutecznym ogniem artylerii i zwiadem czołgów, wyszły na drogę między

Smardzewicami a Ludwikowem. W tym właśnie miejscu doszło do największego boju. Na szosie, w rowach oraz na skraju lasu rozbite zostały wszystkie czołgi i działa ostatniego niemieckiego gniazda oporu u wrót Tomaszowa”.

Tomaszowski skansen to wspólne przedsięwzięcie Zarządu Miasta oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Pilicy i Nadpilicza. Wydobyte wozy bojowe, które pod wodą przeleżały ponad pół wieku, po starannej renowacji pokazywane są na specjalnej wystawie pilickich militariów. Najciekawszym okazem ekspozycji jest wydobyty w październiku 1999 roku wrak niemieckiego ciągnika artyleryjskiego – jak się okazuje, jedyny taki pojazd na świecie. Przywrócenie swej dawnej świetności zawdzięcza zapałowi fachowców byłych Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych w Głownie.



Uzupełnieniem stale wzbogacanej ekspozycji militariów są wystawy plastyczne, związane z architekturą letniskowej zabudowy dawnych, okolicznych kurortów oraz makiety młynów wodnych, wykonane z wyjątkową precyzją przez dwóch emerytowanych fachowców: tomaszowianina Jerzego Sosnowskiego (niedawno ukończył 80 lat) i zgierzanina Jana Ekiela, który skonstruował w skali 1:10 ruchomą replikę tzw. koźlaka, a także młyna wodnego z Niebieskich Ródół, młyna frontowego używanego przez armię polską w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Miniaturki te funkcjonują z dokładnością szwajcarskiego zegarka i dzięki temu na własne oczy można prześledzić proces przemiału mąki.

Skansen Rzeki Pilicy to także muzeum interaktywne, w którym bez obawy można wziąć do ręki poszczególne eksponaty. Wiosną ubiegłego roku uczestnikom jednego z niedzielnych spotkań przypomniano dawne sposoby prania i maglowania bielizny, innym razem – technikę obróbki zboża. Niebawem, po wybudowaniu tradycyjnego wiejskiego pieca, zorganizowane będą pokazy pieczenia razowego chleba. Już dziś można kupować pamiątkowe woreczki z żytnią mąką na barszcz kwaszony.

Na rozległym dziedzińcu rzuca się w oczy replika parowca PILICA II, wewnątrz którego jeszcze do niedawna urządzona była sezonowa kawiarenka. Duże wrażenie robi również stojąca za nim wydobyta z dna rzeki dawna, płaskodenna barka.

W XIX wieku taki parostatek kursował z Tomaszowa Mazowieckiego do Inowłódza i Nowego Miasta. W jeden z pogodnych weekendów uczniowie miejscowej szkoły odzieżowej, w wykonanych własnoręcznie strojach z epoki, odtworzyli turystom scenki historycznego przejazdu z dworca PKP do portu oraz moment zakrętownia na statek. Ciekawy był również spektakl na parostatku, podczas którego cytowano starą prasę, mówiącą o historii pilickiej żeglugi pasażerskiej i legendach okolicznych kurortów.

Przykładem innego widowiska, zorganizowanego dla odwiedzających skansen, było „Pojmanie pilickich szmuglerów” – happening historyczny, obrazujący wydarzenia, jakie miały miejsce podczas I wojny światowej. Pilica była wówczas naturalną granicą zaborów rosyjskiego i pruskiego, a wszechobecna bieda powodowała, że Polacy trudnili się przemytem żywności. Spektakl przedstawiał pojmanie przemytników oraz rozprawę sądową. Wszystko odbywało się w strojach z epoki na tle historycznej scenerii z portretem „miłościwie panującego Polakom Najjaśniejszego Pana” – cara Mikołaja II.

Niewątpliwą atrakcją dla zwiedzających są także weekendowe pokazy średniowiecznych walk rycerskich. Ostatnio taki pojedynek zorganizowali członkowie Bractwa Rycerskiego z Oleśnicy pod wezwaniem Don Kichota z La Mancy.

Wśród wielu imprez okolicznościowych i spotkań poetyckich przy ognisku nie brakuje również akcentów ludowych – występów regionalnych kapel oraz amatorskich zespołów pieśni i tańca.

W ofercie niedzielnego wypoczynku w tomaszowskim skansenie również najmłodsi znajdą coś dla siebie. Czekają nich programy artystyczne, konkursy sprawnościowe, spektakle zawodowych teatrów lalek i widowiska przygotowane przez zespoły dziecięce.





Żywe zainteresowanie zwiedzających wzbudza tu największa w Polsce kolekcja kamieni młyńskich z dorzecza Pilicy. Tak bogatym zbiorem nie może się poszczycić żadne inne muzeum młynarstwa w kraju. Są wśród nich kamienie wykute z jednej bryły, tzw. ślązaki oraz sklepane z kwarcytu porowatego, ważące ponad 600 kg „francuzy”. Znajdują się tu również doskonale zachowane, w pełni sprawne żarna.

Ta ekspozycja jest pierwszym efektem kontraktu wojewódzkiego, podpisanego przez miasto-gminę Tomaszów Mazowiecki i marszałka województwa łódzkiego. W przyszłości planuje się dalszą rozbudowę Skansenu Rzeki Pilicy. Pomoc w rekonstruowaniu elementów historycznego rybackiego wyposażenia rzeczno-żeglarskiego zadeklarował już

Ośrodek Zarybieniowy z pobliskiej miejscowości Tresta, będący agendą Uniwersytetu Łódzkiego.

Pomimo tego, że prace nad rozbudową skansenu trwają, nieomal każdego dnia odwiedzają go liczni turyści z kraju i z zagranicy. Od jesieni 2000 roku prowadzone są tu zajęcia z cyklu „Wokół Łodzi”, organizowane przez Regionalne Centrum Edukacji Ekologicznej. W minionym roku szkolnym placówkę odwiedziło ponad trzy tysiące uczniów szkół podstawowych i średnich z Łodzi, Pabianic, Zgierza, Konstancinowa, a nawet Warszawy.

W maju 2004 roku odbyła się tu VII Ogólnopolska Konferencja Muzealnictwa Morskiego i Rzecznego „Dziedzictwo kulturowe morza i rzek jako oferta edukacyjna i turystyczna na przykładzie rzeki Pilicy w Tomaszowie Mazowieckim”, zorganizowana przy współudziale Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Uczestniczyli w niej przedstawiciele muzeów, instytucji kultury, ośrodków naukowych i stowarzyszeń z całego kraju, prezentując swe dokonania w zakresie muzealnictwa morskiego i rzeczno-żeglarskiego.

Odwiedzający Skansen Rzeki Pilicy nie ukrywają często zdziwienia faktem, że wbrew ogólnym tendencjom zamierania wielu lokalnych ośrodków kultury, placówka ta – przy dużej pomocy samorządu i okolicznej społeczności – wciąż się rozwija.

Jerzy Gałęba
– dziennikarz.

Fotografie pochodzą z Archiwum Skansenu Rzeki Pilicy

historia

z cyklu: *czarne dziury, białe plamy*



Między brązowym a czerwonym totalitaryzmem

Armia Krajowa w Łodzi 1944-1945

Janusz Wróbel

str. 173

Walka na słowa

Nieznani bohaterowie akcji „N”

Artur Ossowski

str. 184

Między brunatnym a czerwonym totalitaryzmem

Armia Krajowa w Łodzi 1944-1945

Polskie Państwo Podziemne okresu II wojny światowej było fenomenem na skalę europejską. W żadnym innym okupowanym przez Niemców kraju nie stworzono tak rozbudowanej i sprawnie działającej struktury konspiracyjnej, cieszącej się do tego posłuchem ogromnej większości społeczeństwa. W jej skład wchodziło podziemne wojsko – Armia Krajowa oraz administracja cywilna podległa Delegaturze Rządu na Kraj. Państwo podziemne miało własne sądownictwo, policję, system edukacyjny, na szeroką skalę prowadziło działalność wydawniczą i propagandową. Z myślą o powojennej odbudowie kraju powstawały prace planistyczne. Praktycznie nie było dziedziny życia społecznego, w której nie funkcjonowały instytucje PPP.

Nieformalną stolicą podziemnego państwa była Warszawa, ale jego strukturami starano się ogarnąć cały kraj. Już jesienią 1939 r. ambicją przywódców powstającej konspiracji wojskowej było objęcie zarówno ziem okupacji niemieckiej jak i sowieckiej: terenów Generalnego Gubernatorstwa (GG) oraz ziem bezpośrednio wcielonych w granice Rzeszy Niemieckiej i Kresów Wschodnich inkorporowanych do Związku Sowieckiego. O ile w GG szybko udało się powołać do życia tajne organizacje niepodległościowe, to na kresach, zarówno wschodnich jak i zachodnich, szło to znacznie trudniej. Sowieckie NKWD okazało się zadziwiająco skuteczne w zwalczaniu polskiego ruchu oporu. Nie lepiej było na zachodzie, czyli na terenach tzw. ziem wcielonych do Rzeszy, obejmujących Wielkopolskę, Pomorze Gdańskie, Górny Śląsk i znaczną część łódzkiego okręgu przemysłowego.

Niemczenie Łodzi

Łódź, drugie co do wielkości miasto II Rzeczypospolitej, z chwilą wcielenia do Rzeszy – co nastąpiło 9 listopada 1939 r. – znalazła się w szczególnej sytuacji. Miasto stało się poligonem nazistowskiego eksperymentu nie mającego precedensu w nowożytnych dziejach kontynentu, kiedy w Berlinie podjęto decyzję o szybkiej i całkowitej germanizacji inkorporowanych terenów. Wbrew dotychczasowej niemieckiej polityce wynaradawiania, która zmierzała do stopniowej germanizacji mieszkańców podbitych terenów przy wykorzystaniu środków administracyjnych i systemu edukacyjnego, tu przystąpiono do „germanizacji ziemi”. Ludność rodzima miała zostać usunięta,

historia – czarne dziury, białe plamy

tworząc „przestrzeń życiową” dla osadników niemieckich. Łódź z racji swojego potencjału demograficznego i ekonomicznego znalazła się na pierwszej linii wojny narodowościowej rozpętanej przez nazistów.

Już w pierwszych tygodniach okupacji główne uderzenie władz faszystowskich skierowano przeciwko elitom społeczeństwa polskiego. Nastąpiły masowe aresztowania prowadzone planowo według wcześniej przygotowanych list proskrypcyjnych. Zapelniało się więzienie policyjne na Radogoszczu, a w podłódzkich lasach rozpoczęły się masowe egzekucje przedstawicieli łódzkiej inteligencji. Rozstrzeliwano polskich urzędników państwowych i działaczy samorządowych, likwidowano wybitniejszych przywódców partyjnych, artystów i zwykłych nauczycieli.

W latach okupacji szybkie postępy czynił proces depolonizacji, którego zasadniczym elementem do 1941 r. były masowe wysiedlenia do Generalnego Gubernatorstwa, a później deportacje na przymusowe roboty do Niemiec. Z okupacyjnej rejencji łódzkiej w latach 1939–1945 wysiedlono do GG i deportowano na przymusowe roboty około 444 tys. osób narodowości polskiej, co stanowiło blisko 25 proc. ogółu ludności zamieszkałej tu w przededniu wojny.

Żywiół niemiecki w trakcie wojny uległ poważnemu wzmocnieniu. Do rejencji łódzkiej przybyło kilkadziesiąt tysięcy obywateli Rzeszy, głównie członków aparatu policyjno-urzędniczego, a także osadnicy niemieccy z krajów bałtyckich, terenów polskich zajętych po 17 września 1939 r. przez Związek Sowiecki, Besarabii oraz nadmorskich regionów Ukrainy. W efekcie liczba ludności niemieckiej podwoiła się. W Łodzi liczba Niemców wzrosła z 85 tys. w 1939 r. do 142 tys. w 1944 r., podczas gdy liczba ludności polskiej spadła z 452 tys. do 342 tys. osób.

Wszechstronna dyskryminacja

Polacy poddani zostali wszechstronnej dyskryminacji i różnorodnym ograniczeniom. Nastąpiła likwidacja praktycznie całego polskiego życia społecznego, zniszczono wszystkie organizacje polityczne, kulturalne, religijne, oświatowe i sportowe. W szybkim tempie wywłaszczono Polaków z nieruchomości, odebrano im zakłady przemysłowe, usługowe i majątki ziemskie. Usunięto ze stanowisk kierowniczych w administracji i gospodarce.

Na ziemiach wcielonych do Rzeszy ludność polską objęto obowiązkiem pracy, surowo egzekwowanym ograniczeniami co do miejsca pobytu, a nawet korzystania ze środków komunikacji masowej. Wprowadzono godzinę policyjną, pojawiły się miejsca i strefy, gdzie osobom narodowości polskiej wstęp był wzbroniony. Ograniczenia dotyczyły również sfery informacji. Prasa polska w Łódzkiem została zlikwidowana. Polaków pozbawiono również możliwości korzystania z radia. Doprowadziło to do sytuacji, w której ludność rodzima znalazła się w swoistej próżni informacyjnej, co było ewenementem niespotykanym na innych terenach okupowanych przez Niemców.

Polacy w Łodzi pozbawieni zostali dostępu do środków masowej komunikacji w swoim rodzimym języku.

Ta świadoma polityka izolowania Polaków od informacji wynikała z dążenia do sprowadzenia ich do rządu niewolniczej siły roboczej, która z zasady nie powinna przejawiać zarówno szerszych aspiracji kulturalnych, jak i zainteresowania życiem publicznym. Służyć temu miała likwidacja szkolnictwa. Polakom za całą wiedzę miała wystarczyć umiejętność liczenia do stu.

Realizowana w Łodzi skrajnie represyjna i dyskryminacyjna polityka władz okupacyjnych zdawała się uniemożliwiać prowadzenie tam jakiejkolwiek zorganizowanej pracy konspiracyjnej. Wydawała się ona niemożliwa również z tego powodu, że Niemcy stworzyli w Łodzi sprawny aparat bezpieczeństwa nastawiony na zwalczanie polskiego ruchu oporu. Poza licznymi, wyposażonymi w szerokie uprawnienia formacjami policji porządkowej i kryminalnej, działało gestapo – tajna policja polityczna. Placówka gestapo ulokowana przy ul. Anstadta liczyła 151 pracowników, w tym 99 funkcjonariuszy operacyjnych. Najliczniejszy był referat zwalczający szeroko pojętą działalność opozycyjną. 56 funkcjonariuszy gestapo zajmowało się ruchem oporu, z czego 15 lewicowym, a 35 prawicowym. Mieli oni do dyspozycji potężną rzeszę agentów i tajnych współpracowników. Już po wojnie polskie służby specjalne ustaliły, że w Łodzi działało 683 agentów gestapo.

Jednak na przekór wszystkim trudnościom, polska konspiracja niepodległościowa w Łodzi powstała już w pierwszych tygodniach wojny i działała do jej zakończenia.

Trudna konspiracja

Najliczniejszy był ruch oporu uznający zwierzchnictwo rządu polskiego na uchodźstwie. Jego zbrojnym ramieniem był Związek Walki Zbrojnej, przekształcony w 1942 r. w Armię Krajową. W Łodzi i regionie były również struktury konspiracyjnej administracji cywilnej, ale były one słabsze niż wojskowe i przejawiały mniejszą aktywność, koncentrując się na przygotowaniach do przejęcia władzy w momencie przewidywanego powstania powszechnego (akcja „Burza”) lub wyzwolenia kraju przez siły sojusznicze.

Łódź wraz z regionem weszła w skład Okręgu Łódzkiego ZWZ obejmującego swym zasięgiem miasto i część województwa łódzkiego wcielonego do Rzeszy, jak również wschodnie terytorium regionu łódzkiego (Piotrkowskie, Skiernewickie) wchodzące w skład GG.

Specyficzne warunki panujące w Łodzi oraz jej odizolowanie od reszty ziem polskich pilnie strzeżoną granicą pomiędzy GG a Rzeszą Niemiecką sprawiły, że rozwinęły się tylko niektóre formy ruchu oporu. Przede wszystkim prowadzono działalność organizacyjną. Tworzono konspiracyjne struktury, organizowano kanały łączności, gromadzono sprzęt i broń, prowadzono szkolenie.

Dowództwo Okręgu Łódzkiego ZWZ-AK zdając sobie sprawę z próżni informacyjnej, która powstała w wyniku polityki okupanta, od początku widziało potrzebę wydawania własnej prasy. Pierwszy komendant zbrojnego podziemia w Łodzi, ppłk Leopold Okulicki już w początkach listopada 1939 r. polecił ppor. Stanisławowi Miłkowi ps. „Mały Staś” zorganizować pismo konspiracyjne, które wypełniałoby lukę informacyjną powstałą po likwidacji legalnej prasy polskiej. Miłek szybko zgromadził zespół redakcyjny, skompletował sprzęt i już w drugiej połowie listopada 1939 r. ukazał się pierwszy numer tygodnika „Wiadomości Polskie”. Ogółem wydano 33 numery pisma. Przestało się ono ukazywać w połowie 1940 r. w związku z przejściem ppor. Miłka i jego zespołu do pracy wywiadowczej.

Zbiegło się to w czasie z mianowaniem szefem Biura Informacji i Propagandy Okręgu Łódzkiego ZWZ por. Franciszka Jabłonki ps. „Michał”. Zorganizował on zaplecze techniczne w postaci maszyny drukarskiej i skompletował zespół redakcyjny, który zajął się wydawaniem nowego periodyku. Już w sierpniu tego roku łódzki ZWZ zaczął wydawać tygodnik „Kronika Polska”. Pismo ukazywało się przez rok, do 30 sierpnia 1941 r., kiedy to zastąpione zostało przez „Biuletyn Kujawski”, którego szata graficzna, format i objętość były prawie identyczne. Jak się wydaje, zmiana nazwy pisma miała sugerować, iż ukazuje się ono poza Łodzią, co zresztą nie mogło zmylić policji niemieckiej.

Wydawanie „Biuletynu Kujawskiego” przerwały aresztowania. 8 sierpnia 1942 r. został ujęty przez Niemców Franciszek Jabłonka. Dwa dni później odkryto drukarnię przy ul. Karolewskiej, gdzie aresztowano drukarza Zielińskiego. Jego zeznania pozwoliły gestapo na poszerzenie kręgu aresztowań o kolejne osoby związane w wydawaniem głównego pisma łódzkiej konspiracji. Likwidacja drukarni i rozbicie zespołu redakcyjnego oznaczały również koniec „Biuletynu Kujawskiego”, gdyż nie było komu zastąpić aresztowanych. Po aresztowaniach z połowy 1942 r., podziemna działalność wydawnicza AK w Łódzkiem długo nie mogła się odrodzić.

Działalność informacyjno-propagandowa Polskiego Państwa Podziemnego w Łódzkiem stanowiła obok działań wywiadowczych i organizacyjnych jeden z głównych elementów jego aktywności. Ogółem przez wszystkie lata wojny w tej części województwa łódzkiego, którą wcielono do Rzeszy, wychodziło 51 tytułów prasowych, z czego zdecydowana większość była wydawana w Łodzi. Oczywiście Łódź pod względem liczby tytułów tajnej prasy, a zwłaszcza jej nakładów – zostawała daleko w tyle za Warszawą (blisko siedemset tytułów), a nawet Krakowem (113 tytułów), ale zdecydowanie wyprzedzała inne duże miasta polskie, tj. Lwów, Wilno, Kielce, Lublin. W specyficznej sytuacji ziem wcielonych, gdzie prowadzenie walki partyzanckiej i dywersyjno-sabotażowej było bardzo utrudnione, czy też wręcz niemożliwe, jedyne co pozostało do zrobienia, to podtrzymywanie społeczeństwa na duchu, informowanie go o celach hitlerowskiej polityki wobec Polaków i przygotowywanie do wystąpienia w stosownym momencie przeciwko



historia – czarne dziury, białe plamy

okupantowi. Chodziło również o to, aby Niemcy czuli wrogość polskiego otoczenia i zdawali sobie sprawę z tego, że są tu tymczasowo.

Dziedzina działalności AK, która miała chyba najważniejsze znaczenie z punktu widzenia wojskowego był wywiad. Na temat jego działalności wiemy bardzo mało. Z okruszków zachowanych informacji wiemy jednak, że wywiad AK oparty w dużej mierze na konspiracyjnym harcerstwie i grupie doświadczonych konspiratorów, miał na swoim koncie spore osiągnięcia. Zebrano i przekazano do centrali sporo wartościowych informacji o niemieckich siłach zbrojnych i produkcji zbrojeniowej łódzkich fabryk. Rozpoznawano funkcjonowanie transportu kolejowego i drogowego, gromadzono materiały dotyczące zbrodni okupanta i szczególnie zniechędzonych *volksdeutsche* i funkcjonariuszy niemieckiego aparatu okupacyjnego.

Akcja zbrojna Armii Krajowej w Okręgu Łódzkim koncentrowała się na terenach leżących w granicach GG, gdzie warunki ku temu były najlepsze. W 1943 r. a zwłaszcza latem i jesienią 1944 r. w Inspektoracie Piotrkowskim AK powstały silne oddziały partyzanckie AK, które rozpoczęły ataki na placówki niemieckie i główne linie komunikacyjne. W połowie 1944 r. siły te skupiono w nowopowstałym 25 pułku piechoty AK. Pułk zapisał na swoim koncie wiele udanych akcji i potyczek z niemiecką policją i wojskiem, a po wybuchu powstania warszawskiego wyruszył na odsiecz stolicy.

Rozbicie struktur AK

Wtedy gdy ruch oporu na południowo-wschodnich rubieżach okręgu przeżywał największy wzrost i odnosił sukcesy bojowe, konspiracyjne struktury AK w Łodzi

doznały kolejnego wstrząsu. Jesienią 1944 r. doszło do masowych aresztowań, które w dużej mierze zniszczyły dorobek poprzednich lat. W rękach okupanta znalazł się szef sztabu Okręgu mjr Bronisław Majewski ps. „Dziadek”. Wkrótce w celi aresztu na Anstadta znalazł się również mjr Stefan Grabowski ps. „Amelia” szef oddziału I (organizacyjnego) sztabu Okręgu Łódzkiego AK. Od dłuższego czasu w rękach niemieckich był również inny wysoki oficer podziemnego wojska z terenu okręgu kpt. Henryk Kożuchowski ps. „Hora” kierujący Oddziałem III (operacyjnym) sztabu Okręgu Łódzkiego AK. Aresztowanie tych ludzi oznaczało katastrofę dla Okręgu Łódzkiego AK. Jak ustalił kontrwywiad AK „Amelia” i „Dziadek” byli od dłuższego czasu obserwowani przez agentów gestapo, a po aresztowaniu skłonieni do współpracy z Niemcami. „Dziadka” i „Amelię” trzymano w areszcie w tzw. celach oficerskich, i traktowano bardzo dobrze. To właśnie Majewski miał podjąć decyzję o kapitulacji struktur Okręgu Łódzkiego AK wobec Niemców i ujawnił im wiele tajemnic konspiracji. Umożliwiły one kolejne aresztowania nie tylko w Łodzi, ale również w poszczególnych obwodach wchodzących w skład okręgu. Ci spośród uwięzionych oficerów, którzy przyznali się do kontaktów organizacyjnych z Majewskim traktowani byli podobno jak jeńcy wojenni i nie bito ich podczas przesłuchań.

Ta bezprecedensowa taktyka Niemców wobec ujętych oficerów AK była w 1944 r. wynikiem pewnych ogólniejszych zmian w polityce wobec Polaków. Niektórzy funkcjonariusze policji i urzędnicy odpowiedzialni za kształtowanie polityki okupacyjnej, w obliczu nieuchronnej już klęski Trzeciej Rzeszy, próbowali poddać ją pewnej korekturze, z myślą o osłabieniu polskiego ruchu oporu i wykorzystaniu dla niemieckich celów antysowieckich nastrojów Polaków. Nie bez przyczyny uznano, że najlepszym momentem do korekty „Polenpolityk” będzie upadek powstania warszawskiego. Spodziewano się, że przynajmniej część rozgoryczonych dowódców polskiej armii podziemnej zdecyduje się na zaprzestanie akcji skierowanych przeciwko Niemcom, a nawet wejdzie na drogę współpracy z nimi. W połowie października 1944 r. Hitler zgodził się na przyjmowanie polskich ochotników do niemieckich formacji wojskowych, a wkrótce Himmler wydał analogiczne zarządzenie w odniesieniu do podlegających mu formacji Waffen-SS.

W realizacji nowej polityki uczestniczyło też łódzkie gestapo, odnosząc nawet pewne sukcesy. Wykorzystując mjr Bronisława Majewskiego „Dziadka” zorganizowano na Anstadta odprawę aresztowanych oficerów AK, podczas której próbowano ich przekonać do koncepcji pełnej współpracy z III Rzeszą. Polakom zaproponowano ujawnienie siatki konspiracyjnej AK i wstąpienie do Legionu Polskiego pomyślanego jako formacja walcząca u boku Wehrmachtu przeciwko wojskom sowieckimi. Z planów tych oczywiście nic nie wyszło, gdyż zdecydowana większość uczestników tej „narady” odmówiła zejścia na drogę kolaboracji z nazistami. Zapłacili za to życiem lub deportacją do obozów koncentracyjnych. Niezrażeni niepowodzeniem szefowie łódzkiego gestapo zwolnili Majewskiego aby na wolności mógł dalej pro-

wadzić swą zdradziecką działalność. Uznany za kolaboranta, już po ucieczce Niemców został zastrzelony w Piotrkowie Tryb. przez żołnierzy AK.

Mozolna odbudowa konspiracji

Pomimo ciężkich strat zadanych jesienią 1944 r., łódzka AK powoli odbudowywała swe struktury. Dowódca Okręgu płk Michał Stempkowski mianował szefem Inspektoratu Łódzkiego AK mjr Adama Trybusa „Gaja”, który energicznie zabrał się do pracy. Przez granicę z GG dotarł do Łodzi i nawiązał kontakt z głęboko zakonspirowaną siecią wywiadowczą AK działającą pod kryptonimem „Likurg”, której Niemcom nie udało się wykryć. Wkrótce „Gaj” nadał działalności podziemnej nowy impuls. Na pełne jej rozwinięcie nie było jednak już czasu, gdyż 19 stycznia 1945 r. Łódź została zajęta przez wojska sowieckie, co diametralnie zmieniło sytuację polityczną i wojskową.

Zajęcie Łodzi przez wojska sowieckie w styczniu 1945 r. trudno było uznać za wyzwolenie. Tak jak w całym kraju w dramatycznej sytuacji znaleźli się również żołnierze Okręgu Łódzkiego Armii Krajowej, uznający zwierzchnictwo rządu polskiego w Londynie, nie uznawanego przez Moskwę. W początkach marca 1945 r. NKWD aresztowało kilku członków Komendy Okręgu Łódzkiego AK z płk Stempkowskim na czele. Poddani brutalnemu śledztwu, w maju zostali przekazani polskiej bezpiece, która dalej prowadziła śledztwo i przygotowywała akt oskarżenia. Niebezpieczeństwo zawisło również nad pozostałymi członkami AK.

Misja majora Trybusa

Jednym z najwybitniejszych oficerów, który pozostał na wolności był wspomniany mjr Adam Trybus pełniący ostatnio stanowisko szefa Inspektoratu Łódzkiego AK. Był doświadczonym żołnierzem podziemia i człowiekiem o zdecydowanych poglądach politycznych. Przed wojną ukończył studia i pracował jako nauczyciel w rodzinnym Krośnie. Zmobilizowany do wojska w 1939 r. wziął udział w kampanii wrześniowej po czym przedostał się do Francji, a po jej klęsce do Anglii. Tam przeszedł wszechstronne przeszkolenie w dziedzinie dywersji i jako „cichociemny” zrzucony został na terytorium kraju jesienią 1942 r. Wyznaczony do organizowania dywersji na terenie Inspektoratu Piotrkowskiego AK rozbudował tamtejszy Kedyw, tworzył też oddziały partyzanckie. Na krótko przed końcem okupacji hitlerowskiej udał się do Łodzi aby odbudować tam struktury Armii Krajowej zniszczone przez aresztowania gestapo.

Po „wyzwoleniu” najpierw otrzymał rozkaz rozwiązania podlegającej mu struktur AK, ale później polecono mu stworzyć siatkę konspiracyjną, opartą na najbardziej zaufanych i wartościowych żołnierzach AK. Trybus wykonał to zadanie, ale po aresztowaniu dowódcy okręgu zdany był tylko na własne siły i musiał sam podejmować decyzje i brać za nie pełną odpowiedzialność.

Major Adam Trybus uznał za swój najważniejszy cel uchronienie żołnierzy AK przed represjami NKWD i rodzimej bezpieki. W tym celu postanowił

wprowadzić swoich ludzi w struktury nowej władzy aby zdobyć informacje o jej poczynaniach skierowanych przeciwko podziemiu. Gdy wymagała tego sytuacja „Gaj” nie cofał się przed akcjami zbrojnymi, zwłaszcza gdy widział szansę uwolnienia aresztowanych członków AK.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy 1945 r. Trybus zorganizował w Łodzi i regionie niewielką, ale sprawną i efektywną siatkę wywiadowczą, dysponował również oddziałami bojowymi. Znaczenie wywiadu było tym większe, że działał w największym wówczas mieście polskim. Łódź, która w odróżnieniu do Warszawy uniknęła wielkich zniszczeń wojennych, odgrywała przejściowo rolę stolicy kraju i właśnie tu ulokowało się wiele centralnych instytucji i urzędów.

Wielkim sukcesem Trybusa było umieszczenie swoich ludzi w strukturach bezpieki i „ludowego” Wojska Polskiego, dzięki czemu miał wgląd w ich tajne poczynania i w porę mógł je pokrzyżować. Największym osiągnięciem Trybusa było pozyskanie do współpracy wysokiego funkcjonariusza Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Łodzi co dało mu wgląd w poczynania komunistycznych służb specjalnych nie tylko na szczeblu wojewódzkim, ale także centralnym. Na przełomie lutego i marca członkiem wywiadowczej siatki Trybusa został Stanisław Malicki ps. „Ludwik” pracujący w WUBP w Łodzi. Z racji swej funkcji miał dostęp do najtajniejszych dokumentów i materiałów operacyjnych. Ten odważny człowiek dostarczał Trybusowi odpisy raportów dziennych i miesięcznych, a także wykazy agentów bezpieki pracujących przeciwko podziemiu niepodległościowemu oraz instrukcje Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego a nawet szczegółowe opisy najważniejszych spraw prowadzonych przez tajną policję. Dzięki „Ludwikowi” Trybus dysponował również wykazem funkcjonariuszy WUBP i ich dokładnymi charakterystykami. Bez wątpienia major „Gaj” był chyba jedynym dowódcą podziemia w Polsce, który dysponował tak wszechstronną wiedzą o swoich przeciwnikach.

Z wiedzy tej potrafiono korzystać. Major Trybus ostrzegał zagrożonych aresztowaniem byłych żołnierzy AK, dzięki czemu przynajmniej ich część zdołała się ukryć lub wyjechać z kraju. Dane wywiadowcze posłużyły również do zaplanowania i przeprowadzenia zbrojnej akcji uwolnienia więźniów politycznych z aresztu Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pabianicach. Ta przeprowadzona w czerwcu 1945 r. błyskawiczna akcja należy do najbardziej spektakularnych uderzeń polskiego podziemia niepodległościowego w okresie powojennym. Major Trybus zachęcony powodzeniem w Pabianicach planował podobną akcję na siedzibę Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, mieszczącą się przy ul. Anstadta. Przebywało tam wielu aresztowanych żołnierzy AK.

Sytuacja siatki Trybusa obejmującej Łódź i okoliczne tereny nie była wprawdzie zła, ale i nad nią gromadziły się chmury. Mając „wtyczki” w niektórych powiatowych i w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, wie-

dział, że komunistyczne służby specjalne działają coraz skuteczniej. Ciągłe trwały aresztowania dawnych żołnierzy AK. Poddawano ich brutalnemu śledztwu przy użyciu tortur i szantażu. Wielu nie wytrzymało tej próby i ujawniało swoje kontakty, niektórzy godzili się na współpracę agenturalną. W ten sposób bezpieczeństwa stopniowo zacieśniała pętlę wokół działającej jeszcze konspiracji.

Major Trybus w gronie swoich najbliższych współpracowników prowadził długie dyskusje nad znalezieniem wyjścia z tej zdawałoby się beznadziejnej sytuacji. Dalsze trwanie w konspiracji prędzej czy później groziło „wpadką” i szeroko zakrojonymi represjami wobec aresztowanych ludzi i ich rodzin. Z drugiej strony ujawnienie się przed władzami lub zaniechanie działalności wcale nie gwarantowało bezpieczeństwa, a ponadto oznaczałoby kapitulację przed komunistami i ostateczne przyznanie się do politycznej klęski.

Pewne szanse wiązano z prowadzonymi wówczas w Moskwie rozmowami w sprawie powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodu (TRJN). Stanisław Mikołajczyk był premierem rządu „londyńskiego” i przywódca ludowców gotów był wejść w jego skład chociaż zdawał sobie sprawę, że komuniści będą w nim dominowali. Liczył jednak na to, że po powrocie do kraju uzyska możliwość legalnej działalności, zdobędzie szerokie poparcie społeczeństwa, co da mu realny wpływ na sytuację polityczną. Miał nadzieję, że wsparcia udzieli mu również mocarstwa zachodnie.

Jak się wydaje podobnie myślał major Trybus. Powstanie TRJN uważał za szansę wyjścia z konspiracji i włączenia się do legalnej działalności politycznej. Jak pisał w kilka lat później „Z końcem czerwca 1945 r. dojrzała we mnie myśl przerwania konspiracji i wejścia na tory jawnej i twórczej pracy nad odbudową zniszczonego kraju”. Aby ten zamiar skutecznie postanowił nawiązać kontakt z władzami aby uzyskać gwarancje bezpieczeństwa dla siebie i swoich ludzi.

W czerwcu 1945 r. bliski współpracownik Trybusa Włodzimierz Szuster udał się do Warszawy do swojego wujka Mariana Nowickiego, który był posłem do Krajowej Rady Narodowej z ramienia współpracującej z komunistami „odrodzonej” Polskiej Partii Socjalistycznej. Sprzyjającą okolicznością było również to, że Nowicki był dobrym znajomym premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego.

Ujawnienie podziemia i zdrada komunistów

W połowie lipca 1945 r. w siedzibie rządu w Warszawie doszło w obecności posła Nowickiego do rozmowy majora Trybusa z premierem Osóbką-Morawskim. Zapadła wówczas decyzja o ujawnieniu się Inspektoratu Łódzkiego Armii Krajowej. Premier polecił Trybusowi aby opracował pismo streszczające wynik rozmów i przedstawił je następnego dnia do ostatecznej akceptacji. Tak też się stało. 19 lipca „Gaj” skierował do premiera pismo, w którym napisał między innymi: „Sumienie nakazuje mi wydać rozkaz złożenia broni, amunicji oraz majątku stanowiącego własność AK odpowiednim organom rządowym. Opierając się na oświadczeniach Rządu o wykorzystaniu wszyst-

kich sił Narodu do dzieła odbudowy uprzejme proszę o wydanie zarządzeń, ażeby przedstawieni przeze mnie ludzie:

- nie byli zmuszani do służby w bezpieczeństwie dla wyłapywania swych kolegów, którzy się nie zgłoszą
- nie byli pociągani do odpowiedzialności za czyny wykonane z rozkazu przełożonych
- zostali zatrudnieni w swoich zawodach

Jednocześnie proszę o wydanie zarządzeń umożliwiających mi takie zorganizowanie zdania broni przez podległe mi oddziały [...] aby mogło się to odbyć bez aresztowania ludzi. [...] Będę bardzo wdzięczny jeśli ob. Premier zechce zbadać akty oskarżenia moich kolegów z AK znajdujących się w tej chwili w więzieniu, a to celem uwolnienia tych wszystkich, którzy wykonywali wyłącznie rozkazy". Kończąc major Trybus deklarował, że posiadane przez siebie fundusze organizacyjne, w tym znaczną sumę w dolarach amerykańskich, przekaże na konto odbudowy Warszawy.

Premier Osóbka-Morawski zaaprobował propozycje i dopisał na tym dokumencie zdanie: „Wyrażam zgodę na te propozycje, które są zgodne z intencjami rządu”.

Praktyczną realizacją zawartego porozumienia zająć się miało Ministerstwo Obrony Narodowej. Major Adam Trybus spotkał się w tym celu z generałem Marianem Spychalskim, który zapoznał się z całością zagadnienia i wydał odpowiednie rozkazy.

Porozumienie realizowano dość sprawnie chociaż nie obywało się bez problemów. Wielu dawnych żołnierzy podległych Trybusowi skorzystało z okazji i wyszło z podziemia. Ujawniali się nawet ci, którzy formalnie nie uznawali jego zwierzchnictwa. Przeszkody stawiały natomiast poszczególne urzędy bezpieczeństwa. Ich szefowie nie bardzo chcieli pogodzić się z sytuacją, że cała akcja przeprowadzana jest za ich plecami. Pomimo, że patronował jej sam premier zdarzało się, że ujawniający się żołnierze byli aresztowani i dopiero interwencje Trybusa u premiera doprowadziły do ich uwolnienia.

Ostatecznie żołnierze dawnego Okręgu Łódzkiego AK oddali w ręce LWP 14 karabinów maszynowych, 26 pistoletów maszynowych, 143 karabiny, 6 radiostacji i duże ilości innego sprzętu oraz amunicji i materiałów wybuchowych. W końcu lipca 1945 r. major Adam Trybus wywiązał się ze zobowiązania oddania organizacyjnych pieniędzy. W siedzibie Narodowego Banku Polskiego w Warszawie odbyło się komisyjne otwarcie dwóch specjalnych pasów zawierających dolary przywiezione z Anglii przez „cichociemnych” na potrzeby Armii Krajowej. Po przeliczeniu okazało się, że zawierają one ogółem 40 tys. papierowych dolarów amerykańskich w nominałach po 10, 20 i 50 dolarów. Narodowy Bank Polski wydał Trybusowi pokwitowanie na którym zapisano, że pieniądze te przeznaczone są na odbudowę Warszawy.

Major Trybus liczył, że w wyniku realizacji umowy zawartej z premierem, nastąpi ponowne rozpatrzenie spraw aresztowanych członków AK. W tym celu przesłał w sierpniu 1945 r. do Rady Ministrów listę 51 oficerów podziemnej armii, na

NARODOWY BANK POLSKI
ODDZIAŁ W WARSZAWIE

L-Dz. 3240/III

W odpowiedzi na listy powołao się
na rozkaz L. D.

WS /AT

Warszawa dnia 2 sierpnia 1945 r. 27312

Pokwitowanie

Narodowy Bank Polski Oddział w Warszawie niniejszym potwierdza odbiór sumy

z U.S.A.A. 15.000.-/szesnastu tysięcy/

w składkach po:

50.- 15.000.-
20.- 1.000.-

złożonych przez majr. Ob. Gajewskiego Trybuna Adama, z przeznaczeniem na Odbudowę Warszawy.



NARODOWY BANK POLSKI
ODDZIAŁ W WARSZAWIE

[Signature]

której znalazł się także Komendant Okręgu Łódzkiego AK płk Michał Stempkowski. Sam komendant okręgu oraz trzej inni wysocy rangą oficerowie AK znajdujący się w areszcie (mjr Jerzy Emir Hassan, mjr Hilary Moraczewski, Jan Buczyński) wykonali pojednawczy krok w stosunku do władz, składając 17 lipca specjalną deklarację na ręce władz bezpieczeństwa. Uznali w niej Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej za jedyną i prawnitą władzę w Polsce. Zapewniali, że z chwilą rozwiązania Armii Krajowej w styczniu 1945 r. ich praca konspiracyjna została zakończona. Kategorycznie zaprzeczali jakoby prowadzili działalność wymierzoną przeciwko Armii Czerwonej i nowym władzom polskim oraz zapewniali, że w przyszłości nie będą brać udziału w żadnej pracy konspiracyjnej. Ponadto zgłosili swą gotowość „do lojalnej pracy pod kierownictwem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej”. Pomimo tego 24 sierpnia 1945 r. płk Stempkowski i kilku innych oficerów AK stanęło przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Łodzi. Oskarżano ich m.in. o udział w „związku mającym na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”. Były dowódca Okręgu Łódzkiego AK skazany został na karę 10 lat więzienia.

Ujawnienie się majora Trybuna i jego żołnierzy było jedną z pierwszych akcji tego typu. Wydawało się wówczas stosunkowo dobrym rozwiązaniem, chroniącym ludzi przed represjami i dającym im szansę normalnego życia. Niestety, gwarancje bezpieczeństwa złożone przez premiera Osóbkę-Morawskiego nie były respektowane przez jego następców. W 1950 r. Adam Trybus został aresztowany i postawiony przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi. Skazano go na 15 lat więzienia. Podobny los spotkał wielu jego podkomendnych, którzy ujawnili się pięć lat wcześniej.

Janusz Wróbel

– dr historii. Pracownik IPN Oddział w Łodzi.

Walka na słowa

Nieznani bohaterowie akcji „N”

Powołana do życia 14 lutego 1942 r. Armia Krajowa, nadała konspiracji antyhitlerowskiej szerszy wymiar. W jej szeregach scalono wiele organizacji niepodległościowych oraz ujednolicono ich działania. Stworzono także jednorodne struktury dowodzenia i zadbano o koordynację szeregu akcji zbrojnych oraz propagandowych. Dotyczyło to również akcji „N”, będącej jednym z najbardziej spektakularnych osiągnięć polskiego podziemia, która w Okręgu Łódź miała szczególnie rozmach.

Pod czujnym okiem volksdeutschów

Łódzka konspiracja tworzona była w bardzo trudnych warunkach. Wielkopolskę wraz z dużą częścią województwa łódzkiego oraz samą Łódź, Niemcy wcielili do Rzeszy, tworząc tzw. Kraj Warty. Dlatego warunki pracy konspiracyjnej były o wiele bardziej niebezpieczne i nie można ich porównywać z Generalnym Gubernatorstwem. Zamieszkała tu liczna mniejszość niemiecka, która doskonale orientowała się w polskich realiach, co pozwoliło w szybkim czasie stworzyć okupantowi szczegółowe listy proskrypcyjne Polaków, które w zasadzie były uproszczonymi wyrokami śmierci.

To, co było przeszkodą – znacząca grupa ludności niemieckiej – niekiedy działało na korzyść polskiego ruchu oporu. Na styku wielu nacji zawsze dochodziło do przenikania się kultur, co często skutkowało asymilacją niektórych Niemców i ich zbliżaniu się do kultury polskiej. Choć działania wojenne i brutalna przemoc hitlerowców ograniczyły bardzo kontakty pomiędzy przedstawicielami obu narodów, to równocześnie pozwoliło to dynamicznym i patriotycznym jednostkom penetrować środowisko przeciwnika. Stąd niektórzy Polacy – pochodzenia niemieckiego – starali się uchodzić wśród Niemców za wzorowych narodowych socjalistów. Jednocześnie ich informacje często były kluczowe dla polskiego wywiadu oraz działań propagandowych. Dotyczyło to zwłaszcza akcji „N”, ponieważ miała ona podważać wiarę społeczeństwa niemieckiego w zwycięstwo i nieomylność Adolfa Hitlera. Lansowała również tezę o funkcjonowaniu antyhitlerowskiego ruchu oporu w armii i środowiskach cywilnych. Ostrze prasy „enowskiej” kierowano przede wszystkim przeciwko żołnierzom i cywilom niemieckim. Spreparowane informacje dotyczyły najistotniejszych spraw politycznych i militarnych III Rzeszy. Oczywiście dużo miejsca poświęcano zagadnieniom narodowościowym, wskazując na nieodpowiednie traktowanie volksdeutschów, przez rodaków z tzw. Starej Rzeszy. W Łodzi i rejencji

Der Frontkämpfer

Nummer 7

April 1942

Der Frühling und die Japaner werden uns nicht retten

Die Erfolge der Japaner im fernen Osten sind zweifellos sehr bedeutend, aber leider nur für unsere Propaganda. Man hat etwas, womit man das Rundfunkprogramm vollstopfen, und was man auf der ersten Zeitungsseite drucken kann. Aber nichts weiter! Eine Besserung unserer Lage in Europa werden die Erfolge auf den Pazifik-Inseln nicht herbeiführen.

Japan ist durch die fünfjährigen Kämpfe in China erschöpft und seine angeblichen Blitzsieg sind nur eine vorübergehende Erscheinung. Es wird jahrelang den fernen Osten erobern und ordnen müssen, wobei es die Angelsachsen fortwährend stören werden, bis es schliesslich nicht mehr imstande sein wird, ihrem Druck standzuhalten.

Japan wird uns weder Flugzeuge, noch Kriegsschiffe geben, denn erstens hat es selbst nicht zu viel davon, und zweitens weil es seine Erfolge teuer mit bestem Kriegsmaterial bezahlt.

Von Anfang an waren die Japaner im Dreimächtepakt ein papierener Bundesgenosse und werden es auch fernerhin so bleiben. Warum hat Japan eigentlich bisher Russland nicht angegriffen, trotzdem es doch dazu, laut des Dreimächtepaktes und des Antikominternvertrages, ausdrücklich verpflichtet war? Die Taktik der Angelsachsen führt dabei dahin, dass sie weder ihre Luftstreitkräfte, noch ihr Heer und ihre Marine fesselt und nicht im geringsten die Kriegslieferungen nach England und Russland hemmt. Die gesamte Kriegsindustrie der drei gewaltigsten Weltmächte arbeitet gleichzeitig mit Volldampf, um ihre gigantischen Rüstungen im Sommer 1942 ausschliesslich gegen uns Deutsche zu richten!

Können wir etwas dagegen tun?

Nicht viel! Denn zum ersten Mal seit 1939 verbrachten wir den Winter nicht bei der Arbeit oder auf Urlaub, sondern im furchterlichsten blutigen Kampf.

Wer von der russischen Kugel oder vom Frost bisher verschont geblieben ist, dem drohen heimtückische Minen und Partisanen. Millionen Toter, Verwundeter oder Halberkoren — das sind Lücken, die mit unseren Schaffenden ausgefüllt werden müssen — was eine Hemmung der Transporte, der Industrie und der Landwirtschaft nach sich zieht.

SCHURKISCHE IDEEN

Jeden Augenblick kann unsere Frühjahrs Offensive gegen die Sowjets beginnen, und wir werden die Russen sicher klein kriegen. Unser Kriegsmaterial wurde mit Hilfe der letzten Kräfte der Heimat erneuert, ebenso, wie die letzten Reserven an Menschenmaterial in den Kampf geworfen wurden sind. Zweifellos werden es bedeutende Kräfte sein, wenn wir 1941 zu Verfügung hatten. Vielleicht vertreiben wir die roten Horden bis hinter die Wolga, Russland aber ist damit noch nicht besiegt. Dann harret unser eine neue Winterkampagne 1943, was gleichsam unsere sichere Niederlage bedeutet.

Davon ist sowohl das OKW, wie auch der Führer selbst überzeugt. Sie wissen ganz genau, dass uns in jedem Falle das Verderben erwartet. Denn weder Kriegsmaterial, noch Menschen stehen in dem Masse zu unserer Verfügung, wie den vereinten Kräften Englands, USA, und der Sowjetunion. Die Entscheidung des jetzigen Krieges hängt keineswegs von der Erreichung der Wolga, des Kaukasus, oder des Urals ab, sondern den Endsieg erreicht nur der, der New-York, oder London erobert. Und dazu reichen die Kräfte Deutschlands selbst nach einem Siege im Osten, nicht aus.

In seiner Wahnidee, um jeden Preis die Welt zu beherrschen, sogar um den Preis, die Deutschen für einige Generationen zu vernichten, und das Reich einer gänzlichen Vernichtung preiszugeben, wird Hitler wohl als letztes Mit-

Ausserdem hatten wir nicht Zeit genug, soviel Kriegsmaterial zu erzeugen, dass wir damit unsere ungeheuren diesbezüglichen Verluste des Winterfeldzuges ersetzen könnten — und wo sollen wir es erobern, wie wir es bis dahin immer im Frühjahr getan haben?

Wir haben ganz einfach zu wenig Geschütze, Panzer, Kraftwagen und Flugzeuge, um damit ganz Europa und Afrika auszurüsten, denn zweifellos werden England und USA unsere Frühjahrs Offensive ausnützen, um uns in den Rücken zu fallen.

Wo sie es tun werden, wissen wir nicht, aber es ist klar, dass sie eine neue Front bilden werden, denn die Amerikaner schicken ihre Kräfte nicht umsonst nach Irland und Schottland. Die durch Hitler angekündigte Frühjahrs Offensive wird unter diesen Umständen den Russen nicht viel schaden, umso mehr als doch die Sowjets eine 8 Millionen — Reservearmee haben, die noch an keinem Kampf teilgenommen hat und unserer Offensive erwartet.

Wir werden die Bolschewiken ohne Zweifel im ersten Ansturm zurückwerfen.

Wir können auch Leningrad und Moskau nehmen, aber unsere Kraft wird nicht mehr ausreichen, um der Sowjetunion

den Todesstoss zu versetzen!

Wenn wir an der Wolga nicht unterliegen, so werden wir es gewiss am Ural oder am Kaukasus.

Hitler sieht es nicht oder will es nicht sehen. Um seines Stolzes willen ist er bereit alles zu opfern, um seine Ziele zu erreichen.

Aber Hitler und seine Clique — das ist nicht das deutsche Volk. Hitler kann es einerlei sein, welches Los Deutschland nach der Niederlage trifft, — uns Soldaten ist es nicht gleichgültig.

Deshalb wollen wir nicht weiter kämpfen!

Wir wollen den Frieden verlangen und die Macht im Reich in Soldatenhände legen!

Nur der hat das Recht, über das Schicksal des Vaterlandes zu entscheiden, der sein Blut für sein Volk opfert!

tel die so lange schon angekündigte neue Waffe gebrauchen, und diese Waffe heisst

G A S!

Die Vorbereitungen zu den Gaskämpfen sind weit vorgeschritten. Es weiss nicht jeder, dass auf dem Güterbahnhof in Düsseldorf unlängst grössere Mengen von grün und gelb gestreiften Stahlflaschen lagerten. Da einige undicht geworden waren verursachten sie eine Massenvergiftung, der eine Anzahl Bahnbeamten und Soldaten zum Opfer fielen. Die Vergiftungserscheinungen waren furchtbar; u. a. heftige Blutstürze aus Nase, Ohren und Augen. Ein ähnlicher Fall ereignete sich in Leverkusen, in den Hauptwerken der I. G. Farbenindustrie, wo eine Explosion mehrerer grün-gelb Stahlbehälter viele Opfer an Menschenleben forderte.

Die ganze lange Ostfront ist schon mit gasgefüllten Bomben und Artilleriegeschossen versehen. In Ostpreussen und im Ostland sind Gaskasernen eingerichtet und geschultes Personal eingesetzt. Den Soldaten wird immer dringlicher das Tragen von Gasmasken anbefohlen.

Die Folgen solchen Gaskrieges haben wir sehr gut im Weltkrieg kennengelernt. Unsere Feinde haben auf die schrecklichen Gasangriffe mit noch schrecklicheren geantwortet. Die ganze Welt weiss, dass Russland eine Gasindustrie besitzt, die seit 1924 ohne Unterlass Kampfgase herstellt. Die Sowjetunion ist der einzige Staat, der keine

historia – czarne dziury, białe plamy

większość urzędów obsadzono reichsdeutschami – osobami urodzonymi w przedwojennych Niemczech. Natomiast niższe stanowiska z czasem przekazano ziomkom z Besarabii i krajów nadbałtyckich. Dla łodzian niemieckiego pochodzenia pozostawała jedynie służba w armii lub jednostkach policji. Ciekawe, jak niewielu z nich zasiliło szeregi gestapo. Przyczyną był niski stopień volkslisty (DVL) i duże braki w wykształceniu poszczególnych kandydatów. Najczęściej łódzcy Niemcy służyli w paramilitarnej formacji niemieckiej – Selbstschutz i byli odpowiedzialni za śmierć wielu łodzian polskiego pochodzenia. Ich ofiary do końca 1940 r. grzebano w lesistych rejonach Łuźmierza i Wiączynia.

Do walki ruszają drukarze

Działania okupanta powodowały opór i aktywizowały pracę konspiracją podbitego narodu. Dlatego już w ramach Służby Zwycięstwu Polsce, jeszcze za komendantury ppłk. **Leopolda Okulickiego** ps. Johann Müller, przystąpiono w Łodzi do organizowania struktur wywiadowczych i kolportażu patriotycznych druków. W łódzkim „rozdział” podziemnej prasy polskojęzycznej rozpoczęto już w listopadzie 1939 r. Były to najpierw „Wiadomości Polskie” – tygodnik ukazujący się do kwietnia 1940 r. Następnie przez ponad rok – do 31 sierpnia 1941 r. – w tajnych łódzkich drukarniach wydawano „Kronikę Polską”. Łącznie opublikowano 47 numerów tego pisma. Z początkiem września 1941 r. zmieniono nazwę tygodnika na „Biuletyn Kujawski” (nazwa miała zmylić władze niemieckie), ale zachowano ciągłość numeracji. Redaktorem naczelnym pisma do grudnia 1941 r. był **Jan Nowicki**, który 23 stycznia 1942 r. został aresztowany w Pabianicach, a 20 marca 1942 r. wraz ze stuosobową grupą zakładników zginął w egzekucji publicznej w Zgierzu. W kwietniu 1942 r. w ręce niemieckie wpadła drukarnia AK przy ul. Rzgowskiej 87, co wstrzymało na dwa tygodnie kolportaż pisma. Odtąd kilkakrotnie zmieniano lokale konspiracyjne, aby przeciwdziałać kolejnym „wyspom”.

Wśród zasłużonych pracowników łódzkiego Biura Informacji i Propagandy (BIP), należy wspomnieć twórców pisma „Tyrtęj” – dodatku literackiego do „Biuletynu Kujawskiego”. W nazwie odwoływano się do symbolu wojownika-poety w starożytnej Grecji. Pomysłodawcą tytułu był łódzki literat **Grzegorz Timofiejew**, który na łamach dodatku opublikował kilka wierszy. Działania te gorąco wspierał nowy redaktor naczelny „Biuletynu Kujawskiego” por. **Franciszek Jabłonka** ps. Michał. Niestety wraz z całym działem redakcyjnym łódzkiego BIP, został on aresztowany w czerwcu 1942 r. Po ciężkim śledztwie wysłano go do Oświęcimia i tam w styczniu 1943 r. rozstrzelano. Grzegorz Timofiejew po zatrzymaniu przez gestapo również znalazł się w Oświęcimiu. W jego przypadku karę śmierci zamieniono jednak na długoletnie więzienie, zaś latem 1943 r. skierowano go do Gusen – ciężkiego obozu pracy na terenie Austrii. Cena, jaką zapłacono za druk i kolportaż polskiej prasy podziemnej w łódzkim była więc bardzo wysoka. Z trzech naczelników drukarzy „Biuletynu Kujawskiego” dwóch zginęło, śmierć poniosło również kilkunastu tłumaczy oraz kilkudziesięciu kolporterów prasy. Do końca wojny straciło życie lub zostało

aresztowanych prawie 300 osób, związanych prasą podziemną. Z tej liczby tylko kilkunastu konspiratorów zajmowało się prowadzeniem akcji „N”.

Znamienne, że w najtrudniejszym okresie, tj. w latach 1941-1942 łódzcy drukarze nie tylko zajmowali się prasą. Do ich obowiązków należał również wydruk podrobionych przez polskie podziemie różnorodnych blankietów, dokumentów, pozwoleń, kart meldunkowych i żywnościowych. Wszystko preparowano w pionie legalizacyjnym, jednakże należało przygotować w drukarniach odpowiedni papier i farby. Zadanie to doskonale spełniała mała niemiecka drukarnia przy ul. Piotrkowskiej 96, gdzie pracowali także Polacy.

Dopiero wiosną 1944 r. chcąc przeciwdziałać kolejnym aresztowaniom, łódzki BIP podzielono na dwa zespoły. Jeden z siedzibą w Łodzi, rozprawdzał prasę na obszarze Kraju Warty – głównie „enowską”. Natomiast drugi ulokowano w Piotrkowie Trybunalskim, pracował on na potrzeby ludności polskiej zamieszkującej tereny Generalnego Gubernatorstwa. Równocześnie szereg obwodów w Okręgu Łódź AK (od 1944 r. kryptonim „Barka”) wydawało własne gazety, na łamach których opisywano wydarzenia z terenu. Przykładem tego może być „Dziennik Żołnierza AK”, „Informator Tygodniowy”, „Trybuna Łodzi”, „Biuletyn Sieradzki” oraz ukazujący się w Koluśkach tygodnik „Wolność”.

Misja Jana Libsza

W Łodzi za rozwinięcie akcji „N” odpowiedzialny był Oddział II, czyli wywiad. Ze swych struktur wyłonił on odpowiedni pion „enowski”, który utrzymywał ścisłą współpracę z miejscowym BIP. Oczywiście nikt wówczas nie przypuszczał jakie rozmiary przyjmie przyszła akcja „N”. Celem nadrzędnym było tworzenie „szumu informacyjnego” wymierzonego w nazistów i podkopującego ich administrację. Nie było to łatwe, albowiem społeczeństwo polskie załamane było klęską wojny obronnej 1939 r. Nękanie wciąż wysiedleniami i represjami, oczekiwało raczej prasy polskiej. Mimo to kierowany przez kpt. **Zygmunta Janke** ps. Walter łódzki wywiad, rozpoczął szkolenia kadr w zakresie akcji „N”. Zwrócono uwagę na ludzi młodych, legitymujących się wykształceniem średnim lub wyższym oraz na wszelkiego rodzaju specjalistów. Cennym nabytkiem byli kolejarze i lekarze, gdyż nie obowiązywały ich ograniczenia związane z godziną policyjną. Mogli oni podróżować do wielu miast w głąbi Niemiec, co pozwalało rozprowadzać prasę podziemną daleko poza łódzką rejencję. Doceniano także wszelkiego rodzaju majstrów fabrycznych, gdyż im nie groziło wysłanie na roboty przymusowe, a wielu z nich z rozkazu Polskiego Państwa Podziemnego przyjęło volkslistę. Wystarczy tu wspomnieć osobę **Jana Libsza** (ur. 26 marca 1912 r.), mistrza piekarskiego ze Zduńskiej Woli, syna Jana i Wandy Ryman. W domu rodzinnym oprócz niego była również starsza o dwa lata siostra Marianna¹. Już jesienią 1939 r. Libsz oparł swoje działania na kilkudziesięciu osobach, skupionych głównie w Legii Narodowej oraz w sekcji dywersyjnej „Drużyna Śmierci”. Podstawowe dla organizacji były

Frika

Heft 6. 1 April 1942

DIE FROHE ZEITUNG
FÜR FRONT UND HEIMAT

16

Sonderausgabe

Heil Hitler und Sohn!

Am heutigen Tage verlas Reichsminister Dr. Goebbels vor dem Mikrofon über alle deutschen Sender eine Sondermeldung, welche im ganzen deutschen Volk einen unbeschreiblichen Enthusiasmus ausgelöst hat.

Diese Sondermeldung hat folgenden Wortlaut:

"Am 1 April dieses Jahres gebar der Führer in seinem Hauptquartier einen strammen, gesunden Jungen. Dies ist ein Augenblick von epochaler Bedeutung nicht nur für Grossdeutschland, sondern auch für die gesamte Welt.

Zum ersten Mal in der Geschichte der Menschheit hat ein Mann, ohne Hilfe der Frau, ein Kind zur Welt gebracht. Deutsches Volk! Von nun an hast Du zwei Führer! Somit ist der Endsieg endgültig gesichert. Heil Hitler und Sohn!

Wie der Sonderkorrespondent unseres Blattes erfährt, erklärte der glückliche Vater nach seiner Entbindung: "Für mich, als überzeugten Nationalsozialisten, war dies eine Kleinigkeit." Die Aufgaben einer Amme beim jungen Führer hat Göring übernommen. Dies erklärt auch teilweise das Geheimnis des in letzter Zeit so beachtlich vergrösserten Körper — und besonders des Brustumfanges unseres volkstümlichen Reichsmarschalls.

Das Beispiel des Führers hat natürlich ansteckend auf seine engsten Mitarbeiter gewirkt. So verspricht uns Göring in nächster Zeit nationalsozialistische Fäustlinge zu gebären, Himmler gleich einen Wurf von zwölf kleinen Gestapogegneten, Goebbels, der schon in den letzten Jahren immer steriler geworden ist und fürchtet, ganz unfruchtbar zu werden,

will dagegen einen Korb voll Enteneiern auszubrüten versuchen.

Der junge Führer benimmt sich von den ersten Stunden seines Lebens an wie der wahre Sohn seines grossen Vaters und ein richtiger Parteigenosse. Als man ihn z. B. in weisse Windeln steckte, verwahrte er sich dagegen energisch und farbte diese — ohne irgendwelcher Hilfe — braun. Bei der ersten Rundfunksendung brüllte der junge Führer acht Stunden lang ins Mikrofon, womit er seinen genialen Vater weitest in den Schatten stellte. Gleich eine Stunde nach seiner Geburt entliess er auf eigenen Wunsch den Flottenchef Grossadmiral Raeder wegen eines Herzleidens und ernannte sich selbst zum Befehlshaber der in dieser Weise verjüngten deutschen Kriegsmarine.

Das gesamte grossdeutsche Volk fühlt sich wahrhaft glücklich und sieht mit Zuversicht der Zukunft entgegen.

Jeder von uns ist nun vollständig davon überzeugt, dass der Führer, der seinen eigenen Sohn gebären konnte, auch morgen bis zum Ural vordringen oder in zwei Tagen London und New York wird einnehmen können. Denn was gestern noch reine Zukunftsmusik war, ist heute bereits zur grossen nationalsozialistischen Wirklichkeit geworden.

Und so geht es alle Tage! Deshalb auch klingt, gemäss einer eben herausgegebenen Verordnung, aus den Tiefen aller deutschen Herzen, der spontane, neue deutsche Gruss auf:

Heil Hitler und Sohn!



— Also, lieber Parteigenosse, stossen wir jetzt auf das Wohl unserer tapferen Soldaten an! — Ja, und dann auf das Wohl des Führers, der uns diese schönen verantwortungsvollen Posten in der Heimat aufgebürdet hat!



— Na, Kollege, sie sind in letzter Zeit ein bisschen abgemagert? — Macht nichts! Wenn nur Hitler endlich seine Frühjahrs offensive beginnt, werden wir wieder in rauen Mengen zu fressen bekommen.

więzy rodzinne oraz koleżeńskie. Silnie eksponowano również etos legionowy i pe-owiacki. W nowej organizacji posługiwał się on pseudonimem Kruk, zaś najbliższym współpracownikiem pozostawał **Walenty Prajs** ps. Wicher. Ten ostatni już grudniu 1939 r. został aresztowany przez niemieckie siły bezpieczeństwa i osadzony w więzieniu na Radogoszczu w Łodzi. W tym krytycznym momencie, to właśnie kontakty Libsza zapewniły mu wolność. Odtąd wspólnie organizowali oni akcje propagandowe w Zduńskiej Woli, Sieradzu, Łasku, Pabianicach oraz w Rudzie Pabianickiej, będącej od 1940 r. częścią Łodzi. Na ich pomysłowość – wiosną 1940 r. – zwróciły uwagę tamtejsze placówki Związku Walki Zbrojnej, które za pośrednictwem mjr. **Pawła Zagórskiego** ps. Maciej, podporządkowały sobie Legię Narodową. Odtąd Libsz, już jako „Anatol” stał się częścią zespołu harcmistrz **Władysławy Koeniżank-Olbromskiej**, która zaczęła przygotowywać działania propagandowe w Łodzi.

Bardzo szybko ciężar koordynowania działań wzięło na siebie BIP Komendy Głównej AK w Warszawie. Do Łodzi pierwsi kurierzy ze stołeczną prasą „enowską” dotarli już z początkiem 1941 r. Droga ich wiodła przez Obwód AK Brzeziny-Koluszki, którego placówki przerzutowe znajdowały się po obydwóch brzegach rzeki Mrogi. Tam przebiegała dobrze strzeżona granica pomiędzy Krajem Warty a Generalnym Gubernatorstwem, dlatego wszelkie kontakty z centralą w Warszawie były bardzo niesystematyczne. Ustalono, że meldunki i prasa przewożona będzie koleją. Doskonale rolę tę spełniał węzeł w Koluszkach, gdzie przeładowywano gazety z Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych (TWZW) w Warszawie. Grupowały one dwanaście konspiracyjnych drukarni i pierwszy zespół wydawniczy tzw. „Jedynka” odpowiadał za przygotowanie gazet „enowskich”. Nad całością przedsięwzięcia czuwał szef TWZW **Jerzy Rutkowski** ps. Michał, który wraz z kierownikiem zaopatrzenia **Aleksandrem Wąsowskim** ps. Józef dbał o dostawy papieru. Było to najtrudniejsze zadanie, gdyż akcja „N” „powołała do życia” ok. 100 antyhitlerowskich organizacji. W ten sposób powstawał „ruch oporu”, który od wewnątrz miał rozsadzać siły zbrojne oraz administrację nazistowską. Każda z wykreowanych przez AK organizacji niemieckich dysponowała własnym organem prasowym. Niekiedy były to ulotki lub plakaty, jednak większości gazet nie wydawano cyklicznie i istniały one jako pojedyncze numery. Mimo to ukazywały się w dużych nakładach, od 6 do 20 tys. egzemplarzy. Dla uwiarygodnienia gazet „enowskich”, podawano nieprawdziwe miejsce druku m.in.: Berlin, Kolonia, Brema, Monachium, Lubeka i Hamburg. Szczególnie dbano o szatę graficzną pism, stosując oryginalne trzcionki niemieckie i odpowiedni papier gazetowy. Większość materiału kupowano na „czarnym rynku”, a kontrahentami nierzadko byli Niemcy. Duży nacisk kładziono wówczas na treści i poprawność językową publikowanych tekstów. To zadanie spoczywało na barkach germanistów, gdyż oni odwoływali się do dialektów, gwary i legend. Należało myśleć kategoriami przeciwnika i zarazem odbiorcy tego rodzaju prasy. Stąd w pismach do żołnierzy, informacje przekazywane były rubasznym językiem, pojawiało się dużo terminów wojskowych i nie brakowało



humoru. Podobne mechanizmy zastosowano także wobec niemieckich robotników, dając im do rąk pismo „Hammer”. Nawiązywano w nim do tradycji socjalistycznych wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Piętnowano wojnę, a odpowiedzialność za nią przenoszono na barki kapitalistów.

Z takim przeciwnikiem musiała się zmierzyć tajna policja niemiecka, która długo klasyfikowała podobny materiał propagandowy jako „dzieło” Niemców. Zakładano, że opozycja ma „bazy” w Rzeszy i stąd oddziałuje na armię oraz administrację okupacyjną.

„Papierowe bomby”

Do Łodzi „enowski” materiał trafiał w postaci gazet, ulotek oraz klisz fotograficznych, które dopiero przygotowywano do druku. Dzięki wytrwałości zespołu uzyskiwano materiał wysokiej klasy, komentujący m.in. postępy armii niemieckich na frontach II wojny światowej. W artykułach podsycano także rozbieżność pomiędzy Wehrmachtem, SS oraz funkcjonariuszami NSDAP. Dla łódzkiego BIP priorytetowe stały się następujące gazety: „**Der Soldat**”, „**Der Frontkämpfer**” i „**Erika**”. Od 1941 r. w dwóch pierwszych tytułach zajęto się szczegółowym opisywaniem zbrodni niemieckich formacji tyłowych. Akcentując zarazem, że krew ta plami mundur żołnierza frontowego i niepotrzebnie podsycza opór podbijanych narodów. Odnoszono się także do kwestii sojuszków, zwłaszcza krytykując współpracę z cesarską Japonią i Włochami. Natomiast inny rodzaj propagandy prezentowało pismo „Erika”, będące „wesołym dodatkiem dla kraju i frontu”. Poza artykułami, przedstawiano w nim barwne i czarno-białe karykatury, szczególnie ośmieszano: Hitlera, Himmlera, Göringa oraz Goebbelsa. Przeciętnemu obywatelowi Rzeszy należało przecież zozydzić twórców nazistowskiej maszyny terroru i wskazać „alternatywną drogę”. Cenne były zwłaszcza dane na temat funkcjonariuszy hitlerowskiej administracji, albowiem szerszemu ogółowi obywateli prezentowano ich życie prywatne, stan majątkowy i nieprawidłowości w działaniu podległych im urzędów. Skupiano się na wszelkiego rodzaju przywarach charakteru, o których wiedzę uzyskiwano dzięki szeregowym żołnierzom AK. Oni znali najlepiej lokalne środowiska niemieckie, gdyż wiele kontaktów zadzierzgnięto już w okresie przedwojennym, tj. w szkole, pracy i wojsku. Stąd poprzez ośmieszenie konkretnych osób, starano się szkodzić wizerunkowi tzw. nadludzi. Taką formą były z pewnością akcje ulotkowe zespołu Jana Libsza ps. Anatol, który w urzędowym języku informował niemiecką społeczność w Zduńskiej Woli, Łasku, Pabianicach i Łodzi o nakazie „natychmiastowego zgłoszenia się pod groźbą kary do jednego z obozów zagłady”. Zawiadamiano, że wymaga tego dobro państwa, gdyż w ten sposób osłabia się propagandę bolszewicką. Natomiast obywatelowi daje się możliwość uzmysłowienia sobie wysiłków i problemów, przed którymi staje tysiącletnia Rzesza. Autorzy tego rodzaju druków, w sposób niedwuznaczny informowali, że wiadomo im o nazistowskich praktykach eksterminacyjnych. Często opisywano sposób działania krematorium, które odtąd stało się symbolem gehenny osadzonych w obozach koncentracyjnych. W ten sposób przybliżano problem zagłady milionów więźniów, burząc zarazem spokój wielu rodzin niemieckich i typując je jako kolejne ofiary krematoryjnych pieców. Zachęcanie do zwiedzania „wzorowych fabryk zagłady”, miało być rzekomo przeciwwagą dla barba-

historia – czarne dziury, białe plamy

rzyńskich metod sowieckich, ponieważ w ZSRR ofiary uśmiercano strzałem w tył czaszki, natomiast niemiecki sposób eksterminacyjny – według propagandy Josepha Goebbelsa – był „bardziej humanitarną” metodą unicestwiania. Ofiarom podawano m.in. zastrzyk fenolu w serce lub zduszono je gazem, co zdaniem „autora” ulotki miało wskazywać na siłę niemieckiej misji cywilizacyjnej.

„Obywatelskie” donosy

Zadbano również o rannych żołnierzy niemieckich, gdyż materiał propagandowy dostarczono do szpitala wojskowego przy ul. Żeromskiego 113 w Łodzi. Oficjalną prasę „wzbogacono” o instrukcje „Co należy czynić aby nie wracać na front”. Blokowano również pracę łódzkiej policji (w tym gestapo), wysyłając duże ilości spreparowanych donosów o przestępstwach kryminalnych i politycznych. Ofiarami byli Niemcy, którzy przez wiele godzin w więzieniu lub na posterunku przekonywali śledczych o swej niewinności. Podobnie zahamowano działalność urzędów pocztowych oraz skarbowych, ponieważ zalała je fala fałszywych zawiadomień, zeznań podatkowych, wniosków i skarg. Walkę tą dowództwo AK nazwało akcją „S”, zaś jej sposoby oddziaływania wciąż udoskonalał zespół Jana Libsza.

Silnie oddziaływano też na psychikę rodzin wojskowych, wysyłając do nich odpowiednio spreparowane listy z frontu. Nieoceniona była rubryka „Polegli za Rzeszę i Führera” umieszczana w gazetach okupacyjnych, w której odnajdywano nazwiska Niemców mieszkających w Łodzi. Uważnie obserwowano daną rodzinę i zbierano o niej informacje. Wiedząc już dostatecznie dużo o zmarłym, wysyłano sygnał do łączniczki w głębi Niemiec. Wówczas podszywano się pod jednego z przyjaciół zabitego i raczono bliskich poległego realistycznymi opisami walk i zbrodni na froncie. Tą ostatnią metodę do perfekcji doprowadziła agentka polskiego wywiadu w Niemczech **Halina Kłęb** ps. Jacek II.

W innych przypadkach, wysyłano „życzliwe” zawiadomienia do rodziców dzieci zrzeszonych w Hitlerjugend (HJ) – chłopcy i Bund Deutscher Mädel (BDM) – dziewczęta. Informowano w nich o niemoralnych praktykach ich latorośli. Dzięki temu, zdeterminowani takimi wiadomościami, rodzice często przerywali letnie imprezy w Hitlerjugend Park (obecnie park im. J. Poniatowskiego w Łodzi). Podobnie roztrząsano sprawy wierności współmałżonków niemieckich, uwypuklając ich kontakty z ludnością polską i żydowską. Najczęstszymi obiektami podobnych pomówień byli prominentni działacze NSDAP.

„Nazistowska” opozycja

Działania te bardzo rozwinął Jan Libsz, który w warunkach okupacyjnych posługiwał się dokumentami na nazwisko: Libš lub Libsch. Jako oficjalny działacz NSDAP i NSKK (Nationalsozialistische Kraftfahrerkorpus – narodowosocjalistyczny korpus kierowców), miał dużą swobodę poruszania. W połowie 1943 r. zapoczątkował on kontakty z żołnie-

rzami jednostki transportu samochodowego w Łodzi. Najpierw do bazy przerzucił pisma i ulotki antyhitlerowskie. Następnie wytypował „opozycjonistów” wśród wojskowych, przy czym podstawowym kryterium wyboru było nie informowanie gestapo o nielegalnych drukach. Później „kandydaci” do pracy konspiracyjnej wielokrotnie zgłaszali się w podane przez „Anatola” miejsca. Stąd pobierali dalsze instrukcje i materiały propagandowe. Sam pomysłodawca akcji nie kontaktował się z nimi osobiście, ale za pośrednictwem współpracowników odbierał od niemieckich wojskowych broń, amunicję, medykamenty, benzynę oraz pieniądze. Ofiarodawcy nie przypuszczali, że przekazane środki, szły na dozbrojenie AK. Przez sześć miesięcy dość zręcznie manewrowano całą grupą, stosując szereg wybiegów. Jednym z forteli było dostarczanie prasy tzw. Związku Wolnych Łużyczan lub odwoływanie się do separatyzmu poszczególnych landów. Eksponowano zwłaszcza samodzielność Bawarii, co miało ugruntować tezę powrotu Niemiec do systemu przedjednoczeniowego. Ponadto chcąc poszerzyć szeregi niemieckich opozycjonistów, Libsz dodatkowo powołał w bazie transportowej komórkę „NSDAP – Erneuerungsbewegung”. Miała być to opozycja w łonie partii nazistowskiej, którą rzekomo kierował – zbiegły do Wielkiej Brytanii – Rudolf Hess.

Dekonspiracja i śmierć

Niestety reakcja okupanta nastąpiła bardzo szybko: jeden z żołnierzy jednostki transportowej doniósł na swych kolegów. Do grudnia 1943 r. zatrzymano ok. 40 wojskowych oraz Polaków będących w stałym kontakcie z „niemiecką organizacją”. Nie ujęto natomiast prowodyrę akcji, co skłoniło śledczych do postawienia tezy, że ruch ten był „odizolowanym przypadkiem w armii hitlerowskiej”. Natomiast udział Polaków w działalności na szkodę Rzeszy był jedynie konsekwencją rozluźnienia dyscypliny w szeregach Wehrmachtu. Przełom w sprawie nastąpił wraz z aresztowaniem pracowników węzła kolejowego Zduńska Wola – Karsznice. W ręce policji niemieckiej Polacy trafili już późną jesienią 1943 r. Wśród zatrzymanych byli żołnierze Kierownictwa Dywersji – Kedywu: **Kazimierz Kałużniak** ps. Chiryczyk i **Juliusz Sylla**. Kolarze ci poza pracą dywersyjną prowadzili również działania wywiadowcze, a do odjeżdżających na wschód transportów wojskowych podrzucali prasę „enowską”. Możliwe, że dzięki drukom akcji „N” tajna policja niemiecka powróciła do wątku łódzkiego. Jej współpracownicy otrzymali prawdopodobnie rysopis i zdjęcie poszukiwanego Jana Libsza. 13 czerwca 1944 r. ten niewątpliwy bohater polskiego ruchu oporu został zatrzymany na jednej z łódzkich ulic i osadzony w więzieniu przy ul. Kopernika 29. To są jedyne ślady, jakie pozostały w aktach łódzkiego gestapo. Nie zachowały się natomiast protokoły przesłuchań. Nic pewnego nie wiadomo również o losach więźnia². Wśród najczęściej powtarzanych informacji o Libszu dominują relacje mjr. Zygmunta Janke ps. Walter, Gertruda (tego ostatniego pseudonimu używał od marca 1943 r., gdy został komendantem Okręgu Śląsk AK). Według niego po dwóch tygodniach śledztwa w gmachu przy ul. Anstadta 7 (siedziba gestapo w Łodzi), „Anatoli” został zastrzelony przez oficera śledczego, gdy próbował rzucić się na konfidenta.

Podobny los – kilka miesięcy wcześniej – spotkał kilku żołnierzy niemieckich z bazy transportowej w Łodzi. Ich czyny prokurator ocenił jako zbrodnicze, zaś wyrok sądu wojkowego brzmiał: kara śmierci przez rozstrzelanie. Jednostkę, z której pochodzili żołnierze rozwiązano a większość wojskowych wcielono do kompani karnych. Nie doczekali końca wojny również dwaj dzielni kolejarze ze stacji Karsznice, gdyż wyrok przez powieszenie wykonano na nich 25 lutego 1944 r. Egzekucji musiała się przyglądać żona jednego z dywersantów Maria Kałużniak (została zastrzelona 22 czerwca 1944 r. w Oświęcimiu). Epilog całej sprawy nastąpił w początku sierpnia 1944 r., gdy na cmentarzu żydowskim w Łodzi rozstrzelano 50 żołnierzy AK z pionu wywiadowczego Okręgu Łódź. Wśród zabitych były również osoby związane z łódzką akcją „N”.

Niestety, upływający czas zaciera w pamięci wydarzenia oraz zniekształca ich przebieg. Natomiast w umysłach ludzkich funkcjonują jedynie pojedyncze epizody z czasów wojny i okupacji. Takim niesłusznie mało znanym „okrucichem historii” są z pewnością losy Jana Libsza. A także losy wielu bezimiennych kolporterów oraz redaktorów prasy podziemnej w Łodzi.

Nadal, po upływie kilkudziesięciu lat od zakończenia drugiej wojny światowej, niewiele wiemy na temat akcji „N” oraz działań wywiadowczych łódzkiej konspiracji. Sama łódzka komórka propagandowa Libsza w 1942 r. miała liczyć 19 osób, współpracowali z nim: **Somplawski ps. Orlicz**, **Feliks Filipczyński ps. Kmicic** i **Anna Lebiedzińska-Filipczyńska ps. Elżunia**. Zespół ten, był w stanie rozkolportować miesięcznie ok. 600 różnego rodzaju druków „enowskich”. Z pewnością nie była to jedyna komórka propagandowa w Łodzi. Podobne działania podejmowały również inne obwody w Okręgu Łódź AK. Na przykład, już w grudniu 1939 r. w Koluszkach istniała oddzielna sekcja „enowska”. Podobna działała też w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie nadzór nad tą formą walki przejęli **Bronisław Okrójka ps. Siwy** i **Mieczysław Remiesz ps. Chaber**.

Artur Ossowski

– historyk, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi.

Przypisy:

1. Są to bardzo ważne ustalenia, do których dużo wniósł dyrektor Muzeum Historii Miasta w Zduńskiej Woli – Jerzy Chrzanowski. Postarał się on o odtworzenie jego drogi konspiracyjnej w rodzinnym mieście i wskazał jego najbliższych współpracowników.
2. Przy zatrzymanym znaleziono dokumenty na nazwisko Johann Libsz, zaś w rubryce miejsce zamieszkania widniała nazwa Albert Breyerstr. 11 [Breyer 1915-1918; Brajer 1918-1933; Murarska 1933-1939; Maurergasse 1940-1945; Murarska od 1945 r.] Kolejnym miejscem odosobnienia było więzienie przy ul. Sterlinga 16, co oznaczało przejęcie sprawy przez łódzkie gestapo.

Dokumenty ze zbiorów Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi

Łódzianie

Dogonić czas...

Jerzy Urbankiewicz (1915 – 2004)

Mieczysław Gumola

str. 197

Budowniczy miasta Łodzi

Ignacy Stanisław Stebelski (1863 – 1909)

Andrzej Siwek

str. 204

Przedsiębiorca, społecznik, patriota

Antoni Stamirowski (1863-1938)

Andrzej Kempa

str. 208

1. The first part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States.

2. The second part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States.

3. The third part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States.

Dogonić czas...

Jerzy Urbankiewicz (1915 – 2004)

Pracował niezmordowanie do ostatnich dni życia. W łagrze przeżył 12 lat, gdyby doliczyć czas wojny, to tych lat niepowrotnie zabranych z twórczego życia, byłoby 16. Po powrocie do Łodzi zwykł mówić nowo poślubionej żonie Janinie: „Gonię czas, nadrabiam to, czego nie mogłem zrobić wcześniej”. W ciągu dnia spokojny i opanowany, w nocy krzyczał przez sen – wydawało mu się bowiem, że leży na pryczy w Workucie.

Jerzego Urbankiewicza znali tysiące ludzi. Kilkaset żegnało go w słoneczny sierpniowy dzień na zarzewskim cmentarzu. Takiego pogrzebu, ze Szwadronem Kawalerii Wojska Polskiego, Łódź jeszcze nie widziała. „Rodzinne miasto nie zapomni Ciebie, Panie Pułkowniku i potrafi zachować w swojej pamięci” – zapewnił prezydent Jerzy Kropiwnicki. Tymi słowami wyraził odczucia wszystkich zebranych.

„Autobiografię” swoją pomieścił Jerzy Urbankiewicz na dwu kartkach papieru. Przypomina ona żołnierski meldunek. Oto jej pierwsze zdania: *Urodziłem się w Łodzi 23 czerwca 1915 roku, a więc w czasie pierwszej wojny światowej, a do tego pod okupacją niemiecką. Syn Walerego i Zofii z Kowalewskich. Ojciec był wówczas motorniczym w tramwajach łódzkich (miejskich), później awansowany do stanowiska kierownika Wydziału Ruchu (Kolei Elektrycznej Łódzkiej). W roku 1934 zdałem egzamin maturalny w gimnazjum Aleksandra Zimowskiego. Zdanie, poświęcone szkole, zostało poszerzone później we wspomnieniu, które opublikowałem w „Kronice Miasta Łodzi” (nr 3-4 2003). Tytuł artykułu mówi sam za siebie: „Takiej szkoły się nie zapomina”. Wspomina w nim zarówno nauczycieli jak i ulubionych kolegów: Chodziłem do szkoły w takim samym mundurku w jakim chodzili młody Scheibler, Grohman, czy Jasio Rzewuski, spokrewniony z Heinzami. Z kolegów najlepiej zapamiętałem przede wszystkim rówieśników, którzy dotrwali do tego tysiąclecia. Znakomity adwokat – Edward Król. Znakomity ginekolog – Bogusław Krawczyk, Antoni Mader, bohater drugiej wojny (Siły Zbrojne na Zachodzie) Zdzisław Mrugański. Nigdy nie zapomnę Sławka Krzywobłockiego, kawalerzysty, tak jak ja. Zmarł w Argentynie – też pięknie się zapisał w historii kampanii wrześniowej.*

Lata nauki w szkole łączył z pasją sportową. W 1933 r., jako uczeń siódmej klasy Gimnazjum Zimowskiego, w barwach Łódzkiego Klubu Sportowego (bez zgody szkoły, więc nielegalnie, ale z życzliwym przymrużeniem oka dyrektora gimnazjum

rodzanie

– Rolińskiego) zdobył mistrzostwo Łodzi, a później mistrzostwo Polski w klasie juniorów w szermierce.

Po maturze zgłosił się na ochotnika do wojska, dostał przydział do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Ukończył ją z pierwszą lokatą jako prymus. W 1937 roku otrzymał stopień podporucznika. Potem wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Studia przerwała wojna. Kontynuował je podczas okupacji na tajnych kompletach Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a dokończył po powrocie z łagru w 1957 r. na Uniwersytecie Łódzkim.

We wrześniu 1939 r. otrzymał wezwanie do Pułku 4 Ułanów Zanie-meńskich w Wołkowysku, gdzie został dowódcą plutonu w szwadronie marszowym. Bilans tamtych dni zawarł w stwierdzeniu: *...udział w walkach wrześniowych niewielki. Internowany przez Litwinów w Rakiszkach, od stycznia 1940 r. znalazł się w obozie w Kalwarii Suwalskiej. W kwietniu 1940 r. uciekł stamtąd do Wilna, gdzie otrzymał konspiracyjne dokumenty na nazwisko Andrzej Zawada. I tak łodzianin stał się wilnianinem.*

Wileński okres zdecydował o dalszym biegu jego życia. Tam został zaprzysiężony do Związku Walki Zbrojnej, a później znalazł się w Armii Krajowej. Był dowódcą oddziału specjalnego – Egzekutywy. W jednym z wywiadów wyjaśniał: *Nazwa egzekutywa pochodzi od tego, żeśmy wykonywali głównie wyroki na różnych zdrajcach i tzw. wtyczkach. Wilno było nasycone kolaborantami litewskimi. Likwidowało się zdrajców i szpiegów nie w domach, tylko na ulicy. W każdej chwili można było dostać ostrzał z innej strony. Bywało, że po zamachu trzeba było się ostrzeliwać Niemcom czy Litwinom. Zawsze można było zginąć samemu. Dalekie to było od wykonywania wyroków, jakie widzi się w filmach.*

Wyróżnił się jako uczestnik kilku brawurowych akcji. Za udział w odbiciu z więzienia w Wilnie schwytanego przez Niemców polskiego „cichociemnego” Eugeniusza Chylińskiego „Freza”, został awansowany do stopnia rotmistrza i odznaczony Krzyżem Walecznych. 6 lipca 1944 r. w ramach akcji „Burza”, dowodząc plutonem w Oddziale Rozpoznania Komendy Okręgów AK, w przeddzień ataku oddziałów AK na Wilno, zaatakował oddział niemiecki, wziął do niewoli kilku podoficerów, zdobył wozy z końmi, bronią i sprzętem wojskowym. Za ten wyczyn otrzymał Krzyż Srebrny Virtuti Militari.

Po zdrazieckim rozproszeniu AK przez NKWD próbował wraz z grupą kolegów przedrzeć się na Zachód. Zatrzymany przez oddział sowiecki został odesłany do armii Berlinga. Nie zgłosił się do niej. Znow uciekł do Wilna, gdzie wyrobił sobie papiery na nazwisko Michał Pełka. Działal dalej w Armii Krajowej a dla niepoznaki pracował jako stróż w piekarni. 5 października 1944 r. został aresztowany przez NKWD. Znalazł się potem w grupie sądzonych, w sierpniu 1945 r., dowódców Komendy Okręgu AK Wilno. Oskarżano ich o to, że jako oficerowie polscy zorganizowali się pod sztandarem Armii Krajowej i na tyłach Armii Czerwonej prowadzili działania terrorystyczne.

Pięciu skazanych, wśród nich Jerzy Urbankiewicz – sądzone jako Michał Pełka – otrzymało po 15 lat katorżniczych robót, dwie łączniczki – po 10 lat, a dwóch podsądnych skazano na 5 i 7 lat więzienia. Po wyroku skazani gratulowali sobie, że tak wysoko oceniono ich podziemną działalność. Uważali, że wykonanie wyroków uniemożliwi rychłą wojna mocarstw zachodnich z Sowietami. Ale oczekiwania nie spełniły się i łagier stał się rzeczywistością, z którą przyszło godzić się przez wiele lat. Jerzy Urbankiewicz wspominał po latach: *Okres wyniszczenia trwał gdzieś do 1948 roku. Potem był okres znośniejszy, mniej więcej do śmierci Stalina. Najłatwiejszy do przeżycia w łagrze był czas po jego śmierci.*



Kolejne lata katorgi przynębiały nawet najbardziej wytrzymałych spośród skazanych, pojawiały się załamania i kryzysy. Nie ominęły one i Urbankiewicza. Po przeniesieniu do następnej kopalni spotkał znajomego Litwina. Nie widzieli się pół roku. Ten zatrzymał się i nie dowierając własnym oczom zapytał: „Panas Pełka, to pan?” Z pytania wynikało, że nie mógł go rozpoznać, gdyż tak się zmienił, w tak krótkim czasie. Jerzy Urbankiewicz przezwyciężył jednak kryzys. Przetrzymał w Workucie 40-to stopniowe mrozy oraz gwałtowne wichury zwane „purgą”. Wspominał po latach, że najtrudniej pracowało mu się przy wydobywaniu węgla na dole i ładowaniu go na wózki. Przydały się mu wtedy uzdolnienia plastyczne i wiedza wyniesiona z Gimnazjum Zimowskiego, gdyż został kopalnianym „chudoźnikiem” i malował portrety oraz to, co mu zlecono. Kiedy zaś odebrano mu to zajęcie i zatrudniono w to miejsce Rosjanina, udało mu się zostać elektrykiem. To dawało szansę przeżycia. Lata łagru odcisnęły jednak swojego piętno na zdrowiu. Pojawił się szkorbut, zaczęło szwankować serce, męczyły nerwy.

Nadszedł 1956 r. Z sowieckich łagrów dawno już odjechali Niemcy, jeńcy uwolnieni po wizycie Adenauera w Moskwie. Jerzy Urbankiewicz, żołnierz podziemia walczący z niemieckim okupantem, nadal odsiadywał swój wyrok w Workucie. Nie był to jednak dawny „łagier”, bo postalinowska „odwilż” i tutaj dotarła. Przychodziły już listy i paczki z Polski. W jednej z przesyłek znalazł się tygodnik „Nowa Kultura” z 1 kwietnia 1956 r, ówczesny organ Związku Literatów Polskich. Jego pierwszą tytułową stronę zdobiło hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”, oraz rysunek stylizowanej kolumny a obok niej rozwiany czerwony sztandar. Nie to jednak liczyło się najbardziej, bo najważniejszy był artykuł Jerzego Piórkowskiego: „My z AK”. Po latach w jednym z felietonów Urbankiewicz tak opisał swoje odczucia: *Sensacja! Ci co służyli Moskwie uznali prawdę naszego akowskiego zrywu, naszej walki o wolność! Nie wytrzymałem. Na papierze z worka do cementu napisałem list, wysłałem go nielegalną, okrężną drogą, a w nim ujaw-*

niem autorowi radość i żal, że nie wie...Oto fragment tego listu: „Pana artykuł to pierwszy ciepły promień, który wprost z kraju wysłany, przeświecił mrok tajgi i znalazł nas, rozsiadanych po tundrze. Promień, który wywołał uśmiech, nieodłączny od słowa »nareszcie« i... zgasł. Zgasł, bo artykuł dotyczył tylko akowców z powstania warszawskiego. A my tkwimy w dalszym ciągu w tych cholernych wrogich nam przeszczeniach, zapomniani przez świat i Polskę”.

Jerzy Piórkowski odpisał kilkakrotnie do Workuty. Wymiana korespondencji trwała do jesieni. Zanim Urbankiewicz wrócił do Polski, w „Nowej Kulturze” 25 listopada 1956 roku ukazały się „Cztery listy z Workuty” jego autorstwa. Była to pierwsza w kraju publikacja zawierająca prawdę o łagrach. Ten numer tygodnika – w nakładzie 68.100 egzemplarzy – stał się bestsellerem. Listy z Workuty redakcja poprzedziła artykułem wstępnym Piórkowskiego, członka AK w latach wojny, ale pogodzonego z powojenną rzeczywistością kraju. Na jego ugodowość nie mógł zgodzić się autor listów. Zaznaczył to już w pierwszym zdaniu pierwszego listu: *Dla Polaka – publicysty, wyznającego socjalistyczne credo, fałszywość taktyki i poglądów polskiej emigracji jest tak oczywista, jak oczywistą jest fałszywość socjalistycznych założeń dla publicysty-emigranta.*

Miesiąc później, w bożonarodzeniowym numerze „Nowej Kultury”, pojawiło się obok nazwisk Zofii Nałkowskiej, Juliana Tuwima, Rainera Marii Rilke nazwisko Jerzego Pełki – Urbankiewicza. Artykuł: „Adres: Workuta, Posiołek Jużnyj” zaczynał się krótkim, radosnym meldunkiem: *Jestem w kraju.* Tym tekstem współpraca z tygodnikiem i jego redaktorem Piórkowskim zakończyła się.

W Łodzi obszerny artykuł Jerzego Pełki-Urbankiewicza: „Serca i noże” zamieścił dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kronika” 1 lutego 1957 r. Kończył się zdaniem, mówiącym o solidarności Polaków w workuckim łagrze: *O chleb można walczyć nożem czy pazurami. Chleb można zdobyć wysiłkiem wielu serc.* Wkrótce ten dwutygodnik przestał się ukazywać. Jego naczelny – Jan Koprowski – nie ukrywał, że to właśnie ten tekst przyczynił się do podjęcia przez władze partyjne decyzji o likwidacji „Kroniki”.

Publikacje prasowe miały jeszcze jeden skutek – wpłynęły na życie osobiste autora. Jedną z zapalonych czytelniczek jego artykułów była młoda absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego Janina Wnukowicz – wilnianka z pochodzenia. Spotkał ją przypadkowo w „Miastoprojekcie”, gdzie pracowała, a do którego przyniósł wykonane przez siebie zdjęcia z zakładowej uroczystości. Dowiedziała się wówczas, że niedawno przyjechał z „nie ludzkiej ziemi”. Z przejęciem opowiedziała nieznanemu o niedawno przeczytanych listach z Workuty. Nie myślała, że ma przed sobą ich autora. Oceniała bowiem, że jej rozmówca, przystojny blondyn, o przenikliwych, niebieskich oczach, jest ledwie parę lat od niej starszy. – *To ja pisałem te listy* – usłyszała zaskoczona. Potem dopiero dowiedziała się, że dzieli ich znacznie większa różnica lat. W 1957 roku wzięli ślub. Dwa lata później urodził się im syn – Piotr.

Jako publicysta Urbankiewicz znalazł pracę w dziennikarstwie. Najpierw w łódzkiej telewizji. Zajmował się w niej teatrem, koncertami, życiem kulturalnym. A że nie krył swoich przekonań politycznych, miał więc przeciw sobie partyjnych redaktorów i dyrektora. Nie był wygodny, ale zwolnić go się nie dało, założył bowiem komórkę związków zawodowych i korzystał ze związkowej ochrony. Jednak tylko do czasu. Otrzymał bowiem wezwanie na rozmowę do osoby wtedy w Łodzi najważniejszej – Michaliny Tatarkówny, I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR. Usłyszał od niej: „Pan będzie musiał odejść”. Dała mu jednak możliwość wyboru – prasę lub radio. Wybrał radio. Pracował w łódzkiej rozgłośni od 1961 do 1974 roku. Kiedy i tu postawił się partyjnemu dyrektorowi musiał szukać nowego miejsca pracy. Znalazł je w „Dzienniku Łódzkim”. W dziale kulturalnym tej gazety przepracował cztery lata. W 1978 r. schronił się na wcześniejszą, kombatancką emeryturę. Nie była wysoka, bo pensje i wierszówki wszędzie otrzymywał skromne. Zaczął dorabiać jako lektor języka angielskiego, którego wyuczył się sam jeszcze w sowieckim łagrze. Zyskał opinię wymagającego, ale także świetnego lektora. Na hospitację jego zajęć profesorowie uniwersyteccy przyprowadzali studentów anglistyki. Bywał nawet zapraszany jako tłumacz przez przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej – Edwarda Kaźmierczaka, kiedy przyjeżdżały delegacje z Zachodu. Zaczął też intensywnie pisać książki. Tworzyłem ich były materiały zebrane w pracy dziennikarskiej. W 1976 r. został przyjęty do Związku Literatów Polskich. Po zawieszeniu związku, w okresie stanu wojennego, Urbankiewicz stworzył w Łodzi Klub Pisarzy, który wszedł w całość do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Został też wybrany na prezesa Oddziału Łódzkiego SPP pierwszej kadencji.



Pracował bez wytchnienia – gonił czas. Wydał 22 książki (tyle tytułów wypisałem z katalogów łódzkich bibliotek). Jeśli przyjąć średnio 250 stron na jedną pozycję, daje to łącznie 5500 stron. Pamiętać zaś trzeba, że pierwszą książkę Urbankiewicz wydał w 1969 roku, czyli w pięćdziesiątym czwartym roku życia a ostatnia, jeszcze w maszynopisie, spoczywa wśród domowych archiwaliów. Omówienie pisarskiego dorobku Jerzego Urbankiewicza powinno doczekać się szybkiej realizacji przez środowiska akademickie i kulturalne Łodzi. W tym numerze „Kroniki Miasta Łodzi” możliwe jest tylko wymienienie tytułów książek według kolejności ich ukaazywania się.

Ostatnie kilkanaście lat życia poświęcił sprawie, której czuł się strażnikiem – dokumentowaniu przeszłości akowskiej na terenie dawnych polskich Kresów. To ogromna praca i wielka sprawa. Wiedział, że kiedy inni towarzysze walki odeszli, jego obowiązkiem jest trwać na posterunku, do końca. W 1969 r. wybrano go do zespołu koordynacyjnego Okręgu Wileńskiego AK. Od 1989 r. przewodniczył Stowarzyszeniu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej „Wiano”. Przyjął na siebie też obowiązki redaktora biuletynu „WIANO” – Trybuny Akowców Wileńskich. Przez 15 lat – co miesiąc – przygotowywał kolejny, szesnastostroniowy numer biuletynu. Pisał do niego artykuły, czytał i adiustował materiały przysyłane przez kolegów z kraju i zagranicy. Zabiegał o fundusze na druk, a kiedy ich brakowało – dokładał własne pieniądze. Ostatnie numery „WIANA” przygotował mimo nasilającej się z każdym dniem choroby. Wierzył że z niej wyjdzie. Myślał o następnych edycjach.

Stworzył też placówkę, o której niewiele wiedzą nawet bliskie mu osoby. Jest to Muzeum Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego. Mieści się ono w Łodzi przy ulicy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego 156. Ma bardzo dobrych i życzliwych opiekunów – Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II oraz parafię, która najpierw przygotowała a następnie użyczyła na muzeum swoje pomieszczenia. W sali wystawowej znalazły się militaria, fotografie wielkich formatów, odpisy dokumentów, manekiny przedstawiające żołnierzy różnych formacji, ziemia z miejsc drogich polskiej pamięci – Rossy, Charkowa, Miednoje, Monte Cassino, Irkucka, Narwiku, Katynia. Łącznie zaprezentowanych zostało, w bardzo przejrzysty i czytelny dla idei muzeum sposób, ponad 150 eksponatów. Muzeum jest ważnym dziełem Jerzego Urbankiewicza – to on dostarczał eksponaty, kupował militaria, projektował poszczególne wystawy. Dziś muzeum, dla którego opracowuje się statut i przygotowuje dokumenty potrzebne do oficjalnego zarejestrowania przez Ministerstwo Kultury, ma opiekuna w osobie młodego historyka, nauczyciela licealnego – Macieja Chocholskiego, któremu poprzez tradycje rodzinne, placówka ta jest bardzo bliska. Nad salą wystawową wygospodarowano pomieszczenie, gdzie mieści się archiwum i które służy na zebrania zarządu Stowarzyszenia Okręgu Wileńskiego AK „Wiano”.

Jerzy Urbankiewicz zmarł 11 sierpnia 2004 r. W poniedziałek, 16 sierpnia 2004 r. żegnaliśmy pułkownika Wojska Polskiego, Kawalera Krzyża Srebrnego Virtuti Militari i Krzyża Walecznych oraz łódzianina uhonorowanego w 1993 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski a w 2000 r. Medalem Europy przyznany przez Federację Kombatantów Zjednoczonych w Paryżu. W szeregu odznaczeń wymienić trzeba jeszcze jedno, szczególnie przez niego cenione: Nagrodę Miasta Łodzi. Wręczył mu ją 17 maja 1995 r. przewodniczący Rady Miejskiej – Grzegorz Palka. Dziękując, również w imieniu pozostałych laureatów – reżysera Wojciecha Hasa i profesora Stanisława Liszewskiego – Jerzy Urbankiewicz powiedział: *Nagrodę Miasta Łodzi ustanowiono przed siedemdziesięcioma laty. Nagrodzono nią między innymi Aleksandra Świętochowskiego, Zofię Nałkowską, Juliana Tuwima i Władysława Strzebińskiego. Zaszczycem jest figurować obok takich postaci. Nagroda ta to przepustka do historii.*

Jerzego Urbankiewicza – żołnierza, dziennikarza i pisarza – nie da się przedstawić w jednym artykule. Choć cieszyłem się jego przyjaźnią, to znałem ledwie cząstkę tego, co nam, łódzianom pozostawił. Dziś wiem, że ma prawo wejść do historii i pozostać w niej jako człowiek, który w latach pogardy obronił godność i honor Polaka. Dokonał też rzeczy wydawałoby się niemożliwej – dogonił stracony czas.

Mieczysław Gumola



Książki Jerzego Urbankiewicza:

1968 r.: *Sukiennice nad Łódką*, 1969 r.: *Za płotem Paradyżu*, 1970 r.: *Muzy przy krosnach*, 1973 r.: *Prawie pitał*, 1978 r.: *Sezon w Łodzi nie zaszkodzi: dzieje teatrów w Kominogrodzie z wieloma dykteryjkami*, 1978 r.: *Złotook*, 1980 r.: *Śledztwo w sprawie Geo-2*, 1982 r.: *Dwa stopnie Celsjusza*, 1984 r.: *Czerwone goździki stępują wrażliwość*, 1984 r.: *Passe – portout w ciepłym kolorze*, 1984 r.: *Szmerek na widowni*, 1986 r.: *Gdzie są konie z tamtych lat*, 1991 r.: *Szabla zardzewiała*, 1993 r.: *Walczyliśmy o Wilno*, 1994 r.: *Trzeci dzień purgi*, 1995 r.: *Parchy, Szwabry, Goje*, 1996 r.: *Legenda jazdy polskiej t. I*, 1996 r.: *Legenda jazdy polskiej t. II*, 1998 r.: *Workuta*, 2000 r.: *Pustka na piedestałach*, 2001 r.: *Oko Judasza*, 2002 r.: *Winciuk nie zapomniał. Legenda Ziemi Wileńskiej*.

Budowniczy miasta Łodzi

Ignacy Stanisław Stebelski (1863 – 1909)

Smardzowice położone są około 20 km na północ od Krakowa. Z pozoru wieś nie wyróżnia się niczym szczególnym od innych, rozsianych na jurajskiej wierzchołach. Strzelista wieża kościoła parafialnego widoczna z daleka, w szerokich panoramach wskazuje drogę do miejscowości malowniczo wtopionej w mozaikę pól, przeciętej smugą lasu należącego do pobliskiego Ojcowskiego Parku Narodowego. Monumentalny, neostylowy kościół zaprojektowany w 1899 roku przez powiatowego budowniczego i wznoszony mozolnie do 1940, zrujnowany przez gminnych użytkowników dwór, a właściwie dworkowa willa z lat międzywojennych oraz zachowane nieliczne tradycyjne, drewniane zabudowania wiejskie określają lokalne dziedzictwo historii.

Jednak wędrowca, który zabłąka się na miejscowy cmentarz parafialny czeka niespodzianka. Cmentarz ów wyróżnia się spośród wielu innych wiejskich nekropolii nagromadzeniem „pańskich” nagrobków z końca XIX i początku XX w. Wciąż jeszcze opierają się one wszechogarniającej fali zunifikowanych i bezosobowych „nowoczesnych” pomników. Nagrobne inskrypcje w starszej części cmentarza wskazują, że pochowano tu ludzi pochodzących z różnych stron Polski. Na jednym z nagrobków odnajdujemy napis:

Ś.†P.
IGNACY STANISŁAW
STEBELSKI
INŻYNIER CYWILNY
BUDOWNICZY M. ŁODZI
W WIEKU LAT 46
ZM. W OJCOWIE D. 22 CZERWCA
1909 R.
POKÓJ JEGO DUSZY”.

Na bocznej płaszczyźnie pomnika można dostrzec dyskretnie umieszczoną informację: MEŻOWI ŻONA”.

Grobowiec wyróżnia się ciekawą formą plastyczną i starannym opracowaniem. Nic dziwnego – w dolnej partii kamiennej kompozycji widnieje również sygnatura wykonawcy:

F. HOCHSTIM
W DĄBROWIE I MIECHOWIE.

Pomnik nagrobny ukształtowano jako romantyczną, niesymetryczną bryłę, która wygląda jak strzaskana skała, lub stos kamieni. Inskrypcje wykute są na wygładzonych powierzchniach skały. Na jednej z bocznych płaszczyzn, wieńczących ukośnie głąz umieszczono reliefowy krzyż. Na jego ramionach można odczytać napis: „BĄD· WOLA TWOJA”. Krzyż oplata gałąź bluszczu z wplecionymi kwiatami powoju i girlandą spływającą ku tablicy z imieniem zmarłego. Pod tablicą, w jednej ze szczelin skalnych widoczne są liście paproci. Rośliny odkute są w kamieniu, w głębokim reliefie, z dużą dbałością o szczegóły i wierność wizerunku. Pomnik wznosi się nad grobem ziemnym, jego granice wyznacza ogrodzenie w formie łańcucha żelaznego rozpiętego między słupkami, które również mają nieregularne formy odłamków skalnych. Całość jawi się jako kompozycja przesycona czytelną symboliką o romantycznym, sentymentalnym zabarwieniu.

Mogiła pod symboliczną skałą ma w sobie coś z grobu wędrowca lub wygnańca. Mnożąc skojarzenia i interpretacje nie można zapominać, że forma opisywanego nagrobka nie jest wyjątkowa dla swej epoki. Malowniczo i romantycznie ukształtowane pomniki – skały odnajdujemy na wielu cmentarzach z XIX/XX w. oraz we wzornikowych wydawnictwach dla ówczesnych rzeźbiarzy i kamieniarzy. Owa typowość nie ujmuje jednak wartości rzetelnie wykonanego i efektownego dzieła, podkreślającego znaczenie pochowanej osoby.



O Ignacym Stanisławie Stebelskim, dumnie przedstawionym jako łódzki budowniczy, nie wiemy dziś zbyt wiele. Rozproszone dane zebrali w swych opracowaniach łódzcy historycy sztuki: Jacek Strzałkowski i Krzysztof Stefański. Dzięki uprzejmości profesora Stefańskiego, który udostępnił część materiałów, można pokusić się o krótką charakterystykę zawodową Stebelskiego.

Ignacy Stanisław Stebelski, jak podaje Strzałkowski, urodził się w Warszawie 19 lipca 1863, jako syn Edwarda i Teodory z Jabłonowskich. Ojciec stanu szlacheckiego, poświęcił się skromnej karierze urzędniczej w Komisji Spraw Wewnętrznych. Ignacy Stebelski wykształcenie zdobywał w Wyższej Szkole Rzemieślniczej w Łodzi i Instytucie Inżynierów Cywilnych w Petersburgu, gdzie w 1892 uzyskał dyplom. Wkrótce podjął pracę „konduktora budowli”. W 1893 ożenił się z młodszą od siebie o 6 lat, Stanisławą Starkiewicz. W 1894 otrzymał tytuł kolegiального sekretarza, co oznaczało krok w karierze urzędniczej, w administracji budowlanej. Od 1894 jako nadetatowy technik Rządu Gubernialnego sprawował obowiązki pomocnika miejskiego architekta Łodzi, którym od 1892 był Franciszek Chelmiński. W 1900 Stebelski złożył wniosek o nadanie tytułu „wolnonajemnego architekta”. W tym samym roku uzyskał uprawnienia do nauczania budownictwa fabryczno-przemysłowego oraz order św. Stanisława III klasy, za wybudowanie dywizyjnej cerkwi i szpitala w Raduczu. W latach 1901-1909 był młodszym architektem miejskim. W latach 1908-1909 pełnił obowiązki kierownika prac przy prestiżowej budowie łódzkiej katedry pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, wznoszonej od 1901 według projektu berlińczyka E. Zillmana.

Podpis Stebelskiego widnieje na wielu projektach łódzkich, które uzgadniał w ramach swej działalności urzędniczej. Trudniej przypisać mu bezspornie własne realizacje. Wiadomo, że w roku 1899 opracował projekt kościoła w Nowych Chojnach, do którego realizacji nie doszło. Wzniesiona tam w 1905 roku kaplica Przemienienia Pańskiego z dużą dozą prawdopodobieństwa jest jego autorstwa. Prawdopodobny jest również jego związek z budową willi Reinholda Richtera przy ul. Placowej w Łodzi, w 1903 roku. Najpewniej ograniczał się do weryfikacji projektu opracowanego przez któregoś z berlińczyków. Zdaniem Stefańskiego mimo tak nieokreślonego dorobku twórczego, Stebelski odgrywał istotną rolę w kształtującym się u progu XX wieku środowisku zawodowym architektów łódzkich. Dowodzi tego choćby fakt, iż był jednym z założycieli Koła Architektów w Stowarzyszeniu Budowniczych w Łodzi.

Jak człowiek tak zakorzeniony w łódzkim środowisku architektonicznym, trafił na miejsce wiecznego spoczynku, na wiejski, podkrakowski cmentarz? Jacek Strzałkowski podaje, że Stebelski od 1906 roku chorował na serce, a bezpośrednią przyczyną śmierci był nowotwór gardła. Jedną z tych dolegliwości była zapewne główną przyczyną wyjazdu do Ojcowa, miejscowości słynącej wówczas z walorów uzdrowiskowych. Niestety, architekt wkrótce zmarł. W związku z tym, że miejscowość ta należała do parafii w Smardzowicach, Stebelski został pochowany na lokalnym cmentarzu, jak wielu innych kuracjuszy z głębi Królestwa.

Warto uświadomić sobie jak ważnym i zyskującym sławę miejscem, w owych czasach był Ojców. Wieś położona u stóp ruin zamku kazimierzowskiego, w malowniczej dolinie Prądnika, ograniczonej wapiennymi skałami o pobudzających wyobraźnię formach, cieszyła się w drugiej połowie XIX w. rosnącą renomą uzdrowiska. Było w tym nieco prawdy i nieco kreacji. Osłonięta skałami, a mimo to dobrze nasłoneczniona dolina wyróżniała się łagodnym i przyjaznym klimatem. Józef Dietl stwierdzał: „spokojne zatem, względnie cieplejsze i najrozmaitszymi zapachami przepełnione powietrze, liczne źródła dostarczające najczystszej wody, sprawiają, iż Ojcowską dolinę uważać można za prawdziwie lekarsko-klimatyczną miejscowość”. Pogląd ten powtarzały liczne przewodniki wydawane od schyłku XIX w. między innymi w Warszawie i Łodzi. Dla popularności Ojcowa nie bez znaczenia była sytuacja polityczna. Była to niemal graniczna miejscowość, wysunięta na południowy skraj Królestwa Kongresowego. Wędrowcy spragnieni rozległych panoram i emocji skalnych przepaści, łatwiej mogli tu dotrzeć niż pod Tatry. Przewodnik Kazimierza Wróblewskiego z 1907 dostarczała praktycznych informacji, jak do Ojcowa dotrzeć: „...radzę mieszkańcom Warszawy i Łodzi wyjeżdżać rannym pociągiem drogi Warszawsko-Wiedeńskiej. /.../ W Ząbkowicach zapytać konduktora, czy należy przesiąść do innego pociągu, który w kilkanaście minut przewiezie do Gołonogu, gdzie znów się przesiada do pociągu kolei Iwanogrodzko-Dąbrowskiej. Ten /.../ przewiezie nas do Olkusza na godzinę 6 m. 22 wieczorem. /.../ W Olkuszu zastanie podróżny zawsze oczekujące odkryte krakowskie wózki, dość wygodne /.../. Odległość od Olkusza do Ojcowa /.../, choć droga nie wszędzie odznacza się równością, przebywa podróżny w dwie i pół godziny...” Po takiej podróży kuracjusz, lub turysta osiadał w Ojcowie: „w tem cichem ustroniu, jakby umyślnie przeznaczonem na miejsce wytchnienia dla umysłów strudzonych nauką lub biurową pracą, dla nerwów rozstrojonych i dusz skołatanych w zapasach z życiem.” (K. Wróblewski, *Przewodnik po Ojcowie*, Warszawa 1907).

Taką drogę do ojcowskiego uzdrowiska musiał przebyć Ignacy Stanisław Stebelski, budowniczy miasta Łodzi. Jak pokazuje powyższa historia, miała ona być jego ostatnią drogą.

Na smardzowickim cmentarzu pozostał okazały nagrobek łódzkiego budowniczego, wykonany przez znaną i cenioną firmę kamieniarsko-rzeźbiarską. Wspomniany okrucuch dziejów indywidualnych jest zarazem typową historią wielu Polaków z lat zaborów. Jest to jednocześnie dokument historyczny, przyczynek do dziejów ojcowskich i łódzkich oraz swoista kłamra łącząca serdecznymi więzami rozmaite miejsca na mapie naszego kraju.

Andrzej Siwek
– historyk sztuki;
główny specjalista
w Wojewódzkim Urzędzie Ochrony Zabytków w Krakowie.

Przedsiębiorca, społecznik, patriota

Antoni Stamirowski (1863-1938)

Początek rodowi Stamirowskich herbu Półkozic dał Jan Ligęza, wojewoda łęczycki, piastujący równocześnie godność starosty łęczyckiego. W dokumentach źródłowych występował jak Jan z Jurkowa (1366), Rzeczyca (1367), Niewiarowa (1385), Niegowici (1401), Przeclawia (1410) i Bobrku (1410). Był posesorem licznych włości rozproszonych w różnych częściach Królestwa, posiadał w Krakowie dom zwany „Ligęza”, który spłonął w czasie pożaru miasta w 1549 r. Nie związał się z ziemią łęczycką, przebywał częściej w Krakowie w pobliżu królewskiego dworu. W bitwie pod Grunwaldem dowodził chorągwią, uczestniczył w podpisaniu unii horodelskiej (1413). Zmarł 23 X 1418 lub 1419 r.

Jego daleki potomek, Józef Dionizy Ligęza Stamirowski (1813-1898), dowiódł szlachectwa przed Heroldią Królestwa Polskiego, zgodnie z wymogami *Prawa o szlachectwie*, ogłoszonego 7 lipca 1836 r., i został zapisany w *Spisie szlachty Królestwa Polskiego* (Warszawa 1851) wraz z braćmi: Konstantym Felicjanem i Ludwikiem Bartłomiejem.

Józef Stamirowski był właścicielem kilku wsi w powiecie rawskim. Wiódł spokojne życie ziemianina, nie uczestniczył w życiu publicznym. Po śmierci pierwszej żony, Teofili z Raźniewskich, poślubił Józefę ze Smoleńskich, córkę Józefa, majora wojsk polskich z czasów Królestwa Kongresowego, i Marianny hr. Męcińskiej, urodzoną 1 marca 1830 r. Owocem tego związku był wybitny łódzianin Antoni Stamirowski. Urodził się 27 maja 1863 r. w Kurzeszynie, majątku ziemskim w powiecie rawskim. Miał jeszcze sześcioro młodszego rodzeństwa. Józefa Stamirowska zmarła 25 listopada 1903 r. i została pochowana na warszawskich Powązkach. Jej nekrolog opublikowany w łódzkim „Rozwoju” (nr 271) podpisali synowie: Antoni i Bronisław oraz zięć Hipolit Olszewski.

Po powstaniu styczniowym, którego epizod zapamiętała dwunastoletnia wówczas stryjeczna siostra Antoniego – Paulina ze Stamirowskich Konarzewska, Stamirowscy musieli sprzedać dobra ziemskie i osiedlić we wsi Wierzychy, leżącej około 17 km od Rawy Mazowieckiej – rodzinnej posiadłości Smoleńskich. Stamirowice przeszły w ręce Fredrów-Bonieckich herbu Bończa, inne majątki również zmieniły właścicieli.

Antoni po ukończeniu szkoły realnej w Łodzi kształcił się w latach 1884-1886 w Szkole Handlowej im. Leopolda Kronenberga, a następnie podjął pracę akwizytora w Łodzi. Sprzyjało mu szczęście, miał też trochę grosza, którego nie poskąpił ojciec, więc założył w zaledwie trzy lata po ukończeniu szkoły dom agenturowy w Łodzi, który niebawem uzyskał wyłączne przedstawicielstwo niemieckich firm „Siemens & Halske” i „Siemens & Schuckert”.

Zapewne około 1890 r. obiecujący młody człowiek wpadł w oko osiemnastoletniej Zofii Marii, córce znanego łódzkiego lekarza Jana Juliusza Lohrera (1832-1912), urodzonej 1 maja 1871 r. w Łodzi. Wkrótce po ich ślubie przyszedł na świat syn Janusz Julian (1891-1952). W tym czasie jego firma rozwijała się znakomicie. W r. 1894 razem ze współnikiem, spolonizowanym Czechem kupcem – Wilhelmem Hordliczką, Antoni założył Dom Handlowy „Hordliczka i Stamirowski” przy ul. Średniej (obecnie Pomorska) 8, a z Ignacym Hordliczką, bratem Wilhelma – fabrykę mydła przy ul. Lipowej. W fabryce tej produkowano tzw. mydło naftowe według receptury dr. Goldzweiga. Mydło noszące fabryczną markę „Lew”, musiało zostać po pewnym czasie zastąpione nową marką „Słoń”, ponieważ na rynku pojawiły się podróbki o gorszej jakości. Dom Handlowy prowadził też dystrybucję urządzeń i aparatury elektrycznej oraz aparatów telefonicznych. Kiedy 1 lutego 1905 r. nieznanymi sprawcami spłądrowali biuro i skład kradnąc aparaty telefoniczne i urządzenia montażowe, a w kilka dni później z magazynu przy ul. Solnej 11 dziewięć beczek rafinowanego oleju lnianego (komponentu do produkcji mydła), współnicy postanowili przenieść sklep na ul. Piotrkowską 150, tam gdzie dawniej znajdowały się składy Towarzystwa Akcyjnego K. Schlössera.

Firma Hordliczki i Stamirowskiego wykonywała wszelkie instalacje z zakresu elektrotechniki: oświetlenie elektryczne, elektryczną transmisję siły, instalacje elektrochemiczne i elektromedyczne, telegraficzne i telefoniczne, elektryczne blokady i sygnalizację na kolejach. Ponadto posiadała największy na terenie ówczesnego Królestwa Polskiego skład armatur elektrycznych, wykonywała również przyłącza do sieci Elektrowni Łódzkiej. (Stamirowski odegrał niepoślednią rolę w czasie pertraktacji „Siemensa” o uzyskanie koncesji na budowę elektrowni w Łodzi.) W osobnym składzie znajdowały się m.in. maszyny dla przemysłu włókienniczego, kotły parowe, automatyczne paleniska kotłowe, barwniki i chemikalia, oleje i smary. W 1911 r. oprócz przedstawicielstw wspomnianych przedsiębiorstw niemieckich Dom Handlowy „Hordliczka i Stamirowski” reprezentował interesy Fabryki Maszyn i Odlewni w Görlitz (jedyne na terenie Królestwa Polskiego i guberni grodzieńskiej), Fabryki Kotłów C. i L. Steinmüller oraz towarzystw ubezpieczeniowych „Providentia” i „Rossija”. W tym ostatnim działem ubezpieczeń kierował Walery Sławek – późniejszy polski premier.

Stamirowski – doskonały specjalista w dziedzinie urządzeń elektrycznych uzyskał stanowisko dyrektora naczelnego Towarzystwa Akcyjnego „Polskie Zakłady Elektrotechniczne Siemens”, posiadające oddziały w Warszawie, Łodzi

i Sosnowcu. Odstąpił wówczas swoją firmę „Siemensowi” i wybudował przy ul. Piotrkowskiej 96 okazałą siedzibę dyrekcji głównej i oddziału łódzkiego, którego kierownictwo powierzył inż. Tadeuszowi Sułowskiemu.

Państwo Stamirowscy uczestniczyli aktywnie w życiu kulturalnym Łodzi. Oboje byli członkami założycielami Polskiego Towarzystwa Teatralnego. Gdy w r. 1902 przedstawiciele inteligencji łódzkiej zwrócili się do władz z prośbą o zgodę na założenie Towarzystwa, policmajster m. Łodzi odmówił aprobaty na użycie przymiotnika „polskie”, upatrując w projektowanym stowarzyszeniu tendencje narodowe. Antoni Stamirowski już w r. 1888 optował za utworzeniem stałej sceny polskiej w Łodzi, przyczynił się też do otwarcia Teatru Wielkiego, był współautorem wydanej z tej okazji książki zbiorowej *Scena polska w Łodzi 1844-1901* (Łódź 1901). Po zatwierdzeniu ustawy Towarzystwa został członkiem jego zarządu a od r. 1909 – prezesem. W *Liście otwartym do łodzianek* z dnia 21 listopada 1903 r., opublikowanym na łamach „Rozwoju” (1903 nr 267), zachęcał przedstawicielki płci pięknej do wspierania powstałego właśnie Towarzystwa. Pisał: „Od kogóż, jeżeli nie od inteligentnych Polek, miłujących piękno, literaturę, sztukę i język ojczysty ma prawo tego rodzaju instytucja spodziewać się najgorętszego poparcia?... Do kogóż, jeżeli nie do nich ma się zwrócić z większym zaufaniem i wezwać je do uczestnictwa we wspólnych usiłowaniach, których owocny skutek będzie zasługą, tych pierwszych pionierów zacnej myśli, kładących podwaliny trwałego bytu towarzystwa? Znając gotowość naszych kobiet do każdej szlachetnej sprawy, znając ich zamiłowanie do estetycznej kultury, możemy mieć nadzieję, iż tak jak bywają ozdobą widowni teatralnej, zechcą być także i podporą sceny polskiej w Łodzi.” Kiedy podczas jego prezesury w Polskim Towarzystwie Teatralnym spłonęła siedziba teatru prowadzonego przez Aleksandra Zelwerowicza, utworzył komitet budowy nowego gmachu. Przez wiele lat był skarbnikiem Towarzystwa Higienicznego i animatorem różnych przedsięwzięć kulturalnych na terenie Łodzi.

Wybuch I wojny światowej zmienił sytuację ekonomiczną i polityczną Łodzi. Ogarnięta paniką administracja rosyjska pośpiesznie ewakuowała się z miasta, w ślad za nią uciekli policjanci i regularne oddziały wojskowe stacjonujące w okolicy. Już 1 sierpnia 1914 r. powstała w Łodzi lojalna wobec Rosji Rada Czternastu, pod przewodnictwem Alfreda Biedermana, przekształcona 10 sierpnia w Główny Komitet Obywatelski. W skład Komitetu weszły 22 osoby rekrutujące się spośród burżuazji i inteligencji sympatyzującej w Narodową Demokracją. Na czele Komitetu stanął Antoni Stamirowski, jego zastępcami zostali przemysłowiec Stanisław Silberstein i Tadeusz Sułowski, przyjaciel Stamirowskiego, wcześniej kierownik techniczny firmy „Hordliczka i Stamirowski”.

20 sierpnia do Łodzi wkroczył oddział piechoty niemieckiej, ale już po sześciu dniach został wyparty przez kawalerię rosyjską. We wrześniu sytuacja w mieście uległa pozornej stabilizacji, uruchomiono kilka zakładów przemysłowych,



dzieci rozpoczęły naukę w szkole. Pod koniec września do Petersburga udali się przedstawiciele Głównego Komitetu Obywatelskiego: Alfred Biederman, Ludwik Geyer i Antoni Stamirowski w celu uzyskania funduszy na potrzeby miasta, gdyż uciekający Rosjanie wywieźli całą kasę miejską i rezerwy pieniężne. Rząd przyznał pożyczkę w wysokości dwóch milionów rubli, ale wypłacono tylko dwie raty, bo już 3 października Rosjanie ponownie opuścili Łódź, a 8 października Niemcy po raz drugi zajęli miasto i przebywali w nim około trzech tygodni. 29 października, po zaciętych walkach z wycofującymi się oddziałami armii niemieckiej na przedmieściach Łodzi, wojska rosyjskie po raz ostatni zajęły miasto. Natarcie niemieckie pod Włocławkiem rozpoczęło 11 listopada 1914 r. tzw. operację łódzką, w wyniku której 6 grudnia wojska rosyjskie w popłochu opuściły Łódź, a Niemcy wkroczyli do miasta i pozostali w nim aż do końca wojny. 15 grudnia „Nowy Kurier Łódzki” informował, że „obowiązki przewodni-

czącego w GKO, w zastępstwie nieobecnego p. Biedermana, pełni Antoni Stamirowski, za nieobecnego p. A. Grohmana – zastępcą inż. Tadeusz Sułowski”. Okupanci niemieccy początkowo chcieli przywrócić Radę Czternastu, jednak wkrótce, wobec nieobecności jej czołowych działaczy, zatwierdzili Stamirowskiego na stanowisku przewodniczącego GKO, ostatecznie jednak rozwiązali tę instytucję 30 czerwca 1915 r. i powołali na jej miejsce Magistrat i Radę Miejską.

Stamirowski wycofał się wówczas z działalności administracyjnej, objął jedynie stanowisko prezesa Łódzkiej Okręgowej Rady Opiekuńczej – terenowego przedstawicielstwa Głównej Rady Opiekuńczej, kierowanej przez księcia Eustachego Sapiehę. Niemcy nie wyrazili zgody na jego udział w warszawskiej centrali GKO, choć politycznie związany z Narodową Demokracją, opowiedział się za powołaniem Józefa Piłsudskiego do Rady Stanu. W tej sprawie rozmawiał 4 grudnia 1916 r. z Walerym Sławkiem, który następnego dnia przekazał treść rozmowy Komendantowi.

11 maja 1918 r. zmarła Zofia Stamirowska. Po pogrzebie wdowiec rzucił się w wir pracy. Janusz Regulski, bliski współpracownik Stamirowskiego, tak scharakteryzował swego przełożonego: „Antoni Stamirowski stanowił w latach wojny postać ogromnie popularną na terenie Łodzi. Był to człowiek o dużej kulturze osobistej, wytwornych manierach, odznaczający się dużą elokwencją. Znalazło to wyraźne odbicie w jego osiągnięciach akwizycyjnych. Z łatwością sprzątał sprzed nosa zamówienia swym konkurentom. Czynił to z takim zacięciem, że często poświęcał rentowność zamówienia, byle tylko je zdobyć. Toteż często dodawano mu do pomocy inżyniera, mającego hamować go w tych zapędach. Miał niewątpliwe powodzenie w sprawach organizacyjnych i handlowych w przemyśle elektrotechnicznym [...] Dbał o popularność osobistą i w dużym stopniu ją posiadał.” Po latach (1940) imponujący wąs Stamirowskiego, podwinięty a la Wilhelm II, wspominał Julian Tuwim w liście do Artura Szyka.

Pod koniec 1918 r. Stamirowski przeniósł się do Warszawy, gdzie pełnił obowiązki wiceprezesa Rady Okręgowej Towarzystwa Rolniczego. Wszedł wówczas w skład grona akcjonariuszy utworzonej 5 grudnia 1918 r. pierwszej w niepodległej Polsce, niezależnej od obcego kapitału, spółki akcyjnej „Siła i Światło”, która już wkrótce kontrolowała około 15% mocy elektrowni polskich.

Tymczasem zbliżała się kolejna zawierucha wojenna. Bolszewicy łamali opór cofającej się armii polskiej i zbliżali się do Warszawy. Stamirowski, choć miał już 57 lat, nie wahał się. Zaciągnął się na ochotnika do wojska i jako podchorąży stanął w szeregu obrońców kraju. Walczył mężnie – odznaczono go Krzyżem Walecznych. Jego syn Janusz był wówczas adiutantem gen. Stanisława Szeptyckiego.

Po demobilizacji założył fabrykę mebli w Koronowie, był prezesem spółki eksploatacyjnej „Inwest”, zasiadał we władzach innych przedsiębiorstw.

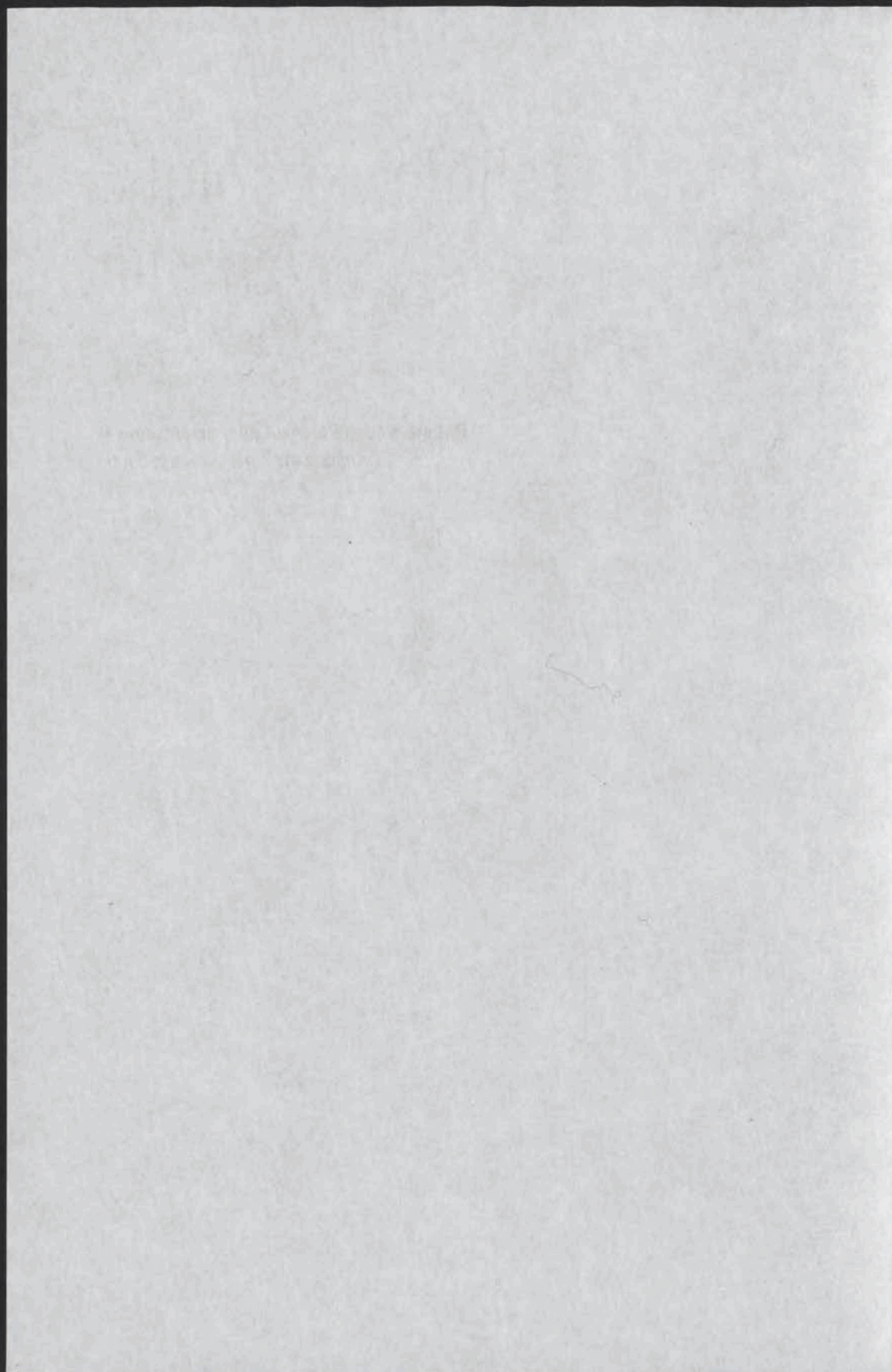
W r. 1928 wycofał się z czynnego życia zawodowego, osiadł w podwarszawskich Młocinach, ale nie oparł się pokusie uczestnictwa w życiu społecznym: wkrótce został współzałożycielem Towarzystwa Promocji Młocin. Zmarł na udar serca 30 sierpnia 1938 r. Egzekwie żałobne odprawiono w kościele Marianów na Bielanach, w podziemiach którego złożono ciało.

Potomkowie Stamirowskiego mieszkają obecnie w Saõ Paulo w Brazylii i im zawdzięczam sporo informacji o rodzinie antenata, zaś jego biogram znalazł należne sobie miejsce w fundamentalnym *Polskim słowniku biograficznym* (t.41 s. 502-503).

Andrzej Kempa
– bibliotekarz; starszy kustosz dyplomowany,
emerytowany wicedyrektor
Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi,
publicysta

religie, kościoły, wyznania

Religia współtwórców Łodzi przemysłowej
Kościół ewangelicko-augsburski
Łukasz Pijewski
str. 215



Religia współtwórców Łodzi przemysłowej

Kościół ewangelicko-augsburski

Luteranie w Polsce

Marcin Luter ogłosił 31 października 1517 roku w Wittenberdze słynne 95 tez przeciw praktyce odpustów. Był to początek ruchu religijnego, nazwanego później Reformacją, w wyniku którego narodził się kościół ewangelicko-augsburski stanowiący jeden z głównych nurtów protestantyzmu¹.

Już w 1518 roku tezy Lutra znane były w Polsce. Pierwsze ogniska Reformacji powstały w Poznaniu (Jan Seklucjan – ok. 1510-1578) i Krakowie (Jakub z Iłży – ?-1542). Szybki rozwój Reformacji wzbudził zaniepokojenie władzy królewskiej, czego wyrazem były edykt toruński Zygmunta Starego, obrady synodu rzymskokatolickiego w Piotrkowie (1520 r.) oraz edykt Zygmunta Augusta z 1550 roku, który rozbił zbory w Małopolsce. Zagrożeni dekretemi królewskimi, zarówno Jakub z Iłży, jak i Jan Seklucjan musieli opuścić ojczyznę.

W połowie XVI wieku w Europie Reformacja utraciła swój pierwotny dynamizm. W Polsce ostatecznie załamała się na przełomie XVII i XVIII wieku. Jednak w jej wyniku na ziemiach polskich i w ościennych księstwach piastowskich powstały trwałe ośrodki luteranizmu: na terenie Księstwa Cieszyńskiego, na Górnym i Dolnym Śląsku, na Mazurach, w Prusach Książęcych, na Pomorzu i w Gdańsku.

Rokiem przełomowym w dziejach społeczności ewangelickiej był rok 1768, kiedy to Sejm Rzeczypospolitej przywrócił dysydentom prawa publiczne i swobodę organizowania życia religijnego (tzw. traktat warszawski).

W dziejach Polski można wymienić cały zastęp ewangelików, którzy położyli duże zasługi dla rozwoju kraju i kultury polskiej (działalność np. Erazma Glicznera, Krzysztofa Mrongowiusza, Gustawa Gizewiusza, Samuela Lindego, Oskara Olberga, Ludwika Józefa Everta, Gustawa Adolfa Gerlaha, Ferdynanda Hoesicka, Pawła Hulki-Laskowskiego, Ryszarda Lewańskiego, rodzin Ogórków, Burschów, Gebethnerów, Buzków, Geyerów, Grohmanów, Scheiblerów, i wielu innych)².

Luteranie to też Polacy

Pod koniec lat trzydziestych XX wieku na terenie Polski protestantów było ogółem około 840 tysięcy, z czego wierni Kościoła ewangelicko-augsburskiego stanowili aż 450 tysięcy. Z II wojny światowej kościół ten wyszedł prawie całkowicie zniszczony.

Naziści, zajmując terytorium Polski, dobrze pamiętali, że zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego, biskup (od 1936 r.) Juliusz Bursche, był lojalnym obywatelem Rzeczypospolitej i traktowali jego propolską postawę jako „zdradę niemieckości”. Szczególnie potępiana była jego aktywna działalność na rzecz polskości Śląska i Mazur, prowadzona w trakcie konferencji 1919 roku w Paryżu, podczas której Bursche wystąpił z *Memoriałem w przedmiocie protestantów polskich w Prusiech Wschodnich*, patronował również Zrzeszeniu Ewangelików Polaków na Mazurach i przewodniczył Mazurskiemu Komitetowi Plebiscytowemu. W 1939 roku nastąpiły masowe prześladowania polskiego duchowieństwa ewangelicko-augsburskiego przez niemieckiego okupanta. W obozach koncentracyjnych zginęli bp Bursche i jego brat ks. prof. Edmund Bursche, pastory Kahane, Bieliński, Falzman, Mamica, Kulisz, Pawlas, May. Przeszli przez nie późniejsi przywódcy Kościoła: Preiss, Lucer, Michejda, Sztwiertnia, Karpacki, Kuls, Wojnowski, Michelis, Gaspary i wielu innych. Podczas okupacji Polacy byli odsunięci od kierowania Kościołem, skonfiskowano majątki polskich parafii na rzecz niemieckich.

Warto również wspomnieć o tych ewangelikach augsburskich, którzy czynnie sprzeciwili się niemieckiej agresji, na przykład generałowie Władysław Anders i Juliusz Karol Rómmel. Widać stąd, że nie trzeba mieć polskiego nazwiska, by być polskim patriotą.

Po wojnie sytuacja Kościoła była tragiczna. Liczba wiernych znacznie się zmniejszyła. W 1958 roku w Polsce było już tylko 110 tys. luteran. Dziś ich liczba wynosi 80-90 tys. Po wojnie zmieniła się również struktura wyznań protestanckich w Polsce. Likwidacji uległ proniemiecki Kościół ewangelicko-unijny.

Karanie Kościoła ewangelicko-augsburskiego za „niemieckość” było całkowicie nieuzasadnione. Już po wojnie perspektywa zrównania wyznań pod względem prawnym rozpatrywana przez ludową władzę przed kościołami mniejszościowymi w PRL spowodowała, że część przywódców protestanckich przychylnie przyjęła rozmaite w tych kwestiach deklaracje, legitymizowała i wspierała propagandowo rządy komunistów. Władze PRL, choć oficjalnie dementowały twierdzenia, jakoby protestanci mieli być Niemcami i podkreślały patriotyzm członków Kościoła ewangelicko-augsburskiego, to jednak w delikatnych kwestiach przydziału spornych świątyń często bezkrytycznie trzymały stronę Kościoła rzymsko-katolickiego.

Posługiwały się argumentami natury demograficznej (kościół powinien przypaść większości wyznaniowej na danym terenie), narodowościowej (ewangelicy to Niemcy, którzy powinni opuścić Polskę a kościół trzeba przekazać katolikom), historycznej (Kościół ewangelicki ma przedreformacyjne korzenie, więc w rzeczywistości jest Kościołem katolickim), ekonomicznej (zbyt mała liczba wiernych nie będzie w stanie utrzymać kościoła)³. Lokalnymi działaczami partyjnymi, którzy w szczególny sposób dyskryminowali protestantów, byli łódzcy decydenci Kazimierz Mijał i Mieczysław Moczar. Natomiast po 1948 roku zaczęto w pewnych kwestiach faworyzować Kościół ewangelicko-augsburski.

Dotyczyło to szczególnie sprawy powierzenia mu repolonizacji ludności rodzimej na Mazurach. Można powiedzieć, że z walką frakcyjną w Kościołach wiązały się często polityczny konformizm i ścisła współpraca danej grupy z władzami państwowymi, które wszelkie spory chętnie wykorzystywały, stosując często wobec wyznań religijnych dla własnych interesów politycznych strategię *divide et impera*. Jest rzeczą oczywistą, że wiele negatywnych zjawisk w protestantyzmie było wynikiem tej strategii i wiele sporów i walk wewnątrzkościelnych było inspirowanych przez reżim. Ryszard Michalak pisze: „wydaje się, że mimo upływu lat, wielu pojedynczych deklaracji i mimo inicjatyw ekumenicznych, przeszłość z okresu stalinowskiego wpływa na wzajemne uprzedzenia we współczesnych relacjach. Jest to ciemna karta w historii protestantyzmu po II wojnie światowej”⁴.

DOKTRYNA

Program doktrynalny Reformacji XVI w., pod którym podpisują się dziś wszystkie Kościoły tradycji ewangelicko-augsburskiej można streścić w czterech hasłach:

1. *Sola Fide* – jedynie wiara.

Jedynie wiara przynosi zbawienie, a działanie Kościoła lub człowieka nie odgrywa w procesie zbawienia jakiegokolwiek roli.

2. *Sola Scriptura* – jedynie Pismo Święte.

Jedynie Pismo Święte jest normą nauki i życia Kościoła. Wszelkie tradycje kościelne należy mierzyć według Pisma Świętego. Jeśli są z nimi zgodne, to trzeba je szanować jako wyraz kontynuacji nauki Kościoła.

3. *Sola Gratia* – jedynie łaska.

Jedyną sprawczynią zbawienia człowieka jest łaska boża. Żadne dzieło ludzi, żaden szczególny wysiłek lub czyn człowieka (nawet człowieka bardzo pobożnego) nie może go zbawić.

4. *Solus Chrystus* – jedynie Chrystus.

Tylko Chrystus jest Odkupicielem, Zbawicielem, poza Nim nie ma żadnego autorytetu; autorytetem nie mogą być ani święci, ani Matka Boża, ani zwierzchnicy kościelni, ani sobory i synody.

Luteranizm nie rości sobie pretensji do nadrzędności głoszonej przez siebie nauki.

Wyłączność czterech wymienionych tu haseł ma jedynie wykluczyć pogląd, że wiara wymaga uzupełnienia przez uczynki, że równorzędnym partnerem Pisma Świętego jest tradycja kościelna, że łasce bożej musi towarzyszyć współdziałanie człowieka i że obok Chrystusa istnieją w dziele zbawienia inni pośrednicy (Maria, święci, Kościół).

Najważniejszym elementem nabożeństwa ewangelickiego jest głoszenie i nauczanie Słowa Bożego. Łączy się z tym określona funkcja budynku kościelnego: nie jest on „mieszkaniem” Boga, lecz pomieszczeniem, w którym gromadzą się wierni, by słuchać kazania. Wnętrze to nie ma charakteru sakralnego, uświęca się, gdy rozbrzmiewa w nim Słowo Boże, stąd szczególna rola i miejsce ambony. Na ołtarzu leży Biblia, co symbolicznie podkreśla funkcję Pisma Świętego. Luter zapoczątkował przekłady Pisma na języki narodowe. W Polsce pierwszy przekład Pisma Świętego ukazał się w 1563 roku. Upowszechnienie Pisma wśród chrześcijan było urzeczywistnieniem reformacyjnej zasady o powszechnym kapłaństwie wszystkich wierzących.

Luteranizm przyjmuje sformułowania dogmatyczne, uchwalone na soborach powszechnych w pierwszych stuleciach: dogmat o Trójcy Świętej (Nicea, 325 r.), dogmat o jedności ludzkiej i boskiej natury w Jezusie Chrystusie (Chalcedon, 451 r.) oraz podstawowe zasady wiary: – apostołskie, nicejsko-konstantynopolskie i atanazjańskie. Luteranizm ma również własne księgi wyznaniowe, stanowiące rodzaj wskazówek interpretacyjnych do lektury Pisma Świętego: *Katechizm Lutera* (1529 r.) i *Konfesję Augsburską* (1530 r.). Przez sakramenty – wyłącznie chrzest i Wieczerza Pańska (Komunia Święta) – luteranizm rozumie obrządek ustanowiony przez samego Jezusa Chrystusa. Urząd duchownego w Kościele ewangelicko-augsburskim jest urzędem służby polegającej na głoszeniu kazań i udzielaniu sakramentów. W kościele panuje również przekonanie o tym, że wszyscy chrześcijanie (wierzący i ochrzczeni) są stanu duchownego. W sytuacjach szczególnych wspólnota może wyznaczyć ze swego grona osobę, o odpowiednich walorach moralnych i intelektualnych, do pełnienia służby⁵.

Luteranie współtwórcy Łodzi przemysłowej

Na tereny środkowej Polski, a więc i w okolice Łodzi, luteranie szczególnie intensywnie zaczęli napływać od lat 80. i 90. XVIII wieku. Osadników tych nazywano najczęściej „holendrami” („oładrami”). Powstawały wówczas liczne wsie „holenderskie”; skupiska ewangelickie rozwijały się również w miastach (Rawa Mazowiecka, Ozorków, Stryków, Kutno, Skierniewice). Pierwszym ewangelikiem w Łodzi był wymieniony w 1815 roku rzeźnik Reyter. Dnia 18 września 1820 roku wydano postanowienia Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego, zapewniające nowym osadnikom szereg uprawnień i przywilejów.

W 1909 roku ewangelicy stanowili 25,8% ludności Łodzi.

Społeczność ewangelicka już w 1822 roku wystąpiła do burmistrza o zgodę na utworzenie parafii i wybudowanie kościoła. Kamień węgielny pod budowę

kościół św. Trójcy (przy dzisiejszym placu Wolności) położono 27 kwietnia 1826 roku. Jego budowniczym został Jakub Peters. Kościół poświęcono 26 czerwca 1829 roku i w tymże roku ostatecznie zatwierdzono nowo powstałą parafię, liczącą ponad 6000 członków. Pierwszym pastorem parafii św. Trójcy był Fryderyk Bogumił Metzner z Chemnitz. Duża liczba parafian powodowała, że urzędujący duchowny z największym trudem był w stanie podołać swoim obowiązkom. Od 1849 roku (w lutym nastąpiło zatwierdzenie prawa kościelnego przez cara Mikołaja I – prawo to obowiązywało do 1936 roku) zaczęto dokonywać regularnych wyborów do Zgromadzenia Parafialnego, a parafia św. Trójcy została włączona do diecezji płockiej. Do Kolegium w 1849 roku wybrano J. G. Taubnera – właściciela przędzalni, J. F. Hoffmanna – cieślę J. D. Gruberta – piekarza, J. M. Wagnera – właściciela młyna w Antoniewie. Jak pisze ks. Henryk Czembor w artykule *Dzieje parafii luteranckich w Łodzi do 1939 r.*, „z protokołu wizytacji dokonanej [...] w 1875 r. dowiadujemy się że w szkołach parafialnych uczęszczało 1152 dzieci, a w szkole prywatnej jeszcze dodatkowo 100 uczniów, nabożeństwa odprawiane były wyłącznie w języku niemieckim, według obowiązującej Agendy w niedziele i święta, każdorazowo o godzinie 10.00 i 15.00, śpiewano pieśni ze śpiewnika wrocławskiego Gerharda, przy parafii istniał chór i orkiestra puzonistów. Podkreślono też, że kościół jest zbyt mały aby pomieścić wszystkich wiernych. Parafia posiadała wówczas 3 cmentarze: dwa na wsi i jeden w samym mieście. Pastor raz w roku prowadził naukę konfirmacyjną w okresie od Adwentu do Wielkanocy. W ciągu roku do komunii przystępowało 8 tys. osób, odbywało się około 200 ślubów i 550 pogrzebów. W ocenie stanu parafii wizytator stwierdzał dalej, że znaczna część parafian nie umie ani czytać ani pisać gdyż »dzieci od rana zajęte są w fabrykach«, że choć stan moralny jest zadowalający, to wśród niższej klasy robotników panuje pijaństwo, że »parafia jest obficie zaopatrzona w Biblię i książki z rozmyślaniami«, że »sekty baptystyczne występują słabo«” [...].

W 1876 roku uzyskano zezwolenie na budowę drugiego zboru – kościoła św. Jana. Poświęcono go 8 października 1880 r. Wkrótce utworzono drugą parafię. Do Kolegium Kościelnego wybrano L. Grohmana, E. Herbsta, J. Steigerta, W. Schweikerta, J. Albrechta, Kunitzera – słynnych łódzkich fabrykantów. W 1909 roku liczba ewangelików w Łodzi przekroczyła 100 tys. Ze względu na zwiększającą się stale liczbę wiernych postanowiono wybudować kolejny kościół.

Już w 1904 roku zakupiono w tym celu plac przy ul. Piotrkowskiej 279/281, a w 1909 położono kamień węgielny pod budowę nowego kościoła pod wezwaniem św. Mateusza. Budowę przerwały działania wojenne. W trakcie ich trwania kaplica św. Mateusza stała się głównym ośrodkiem pracy charytatywnej: rozdawano odzież, żywność, opał, udzielano doraźnej pomocy potrzebującym. Ostatecznie budowę kościoła św. Mateusza ukończono dopiero po wojnie. Poświęcono go 1 listopada 1928 roku. Proboszczem został pastor A. Löffler. Czwartą parafią Kościoła ewangelicko-augsburskiego była licząca ok. 6 tys. członków, utworzona w 1932 roku, parafia św. Michała na Radogoszczu.



Po I wojnie światowej liczba ewangelików łódzkich uległa poważnemu zmniejszeniu. W 1918 roku na 341 tys. ludności było ich zaledwie ok. 40 tys. (11,4%), przy czym byli to w większości starcy, kobiety i dzieci. Po 1933 roku wśród ludności ewangelickiej notuje się ujemny bilans przyrostu naturalnego. W tych latach prace parafialne były utrudnione z powodu ogólnego zubożenia ludności w latach powojennych, ciężkiej walki o chleb, napiętych stosunków klasowych i, co szczególnie dawało się we znaki w całym okresie międzywojennym, coraz bardziej komplikujących się stosunków narodowościowych. „Jednych powstrzymuje od częstego chodzenia do kościoła to, że w kazaniach nie znajdują niemieckiego patriotyzmu, innym wydaje się, że polski patriotyzm jest za mało podkreślany. W swej przewrotności ludzie chcieliby z ambony uczynić polityczną trybunę.” – napisano w sprawozdaniu rocznym parafii św. Trójcy w 1920 roku.

Z duchownych w okresie międzywojennym warto wymienić pastora Rudolfa Gundlacha (parafia św. Trójcy), który dał się poznać jako znakomity kapłan, organizator i patriota oraz ks. Karola Kotulę. Działalność ich jest związana z rozpoczęciem w okresie międzywojennym w Łodzi działalności przez parafię polską, która oficjalnie powstała w 1936 roku a funkcjonowała już w zasadzie wcześniej, w ramach założonej w 1926 roku Organizacji Polaków w Łodzi. Poprzedziła ją niejako działalność pastorów Rudolfa Gundlacha, Pawła Hadriana i W. P. Angersteina. Ten ostatni wydawał w latach 1884-1890 polskie pismo ewangelickie „Głosy Kościelne”, a pastor Gundlach utworzył w 1916 roku Polski Ewangelicki Chór Kościelny, który stał się ośrodkiem polskiego życia ewangelickiego m.in. poprzez organizację wykładów religijnych. 27 października 1926 roku na stanowisko pastora tej organizacji wybrano Karola Kotulę, który roztoczył nad nią religijną opiekę. W 1928 roku z inicjatywy pastorów Kotuli i Tochtermanna zorganizowano Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Ewangelickiej w Łodzi. Podczas II wojny światowej represje okupanta dotknęły również księży i członków Polskiej Parafii Ewangelickiej. Polscy ewangelicy byli aresztowani i umieszczani w obozach. Parafię zlikwidowano z początkiem grudnia 1939 roku.

Po wojnie księża K. Kotula, J. Sachs i A. Gloc powrócili do Łodzi, gdzie podjęli trudne i skomplikowane zadanie odbudowy ewangelicyzmu. W zmienionej sytuacji – na pierwsze powojenne nabożeństwo w sali konfirmacyjnej przy kościele

św. Trójcy przyszło 25 osób – wszystkie parafie były parafiami polskimi. Polska Parafia Ewangelicka stała się reliktem przeszłości, a formalnie przestała istnieć w 1968 roku podczas reorganizacji Diecezji Warszawskiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Łodzi. Aby odbudować życie parafialne, podjęto starania o odzyskanie majątku kościelnego. Napotkało to na poważne trudności ze strony Kościoła rzymskokatolickiego. W ich efekcie ewangelicy łódzcy utracili kościoły św. Trójcy i św. Jana, a życie religijne skupiło się głównie przy kościele św. Mateusza. Do tych kłopotów doszły spory wewnętrzne, związane z uregulowaniem problemu ewangelików, którzy podpisali *Volksliste*. Gdy sprawa ta została rozwiązana, wielu ewangelików i tak oficjalnie nie zapisało się do parafii. Powoli jednak życie wracało do normy. Po wyborze ks. Kotuli na biskupa Kościoła w Polsce, proboszczem parafii św. Mateusza został ks. Adolf Gloc, a po jego śmierci ks. Mariusz Werner. Ostatecznie status parafii kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Mateusza unormowała ustawa z 13 maja 1994 roku regulująca stosunek państwa do Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Uznano ją za jedyną istniejącą obecnie parafię, która jest prawnym i historycznym następcą wszystkich wspólnot luteranckich, działających uprzednio na terenie Łodzi. Obecnie proboszczem parafii św. Mateusza w Łodzi jest ks. Mieczysław Cieślak, pełniący równocześnie obowiązki biskupa Diecezji Warszawskiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Warto tu podkreślić, że ewangelicy łódzcy w latach 1820-1914 odegrali niebagatelną rolę w kształtowaniu Łodzi jako wielkoprzemysłowego ośrodka urbanistycznego. „Utożsamienie narodowości z wyznaniem, niemal powszechnie stosowane w XIX-wiecznych dokumentach urzędowych, publicystyce i literaturze, przyczyniło się do wykreowania obrazu Łodzi jako miasta zawdzięczającego swój byt i pomyślność zasługom niemieckich osadników”. Oskar Flatt, twórca jednego z pierwszych opisów Łodzi, jednoznacznie stwierdzał, że ludność niemiecka nadaje miastu „wydatne piętno”. Nie można tego kwestionować, jednak ostateczne znaczenie roli ludności niemieckiej w powstaniu Łodzi nie jest do końca znane i w ocenach tego zjawiska należy zachować pewną ostrożność. Warto także przypomnieć szczególne warunki, w jakich mogły się rozwinąć talenty i umiejętności tej społeczności. Imigranci przejawiali aktywność niemal wyłącznie w tych dziedzinach, w których mogli korzystać z wielostronnej pomocy rządowej. W ten sposób wydatnie zmniejszali ryzyko własnych przedsięwzięć. Do połowy lat 60. XIX stulecia nie mieli praktycznie żadnej konkurencji. Trzeba też podkreślić, że Łódź nie stałaby się tym, czym jest, gdyby nie inicjatywa i konsekwencja poczyniła Rajmunda Rembielińskiego, prezesa Komisji województwa mazowieckiego w latach 1816-1830, który umożliwił kolonistom skuteczne działanie.

Luteranie w Łodzi dzisiaj

Dzisiaj jedyna parafia Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Łodzi mieści się przy kościele św. Mateusza. Pozostałe dawne kościoły i kaplice ewangelickie w Łodzi użytkowane są przez wiernych innych wyznań lub utraciły swe pierwotne funkcje.

Gmina ewangelicko-augsburska liczy obecnie ok. 900 osób. Ta mała społeczność, zachowując wierność religijnemu przesłaniu Reformacji, stara się być użyteczna na płaszczyźnie świeckiej. Rozwija działalność głównie w dwóch kierunkach: powołała do życia diakonię – stację socjalną, otaczając opieką ludzi starszych i chorych, a także kontynuując bogatą w tym względzie tradycję przyczynia się do stałego umilania życia łodzianom poprzez organizowanie znanych i popularnych w mieście koncertów muzycznych pod nazwą „Niedziela z muzyką u św. Mateusza”. W organizowaniu życia muzycznego Łodzi parafia owocnie współpracuje z Filharmonią im. Artura Rubinsteina.

Działająca przy parafii księgarnia Logikon ma na półkach ewangelickie wydawnictwa religijne. Można też otrzymać zgrabnie wydany informator zawierający opis budynku kościoła wraz z agendą stałych wydarzeń w tym kościele.

W 1996 roku na stanowisko proboszcza Parafii ewangelicko-augsburskiej św. Mateusza w Łodzi został powołany pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego ks. bp Mieczysław Cieślar. Zaczął on równocześnie pełnić funkcję zwierzchnika przeniesionej również w 1996 roku do Łodzi diecezji warszawskiej, której siedziba znajduje się także przy parafii św. Mateusza. Jest on ponadto wykładowcą języka greckiego i teologii biblijnej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Orędownik działalności charytatywnej Kościoła oraz miłośnik muzyki jest inicjatorem wielu działań społeczno-kulturalnych przy parafii.

Łukasz Pijewski

– z wykształcenia aktor; animator kultury, publicysta.

Przypisy:

1. „W pierwszej fazie protestantami nazywano wyłącznie zwolenników luterskiego nurtu reformacji, później objęto tą nazwą również tych wszystkich chrześcijan, którzy związali się z ewangelicyzmem reformowanym (wyznawców zwinglianizmu, kalwinizmu i pokrewnych nurtów). Z biegiem czasu mianem »protestanci« zaczęto określać zarówno członków wspólnot przedreformacyjnych (włoscy waldensi, bracia czescy), jak i poreformacyjnych (babtyści, metodyści, kwakrzy, adwentyści, zielonoświątkowcy i inni). Funkcję pomostu między protestantyzmem a katolicyzmem zachował anglikanizm (wyznawany w Anglii od 1534 roku)” www.luteranie.pl prof. dr hab. Karol Karski, teolog ewangelicki, prorektor i profesor w ChAT w Warszawie; specjalista w zakresie dialogu ekumenicznego.
2. Zob.: Jan Szturc, *Ewangelicyzm w Polsce. Słownik biograficzny XVI-XX w.*, Ośrodek Wydawniczy „Augustyna”, Bielsko-Biała 1998.
3. Za: Ryszard Michalak, *Dziel i rządź. O polityce wobec Kościołów protestanckich PRL*, „Biuletyn IPN” 2004, nr 3 (38).
4. Ibidem.
5. Podaję za: www.luteranie.pl

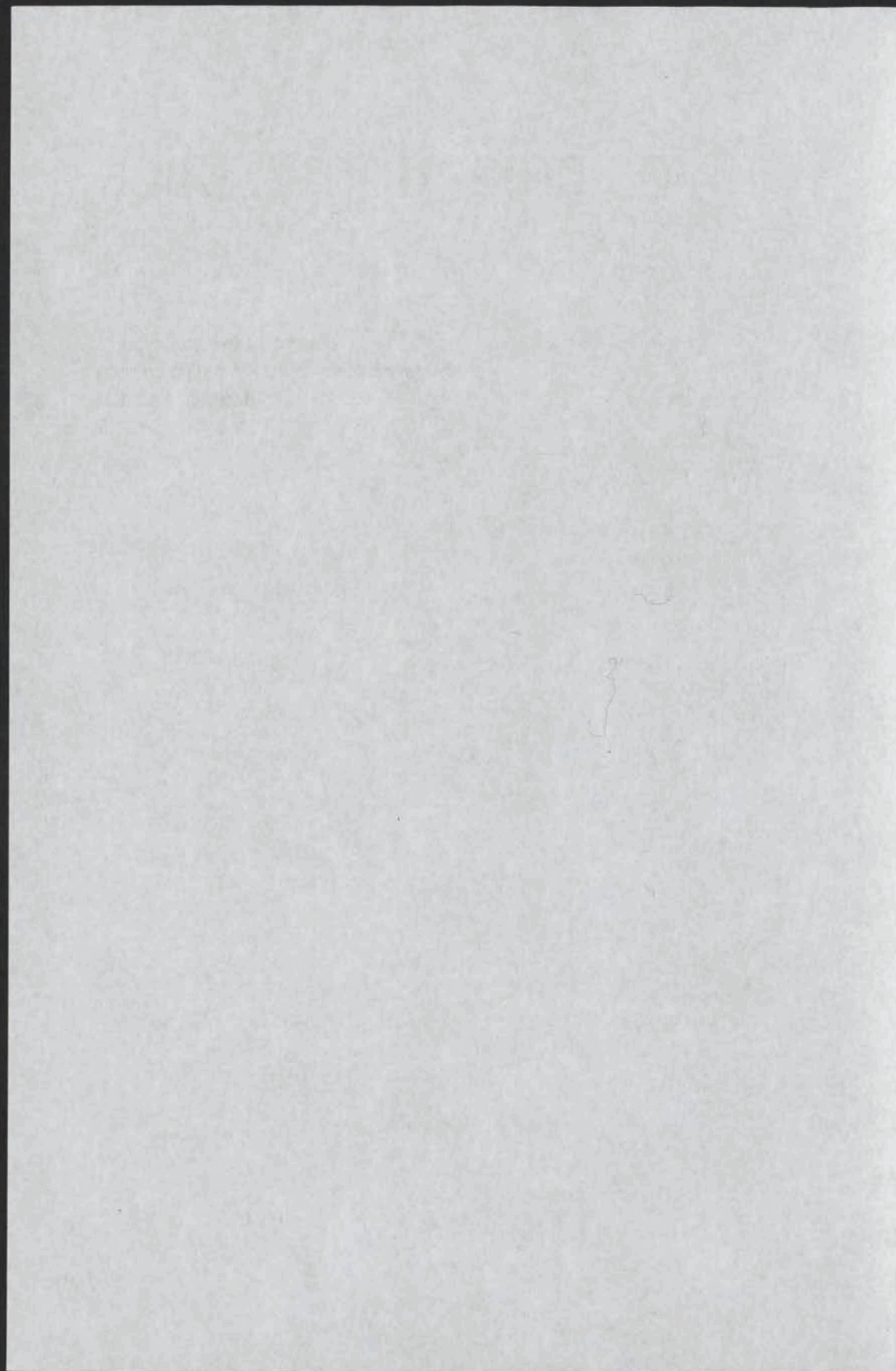
osiedla, domy, ulice

Dlaczego Łódź „się sypie”?

Bylejakość budownictwa jest starą chorobą

Krzysztof Stefański

str. 225



Dlaczego Łódź „się sypie”?

Bylejakość budownictwa jest starą chorobą

Zły, niekiedy zatrważający stan dużej części historycznej zabudowy Łodzi jest faktem znanym. Wystarczy wyjść poza Piotrkowską, na którąś ze śródmiejskich ulic, by zobaczyć brudne kamienice, odpadające tynki i detale architektoniczne, skute balkony, domy niekiedy bliskie ruiny. Choć już kilkadziesiąt lat temu doceniony został zabytkowy charakter miasta, jako unikatowego zespołu architektoniczno-urbanistycznego z przełomu XIX i XX wieku, nie udało się powstrzymać postępującej degradacji większości zabytkowej substancji. Starania służb konserwatorskich i władz miasta przyniosły w tym temacie jedynie połowiczne rezultaty. Częstym zjawiskiem jest bezsilność tychże służb wobec zagrożenia bytu wielu zabytkowych budowli.

Mówiąc o bardzo złym stanie dużej części zabudowy śródmieścia miasta, wypomina się przede wszystkim zaniedbania z okresu po II wojnie światowej. Na pewno jest to bardzo ważny aspekt problemu – komunalizacja własności prywatnej, brak remontów, brak inwestowania, dało opłakane efekty. W tym miejscu chciałbym jednak zwrócić uwagę na inny, równie istotny, element tej kwestii. Chodzi o bardzo złą jakość dawnego budownictwa łódzkiego. Niestety nasze miasto ma pod tym względem niezbyt chlubną tradycję.

Oszczędność czyli bylejakość

Problem pojawia się wraz z rozpoczęciem nowej, przemysłowej epoki w dziejach miasta. Już przy okazji budowy pierwszych reprezentacyjnych łódzkich gmachów napotykamy na ślady fuszerki, niedbalstwa, słabej jakości wykonawstwa. Wiele informacji potwierdzających te przypuszczenia pokazuje nam historia budowy pierwszego kościoła ewangelickiego pod wezwaniem św. Trójcy przy Nowym Rynku (obecnym Pl. Wolności), powstałego w latach 1826-28 według projektu Bonifacego Witkowskiego (zastąpionego w latach 1889-1891 nowym, stojącym do dnia dzisiejszego obiektem).

Zanim w lipcu 1829 r. gotowy kościół poświęcono i oddano do użytku wiernym, pojawiły się już skargi, że „sufit we wnętrzu, oraz tynki i gzymsy na zewnątrz z powodu wilgoci i Deszczów znacznie w porze Zimowej uszkodzone zostały i coraz bardziej odpadają¹.”

Budowę kościoła prowadził tzw. „Enterprener” (czyli przedsiębiorca budowlany) Wojciech Chodecki, „naddzierżawca ekonomii Tkaczew.” Władze zobowią-

osiedla, domy, ulice

zały go do dokonania napraw w jak najszybszym czasie. Ten jednak zwlekał z pracami tak długo, aż wreszcie w czerwcu 1830 r. pod karą grzywny wymuszono na nim dokonanie niezbędnych napraw w ciągu 30 dni. Nie zostały one jednak wykonane zbyt staranie, bowiem kilka lat później ponownie pojawiły się skargi na odpadające gzymsy i sztukaterie.

Równie źle działo się po przeciwnej stronie wylotu ul. Piotrkowskiej, gdzie w tym samym okresie wznoszono łódzki ratusz. Obiekt budował Jan Lebelt, „Enterprener” ze Zgierza. I w tym wypadku wkrótce po zakończeniu budowy wyszły na jaw liczne poważne usterki. W piśmie władz miasta z dnia 7 grudnia 1827 r. czytamy: „Ponieważ Budowla Ratusza w tutejszym mieście exystującego tak niedokładnie dokonana została, iż nie tylko w wszystkich Pokoich i Kuchni dymi się tak dalece, iż mieszkać nikt nie może i przez zaciekanie wynikające z niedokładnego pokrycia Dachy Sufity odpadaia i ruinuią się; robota sztukatorska zewnątrz z murów odpadła, ale nadto w nocy dzisiejszey cały Dach z wieży spadł.” / tak, jak w poprzednim wypadku, wykonawca zobligowany został do jak najszybszej naprawy szkód i niedociągnięć. Lecz również i Jan Lebelt, podobnie jak Chodecki, nie wywiązał się zbyt solidnie z tych zobowiązań. W maju 1828 r. stwierdzono bowiem, że „coraz bardziej niektóre Szczegóły ruinuią się, iak np. robota Sztukatorska odpada².”

Z podobnymi przykładami stykamy się wielokrotnie, śledząc archiwalne dokumenty dotyczące realizacji kolejnych gmachów finansowanych ze środków miejskich. Główną przyczyną [tego] był stosowany w okresie Królestwa Polskiego, do czasów likwidacji jego autonomii po powstaniu styczniowym, system oddawania inwestycji w ręce prywatnych przedsiębiorców („Enterprenerów”) drogą licytacji „in minus” – zlecenie otrzymywał, ten kto zgodził się wykonać daną pracę jak najmniejszym kosztem. Naturalnie taki „Enterprener”, szukał następnie możliwości zysku najmując, jak najtańszych podwykonawców, stosując jak najtańsze, czyli złej jakości materiały. Rezultatem były nieustanne poprawki, naprawy i remonty tak wzniesionych gmachów.

Większość zabytkowej zabudowy miasta pochodzi jednak z ostatniej ćwierci XIX i pierwszej dekady XX wieku i ten okres w tym momencie będzie nas najbardziej interesował. Od lat siedemdziesiątych XIX wieku obserwować możemy przyspieszenie rozwoju miasta, co zaowocowało zastępowaniem znamiennych dla wczesnego okresu Łodzi niskich, parterowych najczęściej, domów rękodzielniczych kilkupiętrowymi kamienicami. Intensyfikacji ruchu budowlanego sprzyjało założenie w 1872 roku Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, które udzielało pożyczek hipotecznych na budowę domów. Rozpoczął się okres gorączkowej spekulacji. Dawni, często jeszcze pierwotni, właściciele działek położonych w centrum miasta wyprzedawali je nowym właścicielom, którzy korzystając z wziętych pod zakupioną posesję pożyczek szybko wznosili na miejscu parterowych domów tkaczy kamienicę. Budowano szybko, licząc na szybki zysk.

W ten sposób w ciągu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku zabudowywała się ulica Piotrkowska i jej przecznice, ulica Wólczańska, obecne ulice Kilińskiego, Sienkiewicza i inne. Pierwotnie długie działki dzielono na mniejsze, by coraz intensywniej wykorzystywać przestrzeń w centrum miasta. W tym okresie co roku budowano kilkadziesiąt, a niekiedy ponad setkę kamienic, obok tego liczne budynki przemysłowe. Na wznoszone kamienice czekali niecierpliwie lokatorzy, co roku przybywało bowiem w tym czasie po kilkanaście tysięcy mieszkańców. Przypomnijmy, że pomiędzy rokiem 1880, a 1900 liczba ludności Łodzi wzrosła o około 200 tysięcy.

Projektanci bez kwalifikacji

Ten gorączkowy ruch budowlany pociągał za sobą liczne nieprawidłowości. Zaczynały się one już w fazie projektowania. Plany domów wykonywali często ludzie bez odpowiedniego wykształcenia, często technicy. Co prawda były one zazwyczaj zatwierdzane przez Wydział Budowlany Rządu Gubernialnego w Piotrkowie, po wcześniejszej akceptacji przez budowniczego miejskiego. W latach 1872-1892 był nim Hilary Majewski, a po nim Franciszek Chełmiński. Podpisywali oni urzędowe kopie projektów, przeznaczone do zatwierdzenia. Możemy się tylko domyślać do jakich metod się uciekano, by uzyskać szybką i bezproblemową akceptację projektu – bo korupcja w carskiej administracji była sprawą znaną (a tę złą tradycję kontynuuje się do dnia dzisiejszego). Każdy miesiąc zwłoki przynosił przecież inwestorowi straty, bo trzeba było spłacać zaciągnięty pod budowę domu kredyt i jak najszybciej powinny zacząć płynąć zyski z wynajmowanych mieszkań. Niekiedy spotykamy w prasie łódzkiej informacje o budowie obiektów bez zatwierdzonych planów.

osiedla, domy, ulice





Najbardziej niepokojącym wydaje się fakt, że budowano tandetnie, z materiałów kiepskiej jakości, a powstałe domy wykańczano byle jak. W prasie łódzkiej pisano o „domach budowanych na spekulację, których ściany częstokroć w tym samym jeszcze roku widzimy porysowane, sufity popękane, w podłogach calowe szpary (...)”³. Sprzyjał temu nie tylko pośpiech narzucany przez inwestora i brak odpowiedniej ilości firm budowlanych na dobrym poziomie, ale też brak odpowiedniego nadzoru budowlanego. Nadzór taki leżał w kompetencjach architekta miejskiego. Pełniący tę funkcję w okresie, gdy Łódź weszła w fazę najbardziej intensywnego rozwoju, Hilary Majewski nie był w stanie sam skutecznie pełnić swoich obowiązków. Pod koniec lat osiemdziesiątych dodano mu pomocnika delegowanego przez Rząd Gubernialny. W kolejnych latach liczba budowniczych miejskich wzrosła

do kilku osób, ale to wciąż było to za mało wobec intensywnego ruchu budowlanego, jaki panował na przełomie XIX i XX wieku. Według danych z 1911 roku architekt miejski F. Chełmiński nadzorował jednocześnie 47 budów, architekt A. Jankau 72, a technik L. Lubotynowicz 47 budów. Z pewnością w takiej sytuacji nie mogli spełniać swoich obowiązków właściwie.

Pośpiech i „geszefciarstwo”

Niewłaściwy nadzór sprzyjał kiepskiemu wykonawstwu. I w tym wypadku jedną z zasadniczych przyczyn była niewystarczająca ilość firm budowlanych prezentujących odpowiedni poziom, co sprzyjało funkcjonowaniu różnego autoramentu „przedsiębiorców”. W jednym z czasopism z epoki zarysowano wymowny obraz tego typu wykonawców: „W niespełna miesiąc złożył z dziesięć ofert na budowę, a zredukowawszy ceny o 50 % dostał pięć zamówień (...) I buduje. Naturalnie, że zaczawszy od wapna, a skończywszy na ostatnim gwoździu w podłodze na strychu – wszystko kupił na kredyt, wystawiwszy weksle na termin dłużny. Ponieważ za budowę płacą mu również wekslami więc operacje finansowe takiego pana polegają na ciągłym dyskon-

cie i wykupywaniu weksli, wystawianiu nowych bez kalkulacji ścisłej, bez dbałości o dobroć roboty (...) Takie potworności geszefciarskie wytworzyła u nas zwarłowana spekulacja budowlana lat ostatnich. Rezultatem są setki lichych budowli mieszkaniowych, rysujących się ścian w budowanych kamienicach, niewygodnych, choć drogiej mieszkań⁴."

Regułą było łamanie przepisów dotyczących terminów budowy. Obowiązywał zakaz murowania domów w okresie przerwy zimowej, w okresie mrozów, a koniec i początek sezonu budowlanego ogłaszano w prasie. Zależało to od wahań temperatury, ale z reguły sezon kończył się pod koniec listopada, a zaczynał na przełomie marca i kwietnia. Tak inwestorzy, jak i prowadzący prace, często łamali te zakazy, budując w okresie przerwy by przyspieszyć inwestycję, co naturalnie odbijało się na trwałości murów.

Nie przestrzegano też przepisów dotyczących wytrzymałości stropów czy grubości murów. Goniąc za zyskiem zamieniano bez zezwolenia pomieszczenia gospodarcze na mieszkalne. W trakcie sprawdzania nowo wybudowanej oficyny przy ul. Przejazd 45, na posesji niejakiego M. Citrona, komisja techniczna miejskiego urzędu budowlanego „znalazła, że oficyna wzniesiona została nie według zatwierdzonego planu, a mianowicie suteryny oraz trempel [poddasze], przeznaczone na wieszanie bielizny, zamienione zostały na mieszkania; ściana tylna gmachu, nie mająca wymaganych przepisami technicznymi wymiarów, jest za cienka, mury nie są otynkowane i nie zaprowadzono balkonów” – za samowolne wpuszczenie lokatorów do tak wybudowanego obiektu Właściciel miał być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej⁵.

Brak nadzoru i wypadki na budowie

Prasa łódzka z początku XX wieku bardzo negatywnie oceniała stan i jakość łódzkiego budownictwa – w „Rozwoju” pisano: „Nasze budownictwo to tandeta (...) nasi budowniczowie podporządkowali wszystko tandecie, a raczej spekulacji. Pan właściciel domu stawia na handel. Tania cegła, tanie drewno, tanie dodatki, tani budowniczowie i wszystko tanio, ale źle⁶.” U podstaw tego miała leżeć przede wszystkim chciwość inwestorów-spekulantów budujących szybko, licząc na prędkie zysk z wynajmu mieszkań, tak by spłacić kredyt, a następnie czerpać odpowiednie profity. Za specjalistów od tego rodzaju spekulacyjnego budowania uchodzili przedsiębiorcy żydowskie. Spotykało się to ze złośliwymi komentarzami w prasie. Gdy zawałiła się ściana budowanego domu Chaima Bławata przy ul. Piotrkowskiej – co nie było przypadkiem rzadkim – projektowanego przez znanego architekta G. Landau-Gutentegera, a wznieszonego przez firmę „Kroll i Leder”, w warszawskim „Głosie” napisano: „Żydowski geszeft, prowadzony po żydowsku, bezprawnie zmieniając szerokość otworów okiennych, robiąc w porze zimowej, osłabiając słupy, fundamenty itp., czego następstwem było zarysowanie się fundamentów, a następnie runięcie”⁷. W wypadku tym

osiedla, domy, ulice

zginęło dwóch robotników – ceniony obecnie za swoje dzieła z okresu secesji G. Landau-Gutenteger stanął przed sądem oskarżony o brak odpowiedniego nadzoru nad wznoszonym gmachem, i skazany został na...7 dni aresztu domowego. Blisko dwadzieścia lat później, w 1911 roku, architekt ten ponownie trafił przed sąd, gdy cegła zabiła robotnika w budowanym pod jego nadzorem domu przy ul. Dzielnej 47.

W prasie pisano o rusztowaniach „wiązanych sznurkiem”, o licznych przypadkach spadania z nich robotników. Wypadki były na porządku dziennym. Większe poruszenie budziły katastrofy budowlane, zawalenia się ścian czy też stropów. Jeden z niezwykłych tego rodzaju przykładów podał warszawski „Głos”. Właściciel kamienicy przy ul. Zawadzkiej (obecnie A. Próchnika) 19 rozpoczął nadbudowę trzeciego piętra... nie powiadamiając o tym lokatorów. Zakończyło się to zawaleniem stropu nad pomieszczeniami zajmowanymi przez prywatną szkołę. Poza „zwykłymi”, „codziennymi” katastrofami zdarzały się niekiedy bardziej spektakularne. Do najgłośniejszych należało zawalenie się w styczniu 1910 roku murów budowanego gmachu Drugiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przy ul. św. Andrzeja (obecnie A. Struga) 3. Sprawa była o tyle bulwersująca, że chodziło o duży budynek w centrum miasta, którego projekt wykonał znany łódzki architekt Piotr Brukalski, budowę zaś prowadziła renomowana firma warszawska „Martens i Daab”. W tym wypadku trudno więc było mówić o spekulacji i kiepskich wykonawcach.

Był to przypadek wyjątkowy, gdyż gmachy przy ul. Piotrkowskiej czy w jej bezpośrednim sąsiedztwie miały charakter reprezentacyjny i budowane były w większości raczej solidnie. Spekulacja budowlana, dotyczyła głównie zabudowy takich ulic, jak Wschodnia, Wólczańska, Zachodnia, obecna Kilińskiego, przecznic Piotrkowskiej, jak Próchnika czy Więckowskiego, ale na odcinkach bardziej odległych od głównej arterii miasta, jak i naturalnie zabudowy przedmieść.

Tandetny kościół św. Jana

Słaba jakość materiałów budowlanych czy też wykonawstwa dawała o sobie znać także w przypadku budowli o reprezentacyjnym charakterze, jak chociażby budowanych w tym okresie świątyń. Znamiennym przykładem jest dawny kościół ewangelicko-augsburski św. Jana, obecny kościół ojców jezuitów Najświętszego serca Jezusowego. Wzniesiony w latach 1880-1884 obiekt imponuje swoją efektowną formą architektoniczną, ale okazało się, że projekt zrealizowano bardzo niedbale.

Choć wydawałoby się, że liczna grupa zamożnych łódzkich fabrykantów wyznania luteranckiego może zapewnić powstanie obiektu na najwyższym poziomie, to jednak najwyraźniej przy jego budowie szukano oszczędności. Świadczy o tym chociażby zastosowanie drewnianego stropu, nakrywającego nawet główną i transept, rozwiązanie spotykane niezwykle rzadko w dużych kościołach miejskich tej epoki. Nie została też zrealizowana pełna wizja architekta. W bogato ukształtowanej trójwieżowej fasadzie znaleźć się miały, według pierwotnego planu, cztery

małe wieżyczki u podstawy wieży głównej, które nie powstały, zapewne z przyczyn ekonomicznych. Do budowy użyto też, jak się później okazało, niezbyt dobrej jakości cegły.

Już po niespełna 25 latach potrzebny był generalny remont świątyni. Dotyczył on przede wszystkim górnych partii wież. Ceglane hełmy nie wytrzymały próby czasu i pokryto je płytkami azbestowymi (tzw. sztuczny cement). W trakcie przeprowadzonych w latach 1908-1909 robót konieczne okazało się wzmocnienie ich żelaznymi obejmami. Wspólnota ewangelicka użytkowała świątynię do 1945 roku. Po II wojnie światowej przejęli ją ojcowie jezuici. Rozpoczęło to nowy etap w dziejach kościoła, ale nie zakończyło problemów z jego trwałością. W latach dziewięćdziesiątych stan kościoła był już tak zły, że konieczne stało podjęcie kompleksowych prac renowacyjnych, które przeciągają się do dnia dzisiejszego.

Z podobnymi problemami spotykamy się w odniesieniu do wzniesionej dokładnie w tym samym czasie prawosławnej cerkwi św. Aleksandra Newskiego, projektu Hilarego Majewskiego. Obiekt otrzymał bogaty wystrój z dekoracjami sztukatorskimi i polichromiami we wnętrzu, jak i na zewnątrz. Elewacje zewnętrzne ozdobiono malowidłami na blasze umieszczonymi we wnękach.

Już po dwudziestu latach, podobnie jak to było w opisanym powyżej przypadku kościoła ewangelickiego, sygnalizowano zły stan budowli – w raporcie do władz miasta z maja 1902 r. informowano: „z powodu atmosfery miasta, pełnej pyłu i bardzo wilgotnej, rozkładają się farby malowideł i polichromia zewnętrznej dekoracji. Układ niezbyt stromych dachów sprawił, że spowodowała ona zagrzybienie krokwi i uszkodzenie pokrycia dachowego”. Przeprowadzono wówczas prace renowacyjne, które przeciągnęły się do 1908 r. Kolejne renowacje, ograniczające się z reguły do odnawiania elewacji oraz remontów dachów i więźby dachowej wykonywano w latach międzywojennych, jak i po 1945 roku. W ich wyniku uległa zniszczeniu pierwotna dekoracja zewnętrzna świątyni. Współcześnie pogorszyło się też położenie budowli, która wskutek poszerzenia przebiegającej obok niej ulicy Kilińskiego znalazła się tuż obok ruchliwej jezdni. Intensywny ruch tramwajowy i kołowy wywoływał, i nadal wywołuje, stałe wstrząsy murów budowli. Dużym zagrożeniem okazały się wody podskórne, powodujące stałe zalewanie piwnic i fundamentów. Wszystko to sprawiła, że w 2002 roku podjęto kompleksowe prace renowacyjne, mające przywrócić obiektowi dawną, barwną i bogatą szatę zewnętrzną.

Wspomniany powyżej dokument mówi o atmosferze miasta, „pełnej pyłu i wilgoci.” Przypomina to o kolejnej ważnej przyczynie tragicznego stanu zabytkowej zabudowy Łodzi – wyziewach przemysłowych, których głównym źródłem były setki fabrycznych kominów, uchodzących niegdyś za symbol miasta. Dochodził do tego dym z tysięcy kominów domowych. Tworzyło to chmurę dymu nad miastem, która, w połączeniu z deszczami i wilgotnym powietrzem jesienią i zimą, tworzyła zabójczą mieszkankę niszczącą elewacje, tynki, detale architektoniczne. Sytuacja taka

osiedla, domy, ulice



trwała około stu lat, bowiem fabryczne kominy i dymy zaczęły zniknąć znad miasta dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku.

Obserwując obecnie fatalny stan zabudowy takich ulic, jak Wschodnia, Zachodnia, Wólczańska, Kilińskiego (a wymienić by można długo), pamiętać warto, że złożyły się na to nie tylko zaniedbania ostatnich dziesięcioleci, ale także dużo wcześniejsze uwarunkowania historyczne składające się na szybki rozwój miasta.

Krzysztof Stefański
– prof. dr hab. historyk sztuki;
kierownik Zakładu
Historii Architektury
XIX i XX wieku
w Katedrze Historii Sztuki UŁ.

Tekst niniejszy jest skróconą wersją artykułu złożonego do druku w „Biuletynie Informacyjnym Konserwatorów Dzieł Sztuki”.

Przypisy:

1. Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej APŁ), Akta miasta Łodzi 1795-1918 (dalej: AmŁ), sygn. 1605, s. 99 – tak w tym, wypadku, jak i w kolejnych cytowanych dokumentach, zachowano ich oryginalną pisownię.
2. APŁ, AmŁ, sygn. 332, k. 33-50.
3. *Z tygodnia*, „Dziennik Łódzki” 1885, nr 8, s. 2.
4. Izar, *Z różnych stron. Łódź* (Kor. „Głosu”), „Głos. Tygodnik literacko-społeczno-polityczny”, 1896, R. XI, nr 21, s. 500
5. *Kronika*, „Rozwój” 1912, nr 86, s. 3
6. *Nasze budownictwo*, „Rozwój” 1904, nr 10, s. 1-2
7. Izar, *Przegląd społeczny Łódź*, „Głos” 1893, nr 15, s. 178

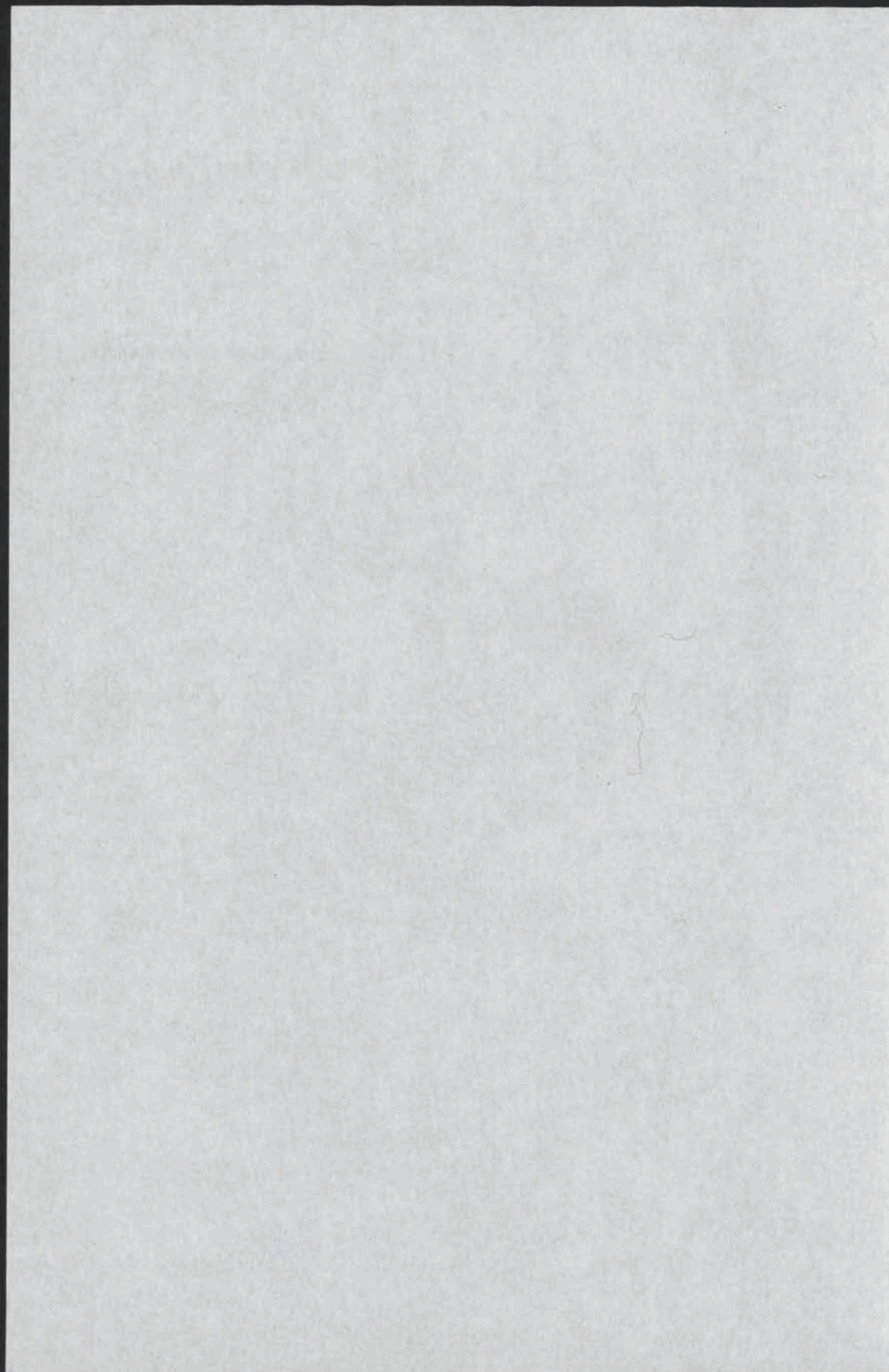
kroniki rodzinne

Ewangelicka proveniencja

Gundlachowie

Bronisława Kopczyńska-Jaworska

str. 235



Ewangelicka proveniencja

Gundlachowie

„Władał naszą mową i językiem polskim, jak niewielu z nas. Wierny Sługa Boży i gorliwy nauczyciel Prawdy, czuł się jak apostoł Paweł dłużnikiem nas wszystkich, czuł całą odpowiedzialność naszego powołania. (...) Nie chciał, żeby ewangelicy byli odgradzeni murem od reszty społeczeństwa, stanowiąc państwo w państwie – dążył do tego, aby wspólne przyświecały nam ideały, wspólna miłość łączyła nas w jednej wspólnej Ojczyźnie – Polsce.” – Tak żegnał, podczas ceremonii pogrzebowej na łódzkim cmentarzu ewangelickim przy ul. Ogrodowej, zmarłego 11 października 1922 pastora Rudolfa Gundlacha – bp Juliusz Bursche.

Polacy z wyboru

Pastor Rudolf Gundlach urodził się w Paproci Dużej w guberni łomżyńskiej 21 czerwca 1850 roku w polskiej rodzinie wyznania ewangelicko-augsburskiego. Ojciec jego – uczestnik powstania listopadowego – był nauczycielem w szkole elementarnej. Rudolf wstępne nauki pobierał w Łomży, gdzie los zetknął go z pastorem Karolem Gustawem Manitiusem, który jak się później okazało, wywarł decydujący wpływ na jego życie. Karol Manitius pochodził z Płocka z rodziny niemieckiego kupca z Halle. Studia teologiczne kończył w estońskim Dorpacie (obecnie Tartu), gdzie wówczas uczyło się wielu polskich studentów z zaboru rosyjskiego i pruskiego. Prawdopodobnie okres studiów spowodował, że Karol Manitius poczuł się Polakiem. Po ordynacji pełnił kolejno służbę duszpasterską w Kaliszu, Kleszczowie i Przasnyszu. W 1853 roku został wybrany¹ na pastora w Łodzi, w parafii ewangelickiej św. Trójcy przy Placu Wolności. Świątynia ta zbudowana w 1829 roku służyła początkowo osiadłej w Łodzi ewangelickiej ludności niemieckiej. Z biegiem czasu otworzyła również swoje podwoje dla wspólnoty Polaków – ewangelików.

Jako Polak z wyboru Manitius popierał dążenia niepodległościowe rodaków, czemu wyraz dawał niejednokrotnie. W marcu 1861 roku odprawił nabożeństwo za pięciu poległych w masakrze podczas manifestacji 8 kwietnia 1861 roku na placu Zamkowym w Warszawie. 10 października 1861 roku wszedł w skład delegacji łódzkiej, uczestniczącej w manifestacyjnym pogrzebie arcybiskupa warszawskiego Antoniego M. Fijałkowskiego, poważanego za to, że mimo nacisków władz rosyjskich nie przeciwstawiał się manifestacjom patriotycznym w kościołach (manifestacja ta stała się pretekstem do ogłoszenia stanu wojennego). Pastor Manitius szybko zdobył szacunek łódzian, którzy wybrali go do Rady Miejskiej. Przed



wybuchem powstania styczniowego odprawiał nabożeństwa w intencji wyzwolenia kraju, podczas których pomijał modlitwy za cara. Sam modlił się po polsku i zachęcał wiernych, aby modlili się wspólnie z Polakami i w ten sposób jednocześnie lepiej poznawali język. Wśród tekstów kościelnych przetłumaczył m.in. na język polski *Mały Katechizm* Lutra oraz w 1891 roku *Agendę* zawierającą porządek nabożeństwa. Pracował również przy tłumaczeniu *Nowego Testamentu* i przy wydaniu polskiego

śpiewnika do nabożeństw. W tradycji rodzinnej przetrwała wiadomość o tym, że w celu upowszechnienia wśród łódzkich Niemców polskich ideałów narodowych tłumaczył polskie pieśni patriotyczne na język niemiecki.

Władze rosyjskie nie mogły dłużej tolerować takiej działalności i za karę przeniosły pastora Manitiusa do Łomży, z której po dwóch latach wyjechał do Warszawy, gdzie początkowo pracował jako drugi, a następnie pierwszy pastor parafii warszawskiej. W latach 1878 -1895 piastował godność superintendenta diecezji warszawskiej, zaś w 1895 został superintendentem generalnym.

W Łomży poznał młodego Rudolfa Gundlacha i od tego momentu splótł się losy tych dwóch rodzin. Pastor Karol pomógł Rudolfowi ukończyć gimnazjum w Warszawie, a później wysłał zdolnego ucznia na studia teologiczne do Dorpatu. Rudolf ukończył studia w 1874 roku. Po ordynacji, czyli uzyskaniu pełnych praw duszpasterskich, pracował jako administrator w parafii ewangelicko-augsburskiej w Nejdorfie, w kurlandzkim okręgu konsystorskim. Przez jakiś czas pracował również w Lublinie. Próbował także swoich sił jako nauczyciel religii w Chełmnie i w Warszawie.

W 1875 roku poślubił Marię Manitius – córkę swego opiekuna i przyjaciela. Dwa lata później został szczęśliwym ojcem syna – Zygmunta (1877-1944). Niedługo jednak małżonkowie cieszyli się rodzinnym szczęściem, bo rok później młoda żona zmarła. Rudolf ożenił się ponownie z 21-letnią Wandą Pauliną Manitius – przyrodnią siostrą swej żony. W tym małżeństwie doczekał się siedmiorga dzieci: trzech synów i czterech córek.

Jeszcze przed śmiercią pierwszej żony Rudolf Gundlach został proboszczem parafii Wiskitki (obejmującej swym zasięgiem Żyrardów). W 1898 roku przeniósł się wraz z rodziną do Łodzi, gdzie 22 sierpnia został wybrany, jak niegdyś teść, na stanowisko pastora parafii św. Trójcy.

W łódzkiej parafii

Pracę w Łodzi Rudolf Gundlach rozpoczął jako człowiek dojrzały, ukształtowany intelektualnie i duchowo. Energicznie kierował powierzoną mu parafią. Pomagały mu w tej pracy wrodzone talenty: krasomówstwo, zdolności literackie i muzyczne. Szczególnie zależało mu na wprowadzeniu do liturgii języka polskiego. Przetłumaczył na język polski wiele pieśni, publikował liczne artykuły w polskojęzycznym „Zwiasztunie Ewangelicznym”, pracował nad śpiewnikiem w języku polskim. W 1916 roku zorganizował przy parafii św. Trójcy polski chór. Była to pierwsza w Łodzi forma organizacji Polaków ewangelików. Pastorowi tak bardzo zależało na rozwoju chóru, że na początku udostępniał na próby własne mieszkanie. Co tydzień w parafii odbywały się „polskie nabożeństwa”. Coraz częściej także organizowano w języku polskim nauki confirmacyjne dla polskiej młodzieży ewangelickiej. Co prawda już wcześniej (bo od ok.1886 roku) podobne nabożeństwa celebrował w kościele św.

Jana pastor Wilhelm Piotr Angerstein, ale nieregularnie, jedynie z okazji większych świąt.

Wysoką pozycję Gundlacha w społeczności ewangelickiej potwierdził fakt, iż podczas I wojny światowej kierował kościołem ewangelicko-augsburskim w byłym zaborze rosyjskim, w zastępstwie internowanego biskupa Juliusza Bursche. Po wejściu Niemców wykazał się głębokim patriotyzmem wyrażając sprzeciw wobec germanizacji kościoła ewangelickiego na ziemiach polskich. Rudolf Gundlach występował przeciwko tym zjawiskom publicznie, jako członek synodu zwołanego w 1917 roku w Łodzi. Organizował także pracę społeczną i charytatywną dla dobra wszystkich mieszkańców Łodzi bez względu na wyznanie.

Lista jego dokonań jest imponująco długa. W 1885 roku był jednym z założycieli, a potem prezesem Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczyńności, członkiem Komitetu Domu Sierot, członkiem zarządu ewangelickiego Domu Miłosierdzia, współprzewodniczącym Przytułku dla Bezdomnych Ewangelickich Dzieci. Od 1914 roku był II prezesem Łódzkiego Komitetu Czerwonego Krzyża, członkiem „Komitetu Tanich Kuchen”, Prezesem „Komitetu Przeciwwębraczego”, przewodniczącym Kasy Pożyczkowej przy Magistracie Łódzkim, członkiem „Komitetu Przytułku dla Jeńców Wojennych Polskich”. W czasie okupacji niemieckiej jako członek Komitetu Obywatelskiego prowadził rozmowy z okupantem w sprawie rekwizycji maszyn i urządzeń fabrycznych.

Niestety, nie było mu dane cieszyć się i pracować długo w niepodległym kraju. Zmarł nagle 11 października 1922 roku. Powodem zgonu był atak serca. Śmierć dosięgła go w tramwaju, gdy jechał w odwiedzinach do chorego. Na pogrzeb przyszyły tłumy łodzian.

„Duchowa nędza ludzka nie dawała mu spokoju. Nie odtrącał wątpliwych i zbłąkanych. Nie szukał chwały i zaszczytów. Był uosobieniem skromności”. – mówił w pożegnalnej mowie biskup Juliusz Bursche.

Synowie i córki

Rudolf Gundlach miał czterech synów: Zygmunta (1877-1944), Ludwika (1882-1941), Stanisława (1883-1950) i Rudolfa (1892-1958). Miał też cztery córki: Marię (1886-1941), Martę (1888-1966), Joannę (zm. 1945) i Halinę.

Najstarszy, Zygmunt – syn z pierwszego małżeństwa z Marią Manitius – ukończył studia mechaniczne na ryskiej politechnice. Nie założył rodziny, działał w Stowarzyszeniu Techników i w Banku Gospodarstwa Krajowego. Mieszkał z siostrami i matką, zmarł w Łodzi.

Najstarszy zaś syn – z drugiego małżeństwa z Wandą Manitius – Ludwik, z domu wyniósł głęboki patriotyzm i już w gimnazjum zaangażował się w działalność konspiracyjną, za co przyszło mu drogo zapłacić. Otrzymał tzw. „wilczy bilet”, który zamknął przed nim możliwości studiowania w Warszawie. Podjął więc

studia medyczne w Niemczech, po czym przeniósł się do Wrocławia, gdzie uzyskał dyplom lekarski. Zgodnie z ówczesnymi prawami podjęcie pracy w kraju wymagało nostryfikacji dyplomu i to na uczelni rosyjskiej. Potrzebne dokumenty uzyskał na uniwersytecie w odległym Kazaniu. Wrócił do Łodzi, gdzie ożenił się z Julią Henryką Nietz. Jego żona pochodziła ze śląskiej rodziny ewangelickiej (pradziadek miał browar w Namysłowie). Kiedy po zajęciu części Śląska przez Prusaków zaczęto germanizować tamtejszy Kościół Ewangelicki przyłączając go administracyjnie do Berlina, rodzina Nietzów przeniosła się do Wiktorowa koło Ozorkowa (był tam browar należący do majątku Wernerów w Lućmierzu).

Dr Ludwik Gundlach razem z żoną prowadził działalność niepodległościową w POW (m.in. organizując w Łodzi pomoc dla pierwszego Powstania Śląskiego²). W randze majora brał też udział w wojnie bolszewickiej.

Trzeci z braci – Stanisław – podobnie jak ojciec rozpoczął studia teologiczne w Dorpacie, ale zmienił plany, widząc stan duchowny nie był jego powołaniem i pojechał do Szwajcarii studiować chemię. Wrócił do Łodzi, gdzie w latach trzydziestych pracował na stanowisku dyrektora Gazowni Miejskiej. Ożenił się z Jadwigą Dymowską, córką pastora z Pułtusza. Jadwiga była nauczycielką, przez wiele lat uczyła języka niemieckiego w gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej. Stanisław także był człowiekiem ogromnie zaangażowanym społecznie. W 1925 roku został jednym z założycieli Organizacji Polaków Ewangelików, w której blisko współpracował z Karolem Kotulą – duszpasterzem organizacji, a następnie proboszczem polskiej parafii ewangelickiej w Łodzi. W 1936 roku w wyniku powołania dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Łodzi, Stanisław został członkiem Rady Parafialnej. W tymże 1936 roku wybrano go do Zgromadzenia Senioralnego. Czynny był również w Zarządzie Chóru, który przed laty założył jego ojciec. Kiedy w 1928 roku powstało w Łodzi „Koło Opieki nad Żołnierzem Ewangelikiem”, nie zabrakło wśród działaczy Stanisława Gundlacha. Przez cały okres międzywojenny brał aktywny udział we wszystkich pracach najpierw Organizacji, a następnie Polskiej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Łodzi.

Najmłodszy syn – Rudolf – skończył studia na politechnice w Rydze, na Wydziale Mechanicznym. W 1916 roku został powołany do wojska rosyjskiego. Po rewolucji wrócił do kraju. Pracował jako inżynier – konstruktor w Wojskowym Biurze Badań Technicznych Broni Pancernych w Warszawie. Zapisał się w historii wojskowej myśli technicznej jako konstruktor czołgowego peryskopu odwracalnego, strzeżonego patentami we wszystkich krajach produkujących broń pancerną (między innymi były one wyposażone wszystkie czołgi alianckie w czasie II wojny światowej).

Córki pastora Rudolfa: Maria i Marta pozostały niezamężne i po śmierci ojca mieszkaly wspólnie z matką i przyrodnim bratem Zygmuntem. Obie siostry pracowały jako nauczycielki w łódzkich szkołach średnich: w gimnazjum

żeńskim im. Orzeszkowej i Waszczyńskiej, oraz w gimnazjum męskim im. Narutowicza. Obie siostry udzielały się również społecznie w Stowarzyszeniu Polek – Ewangeliczek. Marta Gundlachówna szczególnie aktywnie pracowała wraz z pastorem Anną Kotulową w sekcji pomocy więziennej „Organizacji Ewangelickiej”, która opiekowała się więźniami ewangelikami urządzając dla nich nabożeństwa niedzielne. Wraz z córkami nadzwyczaj aktywnie w organizacji i następnie w Polskiej Parafii Ewangelickiej, aż do śmierci w 1938 roku działała także ich matka, Wanda Gundlachowa, wdowa po pastorze Rudolfie Gundlach. W 1932 roku została wyróżniona za wybitny wkład pracy honorowym członkostwem „Organizacji Ewangelickiej”.



Spośród dwóch młodszych córek pastorstwa, Joanna opuściła Łódź i poślubiła nauczyciela Stanisława Lipkę, który był dyrektorem szkoły w Warszawie. Wcześniej owdowiała, po Powstaniu Warszawskim wywieziona wraz z córką do Ravensbrück, zginęła w czasie transportu. Najmłodsza – Halina – wyszła za mąż za Eugeniusza Wandurskiego, starszego brata znanego w Łodzi działacza lewicowego, poety i dramaturga – Witolda. Ich ojciec był kierownikiem jednego z oddziałów pocztowych w Łodzi. Eugeniusz, podobnie jak i trzeci ich brat Zygmunt, był leśnikiem i pracował w lasach państwowych. Zygmunt Wandurski przez szereg lat przebywał w Nadwórnej na Huculszczyźnie, a Eugeniusz koło Płocka, w okolicy Gostynina, a po wojnie na Mazurach. Halina Wandurska zmarła w Łodzi u syna, który ukończył SGGW i pracował w przetwórstwie drzewnym. Ludwik Gundlach już w czasie studiów we Wrocławiu wszystkie praktyki wakacyjne poświęcał na pracę w szpitalu dziecięcym Anny-Marii (dziś im. Janusza Korczaka), w którym po powrocie do Łodzi z Kazania został ordynatorem i najbliższym współpracownikiem dr. Tadeusza Mogielnickiego. W szpitalu tym pracowała także żona Ludwika – Julia, która po ukończeniu gimnazjum Rotherowej rozpoczęła pracę jako pielęgniarka. W tym samym szpitalu pielęgniarkami były jej trzy siostry. Julia prowadziła rehabilitację, oraz opiekowała się pierwszym zainstalowanym w szpitalu, dość prymitywnym, aparatem rentgenowskim, co mogło się przyczynić (wobec słabej znajomości związanych z tym zagrożeń) do jej przedwczesnej śmierci (zm. w 1935 roku). Julia i Ludwik mieli dwoje dzieci: przedwcześnie zmarłą córkę Hannę Wandę (1916-1922) i jednego syna Władysława urodzonego w 1921 roku.

Wnuk Rudolfa Gundlacha, podobnie jak jego kuzyni od najmłodszych lat wychowywał się w duchu pracy społecznej, pojmowanej jako obowiązek i przejaw patriotyzmu.

„Moja matka była bardzo zaangażowana społecznie i już jako dziecko miałem z tą działalnością dużo kontaktu.” – wspomina po latach prof. Władysław Gundlach – „Pamiętam jak w czasach wielkiego kryzysu jeździłem z matką po Łodzi, widziałem jaka ogromna bieda wtedy panowała, pamiętam, że w parku Sienkiewicza organizowano kuchnie polowe i wydawano zupy bezrobotnym. Pamiętam również, że przy tej okazji bardzo zachęcano do pracy w rzemiośle domowym, aby osobom wykazującym jakieś uzdolnienia stworzyć warunki do egzystencji. Potem ich wyroby sprzedawano na kiermaszach świątecznych”.

Władysław wcześniej rozpoczął edukację; początkowo na kompletach u p. Gery Nusbaumowej³, a potem razem z kuzynem Jankiem, synem stryja Stanisława, chodził do szkoły Zgromadzenia Kupców przy ulicy Narutowicza. W szkole tej uczyli się wyznawcy różnych religii, ale panował duch tolerancji i zrozumienia. Uczniowie pochodzili z rodzin o różnym statusie majątkowym ale sami pomagali uboższemu kolegom zdobyć pieniądze na czesne. Organizowali w szkole koncerty, lub wykupywali przedstawienia teatralne a nawet organizowali bale karnawałowe i wiosenne, z których dochód przeznaczano na pomoc dla kolegów. Była to także okazja do wzajemnego poznawania się młodych. Szkoła Zgromadzenia Kupców utrzymywała bliskie kontakty ze szkołami żeńskimi Czapczyńskiej i Miklaszewskiej.

W rodzinnym domu, zgodnie z protestanckim zwyczajem czytano Biblię. Kwestią ambicji była dobra znajomość Pisma Świętego i umiejętność jego cytowania przy stosownych okazjach. Władysław uczęszczał na nabożeństwa w języku polskim do polskiej parafii. Należał do organizacji polskiej młodzieży ewangelickiej. Dwa lata przed wojną był konfirmowany przez swego nauczyciela religii Karola Kotulę. Szkołę Zgromadzenia Kupców ukończył w 1939 roku. Na uroczystości rozdania świadectw maturalnych miał zaszczyt wygłoszenia w imieniu uczniów, ostatniego w niepodległej Polsce, przemówienia.

Czas wojny

Liczna rodzina Gundlachów była powszechnie znana w Łodzi, zwłaszcza w środowisku ewangelickim, zarówno dzięki pracy zawodowej, jak i społecznej, czy wreszcie charytatywnej. Popularność ta, zwłaszcza działalność w Polskiej Parafii Ewangelickiej, stanowiła szczególne zagrożenie w momencie wybuchu wojny II wojny światowej.

We wrześniu Władysław i Jan Gundlachowie, na dwa dni przed wejściem Niemców, dowiedzieli się, że znajdują się na liście proskrypcyjnej. Dr Ludwik Gundlach był już zmobilizowany i został przydzielony do Szpitala Wojsko-

wego. Władysław, wraz z kuzynem Janem i stryjem Stanisławem w ostatniej chwili, w nocy opuścili Łódź. Po wielu trudach dotarli przez Rumunię do Francji, gdzie zaciągnęli się do tworzonej armii polskiej i walczyli w Wozach w II Dywizji Strzelców Pieszych w kompanii przeciwpancernej. Po kapitulacji Francji zostali internowani w Szwajcarii, gdzie umożliwiono im podjęcie studiów. Musieli tylko w lecie pracować przy robotach publicznych. Władysław Gundlach rozpoczął studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki w Zurychu, które ukończył w 1945 r. Przez pięć lat pracował w przemyśle turbinowym w Szwajcarii. W 1950 roku wrócił do kraju. Jego kuzyn Jan skończył architekturę, założył biuro w Winterthur i do końca życia pozostał w Szwajcarii.

Tymczasem dr Ludwik Gundlach po wejściu Niemców do miasta ukrywał się jako chory w szpitalu prowadzonym przez zbór baptystów przy ulicy Marii Curie-Skłodowskiej. Gdy w mieście nieco się uspokoiło, opuścił szpital i powrócił do pracy. Zaangażował się w działalność konspiracyjną ZWZ. Nękany przez gestapo, w konsekwencji tych działań został wysiedlony z własnego mieszkania. Nawiązał jednak kontakt z synem w Szwajcarii, dzięki Augustowi Gerhardowi, dawnemu wikarremu dziadka Rudolfa Gundlacha, który od lat trzydziestych pracował w Bazylei. Pastor Gerhard na początku wojny przyjeżdżał kilkakrotnie do Łodzi, kontaktował się z dr. Gundlachem, aby spełnić specjalną misję – chciał przerzucić do Szwajcarii Żydów, którzy przeszli na ewangelicyzm. Wcześniej ukończył w Lipsku specjalne studia, które przygotowały do pracy misyjnej w środowiskach żydowskich. Nie wiadomo, jakie były efekty ich działalności. Wiadomo natomiast, że Władysław mógł dzięki temu przesłać ojcu wiadomości o sobie.

Dr Ludwik Gundlach nie przeżył trudów wojennych. Zmarł na atak serca w 1941 roku.

Powrót do Łodzi

W 1950 roku Władysław Gundlach wrócił do Polski. Będąc doświadczonym inżynierem rozpoczął pracę na Politechnice Łódzkiej, na której nostryfikował dyplom i przeszedł przez wszystkie stopnie kariery naukowej do tytułu profesora zwyczajnego włącznie. Specjalizował się w maszynach przepływowych, termodynamice płynów i metrologii. Był prekursorem międzynarodowego układu jednostek miar SI w Polsce. W 1956 roku założył czasopismo „Ciepłne maszyny przepływowe”, które ukazuje się do dzisiaj. Kierownik Katedry Ciepłych Maszyn, a następnie dyrektor Instytutu Ciepłych Maszyn. Uzyskał wiele patentów, znany jest również z licznych publikacji naukowych.

Władysław ożenił się z warszawianką Zofią Pszenicką – ojciec żony, inżynier, pochodził z Pabianic – sanitariuszką czasu wojny, późniejszym lekarzem pediatrą, która pracowała przez wiele lat w szpitalu dziecięcym im. Korczaka, tym samym w którym pracowali jej teściowie i ciotki. Po okresie pracy w I Klinice

Pediatric AM i doktoracie u prof. Popowskiego, dr Pszenicka-Gundlachowa znalazła zatrudnienie w łódzkiej ochronie zdrowia dziecka. Jej talentom organizacyjnym zawdzięczał swe powstanie szpital dziecięcy na ul. Nowej, którego była dyrektorem i ordynatorem. Pracowała także w Ośrodku Matki i Dziecka na ul. Moniuszki. Specjalizowała się w organizacji ochrony zdrowia i w medycynie społecznej (wiedzę pogłębiała na studiach w Paryżu). Wreszcie wróciła do szpitala im. Korczaka, gdzie objęła stanowisko lekarza naczelnego i ordynatora. Obecnie zarówno Zofia jak i Władysław Gundlachowie są już na emeryturze.

Stryj Władysława – Stanisław Gundlach, który całą wojnę spędził wraz z najmłodszym bratem Rudolfem w Seringen w południowej Francji, podobnie jak bratanek wrócił po wojnie do Polski, jednak wkrótce zmarł. Jego żona i córka również po wojennym wysiedleniu wróciły do Łodzi. Żona pracowała nadal w Łodzi jako nauczycielka. Zmarła w 1980 roku. Ich córka Wanda, która rozpoczęła studia na tajnych kompletach w Warszawie (była sanitariuszką w Powstaniu Warszawskim), po wojnie ukończyła studia w Łodzi i wyjechała z mężem (Witoldem Niepołomskim) na Śląsk.

Syn Zofii i Władysława Gundlachów – Marcin – wybrał zawód po mieczu. Został inżynierem mechanikiem. Początkowo podob-



kroniki rodzinne

nie jak ojciec pracował na Politechnice Łódzkiej. Już w warunkach wolnorynkowych podjął pracę w przemyśle spożywczym, by następnie wrócić do swej specjalizacji: dziś jest przedstawicielem firmy produkującej sprężarki. Żona Krystyna jest nauczycielką. Mają dwóch synów: Michała i Jana, z których jeden skończył, a drugi rozpoczął studia w Łodzi. Można więc żywić nadzieję, że będą kontynuowali chlubne tradycje rodziny.

Bronisława Kopczyńska-Jaworska
– Prof. dr hab., etnolog;
długoletni kierownik Katedry Etnografii UŁ,
twórca Ośrodka Dokumentacji i Informacji Etnograficznej,
członek honorowy Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.

Przypisy:

1. W Kościele ewangelicko-augsburskim proboszcz wybierany jest spośród zgłaszających się kandydatów na zebraniu ogółu członków parafii (wcześniej *vacat* ogłaszany jest w piśmie kościelnym). Kandydaci muszą mieć zdany tzw. drugi, po ordynacji, egzamin uprawniający do pełnienia funkcji proboszcza oraz oprócz przedstawienia odpowiednich dokumentów i prezentacji muszą wygłosić na wybrany temat kazanie. (Dawniej urząd proboszcza obejmowano na czas do emerytury, według ostatnich przepisów obejmowany jest na 10 lat, z możliwością przedłużenia kadencji).
2. Według relacji prof. Władysława Gundlacha pomoc łódzkich fabrykantów dla Śląska miała swe uzasadnienie gospodarcze, spowodowane troską o to, żeby zasoby węgla zostały w Państwie Polskim. Między innymi profesor wspominał, że jeden z łódzkich fabrykantów podarował na Śląsk luksusowy samochód, którym jeździł Korfanty (Władysław Gundlach znał szofera, który go woził!).
3. Gertruda Nusbaumowa, ewangeliczka i działaczka organizacji łódzkich Polaków – ewangelików, nauczycielka, była organizatorką prywatnych kompletów przygotowujących dzieci (3 klasy wstępne) do ośmioklasowego gimnazjum. Kompletu te były bardzo popularne wśród dzieci łódzkiej inteligencji i burżuazji.

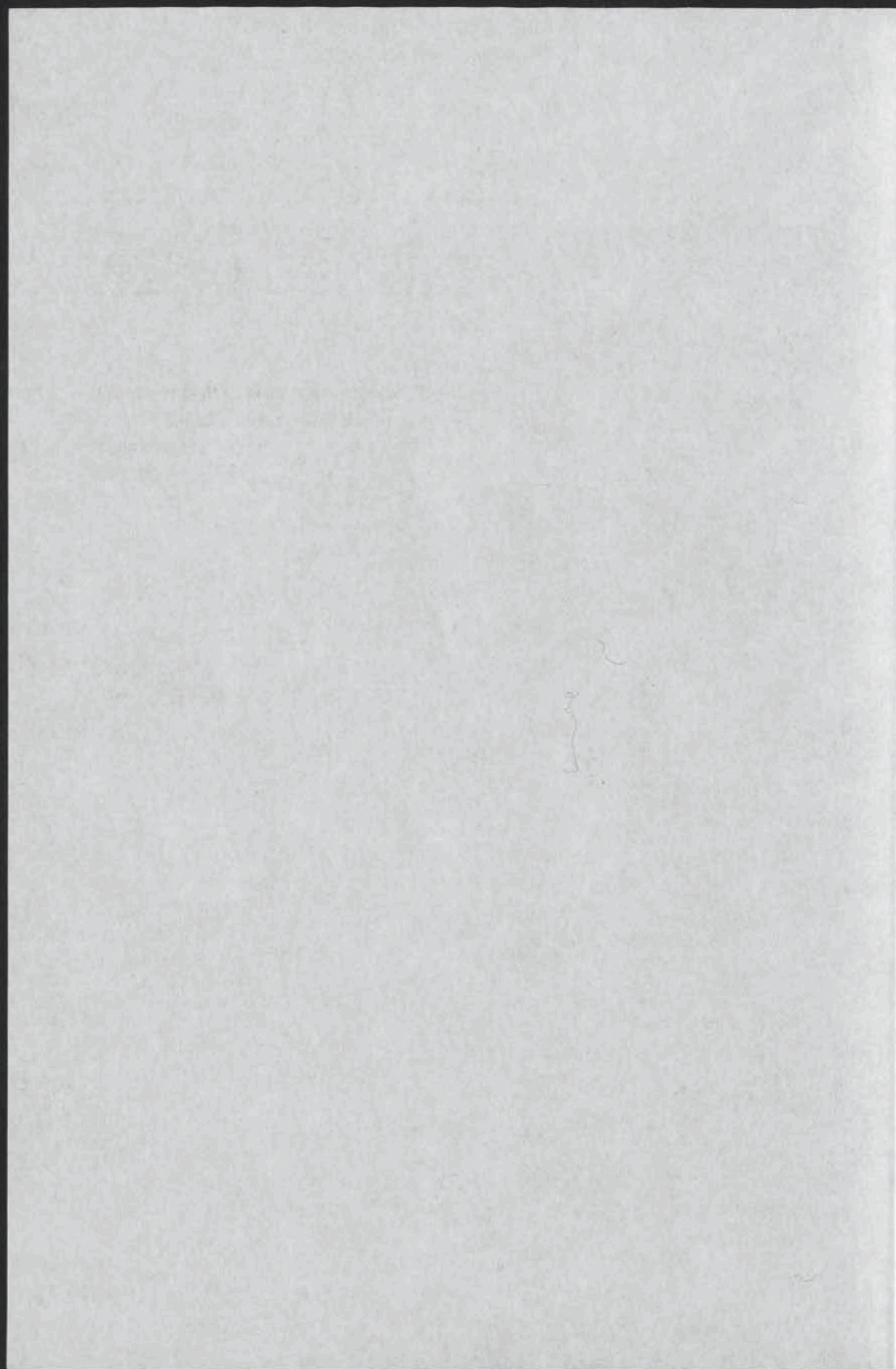
jak nas widzą, tak nas piszą

W Warszawie mówią „Litzmannstadt”

Refleksje rabina Chaima Benisza

Eliahu Kohen

str. 247



W Warszawie mówią „Litzmannstadt”

Refleksje rabina Chaima Benisza

W ukazującym się w Izraelu konserwatywnym czasopiśmie „Haszawua be-Petah Tikwa” (nr 16/2004), dziennikarz Eliahu Kohen opisał wrażenia z podróży do Łodzi Chaima Benisza. Benisz, łódzianin, jako mały chłopiec przeżył Holocaust i po wojnie znalazł się w Izraelu, gdzie w miejscowości Bnei Brak pełni dziś funkcję rabina. Jego powrót po kilkudziesięciu latach do Łodzi to głównie poszukiwanie żydowskich śladów w mieście dzieciństwa. Autor artykułu, Eliahu Kohen, zanotował także kilka refleksji Benisza o współczesnej Łodzi.

„Kiedy na dworcu w Warszawie poprosiłem o bilet do Łodzi, kasjer w okienku spojrzał na mnie i powiedział: *Do Litzmannstadt*. Skinąłem głową. Teraz, kiedy siedzę już w wagonie i rozmyślam nad słowami biletera, nie rozumiem, czy miał zamiar mnie zdenerwować, wyśmiać, zademonstrować swoją wiedzę – a może to wszystko razem?”

Tak rozpoczyna swą niesamowitą podróż powrotną do rodzinnego miasta – Łodzi – rabin Chaim Benisz. (...)

Podczas II Wojny Światowej Łódź została zdobyta przez siły niemieckie już w pierwszym tygodniu wojny. W przeciwieństwie do innych obszarów Polski, traktowanych jako ziemie podbite, Łódź przyłączono do Rzeszy, a nazwę jej zmieniono na Litzmannstadt – od nazwiska niemieckiego generała, który zdobył Łódź w czasie I wojny światowej.

W przewodniku można wyczytać, że w przededniu Zagłady mieszkało w Łodzi około 223.000 Żydów, stanowiąc jedną trzecią 665.000 ogółu mieszkańców. Dziś natomiast mieszka tu kilkuset Żydów, których centrum stanowi budynek tamtejszej Gminy Żydowskiej przy ulicy Pomorskiej 18.

„Wyjeżdżam właśnie do Łodzi z zamiarem przekazania pożywienia na Pesach, oraz pomocy w przygotowaniu wieczerzy sederowej dla członków gminy w jej budynku”, opowiada rabin Benisz.

„Po dwóch godzinach podróży pociąg zatrzymał się na stacji Łódź Fabryczna. Na peronie spotykam Aleksandra Herszkowicza, pracownika gminy, który będzie mi towarzyszył w czasie mojego pobytu. Aleksander radzi mi zatrzymać się w hotelu Polonia – *Do naszej synagogi można pójść piechotą, więc będziesz mógł*

jak nas widzą, tak nas piszą

uczestniczyć z nami jutro w porannej modlitwie, opowiada. Skręcisz tylko z hotelu w prawo w ulicę Kilińskiego, a potem trzecia przecznica w lewo na Pomorską. Tam pod numerem 18 jest budynek Gminy."

Dzisiaj są dobre czasy dla gminy

„Wstałem wcześniej rano, aby zobaczyć miasto, w którym mieszkało pokolenie żydowskie jedyne w swoim rodzaju: pilnych, utalentowanych, pracujących, uczonych – do dzisiaj można po tym rozpoznać Żydów łódzkich. Połykają też literę / i słysząc ją jak o. Teraz zaś spaceruję po pustych ulicach, a pustka daje o sobie znać, jak po wyrwaniu zęba. Tam, na czwartym piętrze mieszkał mój dziadek, po którym odziedziczyłem imię, a tam, na tym pustym placu, stał kiedyś dom drugiego dziadka. A tam na placu był..., zaraz, zaraz, przecież muszę za chwilę być w budynku gminy.

Poznałem tam rabina Symchę Kellera, rabina gminy, człowieka młodego, sympatycznego i energicznego. *Dzisiaj są dobre czasy dla gminy* – mówi rabin – *niedawno na prezydenta miasta został wybrany pan Jerzy Kropiwnicki, będący przywódcą partii katolicko-religijnej. Na pierwszym spotkaniu, które z nim miałem powiedział: „My jesteśmy religijni i wy jesteście religijni – znajdziemy wspólną drogę”. Przed nim u władzy byli socjaliści i było nam ciężko. Prawie nie było między nami współpracy.*

Obecny prezydent miasta, który całkiem niedawno odwiedził gminę – wyraźnie powiedział, że chce ocalić żydowską przeszłość miasta poprzez ustawienie tablic pamiątkowych w historycznych miejscach. »Dajcie nam tylko treść, a je zrobimy« – oświadczył.

Rabin dodaje także: *Prezydent miasta przygotował także program studiów o judaizmie i spotykam młodzież, która zadaje dobre pytania, odkrywają getto... i przychodzą także tutaj. Wszystko to z pieniędzy miasta. W klubie gminy można zobaczyć dzisiaj przedstawienie młodzieży polskiej o życiu Żydów... Około południa obejrzałem przedstawienie. Mogę stwierdzić, że nie było w nim krzty surrealizmu: polska młodzież ubrała jarmułki i tałesy i przedstawiła życie żydowskie, żydowski ślub, wieczerzę sederową i inne święta. Dzieci i nauczyciele cieszyli się bardzo z gościa, który przybył z ziemi Żydów i prosili o fotografię ze mną na pamiątkę.*

Modlitwa wieczorna w gminnej synagodze była wielkim przeżyciem. Uczestniczy w niej codziennie dużo ilość Żydów, wśród nich także młodzieży. Niektóre części modlitwy odmawiane są głośno i ze śpiewem. Synagoga zlokalizowana jest w jednej z sal gminy. Rabin Keller pokazuje mi, że całe wyposażenie zostało skompletowane z synagog zburzonych w czasie Zagłady. *Ten świecznik jest z domu modlitwy chasydów kozienickich, narzuta z Towarzystwa „Chajej Adam” – Łódź 1938, zwój Tory z roku 1889, prezent od małżeństwa Kronsztadtów dla gminy łódzkiej... zobacz napis na rączce... wielki to był bogacz, bezdzietny, cały swój majątek rozdał na cele dobroczynne. Także meble i szafa na roduły to oryginały, my tylko wracamy im życie.*

Cmentarz Żydowski w Łodzi nie został zniszczony w czasie Zagłady i przetrwał w niezmienionym stanie do dnia dzisiejszego. To największy cmentarz w Europie, ma powierzchnię 40 hektarów. Wiele grobów świadczy o zamożności żydowskich mieszkańców. Najbardziej wyróżnia się grobowiec przemysłowca tekstylnego, Poznańskiego, nie jest to zwykły nagrobek, lecz pałac z marmuru o wysokości trzech pięter.

Krzysztof, chrześcijański stróż, doskonale orientuje się na cmentarzu, zna każdy jego zakątek i każdy ważniejszy grób. Pracuje tu już od wielu lat. W ciągu tego czasu nauczył się także pisma hebrajskiego. *To konieczność, bez znajomości pisma byłbym jak ślepiec... Dzwonią tu ludzie z całego świata i proszą o odszukanie grobów swoich bliskich, a ja muszę im pomóc*, mówi Krzysztof.

Po wschodniej stronie cmentarza znajduje się Pole »Gettowe« – pole grobów z getta. W getcie panował straszny głód i niewyobrażalne zimno. Razem zebrały one obfite żniwo. W przeciągu prawie pięciu lat istnienia getta pochowano tu około 45.000 ofiar. Każdy pochowany jest osobno, lecz nie na wszystkich są nagrobki. Dopiero po Zagładzie Żydzi wrócili i postawili nagrobki na mogiłach swoich bliskich. Lecz było ich niewiele. Krzysztof prowadzi mnie na »Pole Gettowe« i pokazuje nowe nagrobki, mówi: *Ostatnio bardzo się ożywiło, ludzie starają się odnaleźć swoje korzenie,*



a ja wyszukuję właściwe miejsce i stawiam nagrobek na wskazanym przez nich grobie... Na moje pytanie, skąd można wiedzieć, gdzie każdy jest pochowany odpowiada, że także w czasie istnienia getta działała w nim *Chewra Kadisza* (bractwo pogrzebowe) i sporządzała dokładne listy zmarłych i miejsca ich pochówku. Dodaje też, że kartoteka przechowywana jest do dzisiaj w siedzibie gminy, a on sam posiada odpis, którym się posługuje. Oprócz tego przetrwała kartoteka sprzed wojny i można znaleźć miejsce dowolnego pochówku. Ostatnio bardzo dużo osób się tym interesuje”.

Król Rumkowski i błazen.

„Getto łódzkie różniło się od innych gett długością swojego trwania i działalności – cztery i pół roku – podczas gdy inne getta nie istniały dłużej niż rok – półtora. Dodatkowym czynnikiem było – i wydaje się, że to właśnie on przesądził o długości jego trwania – zatrudnienie wszystkich mieszkańców w fabrykach, zbudowanych przez Niemców na jego terenie. Żydzi, którzy byli odcięci od innych możliwości zdobycia pożywienia, musieli pracować jedynie za kromkę chleba i miskę zupy. I tak getto stało się najbardziej dochodowym przedsiębiorstwem produkcyjnym w całej Rzeszy. Na czele getta stał Przełożony Starszeństwa Żydów Mordechaj Chaim Rumkowski, postać wywołująca wiele kontrowersji. Niektórzy odcinają się od niego jako kolaboranta, inni zaś uważają, że to jego zasługą był fakt, że w łódzkim getcie przeżyło ponad 7.000 Żydów. (Błąd. W łódzkim getcie przeżyło niespełna 900 osób. Red.)

Przed wojną Rumkowski był działaczem prawicowej organizacji syjonistycznej, kierownikiem Domu Sierot i członkiem Gminy Żydowskiej. Po zajęciu miasta Niemcy zabronili działalności Gminy, a 70-letniego starca mianowali przewodniczącym Judenratu.

Aleksander oprowadzał mnie po byłych ulicach getta. Gdy doszliśmy do ulicy Łagiewnickiej, zatrzymał samochód i powiedział: *Tam mieszkał „Prezes”*, pokazując na budynek szpitala.

Próbuję zajrzeć do środka i okazuje się, że można wejść – budynek jest w trakcie remontu. Po przeszłości nie zostało nawet śladu, a robotnicy skuwają właśnie posadzki. Wyłożone są marmurem. Pytam czy mogę wziąć kawałek *Możesz wziąć ile tylko chcesz* – mówią. Nie, nie wiedzą, kto mieszkał tutaj w przeszłości.

Na lotnisku, gdy opuszczałem już Polskę, ten kawałek marmuru sprawił mi sporo problemów. Celnicy byli pewni, że został on oderwany z jakiegoś królewskiego pałacu. O królu, lub prezydencie nazwiskiem Rumkowski jednak nie słyszeli”.

Syn

„Aleksander to człowiek frapujący. Chodząca encyklopedia spraw getta. Wie dokładnie, do czego był wykorzystywany każdy budynek, kto w nim mieszkał i co się w nim działo. Jest on synem Jankele Herszkowicza – gettowego śpiewaka. Jego ojciec – poeta,

kompozytor i śpiewak, skomponował w czasie istnienia getta wiele piosenek o jego ludziach, zarządcach i wydarzeniach.

Po godzinach pracy w „resorcie” – jak nazywano zakłady produkcyjne w getcie, chodził po podwórkach i placach i śpiewał swoje piosenki. Piosenki smutne, ale też i wesołe. Było w nich dużo optymizmu, nadziei i humoru, a nie było nienawiści – mówi mi Aleksander i dodaje: Do dzisiaj spotykam ludzi, którzy przeżyli getto i mówią mi, że piosenki mojego ojca wzbudzały nadzieję w ich sercach. To było lepsze od „Vigentolu” – witaminy rozdawanej w getcie w niewielkich dawkach.

Jankele nie był – delikatnie mówiąc – zwolennikiem «Prezesa». Do pierwszej wywózki do Oświęcimia Rumkowski wyznaczył właśnie Jankele, nie wiedząc zapewne, że kiedyś podąży jego śladem. Okazało się, że Rumkowski został wysłany ostatnim transportem.

Byłeś królem żydowskim w Łodzi, będziesz też w Oświęcimiu – powiedział mu Biebow, niemiecki komisarz getta. Jedynym przywilejem, który mu zapewniono był osobny wagon, salonka mająca nawet wygodne siedzenia!

Istnieją różne przekazy o końcu Rumkowskiego, niektórzy z ocalałych twierdzą, że posłany został wprost do pieca. Jankele ocalał – aby opowiadać. A teraz jego syn oprowadza mnie po zakątkach getta i opowiada... Aleksander z zawodu jest inżynierem elektrykiem, a w wolnych chwilach wozi odwiedzających swoim samochodem. Jego świetna znajomość jidysz bardzo mu w tym pomaga. Nieraz myślał o emigracji do Izraela, jednakże nie był pewny, czy znajdzie tam pracę. Czuje się także potrzebny w Polsce, jako strażnik dziedzictwa historycznego. *Zobacz – pokazuje mi – na cmentarzu chuligani uszkodzili nagrobek Eliasza Chaima Majzla, głównego rabina Łodzi. Nagrobek ten wyglądem swym przypomina zwój Tory. Chuligani odłamali jego górną część – kule stanowiące imitację rąbek. Z własnej inicjatywy zbudował model i odlał z gipsu kule, które zastąpiły oryginalne marmurowe”.*

Szpera

„Drugiego dnia mojej wizyty mój przyjaciel Aleksander powiedział: *Teraz zabiorę cię do miejsca szczególnego, tam gdzie zaczęła się „Szpera”.*

»Szpera« to niemieckie określenie które można przetłumaczyć jako »zamknięcie«. Celem jej było całkowite zamknięcie getta, zarządzane na jego obszarze we wrześniu 1942 w celu wywózki wszystkich dzieci do lat dziesięciu.

Stan taki trwał siedem dni, w którym to czasie rozegrał się straszliwy dramat – poszukiwanie dzieci na terenie getta. Niemcy, przy pomocy policji żydowskiej, szli od domu do domu zaopatrzeni w spisy mieszkańców getta i zmuszali Żydów do wydania swych dzieci.

Tydzień »Szpery« na zawsze pozostał w pamięci ocalałych z getta jako wydarzenie wstrząsające swym tragizmem. *Wszystko zaczęło się od przemowy „Prezesa” Chaima Rumkowskiego w piątek czwartego września 1942 o godzinie*

jak nas widzą, tak nas piszą

czwartej po południu – należy podkreślić tę datę – mówi Aleksander na Placu Strażackim, poczym poprowadził mnie tam i pokazał: Na tych schodach stał Rumkowski i wygłaszał swoją przemowę.

Czuję, że i Aleksander jest wzruszony, przemówienie rozpoczynające »Szperę« to jeden z najbardziej znanych tekstów z okresu Zagłady. Prezes zażądał wydania Niemcom tego, co było im najdroższe – dzieci. Wszystko to w nadziei, że ta straszna ofiara ocali innych mieszkańców getta. Apel ten przeszedł do historii.

Stoimy teraz na sporym zarośniętym placu, naprzeciwko schodów, a Aleksander powtarza tę przemowę: *Wyciągam ręce i błagam was: bracia, siostry, oddajcie mi je! Ojcowie, matki! Dajcie mi wasze dzieci!... Jestem zmuszony odciąć jeden członek, aby uratować całe ciało... Przyszedłem tu jak rabuś, aby zabrać wasz największy skarb...*

Ostatni przystanek – koniec getta.

„Pod wieczór wyruszamy śladem transportów. W granicach getta istniał duży obszar uprawny zwany »Marysin«, a za nim mała stacja kolejowa, nazywana »Radegast«. W czasie istnienia getta na Marysinie pracowały grupy młodzieży, które otrzymywały pewien obszar ziemi pod uprawę. Miejsce to do dziś służy temu samemu celowi. Okoliczna sielanka wzrusza Aleksandra i rozpoczyna kolejną piosenkę swego ojca – *Zielone pola na Marysinie...*

A oto i stacja kolejowa. Oraz bocznica dla pociągów towarowych. W czasie wojny Niemcy położyli tu tory dla dużych transportów. Z początku towarów wyprodukowanych w getcie, a później ich wytwórców. *Spójrz – mówi Aleksander – tutaj są do dzisiaj szyny z wybitą nazwą niemieckiej firmy „Krupp”, to są szyny położone przez Niemców.*

...miesiąc sierpień 1944, zbliża się front rosyjski, Armia Czerwona dotarła już do brzegów Wisły – 120 kilometrów od Łodzi. Niemcy próbują zlikwidować getto, nie przychodzi im nawet do głowy, aby pozostawić tu przy życiu Żydów. Rozpoczęli więc użytkowanie stacji, cel: obóz zagłady w Oświęcimiu. 70.000 Żydów, którzy przetrwali przez wszystkie lata getta zostaje załadowanych w przeciągu dwóch tygodni na wagony kolejowe... Tak zgładzono ostatnie getto w Polsce... A było to dokładnie 60 lat temu”.

*Eliahu Kohen
Z hebrajskiego tłumaczył Dariusz Dekert*

(Tytuły, sródtytuły i skróty od Redakcji.)

recenzje

W interesie kultury narodowej

Tadeusz Chróścielewski

– „Podzwonne. Pamięci dawnych pisarzy łódzkich.”

Mieczysław Gumola

str. 255

3

W interesie kultury narodowej

*Tadeusz Chróścielewski – „Podzwonne.
Pamięci dawnych pisarzy łódzkich.”*

recenzje

Dom Literatów przy ulicy Bandurskiego i alei Kościuszki przyciągał po wojnie pisarzy, którzy nie znajdując dachu nad głową w Warszawie, znaleźli go w Łodzi. Zamieszkali w nim wtedy m.in. Mieczysław Jastrun, Zofia Nałkowska, Adam Ważyk, Kazimierz Brandys, Adolf Rudnicki, Pola Gojawiczyńska, Seweryna Szmaglewska, Władysław Broniewski, Anna Kamieńska, a także wielu popularnych aktorów. Później jedni i drudzy wywędrowali do stolicy, a o gościnnej Łodzi pisarze zupełnie zapomnieli. Tylko aktorzy umieli jej podziękować, otwierając nowy sezon teatru satyrycznego „Syrena” piosenką:

*Łódź nas przyjęła z czułą troską,
Lecz my nie warci tego, bośmy
Piotrkowską zwali Marszałkowską
I byli obcy, byli gośćmi...
Lecz jak żyć nam w dobrej Łodzi
Wśród ciągłych wspomnień i porównań?
Każdemu, kto się tu urodził,
Warszawa Główna, Warszawa Główna...*

Jednak nie wszyscy lokatorzy Domu Literatów wybrali stolicę. W Łodzi pozostali chociażby: Kazimierz Bleszyński, Stanisław Brucz, Wanda Karczevska, Helena Duninówna, Józef Kononowicz, Igor Sikirycki, Zofia Lorentz, Jan Czarny, Mirosław Ochocki; sprowadzili się nowi ludzie pióra: Stanisław Czernik, Jan Koprowski, Tadeusz Papier, Grzegorz Timofiejew, Horacy Safrin, Leon Gomólicki, Janusz Skoszkiewicz, Tadeusz Chróścielewski z żoną Honoratą. Nazwiska większości tych, którzy z Łodzi wyjechali, a także tytuły napisanych przez nich książek, odnaleźć można dzisiaj w każdym podręczniku poświęconym powojennej literaturze polskiej. Ci, którzy pozostali na miejscu, znikają coraz bardziej z pamięci, zapomina się o ich dorobku również w mieście, którego nie opuścili i któremu do końca swoich dni pozostali wierni. Z czasem, być może, nikt o nich nie będzie pamiętał.

Temu biegowi wydarzeń stara się przeciwstawić Tadeusz Chróścielewski – poeta i pisarz, a także, przez pierwsze powojenne lata, nauczyciel – polonista w łódzkich liceach, świetny obserwator życia kulturalnego Łodzi. Ostatnio wydał zbiór wspomnień: *Podzwonne* z podtytułem: *Pamięci dawnych pisarzy łódzkich*. Książką tą chce ocalić od zapomnienia przyjaciół i kolegów po piórze, którzy spośród innych miast wybrali dla siebie Łódź i w niej pozostali. Kreśli ich wyraziste portrety, ukazuje jako współmieszkańców domu, w którym panowała rodzinna atmosfera, przypomina ich twórczość, omawia wybrane utwory, a wygląda na to, że zna chyba wszystkie. W książce znalazły się wspomnienia o Zofii Lorentzowej, Zofii Petersowej, Helenie Duninównie, Kazimierzu Bleszyńskim, Halinie Dąbrowskiej, Januszu Skoszkiewicz, Janie Sztaudyngerze, Stanisławie Pięta, Marianie Piechalu, Stanisławie Czerniku, Wandzie Karczewskiej.

Czytając wspomnienia, miałem wrażenie, że przechadzam się z ich autorem po łódzkim Domu Literatów i witam z kolejnymi jego mieszkańcami. Świetny język, celny rysunek psychologiczny postaci, mnóstwo szczegółowych informacji o wydarzeniach, które weszły już do historii, a są zupełnie zapomniane, przy tym duża porcja życzliwego humoru, dodają uroku wspomnieniom.

Są to opowieści nasycone ciepłem i życzliwością, często także współczuciem, wynikającym ze zrozumienia wobec dolegliwości, które kiedyś dopadały znacznie starszych od autora mieszkańców domu, dzisiaj zaś dają się we znaki jemu samemu. „Postarzał się ów młodzik, co o innych pisał” – tym komentarzem opatruje autor swoje zdjęcie, na którym widać go siedzącego przy stole w mieszkaniu wypełnionym po brzegi książkami. Pod fotografią dopisek kursywą: *Powiedzmy, że z odnalezionych skryptów ks. bp. I. Krasickiego*. Dowcipne, odautorskie przypisy, najczęściej pod własnym adresem, spotka się jeszcze na wielu innych stronicach książki i są one niczym dobra przyprawa, dodająca smaku wspomnieniom.

Każda z zaprezentowanych osób zafrapowała mnie niezwykłością losów. Szczególnie interesujący wydał mi się Kazimierz Bleszyński, herbu „Suche Komnaty”, potomek prastarego rodu wywodzącego się z Ziemi Sieradzkiej. Urodził się w 1880 roku i był ostatnim człowiekiem w Polsce, który o powstańcu z 1863 roku, rotmistrzu kawalerii Zdzisławie Bleszyńskim, w partii generała Taczanowskiego, mógł mówić „mój ojciec”. Rotmistrz dożył stu lat z nawiązką, a jego syn twierdził, że nawiązka byłaby jeszcze większa, gdyby nie pewne nieszczęśliwe polowanie.

Kazimierz Bleszyński uczył się najpierw w Radomsku, gdzie ukończył głośną szkołę Fabianiego, w Warszawie zaś trafił do znakomitego Trzeciego Gimnazjum rządowego Berga, a następnie studiował biologię na Uniwersytecie Warszawskim. Bardziej niż biologia interesowały go najnowsze prądy w filozofii ścisłej. Debiutował w „Chimerze”, przyjaźnił się z Miriamem i Przybyszewskim, ale przede wszystkim z „cyganem nad cyganami” – Franciszkiem Fiszerem. W 1905 roku został aresztowany za pisanie i przemycanie żołnierzom carskim rewolucyjnej „bibuły”. Po wydaleniu z kraju

studiował w Berlinie, Heidelbergu, Lipsku, Paryżu, Brukseli i Lozannie. Mówił płynnie po niemiecku, rosyjsku i francusku, znał świetnie łacinę, a także angielski i włoski.

Po powrocie do kraju drukował swoje artykuły w „Skamandrze”, „Wiadomościach Literackich” i „Przeglądzie Warszawskim”. Przez szereg lat prowadził, jako członek zarządu Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, „Przegląd Filozoficzny”, w którym regularnie zamieszczał swoje publikacje. Na życie zarabiał ucząc w gimnazjach i liceach warszawskich matematyki, łaciny, propedeutyki filozofii i biologii. Był profesorem gimnazjalnym ale także filozofem, literatem i znakomitym tłumaczem. W encyklopedii współczesnej filozofii, wydanej w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej, nazwany został „jedną z najsilniejszych i najbardziej błyskotliwych umysłowości swojego narodu”. Nie przykładął jednak wagi do dokumentowania własnego dorobku. Dlatego zawieruszyła się gdzieś jego najcenniejsza praca filozoficzna: *Traktat o Jaśni i Ciemni*, zaginęły dwie komedie, wystawiane pod koniec dwudziestolecia międzywojennego w teatrach warszawskim i łódzkim. Pracując w stworzonym przez Melchiora Wańkowicza wydawnictwie „Rój”, odkrył talent pisarski Poli Gojawiczyńskiej i pomógł w karierze literackiej Brunowi Schulzowi.

Łódzki okres życia Kazimierza Bleszyńskiego, obejmujący 27 lat, został zaprezentowany w książce w sposób niezwykle barwny i jednocześnie wzruszający. Zmarł, a właściwie zasnął przy stole obłożonym książkami, w swoim mieszkaniu w Domu Literatów 17 lutego 1972 roku w 92 roku życia. Pochowany został na warszawskich Powązkach. Wspomnienie o nim Tadeusz Chróścielewski zakończył post scriptum: „W bardzo starannie wydanej dwutomowej *Literaturze polskiej. Zarys encyklopedyczny*, PWN, Warszawa 1984, przygotowanej przez świetny sztab uczonych, o Kazimierzu Bleszyńskim nie ma jednego słowa”.

Również ja nie znalazłem jego nazwiska w wielu opracowaniach poświęconych powojennej literaturze polskiej, tak jak nie znalazłem chociażby wzmianek o większości wymienionych w *Podzwonnych* postaciach.

Czy szukać lepszego uzasadnienia, przemawiającego za potrzebą ukazania się na łódzkim rynku książki o zapomnianych łódzkich pisarzach? Książki napisanej z potrzeby serca ale i ze sprzeciwu wobec pomniejszania wartości ich dorobku literackiego. Książka ocala pamięć o pisarzach zapomnianych, choć niezbyt przecież odległych w czasie. Tadeusz Chróścielewski upomina się o nich nie tyle w interesie kultury łódzkiej, co narodowej. I ma rację.

Mieczysław Gumola

Tadeusz Chróścielewski
PODZWONNE
Pamięci dawnych pisarzy łódzkich
 Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2004 r.

Z łódzkiego raptularza

LIPIEC

9 lipca

→ W serii przewodników turystycznych „Złota Księga” ukazał się przewodnik po Łodzi pióra Joanny Podolskiej. Księgę opublikowało Wydawnictwo „Galaktyka” w polskiej i angielskiej wersji językowej.

10 lipca

→ „Gazeta Wyborcza” w Łodzi rozpoczęła zbiórkę funduszy na zakup pary hipopotamów oraz remont basenu w ZOO. Po 48 latach życia w łódzkim Ogrodzie padł Hircio, jeden z najstarszych hipopotamów w Europie.

→ Sąd pracy w Łodzi nakazał przywrócenie do pracy zwolnionego dyscyplinarnie w 2002 r. Tomasza S. organizatora procederu handlu zwłokami. W ostatniej chwili decyzję wstrzymała prokuratura apelacyjna, która zakazała Tomaszowi S. pracy we wszelkich instytucjach ratownictwa medycznego. Decyzja ta była konieczna dla dobra toczącego się śledztwa i interesu społecznego.

12 lipca

→ Premier Marek Belka udzielił dziewięciu inwestorom pozwolenia na działalność w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Wśród inwestorów są zarówno firmy krajowe jak i zagraniczne, które razem zatrudnią 2500 osób.

→ Osiem lat temu zginął tragicznie Grzegorz Palka – pierwszy prezydent Łodzi wybrany w wolnych wyborach po upadku komunizmu, współtwórca „Solidarności.”

13 lipca

→ Grzegorz Zieliński – właściciel kilku restauracji powołał w Łodzi oddział międzynarodowego stowarzyszenia Slow Food propagującego kulturę stołu i jedzenia.

→ W Galerii Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego przy ul. Piotrkowskiej 102 wystawiono fotografie – wykonane na konkurs „W obiektywie bezdomnego”. I nagrodę otrzymał Adam Wijasiński z Chorzowa, który nadesłał cykl czarno-białych

fotografii z życia schroniska. Konkurs zorganizowali: Łódzkie Towarzystwo Pomocy im. Brata Alberta i ŁTF.

27 lipca

→ Na zaproszenie Politechniki Łódzkiej w ramach programu IAESTE (International Association for the Exchange of Students for Technical Experience – międzynarodowe stowarzyszenie ułatwiające studentom uczelni technicznych praktyki zagranicą) przyjechało do Łodzi 84 studentów z całego świata. Odbyli praktyki m.in. w ABB, General Electric, Philips Lighting, ZETO i Polfie.

PERSONALIA

1 lipca

→ Nadkomisarz Mirosław Micor został rzecznikiem prasowym Komendy Miejskiej Policji. Dotychczasowy rzecznik Dariusz Krawczyk będzie pełnił funkcję szefa zespołu prewencji kryminalnej KMP.

26 lipca

→ Inspektor Janusz Tkaczyk został powołany przez ministra spraw wewnętrznych Ryszarda Kalisza na stanowisko komendanta wojewódzkiego policji w Łodzi.

ODESZLI:

18 lipca

→ Zmarł Ryszard Żuromski aktor Teatru im. Jaracza w Łodzi. W swojej aktorskiej karierze pracował m.in. w Teatrze Powszechnym w Warszawie oraz w Teatrze Lubuskim w Zielonej Górze. Był autorem kilku powieści i sztuk oraz kilkadziesiąt opowiadań. Uprawiał także publicystykę.

26 lipca

→ Zmarł Bogusław Sochnacki „Socha” – jeden z najbardziej znanych w Polsce łódzkich aktorów, związany z łódzkimi scenami od 50 lat, przez długie lata występował w Teatrze Jaracza, miał na swoim koncie kilkadziesiąt ról teatralnych i filmowych, reżyser, pedagog w PWSFT i TV.

S I E R P I E Ń

3 sierpnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki zadebiutował jako fotografik. W galerii Śródmiejskiego Forum Kultury otwarto wystawę zdjęć wykonanych przez prezydenta w marcu 2004 r. podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej. Komisarzem wystawy był Andrzej Maria Marczewski.

5 sierpnia

→ Film „Cała zima bez ognia” w reżyserii Grega Zglińskiego-absolwenta łódzkiej filmówki z Gabriellą Muskałą – aktorką Teatru im. S. Jaracza w jednej z głównych ról – został zakwalifikowany do głównego konkursu 61 Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Film reprezentuje kinematografię szwajcarską.

11 sierpnia

→ Wydział Zdrowia Urzędu m. Łodzi zorganizował badania profilaktyczne pomagające wykryć choroby układu krążenia. Badaniami zostaną objęci łodzianie urodzeni w latach 1949, 1959 i 1969. Razem około 60 tysięcy osób.

→ Janek Bolanowski – uczeń I LO w Łodzi zdobył złoty medal na Międzynarodowej Olimpiadzie Geograficznej.

17 sierpnia

→ Trzej łódzcy aktorzy: Sambor Czarnota, Przemysław Wasilkowski i Piotr Rogucki znaleźli się w „Subiektywnym spisie aktorów teatralnych „ Jacka Sieradzkiego – naczelnego redaktora „Dialogu” jako najciekawsze osobowości artystyczne minionego sezonu.

19 sierpnia

→ Czapki z herbem miasta i szarfy w kolorach Łodzi, czyli żółto-czerwonym będą nosić podczas uroczystości państwowych, świąt i rocznic miejskich oraz religijnych władze Łodzi, oraz urzędnicy magistratu. Prezydent Jerzy Kropiwnicki wydał w tej sprawie specjalne zarządzenie, w którym dokładnie określił, kto ma obowiązek zakładać czapkę i szarfę, a kto tylko czapkę.

20 sierpnia

→ Krzysztof Krawczyk obchodzący w tym roku 40-lecie pracy artystycznej odebrał na festiwalu w Sopocie Nagrodę Bursztynowego Słowika i Złotą Płytę.

21 sierpnia

→ Pod patronatem prezydenta miasta Jerzego Kropiwnickiego rozpoczął się międzynarodowy festiwal graffiti „Meeting of styles.” Artyści otrzymali do dyspozycji ścianę dworca Łódź Kaliska. Impreza trwała dwa dni.

28 sierpnia

→ 80. urodziny obchodził prof. dr hab. Jerzy Kroh – specjalista w dziedzinie chemii radiacyjnej, b. rektor Politechniki Łódzkiej, twórca i dyrektor Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej, założyciel Klubu Akademickiego przy Oddziale PAN w Łodzi, doktor honoris causa czterech uczelni.

29 sierpnia

→ Po 60 latach milczenia Łódź z największym szacunkiem uczciła 60 rocznicę likwidacji getta i pamięć ponad 200 tysięcy zamordowanych łódzian pochodzenia żydowskiego, którzy przed wojną stanowili 1/3 mieszkańców Łodzi. Z tej okazji ukazał się nr 2/2004 „Kroniki miasta Łodzi” poświęcony w całości pamięci społeczeństwa łódzkich Żydów. W Bibliotece „Kroniki” ukaże się też specjalne wydawnictwo dokumentujące obchody rocznicowe zagłady łódzkiego getta.

→ Tadeusz Kaczor – właściciel i prezes firmy Atos, został honorowym konsulem Republiki Węgierskiej w Łodzi.

ODESZLI:**8 sierpnia**

→ Zmarł dr inż. Włodzimierz Sitek, – poseł na Sejm II kadencji z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej, radny Rady Miejskiej I i III kadencji oraz członek Zarządu Miasta w latach 1998-2002. Zajmował się problemami geodezyjnymi, informatyką, drogami i infrastrukturą techniczną miasta.

11 sierpnia

→ Zmarł Jerzy Urbankiewicz – pisarz, dziennikarz, nauczyciel, ppłk. WP w stanie spoczynku, kawalerzysta, żołnierz Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego, więzień Workuty, uhonorowany najwyższymi odznaczeniami wojskowymi i państwowymi. Wielce zasłużony dla kraju i Łodzi. Był jedną z najbardziej barwnych postaci miasta.

WRZESIEŃ

2 września

→ Przy ulicy Bednarskiej otwarto DOM WIELOPOKOLENIOWY.

Będzie w nim mieszkać 25 dzieci z Domu Dziecka, 10 starszych osób znajdzie miejsce w domu dziennego pobytu. „Wielopokoleniowość” placówki jest warunkiem postawionym przez jednego z fundatorów – miasto Stuttgart – które przekazało na remont budynku 255 tys. euro w ramach programu „Porozumienie i pojednanie z miastami partnerskimi w Europie Środkowej i Wschodniej.” Pozostałą kwotę wyłożył UMŁ. Przebywanie pod jednym dachem osieroconych dzieci i osób starszych może zaspokoić ich potrzeby emocjonalne i sprzyjać nawiązaniu bliskich więzi. W uroczystym otwarciu placówki wzięli udział Gabriele Müller-Trimbush i prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki.

→ Andrzej Pukaczewski otrzymał III nagrodę na Międzynarodowym Biennale Miniatury w Częstochowie. Biennale było pomyślne dla łódzkich twórców. Wyróżnienia otrzymały: Joanna Bielawska i Elżbieta Gawlikowska-Łabęcka, a Elżbieta Zbych – nagrodę dziekana wydziału artystycznego WSP w Częstochowie.

3 września

→ Rozpoczął się III Festiwal Dialogu Czterech Kultur prezentujący dorobek artystyczny Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan, których potomkowie stworzyli Łódź. Nad całością programu czuwał ponownie Michał Merczyński – twórca festiwalu teatralnego „Malta „ w Poznaniu.

4 września

→ Rozpoczęły się oficjalne uroczystości związane z 85-a rocznicą powstania województwa łódzkiego. W archikatedrze, została odprawiona msza święta, przed grobem Nieznanego Żołnierza złożono kwiaty, a szwadron konny przejechał ulicą Piotrkowską pod pomnik marszałka Piłsudskiego.

Po południu w Pałacu Poznańskim odbyła się uroczysta sesja sejmiku z udziałem przedstawicieli regionów partnerskich. W jej trakcie marszałek Stanisław Witaszczyk podpisał umowę z regionem Csongrad na Węgrzech. Na Piotrkowskiej zorganizowano Jarmark Wojewódzki.

6 września

→ Wojewoda łódzki – Stefan Krajewski wezwał do uczczenia w tym dniu w szkołach chwilą ciszy ofiar tragedii w Biesłanie.

→ Robotnicze Towarzystwo Sportowe „Widzew” – jeden z najstarszych, działających od 94 lat, klubów sportowych w Polsce został rozwiązany. Powodem był brak funduszy na prowadzenie działalności. Długi klubu przekroczyły kwotę 2,3 mln. złotych.

→ Premier Marek Belka wbił pierwszą łopatę na budowie łódzkiego odcinka autostrady A2 w Emilii pod Zgierzem.

→ Pozwolenia na działalność w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej odebrały z rąk premiera Marka Belki kolejne firmy. Były to: Aliberico Polska (kapitał hiszpański, austriacki i włoski), Kofola (kapitał czeski) i Prettl Elektrotechnika Polska (kapitał niemiecki).

7 września

→ W Tel-Awiiwie w gmachu Cameri Theatre Związek byłych Mieszkańców Łodzi zorganizował uroczystość z okazji 60 rocznicy likwidacji łódzkiego getta. Ambasador Polski w Izraelu Wojciech Piekarski udekorował Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP – Abrahama Zeliga ocalałego z łódzkiego getta, który od lat zabiegał o przyjazne stosunki polsko-żydowskie. W obchodach uczestniczyła delegacja z Łodzi. Związek Byłych Mieszkańców Łodzi w Izraelu przyznał prezydentowi Jerzemu Kropiwnickiemu – jako wyraz wdzięczności za uczczenie przez miasto 60 rocznicy likwidacji getta – medal z gwiazdą Dawida, różą i hebrajskim słowem „Toda” – „dziękuję”.

→ W remontowanym kościele oo. jezuitów przy ulicy Sienkiewicza odkryto na ścianach kolorową polichromię. Jeśli podobne malowidła znajdują się na innych ścianach, mogą zmienić wygląd wnętrza całego kościoła.

8 września

→ W Teatrze Logos odbyła się premiera „Zemsty” Aleksandra Fredry w reżyserii Romana Komassy. Reżyser zrezygnował z tekstu na rzecz tańca. Ze sceny padło tylko na zakończenie spektaklu jedno słowo: „zgoda”. Scenografię do przedstawienia przygotował Ryszard Warcholiński, kostiumy – Agnieszka Warcholińska. Muzykę – Trio Bravo Plus.

→ Na ulicach miasta ustawiono 150 pomarańczowych koszy na psie odchody. Delegatury będą rozdawały właścicielom za darmo łopatki i plastikowe torebki. 70 tysięcy psów w Łodzi zostawia codziennie 20 ton nieczystości.

→ Aleksander Klugman pochodzący z Łodzi dziennikarz i pisarz izraelski przysłał na ręce prezydenta Jerzego Kropiwnickiego list z podziękowaniami do mieszkańców Łodzi. Autor podziękował za okazane uczestnikom uroczystości 60 rocznicy likwidacji getta serce, życzliwość i współczucie. Kilka lat temu Klugman wystosował list otwarty pełen bólu z powodu antysemickich napisów na murach miasta. Był to bodziec do zorganizowania Kolorowej Tolerancji.

11 września

→ Na Dużej Scenie Teatru Jaracza odbyła się premiera sztuki „Wojna matka” w/g Bertolta Brechta. Scenariusz napisali: Zdzisław Jaskuła, i Remigiusz Brzyk. Spektakl reżyserował Remigiusz Brzyk, dekoracje – Mikołaj Malesza, kostiumy: Elżbieta Wójtowicz-Gularowska.

→ W trzecią rocznicę tragedii w World Trade Center w Nowym Jorku prezydent Jerzy Kropiwnicki zapalił w Łodzi znicze pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki, którego czczą i szanują zarówno Polacy jak i Amerykanie.

→ Na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi rozpocznie w tym roku studia 80 studentów z całego świata. W grupie najwięcej jest Chińczyków z Tajwanu. Cudzoziemcy będą uczestniczyć w zajęciach prowadzonych w języku angielskim. Rok studiów kosztuje ich 7800 euro.

→ W Atlasie Sztuki otworzono wystawę obrazów artystów z Wrocławia – Krzysztofa Skrabka i Laury Paweli pod tytułem: „portret własny pl”.

→ Jubileusz 50-lecia obchodziła Szkoła Podstawowa nr 109 im. L. Wawrzyńskiej na Chojnach. Jej pierwszym kierownikiem był Wacław Sarnecki. Dzisiaj kieruje nią dyr. Grażyna Mastelarz.

13 września

→ Bosch i Siemens rozpoczęli rekrutację pracowników do fabryki suszarek do bielizny powstającej w Łodzi przy ul. Wedmanowej. W poszukiwaniach wykwalifikowanych pracowników pośredniczy „Gazeta Wyborcza” poprzez akcję „Pracuj z Gazetą”.

→ Leszek Kołodziejski, student V roku Akademii Muzycznej otrzymał III nagrodę na VIII Międzynarodowym Konkursie Współczesnej Muzyki Kameralnej w Krakowie. Za najważniejsze wydarzenie sierpnia 2004 r. łodzianie uznali obchody 60 rocznicy likwidacji łódzkiego getta. Plebiscyt przeprowadza co miesiąc Radio Eska Łódź, TV Toya i lokalna „Gazeta Wyborcza”.

→ Kapituła Nagrody „Złotego Pióra” im. Jerzego Katarasińskiego nie przyznała w tym roku nagrody wyróżniającemu się recenzentowi. Fundatorka nagrody Iwona Śledzińska-Katarasińska zastanawia się nawet nad zmianą regulaminu konkursu.

15 września

→ Pięć lat temu powstała w Łodzi Fundacja Rozwoju Kadr Poligraficznych, która za cel działania obrała wszechstronną pomoc szkolnictwu poligraficznemu w Łodzi, czyli Zespołowi Szkół Papierniczo-Poligraficznych im M. Reja, oraz Instytutowi Papiernictwa i Poligrafii Politechniki Łódzkiej. Fundacja wspiera m.in. fundusze stypendialne, konkursy na najlepsze prace dyplomowe, pomaga w organizowaniu szkoleń dla wykładowców w kraju i zagranicą.

16 września

→ Prof. David Smallbone z Uniwersytetu Kingston w Londynie otrzymał tytuł i godność doktora honoris causa UŁ. Profesor był wykładowcą na Wydziale Zarządzania, koordynatorem unijnych projektów badawczych, pomagał też doktorantom w uzyskaniu staży w Wielkiej Brytanii.

→ „Telimena” najstarszy dom mody w Polsce, znany z wysokiej jakości damskiej konfekcji – w którym ubierały się dwa pokolenia Polek – zlikwidowała dwa salony w Łodzi. Firma przestawiła się na szycie mundurów dla lotników, pracowników WARS-u i innych służb.

17 września

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę miniatur tkackich upamiętniającą tragedię z 11 września 2001 roku w Nowym Jorku. Wystawiono 100 prac wykonanych przez artystów z różnych stron świata. Inicjatorką wystawy była Monika Chmielewska-Lehman, Polka mieszkająca w Kalifornii.

19 września

→ W Łodzi zakończył się II Ogólnopolski Przegląd Katolickich Programów Telewizyjnych i Radiowych 2004 „Znaki nadziei” zorganizowany z inspiracji Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Grand Prix uzyskał film Piotra Zarębskiego pt: „Żołnierz kościoła” (prod. Marta TV & F, TVP 1–2003 r. Nagrodę ufundował prezes TVP S.A. – Jan Dworak. Nagrodę Arcybiskupa Metropolity Łódzkiego Władysława Ziółka otrzymał film Anny T. Pietraszek „Podróże z Caritas Polska”. Nagrody otrzymali także: Jadwiga i Marek Kamińscy, Toya, Łódź za „Bez adresu”, Barbara Pawłowska TVP 2 za „Taka ładna, taka młoda”, Sylwester Latkowski TVP 2 za „Kamilianie”. Nagrodę Wice Marszałka Sejmu RP Kazimierza M. Ujazdowskiego zdobyli Andrzej Baworowski i Leszek Wasiut (Multimedia) za film „Historia jutra”. Nagrodę prezydenta miasta st. Warszawy Lecha Kaczyńskiego otrzymał Paweł Kęska (radio Józef) za audycję „Serce Warszawy.” Specjalną nagrodę o. prałat Zdzisław Peszkowski przyznał Annie T. Pietraszek za całokształt twórczości, oraz Małgorzacie Bartyzel za „specjalne zasługi”. Ks. Peszkowski nagrodził także twórców przedstawienia telewizyjnego „Anatomia sumień” – Grzegorza Królikiewicza (reżyser i autor scenariusza) i Krystynę Wilczkowską (współautorka scenariusza).

24 września

→ Na ekrany kin wszedł film Krzysztofa Krauzego „Mój Nikifor”. Z Krystyną Feldman w roli głównej. Autorem zdjęć jest łódzianin Krzysztof Ptak.

→ Politechnika Łódzka kupiła od miasta kolejny, szósty pałacyk. Znajdzie w nim siedzibę Dziekanat Wydziału Elektroniki i Elektrotechniki PŁ.

PERSONALIA:**2 wrzesień**

→ Barbara Piegdoń-Adamczyk – objęła od 1 września kierownictwo „Gazety Wyborczej” w Łodzi. Przez 12 lat stała na czele edycji „Gazety” we Wrocławiu. Wojciech Skupieński – radca prawny i dotychczasowy szef kadr łódzkiej Opery został niespodziewanie dyrektorem naczelnym Teatru Wielkiego. Decyzje taką podjął Zarząd Województwa po zasięgnięciu opinii Ministerstwa Kultury i artystycznych związków zawodowych.

11 września

→ Dr inż. Grazyna Ojrzyńska po 14 latach pracy na stanowisku ogrodnika miasta i wicedyrektora Wydziału ochrony Środowiska Urzędu m. Łodzi przeszła na emeryturę. Nowym dyrektorem Wydziału został dr Janusz Burchard – pracownik naukowy Wydziału Geografii UŁ.

P A · D Z I E R N I K**1 października**

→ Włodzimierz Tomaszewski – wiceprezydent Łodzi wygrał proces z „Expressem Ilustrowanym”. Prawie rok temu w gazecie ukazał się artykuł sugerujący, że wiceprezydent negocjuje ze złodziejami, aby odzyskać skradziony samochód. Sąd uznał, że artykuł był tendencyjny, nierzetelny i podawał nieprawdziwe informacje. Wyrok nakazuje wydawcy przeprosić prezydenta i wypłacić 20 000 złotych tytułem zadośćuczynienia.

→ Przy ulicy Piotrkowskiej 146 ustawiono kino 4D. W tym pierwszym w Polsce kinie będzie można oglądać kilkunastominutowe filmy przyrodnicze, w których zastosowano efekty trzeciego i czwartego wymiaru. Właścicielem kina jest polsko-amerykańska firma Horrorwood Studio-Polska.

2 października

→ Na Małej Scenie Teatru Nowego odbyła się prapremiera spektaklu Kazimierza Brauna: „Szkło bolesne. Opowieść matki o Powstaniu Warszawskim”. Autor, który od 1985 r. mieszka i pracuje w USA sam wyreżyserował przedstawienie. W jednej z ról wystąpiła Maria Białobrzaska, łączniczka z powstania.

→ Skrzypaczka Ludwika Maja Tomaszewska, tegoroczna absolwentka łódzkiej Akademii Muzycznej jako jedyna Polka znalazła się wśród laureatów (otrzymała III nagrodę) 17 Bayreuther International Music Competition „pacem in terris”.

→ Spółka „Nasz Dom” – właściciel sieci spożywczych sklepów Andre ogłosiła upadłość. Miasto straciło przeszło 1,5 mln. Złotych z tytułu niezapłaconego czynszu.

3 października

→ Rozpoczęły się pierwsze Łódź-Biennale, prezentujące twórczość przedstawicieli nowej awangardy z kilkudziesięciu krajów. Wystawy trwały do końca października. Na tę międzynarodową imprezę przyjechali artyści z całego świata. Otwierając Biennale Międzynarodowe prezydent Jerzy Kropiwnicki przypomniał rodowód tej imprezy wywodzącej się wprost od wystawy „Konstrukcja w procesie” z 1981 roku, zorganizowanej pod patronatem „Solidarności”.

→ Poleski Ośrodek Sztuki obchodził 35-lecie swej działalności. Z tej okazji podczas jubileuszowego spotkania Małgorzata Uptas – szefowa Ośrodka deklamowała wspólnie z Andrzejem Strąkiem specjalnie napisany przez poetę wiersz. Śpiewała również wiersze Ewy Lipskiej.

4 października

→ Wojciech Kuczok autor najlepszej książki roku 2003, laureat tegorocznej nagrody Nike za powieść „Gnój”, promował ją w księgarni Matras. Wieczorem autor uczestniczył w premierowym pokazie filmu „Pręgi” nakręconym według jego scenariusza.

→ Przy ulicy Fabrycznej 19 na Księżym Młynie powstała pierwsza prywatna galeria sztuki w wyremontowanym przez właścicieli lokalu – Beatę i Macieja Gondorowiczów.

5 października

→ W Centrum Powiadamiania Ratunkowego w Łodzi zainstalowano najnowocześniejszy system komputerowy ułatwiający organizację pracy i bardzo szybkie wysyłanie karetek do chorych.

6 października

→ Biserka Rajcić – tłumaczka z Serbii została laureatką nagrody im. Zbigniewa Dominiaka za wybitne osiągnięcia w przekładach poezji polskiej na język serbski. Nagrodę – 10 000 zł. ufundowała notariusz Małgorzata Badowska.

8 października

→ Łódź otrzymała tytuł: „Gmina Fair Play – Certyfikowana Lokalizacja Inwestycji”. Tytuł przyznaje Krajowa Rada Gospodarcza laureatom konkursu dla gmin przyjaznych inwestorom. Tytułem miasto może posługiwać się przez rok.

→ W Piotrkowie Trybunalskim powstało centrum logistyczne międzynarodowej firmy Unilever. Centrum zatrudniło 350 osób.

11 października

→ „Fenomen getta łódzkiego 1940 – 1944” – to tytuł dwudniowej konferencji naukowej zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi, Archiwum Państwowe w Łodzi, Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie i Uniwersytet Łódzki, który gościł uczestników na Wydziale Zarządzania.

→ Filmowcy kanadyjscy rozpoczęli w Łodzi zdjęcia do filmu dokumentalnego o Marku Bidermanie z Kanady i rodzinnym skarbie odkopanym w kwietniu – na terenie dawnego getta – przy ul. Żeglarskiej na Bałutach.

12 października

→ Jorgen Nielsen – prezes prywatnej duńskiej firmy lotniczej Cimber Air i prezydent Jerzy Kropiwnicki podpisali umowę o uruchomieniu połączenia lotniczego między Łodzią i Kopenhagą. Umowa wejdzie w życie z dniem 3 listopada.

→ W Łodzi powstał wirtualny sekretariat. Jedna sekretarka pracuje dla kilkudziesięciu firm. Firma może także wynająć biuro na kilka godzin.

15 października

→ W Instytucie Europejskim uczczono pamięć prof. dr hab. Tadeusza Pawlikowskiego, pioniera polskiej endokrynologii, twórcy łódzkiej szkoły endokrynologicznej. Przedstawiciele tej dyscypliny przyjechali do Łodzi na uniwersyteckie sympozjum poświęcone endokrynologii doświadczalnej.

→ Łodzi przybyła nowa biblioteka naukowa. Wyższa Szkoła Humanistyczno-Ekonomiczna oddała do użytku nową bibliotekę w gmachu przy ulicy Sterlinga 26. Biblioteka posiada 32 000 woluminów, komputerowe katalogi i elektroniczne zabezpieczenia księgozbiorów.

16 października

→ 5 godzin trwał galowy koncert w Teatrze Wielkim w Łodzi z okazji 50-lecia działalności łódzkiej sceny operowej. Koncert prowadził Bogusław Kaczyński, obecni byli dawni soliści Opery, dyrygenci, tancerze, oraz wierni miłośnicy opery. W repertuarze znalazły się fragmenty oper, najważniejszych dla historii łódzkiej sceny.

17 października

→ W Łódzkim Domu Kultury zakończył się XV Międzynarodowy Festiwal Komiksu. Tegoroczny konkurs towarzyszący festiwalowi wygrał debiutant Paweł Zych – architekt z Poznania.

18 października

→ Romano Prodi – przewodniczący Komisji Europejskiej, Vittorio Merloni – założyciel firmy i premier Marek Belka uczestniczyli w otwarciu w Łodzi fabryki lodówek.

19 października

→ Rozpoczął się XI Międzynarodowy Festiwal Szkół Filmowych i Telewizyjnych Mediaschool. Organizatorów festiwalu, łódzką filmówkę reprezentował film dokumentalny „Bar na Victorii” Leszka Dawida. Obraz ten zdobył Grand Prix festiwalu.

→ Apteka Calendula przy ul. Wólczańskiej 37 w Łodzi wygrała przetarg i zostanie pierwszą w mieście apteką komunalną. W aptecę będą otrzymywać za darmo leki podopieczni Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Koszt leków pokryje miasto.

→ Młodzieżowa reprezentacja przy prezydencie miasta złożona z 300 uczniów przybyła do Urzędu m. Łodzi na pierwsze posiedzenie. Rada – jak podkreślił w przemówieniu do uczniów prezydent Jerzy Kropiwnicki – „ma uczyć się demokracji w praktyce i przygotowywać do przejęcia odpowiedzialności za miasto i państwo”. Po inauguracyjnym posiedzeniu młodzież zasadziła na dziedzińcu urzędu „drzewko samorządności” (trzymetrowy dą) i wraz z prezydentem Kropiwnickim wypuściła na wolność 8 gołębi.

20 października

→ Renata Jabłońska – pisarka z Izraela pisząca po polsku promowała w Poleskim Ośrodku Sztuki swoją najnowszą książkę: „Niknące twarze”. Pisarka urodzona w Łodzi, odwiedziła miejsca związane ze wspomnieniami młodości, oraz spotkała się z dawnymi przyjaciółkami ze szkoły.

22 października

→ Jurek Grzesiak uczeń XII LO w Łodzi otrzymał wyróżnienie w konkursie organizowanym przez Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Zdjęcie przedstawia nurogęsę wygrzewającą się w słońcu. Grzesiak jest drugim Polakiem wyróżnionym w 40-letniej historii tego prestiżowego konkursu.

→ W obecności premiera Marka Belki w Pałacu Poznańskiego zainaugurowała działalność największa polska firma energetyczna: holding Bełchatów-Opole-Turów (BOT).

→ Najstarsza szkoła średnia w Łodzi założona w 1869 r. (dawniej szkoła włókiennicza) przy ul. Żeromskiego – obecnie Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 19 obrała za swego patrona Karola Wojtyłę.

23 października

→ Na złoty jubileusz sceny operowej Teatr Wielki przygotował premierę „Adriane Lecouvreur” Francesco Cilea. Reżyseria i scenografia – Tomasz Konina, kostiumy – Lisa Karpinska – James, choreografia – Sławomir Woźniak, kierownictwo muzyczne – Tadeusz Kozłowski.

→ Agencja Public Relations Telma Group z Łodzi jako jedyna firma spoza Warszawy weszła do finału i zdobyła nominację do prestiżowej nagrody Złotego Spinacza.

26 października

→ Koncert łódzkich filharmoników pod batutą samego Krzysztofa Pendereckiego zakończył Festiwal Sakralny w Kościele oo. jezuitów przy ul. Sienkiewicza. Festiwal poświęcony był pamięci ks. Jerzego Popiełuszki. W programie znalazły się m.in. utwory: „De Profundis” Pendereckiego i VII symfonia Beethovena.

Artyści zrezygnowali z honorarium, a widzowie kupowali cegiełki z których dochód przeznaczono na remont kościoła.

→ Leokadia i Tadeusz Foltowie obchodzili 70-ą rocznicę zawarcia związku małżeńskiego. Prezydent Jerzy Kropiwnicki złożył jubilatom życzenia oraz wręczył dyplom i upominek.

→ Prof. dr hab. Wojciech Stec z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi otrzymał „polskiego Nobla” – nagrodę Fundacji Nauki Polskiej za osiągnięcia w dziedzinie nauk ścisłych – dokładnie za otrzymanie nowych biologicznie związków o dużym potencjale biologicznym.

28 października

Profesor Jerzy Poradecki – historyk literatury, wykładowca uniwersytecki, właściciel wydawnictwa *biblioteka i galerii T*, redaktor *serii Rzecz poetycka* obchodził w Poleskim Ośrodku Sztuki jubileusz 40-lecia pracy twórczej.

29 października

→ Posłanka Anita Błochowiak przegrała proces sądowy z byłą redaktorem naczelną „Nowego Życia Pabianic” – Magdaleną Hodak. Posłanka podała dziennikarkę do sądu, kiedy ta odmówiła wydrukowania sprostowania pani poseł w sprawie tytułu artykułu.

→ „Gazeta Wyborcza” w Łodzi ujawniła fałszowanie zaświadczeń o zdanych egzaminach z języka angielskiego, wymaganych przy specjalizacjach lekarskich. Sprawą zajęła się prokuratura, Ministerstwo Zdrowia i Naczelna Rada Lekarska. Lekarze, którzy uzyskali specjalizacje i doktoraty przedstawiając fałszywe zaświadczenia, mogą stracić tytuły i stopnie.

30 października

→ Na Dużej Scenie Teatru Jaracza odbyła się premiera sztuki Iwana Wyrypajewa „Dzień Walentego”, w przekładzie Agnieszki Piotrowskiej i reżyserii Barbary Sass. Scenografię opracował Marek Braun, muzykę Michał Lorenc.

LISTOPAD**2 listopada**

→ Łodzianie ofiarowali 83 tysiące złotych na ratowanie zabytków cmentarza przy ulicy Ogrodowej. Pieniądże zebrano podczas jubileuszowej, X kwesty na cmentarzu. Kwestowało ponad sto osób, wśród nich prezydent Jerzy Kropiwnicki.

3 listopada

→ „Bitwa o Łódź” Andrzeja Adacha, wydana własnym sumptem przez autora w lutym br. po informacji o autorze w „Gazecie Wyborczej”, wzbudziła zainteresowanie wydawców, księgarzy i czytelników.

→ Jerzy Kropiwnicki – prezydent Łodzi i Rafał Dutkiewicz – prezydent Wrocławia oraz Stanisław Witaszczyk – marszałek województwa łódzkiego i Paweł Wróblewski – dolnośląskiego, podpisali memorandum do premiera Marka Belki, w którym domagają się trasy szybkiego ruchu S-8 i szybkiej linii kolejowej na trasie Wrocław-Łódź-Warszawa. Obecnie dojazd samochodem z Wrocławia do Łodzi zajmuje od 3 do 4 godzin.

→ W szpitalu im. Kopernika otworzono nowoczesny oddział kardiologii interwencyjnej, wyposażony w nowoczesną aparaturę, pozwalającą ratować życie.

5 listopada

→ W Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym zebrali się polscy archeolodzy, na promocji 700-stronicowego dzieła „Neolit i początki epoki brązu”. Autor – doc. dr hab. Ryszard Grygiel – dyrektor muzeum, zapowiada kolejne tomy, w których zapozna czytelników z wynikami badań trzech pokoleń archeologów w okolicach Brześcia Kujawskiego.

→ Członkowie Wojewódzkiego Stowarzyszenia Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź zostali odznaczeni Srebrnymi Medalami Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Srebrnym Krzyżem Zasługi uhonorowano Grzegorza Wróbla.

7 listopada

→ Najpiękniejsze i najdroższe koty przyjechały do Łodzi z różnych państw europejskich na XXX Międzynarodową Wystawę Kotów Rasowych. Najwięcej było kotów syberyjskich, najmniej perskich. Ceny medalistów sięgały nawet 30 tysięcy złotych.

→ Msza święta w Kościele Środowisk Twórczych za zmarłych w tym roku twórców zainaugurowała VIII Festiwal Kultury Chrześcijańskiej. W dniu otwarcia festiwalu arcybiskup Władysław Ziółek powołał przy Ośrodku Duszpasterstwa Europejskie Centrum Kultury „Logos”, które ma budować szerszą niż dotychczas integrację kulturalną. Festiwal trwał dwa tygodnie i był przeglądem różnych dziedzin twórczości artystycznej, mającej związek z przesłaniem chrześcijańskim.

9 listopada

→ Blisko 2 000 nauczycieli i pracowników łódzkich szkół protestowało na ulicy Piotrkowskiej. Domagali się, aby miasto przywróciło wożnym, kucharkom i sekretarkom szkolnym zbiorowy układ pracy, który wypowiedziało im latem oraz waloryzacji płac. Pikietę zorganizował łódzki oddział ZNP.

→ W Muzeum Sztuki otwarto retrospektywną wystawę działającej od 1979 r. grupy artystycznej Łódź Kaliska. Grupę stworzyli łodzianie: Marek Janiak, Andrzej Kwietniewski, Andrzej Wielogórski, oraz Andrzej Świetlik z Warszawy i Adam Rzepecki z Krakowa.

10 listopada

→ Z okazji Święta Niepodległości 25 osób udekorowano odznakami „Za zasługi dla miasta Łodzi”. Odznaczono także łódzki Oddział Stowarzyszenia Elektryków Polskich, Izbę Rzemieślniczą i Zarząd Okręgowy Związku Inwalidów Wojennych RP. Złotymi Krzyżami Zasługi udekorowano: **Jadwigę Matusiak** i **Barbarę Sidor-Pietras** – działaczki Ligi Kobiet Polskich, **Mariana Papisa** – dziennikarza i radnego Rady Miejskiej, oraz **Stanisława Ścieszko** – operatora TVP w Łodzi.

11 listopada

→ Msza święta w intencji Ojczyzny, celebrowana przez biskupa Adama Lepę w archikatedrze, rozpoczęła oficjalne uroczystości Święta Niepodległości. Pod Grobem Nieznanego Żołnierza odczytano apel poległych i oddano salwę honorową. W defiladzie wzięli udział: reprezentacyjny oddział Wojska Polskiego, oddziały Policji i Straży Pożarnej. Przedstawiciele władz miasta, partii politycznych i stowarzyszeń wraz z mieszkańcami Łodzi przemaszewali Piotrkowską pod pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego. Okolicznościowe przemówienia

wyłosili: prezydent Jerzy Kropiwnicki, Waldemar Krenc – przewodniczący Zarządu Regionu NSSZ „Solidarność” i Andrzej Ostoja-Owsiany – honorowy prezes Społecznego Komitetu J. Piłsudskiego w Łodzi.

→ Stefan Fitas, śpiewak operowy, od 1967 roku związany z Teatrem Wielkim w Łodzi, obchodzi 40-lecie pracy artystycznej. W swoim dorobku ma 116 ról.

12 listopada

→ 12 listopada 1949 r. na scenie Teatru Nowego wystawiono „Brygadę szlifierza Karhana” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Dokładnie w dniu jubileuszu na scenach teatru wystawiono „Hamleta” – przedstawienie, którego reżyserii nie zdążył skończyć Dejmek, a na Małej Sali „Obronę Sokratesa” Platona w reżyserii Grzegorza Królikiewicza.

14 listopada

→ Na Scenie Kameralnej Teatru Jaracza odbyła się premiera sztuki „Śmierć komiwojażera” Artura Millera, w reżyserii Jacka Orłowskiego. W tytułowej roli wystąpił Bronisław Wrocławski.

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki powołał społeczną radę, która opracuje program opieki nad bezdomnymi zwierzętami. Sytuacja takich zwierząt i schroniska jest w Łodzi dramatyczna.

→ Uroczysty koncert z udziałem Gwendolyn Bradley rozpoczął V Międzynarodowy Festiwal i Konkurs Międzynarodowych Indywidualności Muzycznych im Aleksandra Tansmana.

→ Nagrody im. Tansmana wręczono Jerzemu Maksymiukowi – dyrygentowi, twórcy Polskiej Orkiestry Kameralnej, oraz Franciszkowi Wybrańczykowi – menedżerowi Syfonii Varsovii.

17 listopada

→ W Muzeum Włókiennictwa otwarto kolejną wystawę prac pań, należących do Łódzkiego Klubu Koronki i Haftu oraz Miłośników Haftu „Kanwa”.

18 listopada

→ Pod patronatem honorowego konsula Francji, prof. Michała Seweryńskiego, rozpoczęły się „Dni Francji”. Na początek w wybranych restauracjach łodzieńskie próbowały młode wino z tegorocznych zbiorów – *beaujolais nouveau* i bawili się w gronie przyjaciół. Następnie mieli do wyboru: recital piosenki francuskiej w wykonaniu Anny Prucnal, koncert muzyki francuskiej, wystawy plastyczne, pokazy mody, spotkania z przedsiębiorcami i... festiwa i jablek.

19 listopada

→ Pierwszy w tym roku śnieg i bardzo silny wiatr dały się we znaki mieszkańcom Łodzi. Piesi z trudem poruszali się po zaśnieżonych ulicach, na jezdniach tworzyły się korki, pogotowie udzieliło pomocy aż 180 razy. Stare drzewa łamały się pod wpływem wichury i śniegu.

20 listopada

→ Podczas 6 Explorers Festiwal wręczono nagrody najwybitniejszym przedstawicielom himalaizmu. Statuetki z napisem „Tym, którzy mają odwagę odkrywać” otrzymali: Doug Scott (Wielka Brytania), Walerij Babanow (Rosja), Michel Brown (USA). Nagrodę Camera Extreme – dla twórcy filmowego, który najlepiej potrafi ukazać zmagania człowieka z naturą i własną słabością, otrzymali Michael Brown i Keith Partirdge (Wielka Brytania). Nagrodę Explorera 2004 odebrał również Erich von Däniken – szwajcarski pisarz i podróżnik za „wieloletnie, wytrwałe zgłębianie tajemnic fascynujących ludzkość od tysiącleci”.

21 listopada

→ W tym dniu Kościół ewangelicki obchodził dzień pamięci zmarłych. W kaplicy Scheiblera na Starym Cmentarzu odprawiono nabożeństwo w intencji zmarłych członków rodziny fabrykanta. Kaplicę udostępniono zwiedzającym, którzy przy okazji mogli kupić cegiełki na renowację zabytku.

22 listopada

→ Mieszkanka Łodzi – Józefa Górską, obchodziła setne urodziny. Prezydent Jerzy Kropiwnicki osobiście złożył życzenia sędziwej jubilatce i wręczył upominek.

23 listopada

→ Klub Futurysta przy Politechnice Łódzkiej zorganizował „Dzień Walki z Głupotą”. Rezultatów nie podano do wiadomości publicznej.

24 listopada

→ Na prestiżowej wystawie wynalazków w Brukseli naukowcy z Politechniki Łódzkiej otrzymali pięć złotych medali oraz jeden srebrny i jeden brązowy.

→ Marek Słowiński, honorowy dawca krwi od 1989 r., pomógł już wielu chorym i ofiarom wypadków. Oddał 120 litrów krwi, a tabliczki czekolady ze stacji krwiodawstwa przekazywał domom dziecka.

25 listopada

→ „Wieś polska w tygłu przemian społeczno-kulturowych i politycznych XX wieku” to tytuł konferencji naukowej, poświęconej pamięci zmarłej w ubiegłym roku prof. dr Heleny Brodowskiej-Kubicz, wybitnej badaczki i historyka polskiej wsi. Konferencję zorganizował Uniwersytet Łódzki, Interdyscyplinarny Zespół Badania Wsi przy Katedrze Etnologii oraz Ludowe Towarzystwo Naukowo-Kulturalne.

→ Do Ogrodu Zoologicznego przyjechały z Danii dwa syberyjskie tygrysy: samica Pele i samiec Vincent W ubiegłym roku odszedł ostatni przedstawiciel tego gatunku wychowany w łódzkim ZOO.

→ Odrestaurowano zabytkową bramę prowadzącą do fabryki Izraela Poznańskiego. Uroczystość przekazania bramy zgromadziła wszystkich, którzy pracowali przy renowacji. Zabytek wygląda dokładnie tak samo, jak przed stu laty.

→ Witold Knychalski, pomysłodawca Festiwalu Dialogu Czterech Kultur, otrzymał Medal „Zasłużony dla tolerancji”.

→ Ponad tysiąc łódzian spotkało się na wiecu popierającym wolną Ukrainę. Przyszli politycy wszystkich opcji, rektorzy wyższych uczelni, studenci, ludzie dobrej woli. Obecne były studentki z Ukrainy studiujące w Łodzi i studenci ze Wschodu. Wiec zorganizowała łódzka redakcja „Gazety Wyborczej”.

26 listopada

→ Sekretariat Stanu w Watykanie przesłał na ręce prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego list od Jana Pawła II z podziękowaniem za życzenia i modlitwy łódzian, zwłaszcza z okazji rocznicy pontyfikatu i imienin Papieża.

27 listopada

→ Krzysztof M. Bednarski został tegorocznym laureatem Nagrody im. Katarzyny Kobro. Jest to jedyna polska nagroda przyznawana artystom przez innych artystów. Uroczystość wręczenia nagrody poprzedziło spotkanie na cmentarzu przy grobie Katarzyny Kobro, nabożeństwo żałobne w kościele prawosławnym, oraz projekcja filmów laureata w Galerii Wschodniej.

28 listopada

→ W łódzkiej Alei Sław, w 21 rocznicę śmierci, odsłonięto gwiazdę poświęconą wybitnemu operatorowi Zygmuntowi Samosiukowi. Gwiazdę odsłoniła wdowa po operatorze, aktorka Irena Karel i rektor Filmówki – Jerzy Woźniak. Licznie przybyli uczestnicy Camerimage.

29 listopada

→ Na ulice Łodzi wyruszył nocny autobus z ciepłą zupą, odzieżą i lekami. Autobus zatrzymuje się na dworcach kolejowych i głównych ulicach miasta, ratuje zmarzniętych i bezdomnych. Chętnych odwozi do schroniska im. św. Brata Alberta. Akcję, z pomocą władz miejskich, organizuje Jerzy Czapla – kierownik schroniska.

→ Z okazji 174 rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego Oddział Łódzki Związku Legionistów Polskich i Ich Rodzin zorganizował spotkanie na Starym Cmentarzu, poprzedzone mszą świętą w kościele pod wezwaniem NMP na Placu Kościelnym.

30 listopada

→ W plebiscycie mediów za najważniejsze wydarzenie października łodzianie uznali działania podinspektor Aldony Kostrzewy – szefowej łódzkiej policji, zmierzające do zmniejszenia kradzieży i korupcji.

PERSONALIA**2 listopada**

→ Łodzianin Sławomir Lachowski został wybrany prezesem BRE Banku. Nowy prezes przyczynił się w znacznej mierze do sukcesu mBanku i Multibanku. Piotr Kociotek objął stanowisko prezesa spółki lotniczej Nowy Przewoźnik. Poprzednio pracował w BRE Banku.

ODESZLI:**24 listopada**

→ Henryk Walenda – dziennikarz, dyplomata, długoletni redaktor naczelny „Dziennika Łódzkiego”.



Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

